



Kiedy fortuna się uśmiecha,  
wystarczy nie zwariować,  
unikać pułapek i...  
roztrwonić wszystko  
w ustalonym terminie!

**Maria Ulatowska  
Jacek Skowroński**

# Tylko milion

Prószyński i S-ka

**Maria Ulatowska  
Jacek Skowroński**

*Tylko  
milion*

Prószyński i S-ka

Copyright © Maria Ulatowska, Jacek Skowroński, 2017

Projekt okładki

Agata Wawryniuk

Zdjęcie na okładce

© Tim Daniels/Arcangel Images

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Bohdan Sławiński

Korekta

Mirosława Kostrzyńska

Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-293-3

Warszawa 2017

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Ani, Ewie i Maćkowi,

z podziękowaniami za wsparcie – autorzy

## PRELUDIUM

*I. Bohaterowie szukają dobrze zasłużonego wytchnienia nad jeziorem i mimo rozbieżności zdań na temat przynęt oraz innych przeciwności, usiłują łowić ryby...*

Jeziro Szczepankowskie wysychało. Od dwóch lat opadów było tak mało, że rzeczka, a właściwie strumyk zasilający jezioro, prawie zniknęła. A kanałki przelotowe, odprowadzające do jeziora wody opadowe, spływające z przeciwległego lasu, są systematycznie zasypywane przez miejscowego przedsiębiorcę, starającego się o zezwolenia na uruchomienie kopalni kruszyw nad jeziorem. Właścicielka ośrodka wypoczynkowego w Szczepankowie, Halina, walczy z owym „biznesmenem” od kilku już lat, ale przegrywa w tej nierównej walce, choć jeszcze się nie poddała.

Jednak nie może wywalczyć choćby czyszczenia tych kanałków, więc jezioro powoli umiera. Wędkarze, przyjeżdżający tam rok po roku, bardzo to przeżywają, bo ryb w Szczepankowie ubywa, a i łowienie jest mniej przyjemne, bowiem poziom wody jest tak niski, że wędkowanie przypomina rzucanie lotkami do celu. Trzeba trafić w odległe od brzegu wodne oczko, nieco mniej zarośnięte podwodną moczarką – tak, aby haczyk od razu nie zaplątał się w dryfujące zbite zielsko. Jeśli chcesz łowić naprawdę, musisz robić to z łódki. Pod warunkiem, że uda ci się wyplątać wiosła z kęp wodnej roślinności rosnącej wszędzie.

Matylda i Janusz, pisarze zaprzyjaźnieni z właścicielką ośrodka, przyjeżdżali tam tak często, jak tylko mogli, co najmniej dwa razy w roku. Obydwoje włączali się aktywnie w różnego rodzaju akcje przeciwko uprzemysłowieniu okolicznych łąk i bagnisk, ale jak dotąd bezskutecznie. Niestety, na razie wygrywali zwolennicy tej groźnej dla miejscowej przyrody inwestycji...

Teraz – a był czerwiec dwa tysiące szesnastego roku – Matylda i Janusz szybciotko rozpakowali plecaki i, nawet bez przebierania (zaraz będzie obiad), zbiegli na dół, nad jezioro. Objęli wzrokiem przykryte kożuchem moczarki jezioro i ze smutkiem spojrzeli na siebie. Niestety, woda się nie podniosła, zielska wszelakiego było więcej niż ostatnio. Wędkowanie z pomostów będzie bardzo trudne, a na łowienie z łodzi...

– Jeśli myślisz o łowieniu z łodzi... – odezwała się Matylda, jakby czytając myśli Janusza (a może i tak było, bo znali się już tak dobrze, że czasami łatwo im było odgadnąć swoje myśli) – to zgadzam się jedynie na łapanie ryb na kukurydzę albo inną kaszę. Robaki wykluczone.

Jasne, Janusz nawet nie westchnął. Dobrze wiedział, że partnerka nie lękała się najgroźniejszego psa, ba! ani lwa, ni tygrysa, za to panicznie bała się wszystkiego, co się wije i pełza. Bez względu na rozmiary tego czegoś. Janusz nigdy nie zapomni, co się stało, gdy któregoś pięknego dnia czerwone robaki jakoś wydostały się z pudełka i oblaży całą lodówkę. Na nieszczęście do tej lodówki pierwsza zajrzała właśnie Matylda... No tak, aż się wzdrygnął. Nigdy nie przypuszczał, mimo wielu życiowych doświadczeń, że w tej drobnej kobiecie może skumulować się tyle wybuchowej energii...

– Ale wiesz, że ryby najlepiej biorą właśnie na robaki? – Mimo wszystko zaczął się droczyć. – A ja chciałbym...

Matylda nie miała najmniejszej ochoty dowiadywać się, czego chciałby stojący obok mężczyzna. Zresztą nawet nie było na to czasu, bowiem akurat zabrzmiał gong obwieszczający posiłek.

Pognali więc zgodnie do głównego pawilonu, wpadając tylko na chwilę do domku, żeby zabrać przywiezionego aniołka. Gospodarze kolekcjonowali takie serafinki.

– Jest dokładka! Zapraszam wszystkich chętnych. – Halina obwieszczała to za każdym razem. I prawie każdego dnia Janusz wstawał od stołu, wracając za moment z dodatkową porcją.

– Wiesz, kochana Halinko, ty mu już od razu nakładaj wszystkiego podwójnie, po co ma, biedak, tak się męczyć... – Ale Matylda równie dobrze mogłaby nic nie mówić, Janusz i tak dostawał zawsze porcję jak dla drwała. Ale on i tak zwykle miał ochotę na dokładkę. Nie tylko dlatego, że w ogóle lubił jeść. Po prostu posiłki w Szczepankowie były wyśmienite.

– A przed chwilą mruczał pod nosem, że niby nie dosłyszał nic o dokładce. On uwielbia żeberka z kaszą, rozumiesz...

– Ja uwielbiam wszystko, co ugotuje Halina – wyznawał Janusz.

– Wiem, wiem – mówiła ze śmiechem właścicielka ośrodka i już stawiała w okienku dodatkową porcję. Chyba większą od tej pierwszej.

Raz nawet Matylda zgłosiła się po repetę. Wtedy, gdy była ryba. Bo ryby mogła jeść zawsze i wszędzie. W każdej postaci. Teraz przed nimi tydzień nad jeziorem, więc może uda im się coś złowić. Takiego jadalnego, czyli wymiarowego oczywiście. Bo pstynki, jak nazywali te jeszcze nie w pełni rozwinięte ryby, wypuszczali. Spróbowałiby nie... Nie dlatego przecież, że bali się Haliny, a skąd! Sami rozumieli, że ryba musi dorosnąć.

Zjedli więc obiad, zanieśli do domku porcje kolacyjne i Janusz przystąpił do uzbrajania sprzętu. Przywieźli dwie nowe wędki, przedniej jakości, z całym kompletem szaławików, ciężarków, stoperów, żyłek, haczyków, słowem – mieli wszystko, co trzeba. Oraz całe pokłady wiary w to, że ich sprzęt pokaże, co potrafi. Aha – mieli też podbierak i specjalną siatkę na złowione ryby. Zanęty i przynęty,

a wśród tych ostatnich, no cóż... robaki także. Ale na pomoście pudełko z robakami stało za Januszem, daleko od Matyldy. Ona łowiła na kukurydżę lub pęczak, jej partner mógł sobie łowić, na co chciał, byleby ona nie musiała na to patrzeć. I tak zawsze uważnie obserwowała moment, w którym Janusz zarzucał wędkę, bo może zadrżałaby mu ręka albo powiał wiatr... i taki robak..., brrr! W tym momencie wołała wygasic wyobraźnię.

Wybrali sobie jedną z kładek, upewniwszy się, że na pewno nie jest zajęta, o czym świadczyłyby na przykład otwarte pudełko z kukurydzą, zanurzone w wodzie wiaderko lub przywiązana do pała siatka na ryby. Czerwiec nie należał do miesięcy, w których ośrodek byłby bardzo obłożony. Zajęte okazały się dwie kładki, pierwsza i trzecia. Oni wybrali czwartą, wydawało im się, że przy niej są jakby rzadsze szuwary. Co prawda i tam falowały oczerety i pałki wodne, rośliny skądinąd może i ładne, szczególnie w porze zawiązywania bujnych kwiatostanów, ale zdecydowanie utrudniające łowienie.

Rozrzucili zanętę, rozsiedli się wygodnie i... spędzili tak kilka godzin, kompletnie bez efektów. Wodne zagony moczarki rozciągały się dosłownie wszędzie. Ryby tam były, to pewne. Świadczyły o tym choćby pęcherzyki powietrza, które uchodziły spod kożucha wodnego zielska.

– Liny? – pytał z nadzieją Janusz, bezwiednie oblizując usta.

– Raczej leszcze, liny właśnie mają tarło – wyjaśniała Matylda, jako ta bardziej oblatana w temacie.

Ale złapali zaledwie kilka maleńkich płotek, którym natychmiast zwrócili wolność. Siedzący na sąsiedniej kładce pan Jacek, w szczepankowskim świątku znany jako „Ten, który złowił jedenastokilogramowego karpia”, na pytania o rezultaty jedynie pokręcił głową.

– Chcecie naprawdę coś złowić?

Nie odpowiedzieli, uznając pytanie za retoryczne.

– Przyjdźcie rano, tak około piątej, skoro świt, i wypłyńcie łódką – poradził wędkarski sąsiad, uśmiechając się pod wąsem. Pewnie nie wierzył, że jakieś mieszcuchy zdecydują się zerwać z łóżek o tak wczesnej porze.



***II. Klaruje się plan zemsty na pewnym miłośniku strzelania do zwierząt, po czym Matylda odbiera bardzo dziwny telefon, od którego właściwie zaczyna się cała historia.***

Jeszcze stały mgły nad jeziorem. Jeszcze żaden promyk słońca nie przedarł się przez chmury. Jeszcze deski pomostów były wilgotne od rosy. Ryby chyba do tej pory spały, bo woda – przynajmniej tam, gdzie kończył się kozuch zieleni – była nieskalanie gładka, bez najmniejszej nawet zmarszczki i bez żadnego, najmarniejszego bodaj pęcherzyka powietrza. Spały ptaki i nie drgnęło jeszcze żadne żabie gardziółko. Lekka bryza poranna nie była nawet wietrzykiem zdolnym mocniej poruszyć szuwary. Wszystko zastygło, znieruchomiło, cały krajobraz nadjeziorny wyglądał jak uśpiony, a sen, jak wiadomo, jest bratem śmierci...

Coś unosiło się na powierzchni wody przy lewym słupku pierwszego pomostu. To coś... nawet się nie kołysało, bo tafla jeziora też była nieruchoma, jak wszystko w zasięgu wzroku.

Pan Grzegorz, lekarz z Gdańska, przyjeżdżający do Szczepankowa od lat, zawsze wychodził pierwszy na poranny połów. Miał tu swoją łódkę. Otwierał kłódkę, uwalniał łoś z łańcucha i po sprawdzeniu, czy nie trzeba wyczerpać wody ze środka, prawie bezszelestnie odbijał od pomostu i wypływał na jezioro. Kierował się do „swojej” zatoczki. Stali bywalcy Szczepankowa mieli tu wyodrębnione obszary i każdy szanował terytorium innych wędkarzy. Nigdy nie zdarzyło się, żeby na czyjąś kładkę wszedł ktoś nowy, nigdy nie zdarzyło się, żeby w czyjś zakątek jeziora wpłynęła łódka intruza. Goście, przybywający tu pierwszy raz, byli szczegółowo instruowani o obowiązujących zasadach i gdzie mogą się poruszać. Jeśli ktoś tych reguł nie akceptował, następnym razem dla niego nie było już wolnego pokoju, w żadnym terminie.

Pan Grzegorz, jak co dzień, położył wędki na brzegu, pochylając się nad kłódką z kluczykiem w ręku. I znieruchomił, bo z wody patrzyły na niego zastygłe oczy przepięknej czerwonawej sarenki. Przez wodę prześwitywały białe plamki na bokach zwierzęcia, charakterystyczne dla kozłaków. W jednej chwili przysł spokój i gdzieś ulotniła się panująca dookoła sielska atmo-sfera.

Właścicielka ośrodka, zaalarmowana przez pana Grzegorza, że koziołek, nim wpadł do wody, z pewnością został postrzelony... powiadomiła policję. Przedstawiciele władzy, zdenerwowani nieuzasadnionym ich zdaniem wezwaniem, odmówili przyjazdu. „A weźcie łopaty i to zakopcie”, poradził zniecierpliwionym tonem dyżurny na komendzie. Halina dobrze знаła kalendarz myśliwski, sprawdziła jednak dla pewności okresy ochronne. No tak, w czerwcu można

polować na sarny, jelenie, a nawet na kozłeta – powarczała więc jedynie pod nosem i zadzwoniła do straży miejskiej. Obiecali, że przyjadą zabrać zwierzę do utylizacji.

– To biedactwo po postrzale zdołało przebiec jeszcze kilkanaście metrów, zdezorientowane wpadło do jeziora i po nim. – W głosie Haliny słychać było gniew. – A łajdakowi, który siedział sobie ze strzelbą na ambonie, nie chciało się nawet zejść, żeby sprawdzić, co z jego łupem! Drań na pewno chciał ustrzelić matkę. A trafił w koziołka.

– Wiesz, Halinko, kto jest tym myśliwym? – zapytała Matyllda.

– Pewnie, że wiem. Wszyscy w okolicy wiedzą, kto gustuje w takich zabawach. Ale nic nie można zrobić. Widzieliście na pewno tę ambonę, stoi niedaleko ośrodka. Pewnego razu ktoś podpiłował dwie nogi i ambona przewróciła się, kiedy ten łobuz na nią wchodził. – Na twarzy Haliny zagościł pełen satysfakcji uśmiech. – Straszna była afera, mieliśmy wielkie nieprzyjemności, grozili nam grzywną, prokuratorem i nawet sądem. Na szczęście my tu jesteśmy solidarni, nigdy nie wyszło na jaw, kto to naprawdę zrobił...

– Ale ją naprawili prędko?

– Jak widać.

– A może by... – Matyllda zauważyła ostrzegawcze spojrzenie Janusza i natychmiast umilkła.

– Co takiego?

– Nic, nic takiego. – Machnęła dłonią i zgrabnie zmieniła temat: – Takie zrobiło się zamieszanie, że z wędkowaniem trzeba będzie zaczekać do popołudnia. A w ogóle... – Matyllda mrugnęła i powiedziała doskonale słyszalnym dla wszystkich szeptem: – Janusz prosił, żebym dyskretnie dowiedziała się, co szykujesz na obiad.

– Dziś planowałam schabowe i gotowaną kapustę z zasmażką.

Matyllda i Janusz żalowali, że właśnie dzisiaj zdecydowali się wstać o świcie i, korzystając z rady pana Jacka, wypłynąć na połów łódką. Cały zamiar spełził na niczym z powodu zamieszania nad jeziorem. Widok martwej sarenki na tyle zwarzył im humory, że wrócili do swojego domku, usiedli na tarasie z kawą w kubkach i zaczęli zastanawiać się nad tym, czym myślistwo różni się od wędkarstwa.

– No, wiesz, my złowione ryby wypuszczamy z powrotem. – Matyllda była zwolenniczką zasady *catch and release*.

– Chętnie je zjadałbym, gdybyśmy tylko łapali większe okazy. – Janusz bardzo lubił ryby i naprawdę miał nadzieję, że w końcu uda im się trafić na w pełni wymiarową, a zatem jadalną, sztukę. W końcu ryby kupione w sklepie też ktoś gdzieś złowił, a wędkarze nie zadają im przynajmniej niepotrzebnych cierpień. – Ale muszę przyznać, że nie ma tu łatwej odpowiedzi. Tyle że skoro jemy mięso, musimy pogodzić się z myślą, że ono było kiedyś żywe...

Przed południem raczej nikt ryb nie usiłował łowić, wiadomym było, że ryba żeruje bladym świtem albo wieczorem, więc w ciągu dnia siedzenie z wędką było li tylko sposobem na wdychanie świeżego powietrza i sycenie oczu zielenią otaczającego jezioro lasu. Matyllda i Janusz, warszawskie mieszczyki, na co dzień zatruwający swe płuca wycieczkami śródmieścia stolicy, uwielbiali szczepankowskie, zazwyczaj letnie wypady i siedzenie nad jeziorem nawet w czasie, gdy ryby nie brały, było dla nich samą przyjemnością.

– A może popływamy sobie łódką, choćby po to, żeby wypatrzeć jakieś dobre miejsce na połów? – Janusz głośno zastanawiał się nad sposobem spędzenia wieczoru. – I po obiadku, oraz po poobiednim wypoczynku, spróbujemy połowić z łodzi. Na kukurydź – uprzedził protesty partnerki.

Pomysł wprowadzili w czyn. Wybrali sobie łódkę, poszli do Haliny po klucz, usadowili się w miarę wygodnie i zaraz po tym, jak Matyllda skończyła narzekać, że ma przemoczone nogawki, że woda chlupocze jej pod nogami i że nie sprawdzili, czy w tej wodzie, tu, w łódce, na pewno nie ma żadnych pijawek, Januszowi udało się odbić od brzegu. Mimo kozucha zieleni radził sobie bardzo dobrze, udawało mu się zazwyczaj płynąć tam, gdzie chciał... czym wprowadził w zdumienie Matylldę.

– Naprawdę idzie ci świetnie – dawała wyraz swojemu zachwytowi. – Po prostu jestem z ciebie dumna. Jak ci się udaje w ogóle wyplątywać wiosła z tego zielska?

Prawda, łatwo nie było, zielsko rosło wszędzie i było go tyle, że wiosłowanie stawało się ciężką pracą. Zdecydowali więc, że wracają. Janusz zgrabnie opłynął największą kępę roślinności, łódź znalazła się nad kawałkiem piaszczystego dna i nareszcie zobaczyli całe stado naprawdę sporych ryb, przemykających w kierunku następnej wyspy podwodnej zieleni, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. W pewnej chwili obydwójce aż podskoczyli, niespodziewanie bowiem rozległ się dzwonek telefonu, dobiegający z kieszeni koszuli Matylldy.

– Wzięłaś telefon na łódkę? – Janusz nie mógł popukać się w czoło, bo zamasyście machał wiosłami, usiłując wyplątać się z kolejnej kępy moczarki.

Matyllda tylko wzruszyła ramionami, telefon włożyła do kieszeni odruchowo, nie miała nawet pojęcia, że ma go przy sobie. Teraz jednak dzwonił i nie potrafiła tego zignorować.

Numer nic jej nie mówił. Odbierała jednak takie anonimowe telefony, często bowiem dzwoniły bibliotekarki z prośbą o spotkania autorskie. Janusz patrzył, jak w oczach dziewczyny ogromnieje zdziwienie i za chwilę usłyszał: „Nie jestem zainteresowana, proszę wrabiać kogoś innego”.

– Dość długo słuchałaś tego akwizytora – zauważył ze zdziwieniem. – Na ogół rozłączasz się w takich sytuacjach bez słowa...

– A, bo wiesz, to takie dziwne i zaskakujące. Pan, który dzwonił, z góry

zastrzegł, że wie, iż uznam jego telefon za próbę jakiegoś oszustwa, ale prosił, abym uwierzyła, że to nic podobnego. Twierdził, że jest prawnikiem i ma bardzo ważną sprawę. Przedstawił się i wymienił nazwę kancelarii prawniczej, z której dzwoni. Bardzo prosił o spotkanie.

– No, to może trzeba było jeszcze chwilę go posłuchać... – Janusz dobił do przystani tak idealnie, jakby robił to co najmniej raz dziennie.

– Jeśli to jakiś przekręt, to facet nie odezwie się więcej, w innym wypadku jakoś do mnie dotrze. Na razie chodźmy do domku, bo muszę zdjąć te mokre spodnie. A widziałeś te wielkie ryby? – Przypomniała sobie Matylda. – Jutro rano płyniemy na połów.

Gdy się przebrali, zrobili kawę i zasiedli w fotelach, Matylda otworzyła laptop. W telefonie widziała już, że ma kilka wiadomości w poczcie mailowej, zawsze wolała jednak je czytać w większym formacie. Na pierwszym miejscu widniał komunikat z kancelarii prawniczej Lex – Barlicki i Małak. Podpisany mecenas Barlicki prosił o kontakt, zapewniając, że ma ważną i dość pilną sprawę.

– Jaki uparty, spójrz. – Matylda podsunęła ekran w stronę Janusza.

– Daj sobie spokój, to jakieś zawracanie głowy, próba naciągania jelenia na coś. O, wiem, pewnie spadek z zagranicy dostałaś i dodatkowe informacje uzyskasz po wpłaceniu jakiejś kwoty na konto rzekomego pana mecenasa. – Jej partner się zaśmiał.

Ale Matylda, zazwyczaj istotnie bardzo sceptycznie nastawiona do wszelkich reklam, zaproszeń, ofert itd., teraz jakoś była dziwnie zaintrygowana całą historią. Sprawdziła w internecie. Kancelaria Lex istniała, widniała w rejestrze kancelarii prawnych, wpisana do Panoramy Firm. Zgadzał się adres, numery telefonów i nazwiska wspólników.

– Proszę, naciągacze są coraz sprytniejsi. – Janusz westchnął. – Cóż za problem powołać się na istniejącą firmę?

– Dzwonię, co mi szkodzi. – Dziewczyna sięgnęła po telefon i nie zważając na minę partnera, wystukała rząd cyferek na tarczy.

– Tak, pan mecenas pracuje w naszej kancelarii. Jest właścicielem – usłyszała miły głos w odpowiedzi na pytanie o mecenasa Barlickiego. – Czy jest pani umówiona?

– Nie jestem, ale pan mecenas dzwonił do mnie i prosił o kontakt.

No i okazało się, że faktycznie istnieje jakiś realny mecenas Barlicki, który potwierdza, że ma bardzo ważną i pilną sprawę, że to żaden żart i że ponawia prośbę o spotkanie.

Matylda spojrzała pytająco na Janusza, który słyszał całą rozmowę i który teraz wzruszał ramionami w geście „rób, co chcesz”. „Ale czy pójdziesz ze mną?” – wyartykułowała bezdźwięczne pytanie, odsuwając telefon na pewną odległość. Wzruszenie ramion pogłębiło się, ale po chwili pisarz skinął głową. Pewnie, że nie

puści jej samej, a znał swoją dziewczynę na tyle, by być pewnym, iż nie zostawi sprawy bez wyjaśnienia.

Pójdzie.

No więc on, oczywiście, z nią.

Jego dziewczyna... zamyślił się... Lubił tak o niej myśleć i czuł, że zawsze będzie tak robił, niezależnie od upływającego czasu. Byli razem już ponad dwa lata i przyzwyczaili się do wszelkich swoich dziwnostek i różnych nietypowych poczynań. Mieli te same poglądy na większość spraw, a jeśli czasami się różnili, potrafili zaakceptować różnice. Jednak zawsze wspierali się nawet w najdziwniejszych działaniach, więc wspólna wyprawa do jakiejś kancelarii prawnej była „oczywistą oczywistością”, cytując klasyka...

### ***III. Niespodziewanie pojawia się postać przemawiająca zza grobu, a cała sprawa robi się naprawdę intrygująca.***

– Bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani jednak do nas przyjść. Sprawa jest istotnie nieco... nietypowa, ale nasza kancelaria dawała sobie radę już z dziwniejszymi. – Mecenas Barlicki, niewysoki okrągłutki mężczyzna, prezentujący światu imponującą łysinę otoczoną wianuszkiem siwiejących włosów, uśmiechał się ujmująco. Wyskoczył z za biurka, odsunął krzesło dla Matyldy, zwracając się równocześnie do Janusza:

– Bardzo przepraszam, ale ze względu na charakter sprawy... – zawahał się na moment, szukając odpowiedniego określenia – na poły rodzinnej, tak chyba mogę to ująć, i dotyczącej poważnych kwestii finansowych, zmuszony jestem zapytać, czy jest pan osobą z kręgu bliskich zna...

– To mój literacki i życiowy partner – oznajmiła dobitnie Matylda, przerywając prawnikowi w pół słowa.

– A, to zmienia postać rzeczy. Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, by poznał pan całą sprawę.

Niespiesznie zajął swoje miejsce, moszcząc się w imponującym gdańskim fotelu. Dopiero teraz pisarze ze zdumieniem dostrzegli na biurku, obok leżących tam dokumentów, *Historię spisaną atramentem*<sup>1</sup>. Książka nosiła wyraźne ślady czytania. Prawnik zdawał się nie dostrzegać ich zdziwienia, spokojnie otworzył szufladę i nagle, ruchem prestidigitatora, położył przed sobą kopertę z oficjalnie wyglądającymi pieczęciami i jakimiś napisami po angielsku.

– Czy mówi pani coś nazwisko „Talko”?

Matylda tylko pokręciła głową. Janusz ani drgnął

– Tak sądziłem, bo w książce państwa Osman Talko występuje jedynie jako Tatar polski. Jego postać jest tam zaledwie zarysowana, on sam odegrał w tej historii jednak większą rolę, niż została mu przypisana. Ale wszystkiego dowie się pani zapewne osobiście od jego prawnika, Josha Talko, który ma do przekazania bardzo ważne wiadomości. Działa on z polecenia swego krewnego, a cała sprawa jest bardzo istotna i dla niego. Otrzymałem pismo amerykańskiej kancelarii, informujące o wszczęciu przez prawnika Osmana Talko postępowania zmierzającego do wypełnienia ostatniej woli zmarłego. Jest w nim prośba o udzielenie wszelkiej możliwej pomocy, a teraz pan Josh, za moim pośrednictwem, prosi panią o pilne spotkanie w celu ustalenia dalszego postępowania. Zgadza się stawić w każdym miejscu, które pani wskaże. Prosi tylko o pośpiech.

– Ale ja w ogóle nie mam pojęcia, o co chodzi. – Matylda kręciła się na krześle. – Wie pan, my obydwójce – wskazała Janusza – jesteśmy dość zajętymi ludźmi. Piszemy książki, mamy wiele spotkań autorskich, jeździmy po Polsce, po świecie, zbierając materiały do następnych powieści. Poza tym musimy... – urwała, czując dotknięcie Janusza. Z miejsca poczuła się pewniej...

– Tyniu, w zasadzie i tak mieliśmy jechać do Pragi – przekonywał Matyldę Janusz. – Skoro temu Joshowi wszystko jedno, gdzie się macie spotkać, umówmy się tam właśnie. Jego zgoda uwiarygodni tylko całą historię. My niczym nie ryzykujemy. A Osman Talko jest przecież – był właściwie – postacią realną, a nie produktem literackiej fikcji.

– Ale my ledwie wspomnieliśmy o nim parę razy w książce! A cała akcja rozgrywała się wiek temu, na dalekiej Ukrainie, nie znaleźliśmy nawet jego nazwiska...

– Teraz już znamy. A jak widać, duchy przeszłości potrafią odezwać się w zupełnie nieoczekiwanym momencie... – Janusz przypatrywał się chwilę mecenasowi, jakby pragnął doszukać się w jego twarzy wskazówki, jak bardzo poważnie traktować całą sprawę. – Pomyśl, takie spotkanie może być bardzo ciekawe. I... nadzwyczaj przydatne, gdybyśmy zamierzali dopisać ciąg dalszy naszej Historii spisanej atramentem.

– No cóż, Pragę istotnie mieliśmy w planach.

– To świetny pomysł. – Mecenas Barlicki już robił notatki, kiwając potakująco głową, nawet nie zauważył, że Janusz jeszcze nie skończył mówić... Usłyszał „Praga” i to właśnie zapisał.

Stało więc na tym, że za pośrednictwem prawnika ustalą z tym Joshem czas i dokładne miejsce spotkania.

Nic nie ryzykowali, a cała sprawa zaczęła ich coraz mocniej intrygować.

1 *Historia spisana atramentem*, Maria Ulatowska, Jacek Skowroński, Wyd. Prószyński Media Sp. z o.o., Warszawa 2016.

#### *IV. Matylda ponownie przekonuje się, że nie warto wierzyć w legendy.*

Praga przywitała ich strugami deszczu, lecz w ogóle się tym nie przejęli. Dotarli do zarezerwowanego hotelu taksówką, choć mieli świadomość, że za kurs spod lotniska słono przepłacą. Hotel znajdował się dość daleko od centrum, ale z dogodnym dojazdem (zdążyli już sprawdzić to na planie miasta), a standard pokoju przerósł ich oczekiwania. Pełen komfort!

Niedługo mieli się przekonać, czy – po pierwsze, tajemniczy Josh Talko istnieje naprawdę, a po drugie – jaką wartość mają jego obietnice, a więc z całą pewnością nie pożałują poświęconego na spotkanie czasu. Mimo początkowego sceptycyzmu byli coraz mocniej zaintrygowani. W końcu nikt nie zadaje sobie tyle trudu dla głupiego żartu albo oszustwa, którego sens trudno było sobie wyobrazić. Tak czy inaczej nic nie tracą, bowiem zwiedzenie Pragi mieli w planach od dawna. Matylda w stolicy Czech była już kilka razy, nawet jeszcze w czasach, gdy miasto to było stolicą Czechosłowacji, i nikt jeszcze nie myślał o podziale. Uwielbiała Pragę, twierdziła nawet, że woli ją od Paryża. Ale... wtedy nie знаła jeszcze Paryża. Teraz swą miłość do tych dwóch pięknych miast dzieliła pół na pół. Janusz Pragi w ogóle nie znał, jakoś tak się do tej pory układało, że nigdy tam nie zawitał, cieszył się więc, że pozna ten „Paryż wschodu”, jak mawiała jego partnerka.

Gdy tylko zainstalowali się w hotelu, dla Janusza oczywiście nastąpiła pora lunchu (czymże jest mizerne śniadanie przed siódmą rano?), skorzystali więc z usług tamtejszej restauracji, mile zaskoczeni sympatyczną obsługą i jakością dań. Wprawdzie osławione knedliczki Janusz przyjął z wyraźną rezerwą, jednak baranina duszona w piwie spełniła wszelkie jego wymagania.

– Przede wszystkim musisz zobaczyć most Karola i okoliczne uliczki – zarządziła Matylda, gdy tylko wstali od stołu.

Podpytali trochę recepcjonistę w hotelu i uzbrojeni w plan miasta oraz rozkład linii metra bez przeszkód dotarli tam, gdzie chcieli. Most Karola oczarował Janusza – tak, jak zachwycił każdego, komu dane go było ujrzeć.

Ten najstarszy zachowany kamienny most świata o takiej rozpiętości przęsł ma ponad pięćset metrów długości oraz około dziesięciu szerokości między barierami i wspiera się na szesnastu filarach. Ozdobiony jest trzydziestoma figurami, ustawionymi po jego obu stronach. Posągi te przedstawiają świętych, a stworzyli je najwybitniejsi artyści epoki baroku. Stoją tam również rzeźby wykonane już w odmiennych stylach, dużo późniejsze. Z obu stron most jest zamknięty okazałymi bramami. Na wschodnim krańcu wznosi się staromiejska wieża mostowa z umieszczonymi na niej siedzącymi postaciami cesarza Karola IV



i jego syna Wacława IV oraz świętego Wita, świętego Wojciecha i świętego Zygmunta. Rzeźby te pochodzą z XIV wieku. Nic dziwnego, że praktycznie o każdej porze most pełen jest turystów podziwiających panoramę Pragi i przepiękny widok na Hradczany. A także kieszonkowców, szukających bystrym wzrokiem kolejnej ofiary...

Para pisarzy szła powoli mostem. Słysząc tam było chyba wszystkie języki świata.

– Istna Wieża Babel – orzekł oszołomiony Janusz.

Przed jedną z figur był taki tłok, że nie można było tam się dopchać. Oczywiście Matylda i Janusz nie odpuścili, prąc konsekwentnie ku barierce. Obleganą figurą był posąg św. Jana Nepomucena. Matylda, znająca przecież Pragę, doskonale wiedziała, skąd takie powodzenie świętego. Otóż podobno spełniał życzenia. Trzeba tylko pogłaskać lśniąca od niezliczonych dotykających ją rąk płaskorzeźbę, wmurowaną po prawej stronie podstawy posągu świętego. Kiedy Matylda opowiedziała tę legendę Januszowi, natychmiast położył dłoń w najbardziej wygłaskanym miejscu i zamknął oczy.

– A ty? – spytał po chwili partnerkę.

Matylda nie wierzyła w żadne zabobony, legendy, bajki i przepowiednie. Ale widząc pełną oczekiwania minę Janusza, położyła palce na wyslizganym przez turystów miejscu. „Dam ci szansę, mój drogi święty”, pomyślała i poprosiła Nepomucena o bardzo miłą noc... Takie życzenie przecież nie mogło się nie spełnić. Zwłaszcza w magicznej Pradze.

– Zrobione – rzekła wesoło i poprowadziła Janusza na drugą stronę Wełtawy, do dzielnicy Malá Strana. – To moja ulubiona część Pragi, tu zjemy obiad.

Uśmiechnęła się pod nosem, bo jej partner jeszcze nie wiedział, że nie idą na obiad NATYCHMIAST.

– Najpierw pokażę ci coś, co każdy turysta po prostu musi obejrzeć. Nie umrzesz z głodu, to zajmie nam chwilę. – Wchodzili już na dziedziniec Muzeum Franza Kafki i Janusz ujrzał niecodzienny widok. Naprzeciwko siebie stali dwaj nadzy mężczyźni, a ich penisy-fontanny tryskały... Przyrodzenia posągów poruszały się, a strumienie wody były kierowane w różne strony, jednak zawsze do basenu mającego kształt znajomo wyglądającej mapy.

– Tymi strumieniami można kierować za pomocą SMS-ów. – Matylda wskazała głową grupę zaśmiewających się młodych ludzi, stukających biele w klawiatury swoich smartfonów. – A ta mapa jest mapą Czech. -Wyobrazasz sobie coś takiego w Polsce?

– No tak, widocznie Czechów stać na całkiem swobodne podejście do własnej historii i płynnego... terytorium państwa. Bez wiecznego nadęcia i z odrobiną zdrowego dystansu. – Janusz zrobił kilka zdjęć, cały czas kręcąc głową

z niedowierzaniem.

– Jutro pokażę ci kolejne dzieło Davida Černego; tak właśnie nazywa się ten kontrowersyjny artysta. W Lucernie2 zobaczysz rzeźbę patrona Czech, świętego -Wacława, który dosiada martwego konia. Wierzchowiec jest spętany i wisi u powały jak sprawiona zwierzyna... To parodia chyba najslynniejszego praskiego pomnika, znajdującego się na placu Wacława. Obejrzymy potem wzgórze Petřin, gdzie stoi miniatura wieży Eiffla. Są tam też przepiękne ogrody. Ale teraz już pójdziemy coś zjeść, oczywiście do kultowego Koucura.

Pomogę trochę temu Nepomucenowi, pomyślała Matylda, Janusz jak głodny, to do niczego. A przecież ona wypowiedziała w duchu całkiem konkretne życzenie. Musi więc swojego mężczyznę dobrze nakarmić. U Koucura jest miejscem, w którym bywali i Hrabal, i Havel, i pewnie wielu równie znamienitych gości. To knajpka, hospoda, restauracja, lokalik – zwał, jak zwał – nie to jest ważne. Ważne, że takich knedlików i takiego piwa nie ma gdzie indziej w całej Pradze. Że głośno? Że może niezbyt czysto na stołach? Że ciasno, że niestety tytoniowy dym? Tak, owszem – i co z tego? Takiej atmosfery i takiego klimatu próżno szukać w innym miejscu.

Zdobycie miejsca graniczy tam z cudem, ale ponieważ Matylda w żadne cuda nie wierzyła, po prostu wepchnęła się na upatrzoną ławę, a tamtejsi bywalcy uprzejmie zrobili jej miejsce. Pcha się, czyli wie, jak tu jest. „Naša krajanka” orzekli, wznosząc w górę dzbany Kozela. Janusz przycupnął z drugiej strony i złapał w garść kufel korzennego piwa, postawionego przed nim bez pytania. Również bez pytania stanęły na stole talerze powitalne, z trzema rodzajami knedlików, kiełbaskami, plackami ziemniaczanymi, smażonym kurczakiem, czerwoną kapustą i papryczkami.

– Oj, dziewczyno! – jęknął Janusz, a Matylda, także bez pytania, już przekładała na jego talerz połowę swojej porcji. Znała przecież swojego partnera.

Z Joshem byli umówieni następnego dnia, więc teraz mogli siedzieć U Koucura ile dusza zapagnie. Zjedli jeszcze smażony ser z żurawiną, czyli kolejny lokalny przysmak, a Matylda wyprosiła swój ulubiony Staropramen, w Polsce wciąż trudny do kupienia. Syci i szczęśliwi przeszli na piechotę przez najpiękniejszy most praski, potem połązili jeszcze trochę po Karlowej, doszli do Orloja, czyli praskiego zegara astronomicznego, z którego czeluści o każdej pełnej godzinie wysuwają się w szeregu ruchome figurki dwunastu apostołów oraz wyobrażenia Śmierci, Turka, Marności i Chciwości. I wreszcie, metrem, a potem jeszcze busem, dotarli do hotelu.

Przygotowania do noclegu zabrały trochę czasu, tym bardziej że Matylda – pamiętając o co prosiła świętego Nepomucena, patrona życzeń... – szczególnie starannie nakremowała całe ciało i umyła włosy. Gdy wróciła z łazienki do sypialni, Janusz już leżał wyciągnięty na swojej połowie łóżka, wyglądając jak

zaspany suseł. Wślizgnęła się leciutko pod kołdrę i przysunęła do partnera. Objął ją od niechcienia ramieniem, cmoknął gdzieś w okolicę nosa i szepcząc „śpij dobrze”, po chwili sam już prawie spał. „Oszust jeden, wiedziałam!”, mruknęła Matylda i powarkując pod nosem, że to by było na tyle, jeśli chodzi o wyproszoną od oszukańczego świętego bardzo miłą noc, wyciągnęła się na swojej połowie łóżka, w zasadzie rozbudzona. Janusz przyciągnął ją bliżej i pytając: „co mówisz?”, wtulił nos w jej szyję, a po chwili spał już naprawdę.

– I tak nie zrozumiesz – odpowiedziała, ale właściwie niepotrzebnie. Jej słów z pewnością nie usłyszał nawet sam święty Nepomucen.

Ciekawa była tylko, o co prosił Janusz. Z pewnością nie było to tak banalne życzenie jak jej, Matyldy. Była przekonana, że on prosił o coś bardzo realnego i jego życzenie – to dla niej bezdyskusyjne – spełni się w całości. Jak nie jutro, to pojutrze. Wszystkie jego marzenia się spełniały, już to wiedziała.

Ale wiedziała też, że Janusz nie ujawni, o co prosił świętego, nawet gdyby pytała.

Jej partner był uparty i cierpliwy, jeśli naprawdę mu na czymś zależało. Więc i ona taka będzie...

2 Pałac Lucerna – kompleks zabudowań mieszczący się w centrum miasta, w górnej części placu Waclawa. Lucerna została zbudowana przez Vaclava Havla, dziadka późniejszego prezydenta Republiki Czeskiej. W skład Pałacu wchodzi Wielka Sala, Kino Lucerna, Pasaż Handlowy z ekskluzywnymi markami światowych projektantów oraz bar muzyczny.

***V. Nieboszczyk oznajmia swą wolę ustami prawnika, przejawiając swoiste poczucie humoru. Na końcu okaże się, iż nie ma odwrotu, lecz nic nie jest tak proste, na jakie początkowo wyglądało...***

Umieszczona na wspaniale odrestaurowanej barce rzecznej restauracja Marina Grosseto już z daleka wabiła widokiem elegancko nakrytych stolików z krzątającymi się między nimi kelnerami. Matyllda i Janusz zajęli miejsce przy samej balustradzie, tuż nad falami Wełtawy, można było sycić oczy panoramą starej Pragi z sunącymi po moście Karola tłumami. Gwar wielojęzycznego tłumu mieszał się z dyskretną muzyką i delikatnym dźwięczeniem sztućców. Nim pisarze zdążyli na dobre zagłębić się w studiowanie menu, obok stolika pojawił się młody człowiek o pogodnym, trochę szelmowskim spojrzeniu. Miał ciemne włosy i śniadą karnację, przez ramię przewiesił letnią marynarkę. Wyglądał trochę jak wycięty z żurnala model, zachowywał się jednak z naturalnym wdziękiem.

– Matyllda i Janusz? – Imiona wymówił z mocnym amerykańskim akcentem, nie siląc się na bardziej oficjalną formę. – Widziałem wasze zdjęcia w sieci. Mówcie mi Josh.

– Nie ma sprawy. – Matyllda przyjęła swobodny ton narzucony przez młodego człowieka, przyglądając mu się z nieskrywaną ciekawością. – Jesteś podobny do pradziadka. Widziałam go tylko na jednej starej fotografii, więc nie zauważyłabym pewnie tego, gdybym nie wiedziała, kim jesteś. Ale masz jego oczy i wyraz ust...

– Oraz charakter! – zawołał ze śmiechem Josh. – Tak przynajmniej sam twierdził, opowiadając mi wieczorami historie ze swej młodości. – Spoważniał niespodziewanie, nieobecny wzrokiem powędrował gdzieś ku drugiemu brzegowi Wełtawy. Wreszcie odsunął krzesło i dosiadł się do stolika Matylldy i Janusza. – Jego opowieści były jakby z zupełnie innego świata. Ale to był jego świat i takim pozostał do końca życia.

Pojawił się kelner, pytając po angielsku, czy już się zdecydowali. Josh wdał się z nim w konwersację, nie zaglądając nawet do menu. Wypytywał ze swadą i znajomością tematu o gatunki alkoholi, przystawki oraz potrawy, których nazwy nic nie mówiły pisarzom. Matyllda chrząknęła, jakby zamierzała skorygować zamówienie, jednak ich amerykański towarzysz uniósł dłoń w geście oznaczającym, że to on zaprasza, panuje nad wszystkim i ureguluje rachunek. Po chwili na stoliku pojawiła się deska z serami, interesująco przyozdobiona skrawkami łososia, a także wiaderko z butelką szampana.

– Ser do szampana...? – zdziwiła się Matyllda.

– Wytrawny, pasuje do wszystkiego. – Josh wprawnymi ruchami poluzował korek, który wyskoczył z odgłosem przypominającym ciche westchnienie. Janusz czytał gdzieś, że tak właśnie powinno się otwierać szampana.

– Mój pradziadek nie czuł się dobrze w Ameryce. – Chłopak wrócił do rozmowy, gdy na stoliku pojawił się półmisek z owocami morza. – Zrobił karierę i pieniądze, ale wciąż pamiętał i tęsknił za...

– Moją babcią – dopowiedziała Matylda. Posmakowała szampana, miał wyrazisty smak, bąbelki gazu przyjemnie kłuły w język.

– Tak. Tęsknił, miał nawet chyba nadzieję, że nie wszystko jeszcze przepadło, że ona opamięta się i wróci do swej pierwszej miłości...

– Naprawdę?

– Nigdy nie powiedział tego wprost, ale tak mi się wydaje. Miotał się między zawiścią a uwielbieniem. Miał do niej ogromny żal po zerwanych zaręczynach, wiem, że przed wyjazdem walczył o tę miłość. O ile można to tak nazwać, bo pisał pełne wyrzutów listy, najmował ludzi, by donosili mu o każdym jej kroku, knuł z jej bliskimi i niewiele brakowało, żeby posunął się dalej...

– Dalej? Co masz na myśli?

– Nic konkretnego, to tylko moje odczucia. Słuchałem tych opowieści jako dzieciak jak jakiejś baśni z niezmiernie odległych czasów, dopiero po latach zacząłem lepiej rozumieć sprawy, o których mówił, i wyciągać własne wnioski. Pewnie nie do końca trafne... – Josh machnął dłonią, bagatelizując sprawę. Trudno było nie odnieść wrażenia, że stara się o zmarłych mówić jednak dobrze. – Ożenił się wreszcie, urodziły mu się dzieci i miał całkiem udane życie.

– Ale nie zapomniał, prawda? – Matylda czuła, że ich rozmowa zmierza do kulminacyjnego momentu. – Inaczej nigdy byśmy się tutaj nie spotkali.

– Moi rodzice zginęli w wypadku, kiedy miałem trzy lata, prawie ich nie pamiętam – podjął Josh. – Dziadkowie mieszkali daleko i podobno jakoś nie kwapili się do opieki nad wnukiem... Nie wiem, jak to było naprawdę, w każdym razie opiekę i wychowanie początkowo zapewnił mi pradziadek, Osman Talko. Mieszkałem w jego domu, zatrudnił najpierw niańkę, potem jeszcze nauczycielkę...

– Zaraz, poczekaj, bo czegoś nie rozumiem... – Matylda zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie czasowe ramy *Historii spisanej atramentem*. – Narzeczony Marii, mojej babci, czyli twój pradziadek, który, jak mówisz, wziął cię na wychowanie, urodził się chyba jakieś sto czterdzieści lat temu?!

– Niezupełnie. – Josh uśmiechnął się, kręcąc energicznie głową. – Był o trzy lata młodszy od twojej babci, przyszedł na świat w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku. A dożył niezmiernie sędziwego wieku. Odszedł mając sto dziewięć lat na karku.

– A ty, ile miałeś wtedy?

– Jedenaście.

– Teraz rozumiem. Jedenastoletni chłopak mógł już sporo zapamiętać. – Matylda kiwnęła głową, zastanawiając się coraz mocniej, ku czemu zmierza ich spotkanie. – Dziś masz, jeśli dobrze liczę, dwadzieścia osiem lat?

Josh przekręcił zabawnie głowę.

– A ty gubisz się w domysłach, dlaczego tak nagle zaczęło mi zależeć na odszukaniu cię i nalegałem na spotkanie w dowolnym miejscu świata?

– Trudno zaprzeczyć. – Napiła się szampana, następnie z wahaniem sięgnęła po ostrygę. – Mecenas Barlicki wspomniał coś o ostatniej woli Osmana Talko...

Josh zamyślił się. W trakcie ich rozmowy niepostrzeżenie nadciągnął wieczór. Rozświetlona neonami Praga dopiero teraz zdawała się nabierać prawdziwego blasku, słychać było dźwięki klaksonów, śmiechy i wesołe okrzyki, gdzieś były dzwony. Na Wełtawie większe i mniejsze jednostki pływające migotały światełkami.

Raptem chłopak potrząsnął głową, powracając do rzeczywistości.

– Nie dziwię się twojej ciekawości. Mnie samego zaskoczyło to, o czym zamierzam wam powiedzieć, nie mniej niż ciebie. A najśmieszniejsze, że długo nie wiedziałem o ostatniej woli pradziadka, w ogóle nie miałem pojęcia, że sporządził jakiś testament. – Rozlał do kieliszków resztki szampana i przywołał kelnera, by złożyć kolejne zamówienie. Koniak, cała butelka Hennessy Richard. Znów nie spytał nikogo o zdanie. – Po jego śmierci opiekę nade mną przejęli dziadkowie, zmotywowani zapewne odpowiednim legatem. Dobrze mi było u nich, nie narzekam. Nie interesowali się mną przesadnie, zostawiając więcej swobody niż nawet potrzebowałem, zapewniając najlepsze wykształcenie. Dopiero po studiach, gdy już zacząłem żyć na własny rachunek, dowiedziałem się o istnieniu testamentu, w którym są bardzo konkretne zapisy odnośnie do mojej osoby. Oraz, jak się zapewne już domyśliłaś, nie tylko mojej...

– Dziwne. – Matylda nie kryła sceptycyzmu. – Ukrywali przed tobą testament?

– Nic z tych rzeczy, to może wydawać się dziwne tylko komuś, kto nie znał bliżej nestora amerykańskiej gałęzi naszego rodu. On zawsze postępował niekonwencjonalnie, za nic mając ogólnie panujące zwyczaje i zasady. Jeśli coś sobie wymyślił, to musiało być tak, jak chciał. Więc stało się tak, że przeznaczył mi sporą część spadku, jednak jako człowiek żelaznych zasad, nieznoszący wyrzucania pieniędzy w błoto, chciał mieć pewność, że spadkobierca okaże się godny schedy i jej nie roztrwoni. Toteż podkreślił w zapisie, że testament w części dotyczącej mnie ma zostać otwarty i zrealizowany, kiedy ukończę studia i wstąpię w związek małżeński. Ewentualnie założę własną firmę. Miałem nic wcześniej nie wiedzieć o zapisach, abym nie pokusił się powiedzmy o fikcyjny ślub dla forsy, którą potem natychmiast przepuszczę w kasynach i barach. – Josh napił się koniaku

i obwieścił z szerokim uśmiechem: – Rok temu założyłem firmę działającą na rynku multimedialnym. A niedługo potem zgłosiła się do mnie kancelaria, w której Osman Talko zdeponował testament!

– Gratuluję – oznajmiła Matyllda, starając się nie wykazać szczególnego entuzjazmu. Miała coraz silniejsze wrażenie, że Josh jest w gruncie rzeczy zepsutym powodzeniem bon vivantem, pozuje na światowca, przechwala się manną z nieba, do tego wszystkiego bawi się ich kosztem z jakichś sobie tylko znanych powodów. – Tylko... co my właściwie tutaj robimy?

– Otrzymujecie właśnie wygrany los na loterii.

– Nie rozumiem, możesz jaśniej...?

Amerykański „złoty chłopiec”, jak go określała w myślach, rzeczywiście dobrze się bawił. Zawołał kelnera i poprosił o cygaro. Na wyjaśnienie, że niczego takiego tu nie dostanie, na moment stężała mu twarz, a w oczach pojawiła się wściekłość. Obecny wydawało się, że raptem temperatura spadła o kilka stopni.

Nie jesteś przyzwyczajony, by czeokolwiek ci odmawiano, prawda? – pomyślała Matyllda. Twój pradziadek też pewnie nie był...

– Chciałbym zaprowadzić cię w pewne miejsce. – Na twarz Josha wrócił ujmujący uśmiech. – Niedaleko, kilka minut piechotą. Twój towarzysz może zaczekać, bo mam nadzieję, że wieczór wam się podoba i nie zakończymy go tak prędko.

– W jakie miejsce? – spytała Matyllda.

– To niespodzianka, sama się przekonasz, czemu szukałem cię przez kilka miesięcy. Musisz mieć tylko jakiś dokument.

– Sama nie pójdziesz! – syknął po polsku Janusz.

– Daj spokój, nie porwie mnie przecież.

Josh oddalił się na chwilę, widzieli, jak przy barze reguluje rachunek.

– To jakiś żart albo oszustwo.

– Nie wydaje mi się. Wiemy, kim jest, mecenas Barlicki potwierdził jego tożsamość.

– Na podstawie dokumentów, których nie widzieliśmy na oczy...

– Ale przyjechał do Pragi i zapłacił za całkiem wystawną kolację. Co za oszust by tak postępował? Biorę telefon, zadzwonię, gdyby działo się coś dziwnego, ale myślę, że niedługo wrócimy. Czeka tu, nie łaż nigdzie.

Janusz nie był do końca przekonany, ale zabrakło mu argumentów. Tymczasem Matyllda odsunęła krzesło, złapała torebkę i razem z młodym Amerykaninem zesza z barki. Janusz zdusił jakoś chęć powędrowania za nimi. Ufał, że jego partnerka nie wda się w nic podejrzanego, musiał zresztą przyznać w duchu, że cała historia, choć dziwaczna, absolutnie nie wyglądała na oszustwo. Osman Talko był realną postacią, natrafili na niego, czytając pamiętnik dziadka Matylldy, Josh jedynie uzupełnił posiadane już przez nich informacje. Niemożliwe,

by ktoś zadał sobie tyle trudu, grzebiąc w przeszłości i snując jakąś misterną intrygę z udziałem kancelarii prawnej, aby porwać Matyldę z praskiej restauracji albo naciągnąć ją na coś. Kompletna bzdura!

Jednak Janusz nie potrafił wyzbyć się niepokoju. Sącył powoli koniak, nie czując prawie smaku szlachetnego trunku i zagryzając go jakimś serem o ostrym zapachu. Minęło dziesięć minut, potem kwadrans. Kilkakrotnie pochwycił zaintrygowane kobiece spojrzenia. No tak, samotny facet przy dobrze zastawionym stole, dumający nad butelką koniaku droższą niż cała ich -wycieczka do Pragi, musiał budzić zdumienie...

U wejścia pojawił się Josh, przepuścił z gracją Matyldę. Janusz natychmiast dostrzegł bladość jej twarzy i dziwną sztywność kroków. Wyglądała jak rekonwalescentka po wypadku i chyba tak się czuła. Usiadła i bez słowa sięgnęła po kieliszek koniaku. Spory łyk na chwilę odebrał jej oddech, lecz za to kolory z wolna wracały na jej policzki.

– Wyglądasz jakbyś zobaczyła upiora – zagadnął po polsku Janusz. – Co się stało?

– Nic... Nic strasznego, a nawet przeciwnie – odpowiedziała w tym samym języku. Wyciągnęła z torebki złożoną kartkę i podsunęła partnerowi.

Kartka okazała się wydrukiem z rachunku bankowego na nazwisko Matyldy. Z aktualną datą. Janusz zerknął na dół strony, gdzie widniało saldo rachunku. W pierwszej chwili nie dotarła do niego wysokość kwoty, przeczytał raz jeszcze. I jeszcze raz.

– Nie wiedziałem, że masz konto w tym banku. A na nim... – Ośłupiały Janusz jeszcze raz policzył towarzyszące jedyńce zera. – A na nim jak byk milion dolarów!

Matylda westchnęła głęboko, następnie przeszła na angielski:

– Josh, wyjaśnij proszę Januszowi wszystko, bo ja nie mam siły. Powiedz tylko, że mi się to nie przyśniło.

– Są takie sny, z których człowiek nie chciałby się obudzić. – Chłopak roześmiał się swobodnie. – Ale to najprawdziwsza prawda. Otóż pradziadek, jak już mówiłem, długo pielęgnował żal do Marii. Potem jakoś ułożył sobie życie, miał dzieci, całkiem dobrze mu się wiodło. Jednak u schyłku życia zaczął znów wracać myślami do pierwszej miłości. Tak chyba często bywa, że u kresu wraca się do najpiękniejszych wspomnień, a takim z pewnością był czas narzeczeństwa... Przebaczył jej w końcu i zapragnął zejść z tego świata pogodzony z przeszłością. Byłem świadkiem, jak często wyrzucał sobie, że przed emigracją do Stanów uprzykrzał życie Marii, nie godząc się z jej decyzją, nasyłając szpicli, prześladowając... aż wreszcie znalazła ukojenie w ramionach księdza.

– Biedak. – Matylda westchnęła. – Ale to nie było tak, że ona z jego powodu uciekła w ramiona księdza. Chciała nawet wrócić do Osmana, tylko... mój dziadek



zorientował się we wszystkim i nie pozwolił.

– Widzę, że będę musiał przeczytać waszą książkę, kiedy ukaże się przekład angielski. W każdym razie pradziadek zapragnął wreszcie wynagrodzić prawdziwe i wyimaginowane krzywdy jej potomkom. Był wierzący, i może taki rachunek... sumienia wydawał mu się najwłaściwszy. Zapisał więc stosowną kwotę moim dziadkom, aby mieli z czego zapewnić mi utrzymanie i wykształcenie, resztę, jak pamiętacie, miałem otrzymać, kiedy ukończę studia i udowodnię, że nie roztrwonię pieniędzy. Kolejnym warunkiem pradziadka było, że odszukam najbliższego w linii żeńskiej potomka Marii i przekażę mu rekompensatę finansową w wysokości miliona dolarów. – Josh uniósł wysoko kieliszek i oznajmił triumfalnie: – Co niniejszym uczyniłem!

– Czemu właściwie sam tego nie zrobił? – zdziwił się Janusz. – Dziwne, że zlecił to dopiero prawnukowi, nie mając gwarancji...

– Chyba dlatego, że zbyt późno dopadła go chęć pogodzenia się z przeszłością. Zapisy, o których mówię, datowane są na tydzień przed jego śmiercią. Zdecydował się, dopiero gdy czuł już jej oddech. A z tego, co wiem, nikomu prócz mnie nie zwierzał się z wydarzeń mających miejsce przed emigracją.

– Akurat tobie... – powiedziała w zadumie Matylda. Znowu przypomniawszy sobie zdjęcia narzeczonego babci. – Pewnie dlatego, że jesteś do niego taki podobny.

– Możliwe, nigdy już się tego nie dowiemy. – Josh uniósł rękę, aby przywołać kelnera, ale powstrzymał się wpół ruchu. Wyciągnął z kieszeni marynarki zadrukowaną kartkę i wieczne pióro. – Jeszcze jedno. Podpisz mi prośbę oświadczenie, że wypełniłem wolę Osmana Talko, a ty przyjąłeś przeznaczony dla potomka jego narzeczonej milion dolarów.

– Aha, dlatego tak usilnie starałeś się odnaleźć potomka mojej babci? – Matylda zmrużyła domyślnie brwi. – On uzależnił wypłacenie ci reszty spadku od rezultatu poszukiwań i spełnienia jego woli?

– Zgadłaś.

Matylda wzruszyła ramionami i sięgnęła po papier.

– Przeczytaj to najpierw dokładnie – szepnął po polsku Janusz.

– Nie bądź taki podejrziwy. Ten milion jest prawdziwy, upewniłam się dokładnie w banku.

– Jednak przeczytaj, będę spokojniejszy.

– No dobrze...

– O czym tak szepczecie? – zainteresował się Josh.

– A o czym by, jeśli nie o pomysłach wydania tego miliona? – odparła Matylda, przysuwając kartkę do oczu.

Pokręciła niezadowolona głową, gdyż akurat rozpoczął się występ orkiestry i przygaszono światła. Lampy na zewnątrz barki świeciły jasno, wychyliła się więc

nieceo za balustradę i zaczęła studiować tekst. Był napisany prawniczym stylem, nie dostrzegła żadnych niepokojących zapisów. Machinalnie przycisnęła kartkę do barierki i sięgnęła po pióro, kiedy niespodziewany podmuch wiatru załopotał papierem i, nim się zorientowała, wyrwał jej go z dłoni.

– Boże, co za niezdara ze mnie! – zawołała rozpaczliwie, obserwując odfruwającą kartkę. – I co teraz będzie?

Josh uniósł się z miejsca i z powrotem opadł na krzesło, dusząc w ustach przekleństwo.

– No, nic się nie stało. Napisz mi oświadczenie odręczne. Powinno wystarczyć. W razie problemów ten mecenas, Balycky, poświadczy jego autentyczność.

– Barlicki – poprawiła automatycznie Matylda. W spojrzeniu Amerykanina dostrzegła coś dziwnego, jakby nutę podejrzliwości, więc dodała pośpiesznie: – Jakich problemów? Przecież nie oszukam cię, bo niby jak? Milion dolarów spada mi dosłownie z nieba, ja tego nie wydam do końca życia! O co w ogóle chodzi? Założyłeś konto na moje nazwisko, ty wykonałeś przelew, w każdej chwili możesz otrzymać z banku -potwierdzenie...

– Ani przez moment nie podejrzewałem, że coś kombinujesz. – Josh przerwał tyradę Matyldy. – Ale nasi prawnicy to istne pijawki i formalisci, nie chcę mieć z nimi do czynienia więcej niż to absolutnie konieczne.

– Dobrze, daj jakiś papier, napiszę co trzeba, Janusz poświadczy, miejmy to już z głowy.

Josh po niedługiej chwili wydebił od kogoś z personelu restauracji blok z czystymi kartkami. Mimo słabego oświetlenia Matylda napisała oświadczenie po angielsku, koncentrując się na tym, żeby nie zrobić jakiegoś byka. Skrzywiła się, kiedy Janusz zaczął nalegać, by uczyniła to w dwu egzemplarzach, jeden zachowując dla siebie, ale zrobiła to dla świętego spokoju.

– A, prawda, istnieje jakiś podatek od darowizny – przypomniała sobie. – Trzeba się będzie tym zająć w kraju.

– To nie twój problem. – Josh składał starannie kartkę z jej podpisem. – Moja kancelaria załatwi to za pośrednictwem mecenasa Balyck... – usiłował poprawnie wymówić nazwisko, ale machnął tylko ręką.

– Widzisz, jak to załatwiają w Ameryce. – Dziewczyna pokazała Januszowi koniuszek języka. – A ty cały czas kręciłeś nosem i szukałeś dziury w całym!

– Ktoś musi na ciebie uważać i wyciągać z tara-patów.

– Mój bohater!

– Moje ty utrapienie!

Josh chrząknął głośno, przerywając im wymianę uprzejmości.

– Jest jeszcze do omówienia pewna kwestia. To, co powiem, będzie dość niezwykle...

– Aha, to, co do tej pory mówiłeś, było zupełnie zwyczajne? – zapytała wesoło Matylda. Wreszcie uwierzyła, że jest posiadaczką miliona dolarów. – Zamieniam się w słuch.

– Masz rację. – Josh zakołysał koniakiem w kieliszku. – Zwyczajne nie było. Ale najlepsze dopiero przed nami.

– Naprawdę? – Nawet nie usiłowała ukryć ciekawości. – Mam się bać?

– Przeciwnie. – Amerykanin popatrzył jej prosto w oczy, bardzo uważnie, jakby pragnął się zorientować, czy Matylda nie przesadziła z alkoholem. – Otóż musisz wiedzieć, że istnieje większa część spadku, przeznaczona dla potomka Marii, zastrzeżona jednak dość szczególnym warunkiem, ustanowionym przez Osmana Talko.

– Zaraz... chcesz powiedzieć, że ten milion to nie wszystko?

– Owszem. To jakby zadatek, który otrzymałaś niezależnie od wszystkiego.

– A ta jakaś reszta? – zapytała niepewnie dziewczyna. Przez głowę przelatywały jej dziesiątki coraz dziwniejszych przypuszczeń. – Powiem od razu, że nie zrobię niczego, co byłoby niezgodne...

– Spokojnie. – Josh uniósł rękę. – W ogóle nie musisz niczego robić, możemy pożegnać się i zostaniesz z tym milionem.

– Albo...?

– Albo zdecydujesz się przeżyć przygodę życia. – Czekał zapewne na kolejne pytania, jednak Matylda milczała. Więc we wszystkim było jakieś drugie dno? Dlaczego nie uprzedził, nie zaczął właśnie od tego...? Obserwowała z niejasnym niepokojem, jak Josh wyjmując kilka zadrukowanych kartek i kładzie na stoliku przed sobą. – Widzisz, pradziadek zawsze był dość ekscentryczny i miewał niecodzienne pomysły. W dodatku pod koniec życia tracił jakby kontakt z rzeczywistością, a motywy jego postępowania, czy decyzji... – Josh potrząsnął głową. – Mniejsza o to, trzeba było go znać, żeby to pojąć. W każdym razie był przekonany, że na wszystko trzeba sobie w jakiś sposób zasłużyć i być tego godnym. Stara szkoła, kto dzisiaj przywiązuje wagę do takich rzeczy? Stąd między innym warunek, że miałem dowiedzieć się o istnieniu testamentu, dopiero gdy się ożenię albo założę własną firmę. A spadkobierca jego narzeczonej, przed otrzymaniem większej części spadku, ma udowodnić, że potrafi obchodzić się z dużymi pieniędzmi.

– Nie bardzo rozumiem.

– A ja owszem, chyba pojmuję jego intencje. – Prawnik Talko uniósł kieliszek do ust. – Podobnie jest z alkoholem, jedni umieją go używać, inni, gdyby zapewnić im nieograniczony dostęp, błyskawicznie stoczą się do rynsztoka. A słyszałaś, że większość ludzi, którzy trafili główne wygrane w loterii, dość szybko zostaje bankrutami? Nagły przyływ fortuny może odebrać rozum.

Josh umilkł, wolno popijając znakomity trunek. Tym razem nie było

wątpliwości, że czeka na jakieś pytania.

– To nawet sensownie brzmi – przyznała bez przekonania Matylda. Zerknęła podejrzliwie na młodego Amerykanina. – Ale jeśli sądzisz, że dla pieniędzy ustatkuję się, zmienię tryb życia albo, dajmy na to, wyjdę za mąż za jakiegoś pryka...

Janusz zakrztusił się koniakiem, po czym, sięgając po serwetkę, przewrócił wazonik ze storczykiem. Podnosząc flakonik, ubrudził rękaw kawiozem, a łokciem zdewastował salade niçoise, plamiąc go anchois.

– Nikt nie wymaga od ciebie aż takiego poświęcenia – oświadczył z rozbawieniem Amerykanin.

W tym momencie pojawił się kelner, prędko przywrócił ład na stoliku i spytał uprzejmie, czy jeszcze coś zamawiają. Pisarze poprosili o kawę, Josh pokręcił przecząco głową. Matylda spytała o toaletę, zdjęła wiszącą na oparciu krzesła torebkę i powędrowała we wskazanym kierunku. Potrzeba potrzebą, lecz przy okazji zamierzała sprawdzić raz jeszcze wiarygodność Josha. Po wyjściu z toalety odszukała obsługującego ich kelnera i poprosiła o rachunek. Okazało się, że został już uregulowany, z wyjątkiem nowego zamówienia na dwie kawy. Nie szkodzi. Wyjęła z torebki nowiuteńką kartę kredytową, dołączoną do nowo otwartego konta. Z napięciem obserwowała w okienku czytnika postęp transakcji...

Transakcja zaakceptowana!

Więc wszystko, co mówił Josh, było prawdą, a ona mogła swobodnie dysponować pieniędzmi. Jeśli w sprawie tkwił jakiś haczyk, to nie tutaj.

– No mów, nie trzymaj mnie w niepewności – powiedziała, kiedy usiadła znów przy stoliku. – Co tam chowasz w rękawie?

– Pradziadek ustanowił kolejny legat dla spadkobiercy Marii – tłumaczył zawilości spadku Josh. – Nie jest znana jego wysokość, wiem tylko, że znacznie przekracza sumę, którą już otrzymałaś. To jest wyraźnie napisane w umowie dołączonej do testamentu. A warunkiem jego otrzymania jest... wydanie miliona dolarów w ciągu jednego miesiąca.

– Jak to?! – zawołała z osłupieniem Matylda. – Na co mi pieniądze, których mam się natychmiast pozbyć?

– Nie pozbyć, tylko wydać zgodnie z uznaniem – uściślił młody człowiek, kładąc rękę na leżących przed nim papierach. – Pod bardzo ściśle określonymi warunkami, wyszczególnionymi w umowie, którą podpiszesz. O ile się oczywiście zgodzisz. Proszę, przeczytaj.

– Lepiej streść mi wszystko, bo pewnie połowy nie zrozumieję... – poprosiła oszołomiona Matylda.

– No dobrze, to wbrew pozorom proste. – Amerykanin ujął dokument i prześlizgnął się po nim pobieżnie wzrokiem. – Umowa stanowi, że druga część spadku zostanie przekazana potomkowi narzeczonej pradziadka, jeśli zdoła on

wydać otrzymany milion dolarów w okresie miesiąca od pierwszej operacji na koncie. Pieniądze generalnie można wydawać jedynie na rzeczy nie stanowiące majątku trwałego, nie mogą też stanowić darowizn. Hotele, posiłki, bilety itd. mogą być podwójne, co oznacza, że możesz wydać pieniądze, z umownymi zastrzeżeniami, na siebie oraz na osobę towarzyszącą. Jeśli nie uda się wydać całej kwoty w oznaczonym czasie, część majątku przeznaczona dla ciebie przechodzi na instytucje dobroczynne. I to wszystko. Rozumiesz?

– Czekaj... – Dziewczyna starała się zebrać myśli. – Mam po prostu roztrwonić w miesiąc milion dolarów?!

– Właśnie! – ucieszył się Josh.

– I to miałoby według pradziadka świadczyć, że jestem godna większej części spadku? Niby dlaczego?

– Jak już wspomniałem, on był dziwakiem. – Josh westchnął. – Ale przyznasz, jest w tym jakaś logika. Kto potrafi bez bólu i z klasą rozstać się z milionem, ten udowodni, że nie forsa nim rządzi, tylko on nią. Kolejne dziesięć, czy ileś tam milionów, nie przewróci mu w głowie.

– Powiedzmy...

– Ale Matylda może zachować ten milion, nie podpisując umowy? – upewnił się Janusz.

– Oczywiście.

– W takim razie podpiszę – oświadczyła dziewczyna. – W gruncie rzeczy nie mam nic do stracenia, prawda? Bo gdyby coś poszło nie tak, będę za miesiąc miała tyle, co jeszcze wczoraj. Przynajmniej nie zbiednieję.

– Zastanów się jeszcze. – Janusz usiłował okazać zdrowy rozsądek. – Nie przeczę, że perspektywa wydania miliona dolarów na przyjemności jest kusząca. Ale to może nie być takie proste, w życiu nie widzieliśmy takich pieniędzy! Ile można zjeść wspólnie truflí, gdzie są hotele droższe niż kilkaset dolarów za noc? Pieniądze trzeba umieć wydawać. Masz jeszcze czas na podjęcie decyzji.

– Niezupełnie...

– Jak to?

Matylda od dłuższej chwili studiowała zapisy umowy. Pokazała Januszowi palcem stosowny fragment.

– Tu jest wyraźnie napisane: „...wydać w miesiąc od daty pierwszej transakcji na koncie”.

– Widzę, i co z tego?

– A to, że pierwszej transakcji dokonałam pół godziny temu. Zapłaciłam za naszą kawę...

Był dziesiąty czerwca dwa tysiące szesnastego roku. W ten sposób Matylda bezwiednie określiła pierwszy dzień transakcji. Wszystko zakończyć się więc musi do dziesiątego lipca.

W tej chwili wydawało im się, że mają mnóstwo czasu...

Dzień pierwszy

*W którym mimo omyłek językowych udaje się w końcu dojechać do celu, święty Nepomucen trochę się rehabilituje, choć nie wiadomo, czy to na pewno jego zasługa, a Paryż zwycięża w rankingu.*

Janusz popatrzył na Matyldę, klepnął Josha w ramię i, mówiąc: „We are in touch, bye”, chwycił dłoń swojej świeżo upieczonej milionerki.

– Zmywamy się stąd, bo czeka nas jeszcze dziś sporo roboty!

– Jakiej niby?

– Szukamy taksówki, zmieniamy hotel i robimy -plany.

– Po co zmieniać hotel? – zaprotestowała Matylda. – Ten nasz jest całkiem wygodny.

– Musimy od dzisiaj wydawać pieniądze, zapomniałaś? Im więcej, tym lepiej, szkoda czasu. Więc zaczynamy.

Wywinęła mu się, chciała jeszcze zagadnąć Josha o pewną sprawę, która nie dawała jej spokoju.

– Pogadaj z kelnerem, niech nam załatwi taksówkę. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Wiesz, napiwek dla kelnera nie jest udokumentowany, więc ty jeszcze ty to załatw, my zaczynamy realizować naszą umowę później.

– Okej. Ale napiwki do wysokości, powiedzmy... ogólnie przyjętej, możesz doliczać.

– Fajnie. A jak zechcę kupić gazetę w kiosku? Albo loda od ulicznego sprzedawcy? Albo, powiedzmy, kupić od poławiacza świeżo złowioną perłę? Przecież nie dostanę rachunku. Albo zapragnę, żeby Eskimos przewiózł mnie psim zaprzęgiem, albo żeby tubylec w Nowej Gwinei... – Matylda umilkła raptem, czując, że zanadto pozwala się nieść wyobraźni, a Janusz przygląda się jej z coraz większym osłupieniem.

– No proszę, tak to jest czytać niby ze zrozumieniem... – Josh, patrząc na nią z politowaniem, wskazał jakiś passus w umowie. – Pradziadek nie postradał zmysłów do tego stopnia, by nie przewidzieć, że będziesz chciała ubrać się w coś porządnego lub zaznać jakichś... nietypowych rozrywek. Wszystko dla ludzi, więc pięć procent sumy może zostać wydatkowane bez udokumentowania. Zadowolona?

Matylda błyskawicznie policzyła, że da to jej swobodę w granicach pięćdziesięciu tysięcy dolarów. To było coś! Wizja plątania się przez miesiąc po luksusowych apartamentach w jej, bądź co bądź, wyświechtanych nieco ciuchach, odpłynęła w niebyt.

– Super! Dziwnie by wyglądało, gdyby milionerka skąpiła paru dolarów kelnerowi. – Wspięła się na palce, młody Amerykanin był od niej sporo wyższy, pocałowała Josha w policzek. – Bez względu na rezultat całego przedsięwzięcia naprawdę bardzo się cieszę, że cię poznałam. Jesteś prawie moim krewnym. Nigdy nie byłam w Ameryce, nie miałam powodu ani środków, żeby tam się wybrać. Teraz mam, z pewnością cię odwiedzę.

Josh spojrział na nią z dziwną miną, nie umiała jej sobie wyjaśnić. Tak mógłby patrzeć Sfinks – pomyślała – chyba nie wystraszył się tej mojej zapowiedzianej wizyty, pomyślała, ale nie miała czasu, aby dalej to rozstrzygać, bo Janusz już machał ręką i meldował, że jest taksówka.

Matylda szczyliła się swoją znajomością czeskiego. Fakt, literackim językiem się nie posługiwała, ale do tej pory w każdej sytuacji, czy to w sklepie, czy w restauracji, czy pytając o drogę na ulicy, zawsze potrafiła się dogadać. Teraz więc też wzięła na siebie kwestię wytłumaczenia taksówkarzowi, że chcą jechać do najdroższego hotelu, ale najpierw muszą odebrać bagaże z tego, w którym spędzili poprzednią noc.

Do hotelu D'Angelo dojechali stosunkowo szybko, trochę potrwało tłumaczenie kierowcy, że ma na nich poczekać. Niby zrozumiał, jednak widząc, że pasażerowie zamiast płacić, wysiadają z taksówki, pospiesznie wysiadł za nimi. Dreptał, mamrocząc coś pod nosem, nie odstępując ich na krok. Wszedł nawet do pokoju, na szczęście nie musieli długo się pakować, walizki leżały na podłodze, musieli zabrać jeszcze parę drobiazgów i kosmetyki z łazienki. Zwinięcie ich trwało chwilę i po paru minutach cała grupa stała już w recepcji. Matylda oddała klucz, żałując szczerze, iż pokój opłacili z góry.

Wsiedli z powrotem do taksówki, z pomocą kierowcy lokując walizki w bagażniku.

– Najdroższy hotel – przypomniała kierowcy Matylda i dla pewności powtórzyła po czesku: – *Nejlevnější hotel*.

– *Ano, nejlevnější* – potakiwał taksówkarz – *že tam jedeme* – kiwał głową.

Ruszyli, auto kluczyło wąskimi uliczkami, zatrzymując się co chwilę na światłach. Okolica nie wydawała się szczególnie ciekawa, wyglądała tak, jakby coraz bardziej oddalali się od centrum.

Po następnych kilku minutach jazdy taksówka się zatrzymała, a kierowca zaczął wynosić walizki z bagażnika. Zrobiło się już dość ciemno, więc pisarze byli nieco dezorientowani, uznali bowiem, że przed najdroższym hotelem, bez względu na godzinę dnia czy nocy, wszystko powinno być rzęsiście oświetlone. Tymczasem widok przed nimi sprawił, że ...dosłownie zgłupieli. Auto stało przed czymś w rodzaju baraków albo ustawionych obok siebie kontenerów, oświetlonych słabymi żarówkami. W dwóch oknach pełgało marne światelko.

– Gdzieś nas przywiózł, baranie jeden?! – Nie całkiem po czesku warknęła



Matylda.

Taksówkarz chwycił się za głowę i terkotał coraz szybciej w swoim języku, zdenerwowany kłopotami z tymi dziwnymi turystami.

– O cholera... – Matylda palnęła się w czoło. – Ale namieszałam.

– Jak to?

– Bo widzisz, z tego wszystkiego poprosiłam go o najtańszy hotel. Chcąc poprosić o najdroższy należało powiedzieć „nejdražší hotel”. A ja powiedziałam „nejlevnější”.

– Niezły początek, tylko tak dalej – zauważył z westchnieniem jej partner.

Ale na widok miny taksówkarza, który pomyślał niewątpliwie, że trafili mu się uciekinierzy z domu wariatów, i zaczął cofać się do wozu, nie upominając się nawet o zapłatę, Janusz roześmiał się serdecznie. Sam przejął inicjatywę, używając wszelkich, znanych mu nawet pobieżnie języków, starannie omijając słowa czeskie:

– U nas jest *many, Money*, rozumiesz? *Chatieli charoszij hotel. In Aldstadt.* Jasna cholera, superhotel chcemy. *A p a r t a m e n t! Kapisko?* – O dziwo, to pseudowłoskie *capisci* chyba podziałało, bo taksówkarz machnął ręką, żeby wsiadali i ruszył z wizgiem opon.

Po półgodzinnej podróży znaleźli się na znajomym terenie, mnie więcej tam, gdzie do taksówki wsiedli. Z lewej strony mieli Grossetto, a z prawej chyba cel swojej podróży, wspaniale oświetlony hotel Wacław I. Taksówkarz mamrotał jeszcze pod nosem, bowiem został poproszony o rachunek, ale widząc w ręku Janusza sumę ów rachunek znacznie przekraczającą, wystawił walizki przed samym wejściem do hotelu i szybko odjechał, jakby obawiając się, że znowu coś pójdzie nie tak.

Nie mieli rezerwacji, więc Matylda z pewną obawą poprosiła o najdroższy apartament. Recepcjonista otaksował podejrzliwie ich dość zwyczajne ubrania, rzucił okiem na walizki i... zapytał uprzejmie po angielsku, czy było by dla nich wielkim problemem opłacenie apartamentu z góry? Matylda, która już miała na końcu języka przekleństwo i ciętą ripostę, uspokoiła się nagle. Ziewnęła ostentacyjnie i położyła na ladzie recepcji kartę kredytową.

– *Darling* – zwróciła się do Janusza. – A mówiłam, że przyjazd incognito nie jest najlepszym pomysłem? Nie przywykłam do takiego traktowania.

– Czasem trzeba się poświęcić, jeśli chce się uniknąć tłumu reporterów...

Minutę później ich rozmówca giął się w ukłonach, a hotelowy boy już stał przed windą z ich walizkami.

Pokój ich oszołomił. Nie, nie pokój. APARTAMENT. Sypialnia, salonik, pokój kąpielowy. Sofy, stoliki, fotele, foteliki, kanapy, kanapki. Lustra od podłogi do sufitu. Kandelabry. Lampy, lampki, lampeczki. Ale to wszystko nic. Największe wrażenie zrobiły widoki zza okien. Z sypialni, prosto z łóżka (łóża!) mieli widok na

rozświetlony most Karola, wypełniony o każdej porze dnia i nocy. Z salonu, rozparci na świetnie wyprofilowanych sofach, spoglądali na ciemne wody bystro płynącej -Wełtawy.

– Ale... – zaczął Janusz.

– Nie martw się, już sprawdziłam, jak zasuniemy te żaluzje, będziemy mieć w pokoju idealnie ciemno. Doskonale do... spania.

– Ale – nie ustępował pisarz – musimy się dowiedzieć, gdzie jest restauracja, przecież nie jedliśmy -kolacji.

Matylda dosłownie skrzyła się ze śmiechu.

– Chodź – powiedziała. – Nawet nie musimy rozpakowywać walizek, przecież jutro przemierzamy się w inne miejsce.

– A w jakie? – Zainteresował się jej partner.

– Zaraz sobie to omówimy, najpierw chodźmy na tę kolację.

Restauracja przepychem nie ustępowała innym pomieszczeniom hotelowym. W menu królowały dania kuchni włoskiej, z przewagą makaronów, ale wybór dań był spory. Matylda zdecydowała się na sałatkę i przegrzebki, Janusz zamówił jagnięcinę, a następnie pieczonego tuńczyka. Sommelier polecił im butelkę naprawdę wspaniałego sycylijskiego wina. Posiłek, mimo późnej pory, zakończyli podwójnym espresso. Mieli przecież jeszcze sporo do ustalenia.

Matylda podpisała rachunek i wyszli na chwilę na powietrze. Wszędzie, jak to na Starym Mieście w Pradze, było mnóstwo turystów.

– Wiesz – powiedziała wesoło – życie przelewa się tu wspaniałą migotliwą falą.

– Cytujesz dziadka, jak słyszę. Popatrz, jeździli po świecie, a do Pragi nie dotarli.

– Dotarli za to do Paryża. – Matylda poprawiła kołnierz, robiło się chłodno. O ile Januszowi prawie nigdy i nigdzie nie było zimno, ona marzła dość często.

– Chodź, wracamy do naszych salonów. – Na szczęście Janusz zauważył, że marznie. – Wybierzemy trasę na jutro. I ułożymy plan na najbliższe dni.

Po wspaniałych ablucjach wieczornych wyciągnęli się na łożu z tak sprężystym materacem, że Janusz zaczął podejrzewać, iż jest to łóżko wodne. Nie było jednak, materac był zwyczajny, natomiast jakościowo najlepszy ze wszystkich, na jakich do tej pory spali. A znali hotele i hoteliki połowy świata...

Matylda wsunęła się w zapraszające ramiona partnera i po chwili zupełnie zapomnieli, że mieli omawiać plany wydawania pieniędzy. Materac na ich łożu był naprawdę wspaniały.

Święty Nepomucenie, pomyślała Matylda, zwracam ci honor. Pomyliłeś się tylko o jedną noc...

– Miał być ranking miejsc, w które mieliśmy jechać – mruknął sennie Janusz, wyciągając się jak kot. – Uznajmy więc, że wygrał Paryż. Sądzę, że to

najlepszy wybór na początek. Mam nadzieję, że trafimy tam na równie doskonały materac...

Wtulił nos w szyję swojej dziewczyny, tak jak lubił to najbardziej, i po chwili już leciutko pochrapywał. Matylda pomyślała, że ma szczęście, iż darzy sympatią to jego pochrapywanie. A właściwie miała to pomyśleć, bowiem myśl ledwo się zatiła i... zgasła, bo wkrótce spała już równie mocno jak jej mężczyzna.

Dzień drugi

*W którym bohaterowie rozpoczynają naukę bycia bogatym...*

– Widziałeś jakiś bankomat?

Stali przed jednym z terminali lotniska Orly w Paryżu, rozglądając się za taksówką. Wprawdzie przylecieli z Pragi samolotem Air France, jednak ku rozczarowaniu Matyldy nie dostali miejsc w klasie biznes, zostały jedynie tańsze bilety. Zależało im na czasie, więc nie czekali na droższe połączenie. Matylda nie pierwszy raz pobłogosławiła fakt, iż są obywatelami państwa należącego do Unii Europejskiej, gdyż ominęły ich wszelkie kontrole na granicy. Wyszli z samolotu niemal jak z autobusu, odebrali walizki i powędrowali po prostu w stronę wyjścia. Jedynie widok uzbrojonych po zęby żandarmów strzegących porządku na lotnisku przypominał, że po serii zamachów terrorystycznych obywatele Europy nie mogli myśleć o przyszłości w samych jasnych barwach.

Minęła raptem dziesiąta, niebo było bezchmurne, z przyjemnością wydostali się na świeże powietrze.

– Po co ci teraz bankomat? – zainteresował się -Janusz. – Taksówkarz pewnie przyjmie kartę.

– Być może, ale czułabym się pewniej z konkretną gotówką w torebce. Rozumiesz, napiwki, lody, przekąski, bilety...

– Bilety? Milionerka chce jeździć metrem?!

– Oj tam, nie czepiaj się, wiesz dobrze, o co mi chodzi. Zaczekaj chwilę.

Nie dając mu szans na protest, pobiegła szukać bankomatu. Naprawdę wolała dysponować jakąś gotówką, bo nie dało się nagle pozbyć wszystkich życiowych przyzwyczajzeń. Ale najważniejszym powodem było niesprecyzowane do końca poczucie, że istnieje pewna kategoria wydatków, których z pewnością nie będzie pragnęła dokumentować. Nie miała możliwości zastanowić się nad nimi dokładniej, jednak wiedziała, że przyjemnie będzie mieć pod tym względem pewną swobodę. Bez nieustannego zastanawiania się, czy nie łamie postanowień umowy, płacąc za coś pod wpływem chwilowego impulsu.

Wróciła z nieco grubszą i cięższą torebką niż jej partner zdążył zacząć się niecierpliwie. Stał już na pobliskim postoju w dość długiej kolejce, która na szczęście szybko się posuwała. Taksówkarz nieudolnie ukrywał niechęć, gdy ze względu na ich bagaże musiał wysiąść z samochodu. Mamrocząc pod nosem, włożył walizki do kufra, wrócił za kierownicę i obrzucił ich pytającym wzrokiem, w którym dało się wyczytać: Znów ci dusigrosze cudzoziemcy...

– Jaki jest najdroższy hotel w Paryżu? – zagadnął Janusz.

– Pan powiedział najdroższy...? – Angielszczyzna francuskiego taryfiarza była do przyjęcia, lecz mina świadczyła, że on sam nie żywi już takiej pewności co do zasobności ich portfeli. – Mamy pełno hoteli, całkiem wygodnych...

– *Dearest!* – warknęła Matylda.

– Ale bez rezerwacji to może być kłopot... – Przyglądał się im taksująco we wstecznym lusterku.

– No widzisz, mówiłam, że miesiąc miodowy w Paryżu to durny pomysł, oni poszli na ilość, nie jakość. Chciałeś mi tutaj zafundować luksusy?! Już lepszy byłby Wiedeń albo Praga. Każ mu zawracać na lotnisko.

Matylda grała tak dobrze, że jej partner omal dał się nabrać. W przeciwieństwie do taksówkarza.

– Nie, nie, madame się nie niepokoi, zaraz znajdziemy bardzo dobry hotel. – Zjeżdżając na autostradę, sięgnął po radiotelefon. – *Gilbert? Vous trouverez une chambre d'hôtel? Mais le plus cher...* – Słuchając odpowiedzi zerknął we wsteczne lusterko, by zorientować się, czy pasażerowie rozumieją coś po francusku. Janusz ziewał, Matylda wyjęła pilniczki i szlifowała sobie paznokcie. – *Rich? Je ne pense pas, peut les voleurs ou la mafia russe...*

Szkolna znajomość języka Dumasa wystarczyła, by pisarze pojęli, iż z jakichś powodów zostali wzięci za przestępców. Janusz mrugnął szelmowsko do dziewczyny, która wyglądała na całkiem z siebie zadowoloną. W końcu nie co dzień biorą człowieka za przedstawiciela rosyjskiej mafii! Rozparła się wygodnie na siedzeniu. Tymczasem taksówkarz zakończył rozmowę.

– Jest miejsce w jednym z najlepszych hoteli... – Wymienił nazwę... – Jeśli to państwu odpowiada? – Można było wyczuć nutę pewnej uszczypliwości.

– Okej – skwitowała Matylda, nie mając pojęcia, czy dobrze robi. Chyba nie wycinał im jakiegoś numeru?

– Niestety, apartament królewski należy rezerwować z dużym wyprzedzeniem. Ale inne są nie mniej przyzwoite... z tego, co słyszałem.

– Niech będzie. – Janusz zrobił minę zblazowanego rosyjskiego oligarchy. – Mają tam dobry sejf na kosztowności i broń?

– Oni mają wszystko, monsieur. – W głosie paryskiego taksówkarza nie było już uszczypliwości.

Wkrótce dotarli do centrum jednej ze Stolic Świata, ich pojazd zwolnił, lecz zręcznie lawirował między innymi samochodami. Matylda jak urzeczona chłonęła przez szybę tę niezwykłą atmosferę Paryża, przyglądała się witrynom knajpek i sklepów. Rozpoznała Pola Elizejskie, wkrótce ich taksówka wjechała w Avenue George i zatrzymała się przed budynkiem obłożonym jasnym piaskowcem z pięknym łukowatym wejściem. Nie zapomniała poprosić kierowcy o rachunek i zostawiła suty napiwek. Gdy tylko wysiedli, odźwierny w surducie i cylindrze

zamienił parę szybkich słów z taksówkarzem, ujął ich walizki i sprężystym krokiem wmaszerował do hotelu.

Marmurowa posadzka błyszcząca niczym świeżo wylane lodowisko, mimo pełni dnia u sufitu płonął ogromny kryształowy żyrandol. Pod ścianami ustawiono klasyczne rzeźby i wazony pełne fantazyjnie ułożonych kwiatów. Dwaj recepcjoniści obserwowali nowych gości, którzy zbliżali się do marmurowej lady. Obraz za ich plecami przedstawiał jakąś scenę na łonie przyrody, gdzie dwie damy w lekkim negliżu oddawały się słodkiemu lenistwu w towarzystwie stadka tłuściutkich cherubinków. Było to bez wątpienia jakieś wybitne dzieło, jednak przede wszystkim przytłaczało wielkością i wielością barokowych szczegółów.

– Niech skonam – szepnęła Matylda – nie przywiózł nas przez pomyłkę do muzeum?

– Lepiej nie konaj. To byłoby, zdaje się, wysoce niestosowne. Odebraliby to jako osobistą obrazę i wciągnęli nas na czarną listę.

– Ale ja muszę sobie kupić jakieś ubrania!

– Przecież jesteś ubrana... – Janusz przyjrzał się jej krytycznie, udając, że nie rozumie, w czym problem.

– Oni są chyba innego zdania. – Matylda pochwyciła spojrzenia wałęsających się po holu gości.

Jeden z recepcjonistów, zawiadomionych zapewne przez dyspozytora taksówek, oznajmił, że pokój czeka. Wziął do ręki ich paszporty, lecz zanim zaczął spisywać dane meldunkowe, uprzedził, spoglądając gdzieś w okolicę swych butów, że w ich hotelu pokoje są stosunkowo drogie... Nawet jak na Paryż.

– Mogę zapłacić z góry za jeden dzień? – Matylda tylko zgrzytnęła zębami i postanowiła twardo, że pierwsze kroki skieruje do sklepu z markowymi ciuchami. A Janusz pójdzie z nią! – Chyba dłużej się nie zatrzymamy.

– Jak państwo sobie życzą. – Bez słowa położył na blacie recepcji blankiet z wydrukowaną kwotą. Tysiąc dwieście euro.

– Za co to?! – zawołała oburzona dziewczyna.

– Ależ, madame, mówiłem, że pokoje sporo kosztują...

– To jakiś żart, prawda? Naprawdę nie macie porządnego apartamentu, tylko jakieś budki dla ptaków? Pewnie nawet nie dostaniemy śniadania do łóżka? – Matylda rozkręcała się coraz bardziej. Odwróciła się do Janusza. – Ten taksówkarz to jakiś dureń. Mówiłam wyraźnie, że chcę najlepszy hotel.

– No wiesz, nie mieliśmy rezerwacji, oni robią, co mogą... – Udał światowca, któremu podobne sytuacje nie są pierwszozną. I dodał cicho po polsku: – Porządne hotele sprawdzają gości i nie meldują w najlepszych numerach kogo popadnie. Muszą dbać o opinię.

Matylda świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Jednak uznała, że jak szaleć, to szaleć.

– *Où le directeur?*

Jak na zawołanie obok zmaterializował się mężczyzna w eleganckim garniturze.

– Państwo są niezadowoleni z pokoju?

Matylda odetchnęła głęboko, jakby z najwyższym trudem starała się opanować emocje.

– Przyznaję, liczyłam na coś więcej.

– Jestem pewien, że sprostamy państwa wymaganiom. Obecnie dysponujemy pokojem *deluxe*, apartamentem *royal*, *empire*...

Matylda uniosła rękę i oświadczyła ze znużeniem:

– Płacę z góry i oczekuję najlepszego. Proszę znaleźć nam coś wedle swojego uznania, liczę, że się nie zawiodę... *monsieur le directeur*.

Mężczyzna jakby się wahał, widać było, iż nie wie, jak potraktować tych dziwnych gości. Wreszcie skinął bez słowa głową, wszedł za marmurowy kontuar i wskazał coś palcem recepcjoniście. Ten zaczął pospiesznie stukać w klawisze ukrytej przed wzrokiem gości klawiatury. Chwilę później położył na blacie rachunek. Janusz zerknął ciekawie.

Jedenaście tysięcy euro. Niby dużo, jednak...

Prędko obliczył w myślach, że mieszkając tu przez miesiąc, wydadzą najwyżej jedną trzecią całej kwoty do przehulania. Ale zawsze to jakiś początek.

Boy zawiózł ich wyłożoną lustrami windą na ósme piętro. Własnoręcznie otworzył drzwi, wszedł pierwszy i postawił walizki. Dyskretnym, dobrze wyćwiczonym ruchem przyjął napiwek i para pisarzy została sama.

– Uszczypnij mnie – jęknęła słabym głosem Ma-tylda.

– Ty mnie pierwsza.

Salon wyglądał jak apartament francuskiego księcia krwi. Udrapowane zasłony w wysokich oknach, obrazy w złożonych ramach, meble w stylu któregoś tam Ludwika, wszędzie bibeloty, świeczniki i kryształowe lustra. Z balkonu roztaczał się widok na wieżę Eiffla. Matylda na palcach przeszła do sypialni. Szerokie łoże obłożono tyloma poduszkami, że mógłby się wśród nich ukryć niedźwiedź polarny. Na szczęście nie było baldachimu...

– Matylda, chodź prędko, musisz to zobaczyć!

Podążyła za głosem partnera, lecz odnalazła go dopiero po dłuższej chwili, gdyż sam apartament pomieściłby kilka przeciętnych lokali.

Janusz tkwił jak posąg na środku łazienki, która... sama mogła służyć za całkiem wygodne mieszkanie. We wpuszczonej w podłogę wannie można by pływać na materacu! Każda ściana miała lustra, nadto półki, półeczki, na nich wazoniki z naturalnymi kwiatami, fiolki i karafki z Bóg wie czym. Otwory w dnie i po bokach wanny, a także rząd przycisków i jakby dźwigienek na marmurowym obramowaniu oznaczały z pewnością, iż urządzenie ma wiele ciekawych funkcji.

Matylda obiecała sobie w duchu wypróbować je wszystkie. Najchętniej zrobiłaby to od razu, lecz przypomniła sobie raptem, że miała kupić jakieś porządne ubrania!

Tymczasem jej partner również sobie o czymś przypomniął:

– Zgłodniałem z tego wszystkiego. Zamówimy coś do pokoju? Pewnie gdzieś w salonie jest telefon i karta dań.

– Do pokoju, kiedy na dole mamy restaurację z najlepszym w Paryżu szefem kuchni?!

– No... jest to argument. – Janusz podszedł do okna balkonowego i zamarł. – Ale popatrz tutaj.

Na przestronnym tarasie z widokiem na panoramę Paryża stał nakryty stół i wyściełane fotele. Talerze i sztuce błyszcząły w słońcu, nie brakowało kieliszków i wazonu ze świeżymi kwiatami.

– Piękne. Ale wiesz co? Chodźmy jednak na dół. Do takich rzeczy trzeba przywykać powoli, a tutaj czułabym się nieswojo. Zwłaszcza gdyby cały czas obok nas plątał się kelner, dolewał wina i wiązał serwetki pod szyją, wciąż pytając, czy czegoś nam nie potrzeba.

-- Zgoda. Nie mam nic przeciwko wykwintnemu posiłkowi dla odmiany. A co później?

– Później odpoczniemy w luksusie i posnujemy plany roztrwonienia miliona dolarów! – zawołała Matylda.

– Tylko tyle? Przecież czas goni...

– Dlatego właśnie, mój drogi, powinniśmy wszystko starannie przemyśleć.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Janusz ogromnie lubił ten jej uśmiech. Pozwalał mieć nadzieję, że czas upłynie im nie tylko na rozmowach... Ale na pewno nie będzie to czas stracony. I na pewno nie będzie nudno.



Dzień trzeci

*If I were a rich man – nauki ciąg dalszy, a psa trzeba lepiej pilnować...*

Przepych hotelowej limuzyny nieco oszołomił świeżo upieczoną milionerkę, ale gdy spojrzała na Janusza, przypomniała sobie wnet, że nie muszą oszczędzać. Jej partner bez drgnienia ręki wyjął z umieszczonego w oparciu przednich foteli barku butelkę markowego koniaku i podał jej do połowy napelniony kieliszek.

– Jakbyś robił to przez pół życia – mruknęła po polsku, przyjmując z uśmiechem szlachetny trunk.

Janusz oparł się wygodnie, oglądając dokładnie butelkę wyjętą z samochodowego barku. „Znowu Hennessy – szepnął do siebie, nie zdając sobie w pełni sprawy, że pije jeden z najlepszych koniaków na świecie – nie mają innych w całym Paryżu?”.

– Co tam mamrociesz pod nosem? – Matylda unosiła kieliszek w górę, oglądając Paryż przez migocący w nim płyn. Wszystko było bursztynowe, złotomiodne, rozbłyskujące iskierkami ulicznych świateł.

Nie doczekała się odpowiedzi, zresztą wcale na nią nie liczyła. Patrzyła, gdzie jadą. Wydała dyspozycję kierowcy: shopping, Pola Elizejskie. Taksówka jechała, a Matyldzie migąły w oczach ekskluzywne marki: Louis Vuitton, Guerlain, Mont Blanc, Paco Rabanne, Dolce & Gabbana, Versace, Banana Republic, Hugo Boss, Abercrombie & Fitch...

Ta prawie dwukilometrowa aleja, łącząca plac Zgody z placem Charles'a de Gaulle'a, na którym znajduje się Łuk Triumfalny, jest chyba najbardziej znaną ulicą na świecie, no może po angielskiej Piątej Alei – a obydwie są najbardziej snobistyczne i pełne sklepów, w których ubrania są tak drogie, że przypuszczalnie za równowartość jakiejś szmatki mogłaby się wyżywić kilkusobowa rodzina w Polsce.

– W dziewiętnastym wieku na Polach Elizejskich skupiało się życie śmietanki towarzyskiej Paryża – powiedziała Matylda.

– A następnie elegancja i kultura ustąpiły na rzecz komercji – uzupełnił Janusz. – Obydwoje wiemy, co na ten temat pisał w pamiętniku twój dziadek.

– No, to chodźmy porozkoszować się tą komercją, w końcu stać nas. – Matylda uśmiechnęła się i przekazała instrukcje kierowcy.

Limuzyna sposobem znanym chyba tylko francuskim szoferom wykonała kilka skrętów w miejscu zdawałoby się niemożliwym dla takich wolt i zgrabnie zaparkowała. Kierowca błyskawicznie otworzył przed Matyldą drzwi i po chwili

już deptała słynny paryski bruk. Janusz ruchem sporego węża boa przepelzył przez pół samochodu i wysiadł tymi samymi drzwiami. Zważywszy na intensywność ruchu... wyjście z drugiej strony wozu równałoby się samobójstwu, a Janusz jeszcze trochę chciał pożyć. Szczególnie teraz, gdy mógł wieść życie próżniacze, jak mawiał. Na początek przez miesiąc.

Kilka wystaw ekskluzywnych sklepów na tym słynnym francuskim pasażu rozczarowało oboje. Wyeksponowane tam ciuchy w ogóle im się nie podobały. W grę nie wchodziły także ceny, bowiem bardzo szybko okazało się, że te marne pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które Matyllda mogła przeznaczyć na fanaberie, stanowiące wyjątek od ścisłych reguł umowy, stanowiło kwotę... wcale nie zawrotną.

Na dodatek przejście z jednej strony ulicy na drugą było dostępne tylko dla istot fruwających, jeżdżące bowiem tamtędy samochody w ogóle wydawały się nie odróżniać światła zielonego od czerwonego, a człowieka od paryskiej mgły, przez którą przejeżdżało się na wskroś.

– Wiesz, wynosimy się z tej snobistycznej... – Matyllda urwała wpół słowa i rzuciła się szupakiem na jezdnię, pomiędzy te szalone pojazdy, które... walczyły chyba tylko o to, by nikt nie przeszedł na drugą stronę. Janusz osłupiał, a jego mózg jeszcze nie zdążył zarejestrować, co oko widzi, gdy spomiędzy kilku zazębionych ze sobą aut, spośród zgrzytu, łoskotu i pisku hamulców, wyłoniła się jego partnerka, której wściekły głos przebił wszystkie hałasy drogowego karambolu:

– Ty cholerny smarkaczu, jak łąsisz?! – Matyllda dosłownie trzymała w garści trzęsącego się jak osika chłopca, może trzyletniego, rozglądała się wokół, szukając kogoś, pod czyją opieką był ten mały głuptas. Malec wrywał się z całej siły, wskazując palcem na środek ulicy, gdzie spod rozbitych samochodów wypełzała umorusana biała kulka.

– *Bijou! Bijou!* – wrzeszczał chłopczyk, a piękny szczeniak rasy bichon, radośnie manewrując między samochodami wpadającymi na siebie już gromadnie, wyskoczył ze środka tego całego zamieszania, które spowodował – w końcu nie wiadomo – on, czy jego opiekun. Rzucił się radośnie na Matylldę, która uklękła właśnie na chodniku, bo tak zakręciło jej się w głowie, że poczuła, iż za chwilę zemdleje. Zaczął lizać po twarzy swoją wybawicielkę, a z drugiej strony obcałowywał ją mały właściciel bichona. Matyllda nie wiedziała, od którego ma się opętać. Widząc nadbiegającą rozsłochaną kobietę, wepchnęła jej dziecko w ramiona.

– To twój dzieciak, wariatko? Kto puszcza takiego malca samopas po takiej ulicy? – Wrzasnęła po polsku, nie zważając na to, czy ktoś ją rozumie. Przechodnie, z początku osłupiali z przerażenia, po chwili zaczęli gromko wiwatować i bić brawo. Wypadki drogowe w Paryżu, jeżeli wszystko kończyło się

tylko uszkodzeniem pojazdów, nie robiły na nikim wrażenia. Jednak Matylda była, delikatnie mówiąc, mocno zirytowana.

Odwróciła się i nie patrząc, czy Janusz idzie za nią, pognąła w stronę ich limuzyny. Dopiero w fotelu, już bezpieczna, zaczęła trząść się jak galareta,

– Zabiłby się, głupek jeden! A ja razem z nim! – Szłochała wczepiona w Janusza, który oczywiście -pobiegł za nią i też już siedział w limuzynie.

– Niepotrzebnie interweniowałam. Dzieciakowi nic by się nie stało, wszyscy kierowcy go widzieli, dlatego zrobił się taki karambol, bo każdy starał się ominąć chłopca, dopiero twoje wtargnięcie na drogę... Proszę nas zawieźć do jakiejś galerii handlowej – polecił kierowcy. Samochód płynnie ruszył z miejsca i jechał gdzieś przed siebie.

– Przecież ja właściwie nie ratowałam tego malca. – Matylda wycierała nos w rękaw Januszowej koszuli. – Nawet nie lubię dzieci... Widziałam tylko tego bichonka i o mało nie dostałam zawału serca.

– To ty mnie przyprawisz kiedyś o zawał, kobieto. – Janusz otoczył ją ramionami, nie zważając na jej szlochanie i zasmarkany nos. Poczuli, że gdyby jej się coś stało, to... raptem i on zaczął mieć dreszcze. Doskonale wiedział, że rzuciła się pod samochody z zamiarem ocalenia chłopca. Psa może też widziała, może... – Wiesz, zostawmy te zakupy i wracajmy do hotelu, dobrze?

– No, co ty. Nie mamy czasu. Gdzie my jesteśmy? – Rozejrzała się, przytomniejąc. A limuzyna właśnie zwalniała. Dotarli na bulwar Haussmanna, przed nimi stała dziesięciopiętrowa Galeria Lafayette. Pora była dość wczesna – dopiero mijano południe, więc wszyscy zakupoholicy, a przynajmniej ci, których było stać na zakupy w takich miejscach – zapewne jeszcze spali. Albo, w różowych peniuarach i ciemnozielonych bonzurkach, leniwie przeglądali poranne gazety, pogryzając ciepłutkie croissanty. Ale ta bodaj najsłynniejsza paryska galeria handlowa już od samego rana jaśniała pełnym światłem, błyskając reklamami, pobrzękując cichutko wygrywanymi melodyjkami otwieranych podwoi, a przechodnie byli zachęceni do wejścia przez specjalnie w tym celu dobranych – i ubranych – portierów, o ile to właściwe słowo.

– Kilka sukienek, ze trzy spódnice, cztery-pięć par spodni, różne bluzki, cienkie i grubsze, sześć bluz, co najmniej trzy kurtki, jakieś osiem swetrów. No i buty. Buty..., kurczę, to problem – mamrotała Matylda. Buty rzeczywiście stanowiły dla niej problem, miała małą stopę i znalezienie odpowiedniego rozmiaru było kłopotliwe. Przynajmniej w Polsce, ale przecież teraz w Polsce nie jesteśmy, przypomniawszy sobie. – Bielizna, pończochy, apaszki, kilka chustek do nosa. Ze dwie parasolki, fantazyjne czapki z daszkiem, szaliki. Aha – szlafrok, eleganckie pantofle poranne (nie mówić, broń Boże, kaptcie!, pouczała się pod nosem). Na razie tyle. To dla mnie. Do ciebie też się weźmiemy, choć tu powinno być łatwiej. Wieczorowy garnitur albo frak, do tego parę letnich koszul – oznajmiła

osłupiałemu Januszowi, który nie potrafił zrozumieć, po co komuś osiem swetrów i pięć par spodni. Nie mówiąc o reszcie wyliczanki.

– Nie zapomniałaś o czymś? – To miał być żart, ale Matylda palnęła się w czoło.

– Oczywiście, zapomniałam. Musimy przecież mieć też odpowiedni bagaż. Te nasze walizy budziły powszechną wesołość w całym hotelu.

Janusz postanowił, że nie piśnie już ani słowa.

Seans zakupowy tak zmęczył pisarza, że nawet zapomniał, iż jest głodny. Dopiero gdy weszli do limuzyny, w której przestronnym bagażniku na szczęście zmieściły się wszystkie nabyte rzeczy, i gdy otworzył barek, poczuł, że nie alkohol, choćby najprzedniejszy, jest teraz na czele jego listy marzeń.

– Proszę nas jakoś podrzucić pod wieżę Eiffła, chcemy coś zjeść – polecił Janusz kierowcy po angielsku. Ten zarzucił go lawiną słów, z których pisarz zrozumiał jedynie, że nie można.

– Jak to, nie można? – zirytował się. – Przecież tam są dwie doskonałe restauracje, jedna na pierwszym, druga na drugim piętrze.

– Spokojnie. – Matylda trochę uważniej słuchała szofera, zrozumiała więc więcej, zapewne dlatego, że nie była taka głodna, jak jej partner. – Zapomniałeś, że w Paryżu dania obiadowe podają najwcześniej o pół do siódmej? Teraz możemy skorzystać najwyżej z oferty, która niby jest obiadem, a naprawdę jest przekąską. Tyle że oryginalnie podaną, w koszyku; wiesz, przystawka, do tego jakieś niby-danie i kieliszek wina.

– Niby-danie? – Janusz skrzywił się, głodny coraz bardziej.

– Oj, nie marudź, przynajmniej zahaczmy o moją ulubioną budowlę paryską. Moją i mojej babci, zapomniałeś? Poza tym przecież i tak zjesz moją porcję, więc z głodu nie umrzesz. I niech cię pocieszy myśl o sutej kolacji w jakiejś świetnej restauracji.

– Ach, foie gras, świeże czarne trufle, grillowany turbot, perliczki gotowane w winie, a do tego deska serów... – rozmarzył się Janusz.

A Matylda była już myślami w sypialni i przed ścianą z luster przymierzała w myślach zakupione stroje. Nie była pewna jednej sukienki, takiej bez pleców, mocno wyciętej. Miała do niej wprawdzie boalerko, ale...

– ...bardzo proszę – mówił pisarz, a ona dostrzegła, że właśnie stoją pod wieżą Eiffła.

Wysiadła z limuzyny, udając, że nie dostrzega jego wyciągniętej dłoni. Była trochę zła. Nic, tylko jedzenie mu w głowie. A to przecież Paryż. Miasto miłości. Mekka zakochanych. Do diabła z tymi wszystkimi pieniędzmi i szukaniem sposobów na ich wydawanie. Matylda wolałaby teraz leżeć na szerokim łóżku w ich starym hoteliku, w pokoju mniejszym od szafki na buty, z łazienką, w której..., ech, chyba wróci do Warszawy. Dostała raptem napadu depresji i miała

gdzieś wszystkie pieniądze świata, razem z tym, co można za nie mieć. Ona raptem poczuła się tylko i wyłącznie kobietą. Pragnącą czułości. Miłości. Bliskości drugiej osoby. Ciepła męskich ramion. Przytulenia, pocałunków i tego, co dalej. Zerknęła na Janusza. Spoglądał na nią z zatroskaną miną.

– Poturbowałaś się w tym wypadku bardziej, niż chcesz się przyznać, co?

No właśnie. Nic nie rozumiał. Z wściekłości łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Nie mogła ich powstrzymać.

– Tynia, co jest? Nie płacz, proszę.

– Nie płaczę. – Łzy płynęły coraz mocniej.

– Przecież widzę, płaczesz. – Patrzył na nią z takim uczuciem, że coś w niej odtajało.

– Chodźmy. – Wzięła się w garść, wymyślając sobie w duchu od głupich histeryczek. – Przecież jesteś głodny. Nic mi nie jest, naprawdę. Tylko ten pies..., wiesz, moja suczka mi się przypomniała.

Uwierzył. Wiedział, że Ajka, piękna welshterierka, była miłością jej życia. I wiedział, że mimo iż minęło wiele lat od jej śmierci, Matylda stale do niej tęskni. Ujął jej dłoń, uściśnął, poszli w stronę wind wiodących na wieżę.

Udało mi się, pomyślała Matylda. Przecież on nie powinien wiedzieć, że płakała przez niego. To przecież Paryż. Miasto światła, uciech i radości. Tak więc się -będzie tu czuć.

– Halo, madame! Madame Ulecka, halo! – Do Matyldy dotarło, że to chyba do niej. Obejrzała się, biegł ku niej recepcjonista. – Tu ktoś na panią czeka. Ta dama nie chce opuścić hotelu bez rozmowy z panią.

– Kto...? – Matylda jeszcze nie otrząsnęła się ze swojej chandry i nie miała ochoty na żadne spotkania. Spojrzała jednak w kierunku wskazywanym przez pracownika hotelu. Z głębi przepastnego fotela uniosła się wytworna dama. Obok niej stała młoda kobieta, której – chyba synek? – naraził pieska na ten incydent na Polach Elizejskich.

– *Je suis Charlotte-Ann de Riquet* – przedstawiła się dama i następnie wyjaśniła, że to jej piesek, *suave Bijou*, o mały włos nie zginął tragicznie w okropnym karambolu przed Łukiem Triumfalnym. Wyrzekając na głupotę i bezmyślność *nounou* jej synka, która dopuściła do tego incydentu, wychwalała pod niebiosa bohaterstwo, odwagę i zaradność madame Ulecka, która uratowała życie małego biszonka.

– Ależ ja nic takiego nie zrobiłam... – Matylda zamachała rękami, chcąc przerwać ten potok podziękowań, zmęczona zakupami i wypadkami... odpędzając jednocześnie boya hotelowego usiłującego wyrwać z jej objęć paczki i paczuszki, które już nie zmieściły się w nowych walizkach. Janusz, stojąc przy windzie,

zostawił wszystkie bagaże, skinąwszy głową boyowi, i podszedł do partnerki.

– Jakiś problem? – zapytał.

– *Oh, la la, je suis Charlotte-Ann de Riquet* – rozpoczęła od początku wytworna dama.

– To właścicielka uratowanego przeze mnie pieska – odezwała się Matylda, jednocześnie tłumacząc poznanej kobiecie, kim jest Janusz.

Wymiana uprzejmości trwała jeszcze przez chwilę, przybyłe panie zdołały wyjaśnić, że zapamiętały limuzynę z nazwą hotelu na boku, do której wsiadła zbawczyni Bijou, dotarły do hotelu i siedzą tu od trzech godzin, czekając na Matyldę. Młodsza kobieta, owa nieszczęsna *nounou*, wytłumaczyła madame Uleckiej, że hrabina de Riquet, w ramach rewanżu za uratowanie życia jej ulubieńca, pragnie zaprosić madame, z jej towarzyszem, do swojego zamku nad Loarą, do miejscowości, której nazwy Matylda nawet nie starała się zapamiętać, bo i tak nie umiałaby jej wymówić. Gdy obie panie usłyszały, że przyjęcie tego zaproszenia nie jest możliwe, bowiem osoby zaproszone jutro wyjeżdżają, mając szalenie napięty dalszy plan podróży, zafrasowały się bardzo. Hrabina sięgnęła do torebki, wyjmując coś, co okazało się książeczką czekową. Wypisała na jednym z blankietów jakąś niewiarygodną sumę i usiłowała go wręczyć Matyldzie. Pisarka stanowczo odmówiła przyjęcia darowizny, wyjaśniając, że było jej bardzo miło poznać panią hrabinę i cieszy się, że piesek nie zginął.

Ukloniła się wdzięcznie, skinęła na Janusza i odeszła pospiesznie w kierunku windy, gdzie tymczasem ich szofer złożył stertę zakupów obok nowych walizek. Nie czekając na boya hotelowego, który widocznie musiał na chwilę się oddalić, pisarze jakoś pozbiali wszystkie pakunki i wtoczyli się z nimi do windy.

Chandra Matyldy rozwiązała się tak nagle, jak nadeszła. Uznała, że jest zbyt zmęczona, aby przejmować się czymś jeszcze. Ten miesiąc może być wyjątkowy. A jeśli wszystko się uda... Tak, może być jeszcze ciekawiej!

Ani Matylda, ani Janusz nie usłyszeli, o czym mówiła hrabina de Riquet z recepcjonistą, który, kłaniając się w pas, jedną ręką przyjmował pękata kopertę, drugą dyskretnym ruchem schował coś w kieszeni uniformu.

Dzień czwarty

*W którym przekonujemy się, jak niebezpieczny jest nadmiar bąbelków, Janusz tłucze szybę, a na końcu pisarze podejmują kroki, których konsekwencji jeszcze nie sposób przewidzieć...*

Matylda, zanim jeszcze spojrzała na budzik, ogarnęła wzrokiem leżące na fotelach siatki i pakunczki, zastanawiając się, czy przymierzać wszystko kolejny raz, czy najpierw zażyć odprężenia w ich skrzęcej się od zbytku łazience. Janusz tymczasem padł na fotel.

– Uff, dlaczego wczoraj nie wzięliśmy tragarza? Ciąg-le bolą mnie ramiona od targania tych twoich zakupów...

– Nie przypuszczałam, że będzie tego aż tyle... – przyznała Matylda.

– Trzeba będzie przepakować walizki, zostawiając część starych ciuchów.

– I tak musimy to zrobić, mamy przecież nowe vuittony. Stare walizki wyrzucamy i pozbywamy się części starych ciuchów. Części, bo niektóre z nich jednak -lubię. Aż tak mi się w głowie nie przewróciło.

Janusz zostawił to bez komentarza. Podniósł się, wyjrzał na korytarz i umieścił na drzwiach zawieszkę: „Nie przeszkadzać”. Następnie otworzył znajdujący się w stylowej komódce barek.

– Czas zaplanować następne kroki. Czego się napijesz?

– Poproszę coś z bąbelkami – rzuciła Matylda, krocząca w stronę łazienki. Zdecydowała, że zacznie od ostatecznego zmycia z siebie zapachów, które przylgnęły w samolocie, limuzynie i podczas wędrówek po sklepach.

– Słuchaj, będziemy musieli działać planowo, żeby nie marnować czasu. Na upartego można by mieszkać tutaj przez ten miesiąc, kazać sobie usługiwać, wynajmować limuzyny z szoferami, trzy razy dziennie jeść trufle z kawiozem, pływać prywatnym statkiem po Sekwanie, latać balonem nad Paryżem i diabli wiedzą, co jeszcze robić i z kim robić... – zastanawiał się głośno Janusz, usiłując przypomnieć sobie przepis na Martini z cytryną i lodem. W barku było wszystko, nawet oliwki. – Pewnie udałoby się w takim stylu wydać ten milion, choć nie byłoby łatwo... Ale na upartego jest to zapewne możliwe. Jednak wydaje mi się, że niewiele by nam z tego zostało do wspomniania... Takie to jakieś banalne i błahe. Szastać pieniędzmi potrafi każdy dureń i snob. Tylko co miałyby to wspólnego z przygodą życia?

Ozdabiał szklanki plasterkami cytryny, kiedy dotarło do niego, że Matylda zupełnie nie wtrąca się do rozmowy. Odwrócił się, ale ujrzał jedynie pusty salon.

Z łazienki dobiegał odgłos leżącej się wody. Westchnął, wyciągnął z walizki laptop i usiadł z nim w przepastnym fotelu. Hotelowe Wi-Fi nie wymagało hasła. Napił się, porozmyślał chwilę i zaczął szukać w sieci wycieczek do najciekawszych, jego zdaniem, zakątków świata. Najniezwyklejszych i trudno dostępnych. Nowa Zelandia... Australia... Tokio, Bogota, Caracas... Jaskinie hazardu w Monte Carlo... Nieźle byłoby wyczarterować prywatny samolot. Ale na miejscu znów trzeba kombinować, szukać najdroższych hoteli, załatwiać przewodnika, wynajmować samochody... Ciągła szamotanina, ani chwili wytchnienia, zamiast beztrudnego wypoczynku bieżącego, stres i masa kłopotów. To chyba jakoś inaczej powinno wyglądać.

Janusz zamknął laptop i ze szklanką w dłoni wyszedł na balkon. Panorama Paryża zapierała dech w piersiach, lecz on czuł się jakiś wyobcowany. Jak gdyby zamknięty w złotej kłacie pełnej niedostępnych zwykłym śmiertelnikom wygód. Nie był pewien, czy to aby na pewno jego bajka...

Jak to robią bogacze? No jasne, są rozpoznawani we wszystkich hotelach i przybytkach luksusu, mają służbę, prywatnych ochroniarzy, sekretarza, który wszystko sprawdzi, dogra i załatwi. A oni są zdani wyłącznie na siebie, i tu tkwi największy problem. Trzeba go jakoś rozwiązać, inaczej zamiast przygody życia będzie tylko odliczanie dni do końca tego całego zamieszania. Tak, trzeba coś z tym zrobić! Naradzić się i podjąć decyzję. Gdzie ona jest, ile można się kąpać?

Matylda słyszała rozważania Janusza podczas szykowania drinków, uznała jednak, że partner po prostu głośno myśli. Też była zdania, że należy dobrze przeanalizować następne kroki, ale to mogło jeszcze moment poczekać. Zapaliła wszystkie światła w łazience i poczuła się jak najprawdziwsza dziedziczka tronu. Tyle że dziedziczki tronu z pewnością nie musiały samodzielnie napełniać wanien.

Przeznaczenie dzwignienek na jej marmurowym panelu było zagadką, którą wszakże zamierzała rozwikłać. Możliwe, że to hotelowa obsługa szykowała gościom kąpiele... O nie! Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś pałętał się jej po łazience, niedoczekanie. Na szczęście kurki od ciepłej i zimnej wody nie kryły żadnych tajemnic. Odkręciła je, sprawdziła temperaturę, po czym wyjrzała z łazienki. Janusz szedł w stronę balkonu ze szklanką w ręku i po chwili zniknął jej z oczu. Złapała biały szlafrok i wróciła do łazienki. Nie spieszyła się. Zajrzała do ukrytych za lustrzanymi drzwiczkami szafek, następnie przyjrzała się nieopisanym flakonikom. Zdecydowawszy, iż ten, którego zawartość wydawała się najgęstsza musiał być płynem do kąpieli, wlała trochę do napełnionej niemal po brzegi wanny. Trochę za późno, aby zrobiła się porządna piana, ale mniejsza o to. Zanurzyła się z rozkoszą.

Po paru minutach Matylda poczuła się zrelaksowana na tyle, by zabrać się do eksperymentów. Na próbę wcisnęła jeden z mosiężnych przycisków, jednak bez widocznego rezultatu. Przekręciła jakieś kółko zgodnie z widniejącą na nim



strzałką. Nic. Zepsute? Dopiero kolejny przycisk zadziałał, rozległo się miarowe buczenie, woda w wannie zabulgotała, omiatając jej ciało tysiącami bąbelków. Kotłujące się wokół Matyldy strugi wody sprawiły, że jej ciało uniosło się, jakby nagle pozbawione ciężaru. I okazało się, że wcale nie wlała za późno płynu do kąpeli. Tworząca się piana szeleściła niczym pękające bąbelki szampana. Westchnęła zadowolona i przymknęła powieki...

Janusz dopił słabego drinka, ziewnął i wrócił z balkonu. W salonie ciągle nie było jego partnerki. Uśmiechnął się domyślnie i skierował kroki w stronę łazienki. W połowie drogi do jego uszu dobiegły jakieś pluski i kilka okrzyków. Nieźle się bawi – uznał, zbliżył się i zajrzał ciekawie. Przez chwilę nie był w stanie pojąć ujrzanego widoku. Ale przecież drink był naprawdę słaby...

Na środku pomieszczenia coś bulgotało i pienilo się jak w kotle kipiącego mleka. Uzmysłował sobie, że tam właśnie powinna być wanna, której teraz nie było widać pod zwałami piany. W kipieli coś się poruszało, prychnąc i wydając nieartykułowane piski. Janusz z trudem pokonał chwilowy paraliż, postąpił w kierunku żywiołu, z którego wyłoniła się jego partnerka. Wprawdzie jej postać, łącznie z głową, ginęła pod warstwą piany, jednak gniewny głos nie pozostawiał wątpliwości:

– Tfu, co za cholerstwo jedne! Niczego więcej nie dotknę sama, przysięgam!

– Ale narozrabiałaś... – powiedział pełnym zdumienia szeptem, lecz dziewczyna go nie usłyszała.

– Chyba nie zalałam hotelu... – Matylda po omacku zbliżyła się do przeciwległej ściany, ścierając pianę z twarzy i nie przestając mówić do siebie, jak to miała w zwyczaju w chwilach napięcia nerwowego: – Gdzie ten szlafrok... nieważne, potem się znajdzie. Tfu, tfu, zachciało mi się piany... Dobrze, że nikt nie widział, zaraz się jakoś posprząta. Gdzie są te drzwi...? – Wychyliła głowę, spoglądając w stronę salonu. – Dobrze, droga wolna. Posiedź sobie jeszcze trochę na tym swoim balkonie, ja tymczasem...

Zanim Janusz zdążył skorygować błędne mniemanie partnerki, Matylda niby Afrodyta spowita jedynie w pianę, wybiegła szybko z łazienki. Stał jeszcze chwilę w bezruchu, po czym przeszedł cicho do salonu i wrócił na balkon. Matylda pojawiła się, jakby nigdy nic, po jakichś dwudziestu minutach. W rękę miała przygotowaną przez niego szklaneczkę Martini.

– Co tak długo? Lód ci się całkiem rozpuścił. Już się martwiłem i miałem iść sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– A co mogło się stać w łazience, choćby najbardziej dziwacznej, też mi pomysł! – prychnęła, lecz szybko zmieniła temat: – Mielśmy omówić dalsze plany. Masz jakieś pomysły?

– Aż za dużo. Szperałem trochę w internecie, możliwości podróży i wydawania pieniędzy jest multum. Tylko najpierw dobrze by było mieć kilka

miesiący na planowanie, dogadywanie się, rezerwacje i całą logistykę. Mam wrażenie, a wręcz pewność, że sami tego nie udźwigniemy. Albo najdalej za tydzień szlag nas trafi, porwiemy na strzępy tę całą umowę i machniemy ręką na spadek po pradziadku nieboszczyku. Amen.

– No, owszem... Siedzieć tutaj też nie warto. Wątpię, czy zdołałabym wydawać każdego dnia ponad trzydzieści tysięcy dolarów na rzeczy nietrwałe. A choćby nawet, to trwonienie forsy na przyjemności wymyślone dla snobów, celebrytów i wszelkiej maści nierobów jakoś mało mnie rajcuje. Chciałabym zobaczyć i przeżyć coś wartego grzechu... A w każdym razie wspomnienia.

– To nie jest warte? – Janusz wskazał ich apartament.

– Na dzień lub dwa. Potem zaczęlibyśmy się nudzić i tęsknić do pomostu w Szczepankowie.

– Masz rację. Szkoda, że nie znamy nikogo oblatanego w wielkim świecie. Jakiegoś podróżnika, bo ja wiem? topowego hollywoodzkiego aktora albo jakiegoś wybitnego tenisisty, najlepiej Rogera Federera, rezydencje w Dubaju, w Monte Carlo, własny odrzutowiec... ten to musi znać wszystkich, wszędzie.

– Nie lepiej kosmonauty? – rzuciła zgryźliwie Matylda. – Tylko wątpię, czy ktoś taki zgodziłby się niańczyć nas przez miesiąc, nawet gdyby mu płacić... – nagle urwała, marszcząc brwi. – Czekaj, coś mi przyszło do głowy...

– Co takiego? – zapytał nieco podejrzliwie Janusz.

– No, są przecież zawodowi przewodnicy. Organizują wyprawy dla bogatych turystów, gdzie ci tylko zapragną. Safari, dżungla, wnętrza wygasłych wulkanów, co tylko chcesz. Tani na pewno nie są. Gdyby do tego wynająć prywatny odrzutowiec albo helikopter z pilotem do dyspozycji, byłibyśmy zupełnie niezależni.

Janusz na końcu języka miał uwagę, że ponosi ją wyobraźnia, jednak zmitygował się w porę. Trudno było odmówić słuszności jej słowom.

– Sęk jedynie w tym, że nim odnajdziemy kogoś takiego, załatwimy formalności, ustalimy trasę i ogarniemy szczegółową logistykę, może upłynąć cały miesiąc. Bo najzwyczajniej w świecie nie wiemy, jak się do tego zabrać.

– Niby prawda, ale możemy popytać.

– Ciekawe, kogo?

– Choćby dyrektora hotelu...

W tym momencie zadzwonił telefon Matyldy. Rozpoznała numer Joshua.

– Halo, jaka pogoda w Ameryce? – zapytała wesoło.

– Nie mam pojęcia. Samolot odlatuje dopiero wieczorem, a ja dopiero co skończyłem wyśmienity obiad w tej restauracji nad Wełtawą. – Młodzieniec mlasnął z ukontentowaniem. – Właśnie idzie do mnie kelner ze szklaneczką Jacka Danielsa Single Barrels. Trzecią, mówiąc prawdę. Poezja smaku. Wiedziałaś, że Jack Daniels filtrowany jest przez trzymetrową warstwę klonowego węgla

drzewnego?

– Niesamowite – odparła z udawanym podziwem. Dla niej whisky nie różniła się szczególnie w smaku od rodzimego góralskiego bimbru, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

– A wszyscy dookoła piją piwo, jakby nie było już na świecie innych trunków. Pewnie przez ten upał. Pomyślałem, że zadzwonię spytać, jaka pogoda w -Paryżu?

– Wspaniała. – Matylda ogarnęła wzrokiem błękitne niebo nad miastem. – Skąd wiesz, że jesteście w -Paryżu?

– Mówiłaś przecież, że to będzie pierwszy wasz przystanek. Dobrze się bawicie?

– Kapitalnie. Opowiem ci wszystko w swoim czasie.

– A jak dalsze plany?

– Sporo ich... – Tym enigmatycznym stwierdzeniem zamierzała zakończyć rozmowę, lecz raptem przyszło jej coś do głowy. W końcu Josh też będzie miał jakiś bonus, jeśli uda się im zrealizować umowę, więc można go trochę wciągnąć w sprawę. – Czeka, nie rozłączaj się! – zawołała. – Mamy pewien kłopot. Nic takiego w zasadzie, ale ty jesteś bardziej oblatany, może coś podpowiesz. Kwestia dotyczy naszej umowy, chociaż nie do końca, przydałby się tylko kontakt z kimś poleconym przez kogoś zaufanego... To znaczy, byśmy mu zapłacili, ale najpierw musimy znaleźć odpowiedniego człowieka... – zaczęła się nieco płatać, nie chcąc wyjść przed światowcem na prowincjuszkę, która nie umie sobie poradzić za granicą. – Umówiłam się na kolację z dyrektorem hotelu – skłamała naprędce – obiecał pomóc, więc w zasadzie...

– Nie rozumiem. Możesz mówić jaśniej? Czego ci trzeba?

– W tej chwili tylko odpowiedzi na pytanie, czy wynajęcie kogoś, kto zająłby się naszymi... interesami przez miesiąc jest zgodne z umową? Ochroniarz, ale taki w pełni profesjonalny, z licencją pilota i wszelkimi uprawnieniami...

– Jakimi uprawnieniami? – zdziwił się Josh.

– A bo ja wiem? Do nurkowania i wspinaczki po lodowcach – rzuciła na odczepnego, przekonana już, że zwracanie się o pomoc do tego chłopaka, na dodatek po trzeciej szklaneczce whisky, nie było najlepszym pomysłem.

– Aaa... – Wreszcie Josh załapał. – Chyba zaczynam rozumieć. Kapitalny pomysł. Oczywiście, że możesz go wynająć i płacić mu umówioną stawkę. Ale wiesz co, daj mi nieco czasu. Zadzwonię do prawnika i zapytam dla pewności. Masz już kogoś na oku?

– Być może... – odparła ostrożnie. – Ale nic nie zostało jeszcze ustalone. Wszystko wyjaśni się na kolacji z dyrektorem.

– Okej – rzucił Josh i przerwał połączenie.

– Ładnie się zapłatałaś – zauważył z rozbawieniem Janusz. – No proszę,

więc jesteś umówiona z dyrektorem hotelu?

– Jeszcze nie, ale cóż to za problem?

– No jasne, on tylko czeka, żeby umówić się dziewczyną, którą nawet taksówkarz podejrzewał o związki z rosyjską mafią.

– Żebyś przypadkiem się nie zdziwił. – Pokazała Januszowi język i zapytała:  
– To co teraz robimy?

– Czekamy na telefon od Josha, potem kombinujemy dalej. – Jej partner wzruszył ramionami. – A ja bym się chętnie wykąpał. Wanna wygląda zachęcająco, tylko nie wiem, czy będę umiał w pełni wykorzystać jej możliwości. Tam są jakieś pokrętła i przyciski... Poradziłaś sobie jakoś? A po kąpieli może nareszcie zjemy śniadanie?

– No pewnie, dla mądrego nic trudnego. – Matylda usadowiła się w fotelu, wystawiając twarz do słońca. Przymknęła powieki. – Tylko nie zapomnij wlać płynu do kąpieli, przepięknie pachnie... Śniadanie... – mruknęła do siebie. – Jasne!

Odczekała z pięć minut, po czym wróciła do salonu. Bezbłędnie odnalazła wśród porozkładanych wszędzie pakunków z dopiero co nabytymi ciuchami właściwą torbę. Odpakowała letnią sukienkę w kolorze przydymionych pereł, bez pleców, do tego czarne szpilki. Przebrała się, przejrzała w kryształowym lustrze, poprawiła palcami fryzurę, czyniąc we włosach lekki nieład, co dodało jej tylko wdzięku. Przerzuciła przez ramię czarne bolerko połyskujące srebrnymi nitkami i wymaszerowała z apartamentu. Zamykając drzwi, zdjęła z klamki zawieszkę z napisem: „Nie przeszkadzać”.

Za załomem korytarza napotkała boya, który grzecznie skinął głową, wskazując wejście do windy.

– Mam prośbę. – Matylda uśmiechnęła się wdzięcznie. – Mój przyjaciel bierze kąpiel i prosi o przysłanie kogoś do pomocy. Rozumiesz, on nie jest przyzwyczajony samemu się tym zajmować, w posiadłości mamy kąpielowego i kamerdynera...

– Oczywiście, madame, już wołam *femme de chambre*.

– Nie, nie – zawołała pospiesznie Matylda. – Tylko nie *femme*. To byłoby dla niego krępujące. Nie macie kąpielowego?

– Oczywiście. Zaraz przyjdzie.

Zjechała na dół i niespiesznie przespacerowała się oświetlonym rześcicie foyer, niby to podziwiając ustawione w nim klasyczne rzeźby. Spojrzenia obsługi i paru dystyngowanych gości wyrażały aprobatę, a nawet dyskretny podziw. Jeszcze tylko powąchać umieszczone w wysokim wazonie strelicje i już można olśnić recepcjonistów

– Chciałabym widzieć się z monsieur dyrektorem.

– Nie odpowiada pani apartament?

– Przeciwnie. To sprawa innej natury. – Matylda powiedziało to władcym

tonem, jak ktoś pewny swojej pozycji, przyzwyczajony, że będzie wysłuchany. – Kiedy będę mogła z nim pomówić?

Recepcjonista skinął głową na swojego pomocnika, który natychmiast skierował się na zaplecze.

– Madame zechce zaczekać chwilę w restauracji? Zamówić coś do picia?

– Kieliszek wina poproszę.

– Jakiego, madame? W piwnicy mamy pięćdziesiąt tysięcy butelek najlepszych roczników.

– Zdaję się na pana wybór...

Kiedy Matylda po dwóch czy trzech kwadransach wróciła do apartamentu, zastała Janusza miotającego się w szlafroku po salonie.

– Rany, ty sobie gdzieś poszłaś, a ja tutaj miałem istny cyrk! – wybuchnął na jej widok. – Nie uwierzysz, co się działo. Ledwie włączyłem wodę, a tu przypałała się jakiś fagas z wąsikami jak sznurówka, wkłada mi rękę do wody i pyta, czy nie za zimna? Czy może życzę sobie pedicure? Zgłupiałem na moment, dosłownie odebrało mi mowę. A ten wyciąga jakieś gąbki i szczotki, leje mi na plecy oliwkę, narzekając, że monsieur powinien bardziej dbać o stan skóry, bo opalenizna zaraz zacznie się łuszczyć, że zarezerwuje na wieczór miejsce w SPA, no i ta cera... Koniecznie trzeba nałożyć maseczkę, wykonać peeling, czy tam diabli wiedzą co, no i unikać solarium. – Janusz sapał przez chwilę, nie mogąc się uspokoić. – Ja i solarium, pogięło go chyba! Nie mogłem się pozbyć fagasa. Kazałem mu iść sobie, a on dalej swoje: żebym się nie krępował, bo mężczyzna w salonie piękności już nie dziwi nikogo. Żebym tylko wiedział, kogo dotykały jego ręce...

Matylda usiłowała zachować powagę, jednak nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem, aż jej pociekły łzy z oczu. Janusz stał chwilę z wielce urażoną miną, lecz wreszcie sam parsknął. Opanował się pierwszy i spytał podejrzliwie:

– Ciekawe tylko, skąd on się wziął...? Ktoś musiał go chyba wezwać, co?

– Może w łazienkach są czujniki informujące obsługę, że gość zamierza wziąć kąpiel? – suponowała Matylda. – Albo któryś z tych przycisków obok wanny służy do wezwania kąpielowego?

– Nie sądzę. – Janusz zmrużył powieki. – Myślę raczej, że ktoś musiał go przywołać. I chyba nawet wiem kto...

W tym momencie zadzwonił telefon Matyldy, ratując pisarkę przed koniecznością ustosunkowania się do wysuwanych podejrzeń.

– Halo Josh, i co tam słyhać w naszej sprawie?

– Wszystko okej, możesz wynajmować, kogo tylko zechcesz. Nawet fakira albo szamana. Byle tylko wystawił rachunek.

– Świetnie, znakomicie, spadł mi kamień z serca!

– Z twojego tonu wnioskuję, że sprawy idą do przodu – domyślił się Josh. –

Znalazłaś kogoś?

– Co mówisz? Słabo słyhać... Tak, tak, będziemy się zastanawiać. – Matylda wymigała się od jasnej odpowiedzi. – To trzymaj się tam, odezwiemy się po wszystkim i pewnie spotkamy. A, i jeszcze jedno...

– Co takiego?

– Nie głosuj na Trumpa!

Josh jeszcze coś mówił, ale rozłączyła się, nie słuchając dalej.

– Mamy zielone światło. – Popatrzyła z triumfem na Janusza. – No, wreszcie zaczniesz się dźiać coś interesującego.

– Skąd taki optymizm? Moim zdaniem stoimy w miejscu. Czyżbym o czymś nie wiedział?

– Po prostu, kiedy ty oddawałeś się relaksowi, ja wzięłam sprawy w swoje ręce – wyjaśniła nieco urażona.

Popatrzył na nią z błyskiem w oku, jakby dopiero teraz dostrzegł nową kreację partnerki.

– Co tu gadać, wyglądasz szałowo. To dla mnie tak...?

Podszedł i wyciągnął ręce, ale Matylda wyslizgnęła się zgrabnie i skierowała na taras. Janusz nie spuszczał wzroku z jej mocno odkrytych pleców.

– Lepiej ubierz się porządnie – obejrzała się przez ramię – żebyś mogła się z tobą pokazać w restauracji. A jutro jemy obiad z dyrektorem hotelu.

– Jak tego dokonałaś?

– Mam swoje sposoby. Mówiąc prawdę, sądziłam, że pójdzie trudniej...

– Ale to jeszcze ładnych parę godzin.

– No prawda. Co proponujesz?

Janusz już otwierał usta, lecz uprzedziła jego słowa:

– Poza zjedzeniem śniadania, a potem porządnego obiadu, rzecz jasna?

– Tutaj jest napisane – stuknął palcem w leżącą na szklanym stoliku ilustrowaną broszurę z atrakcjami hotelu – że mamy do dyspozycji łaźnię turecką, saunę, jacuzzi oraz kryty basen.

– No to na co czekamy? Szczęście, że pomyślałam o kupieniu kostiumu kąpielowego!

Basen otoczony był żywymi palmami w donicach, antycznymi rzeźbami i wielkimi malowidłami przedstawiającymi scenki rodzajowe w paryskich parkach. Wszechobecny przepych już trochę opatrzył się pisarzom, wydawał im się jakiś sztuczny i trochę pretensjonalny. Stworzony dla zblazowanego towarzystwa, które ceni sobie wierzchnie pozory, a na rzeczy normalne spogląda z wyższością, jakby były nie wiadomo jak pospolite. Żeby się w takim otoczeniu odnaleźć i dobrze poczuć, trzeba się w nim urodzić. Na szczęście woda była normalna.

Janusz już na wstępie przegonił z basenu dwie kobiety, choć zupełnie nie miał takich intencji. Po prostu na widok błękitnej toni wydał okrzyk godny pirata

i z rozbiegu wskoczył do wody. Skąd miał biedak wiedzieć, że dla płynących dostojną żabką dam sprawą absolutnie priorytetową, poza prezentacją kostiumów od Lenego Niemeyera, było zachowanie nienaganego stanu fryzury? Kobiety w jednej chwili z dam przeobraziły się w zmokłe kury, zwłaszcza że Matylda nie omieszkła pójść w ślady partnera, powodując kolejne rozbryzgi i fale. Ofiary niecnego postępu pisarzy, złorzecząc w głos po francusku, umknęły z wody, jakby wpuszczono do niej głodne rekiny. Sprawcy zamieszania nie przejęli się za bardzo, przynajmniej mieli basen do swej wyłącznej dyspozycji! Ubrany na biało pracownik hotelu udawał, że niczego nie zauważył, i prędko schował się gdzieś, uznając, że tak będzie dla niego najbezpieczniej.

Pływali dobry kwadrans.

– Popatrz, nie mają tu ratownika? – zdziwiła się w pewnym momencie Matylda. – To chyba niezgodne z przepisami?

– Może wystarczy monitoring. Zresztą nie wiem, jakie tu mają przepisy. Chcesz złożyć skargę?

– Pewnie. Oraz petycję do parlamentu! – Prysnęła w Janusza wodą i zwołała: – Berek!

Rzucił się za nią kraulem, dościgając Matyldę już po paru metrach.

– Mam cię!

– Też mi wyczyn, specjalnie wolno płynęłam.

– Co dostanę w nagrodę?

– No nie wiem... sam mówiłeś, że tu jest monitoring. – Poprawiła zsuwające się niesfornie ramiączko. – Pewnie obserwuje nas ze dwadzieścia osób.

– Najwyżej pięć.

– No jasne, to wszystko zmienia. Ale popatrz tam...

Kiedy Janusz odwrócił głowę we wskazanym palcem kierunku, Matylda dała nurka i wynurzyła się koło drabinki. Nim zorientował się w podstępnie i popłynął za nią, ona już owinięta ręcznikiem zaglądała ciekawie do pomieszczenia oddzielonego od basenu szybą. Znajdował się tam szklany stół, wygodne fotele i kominek ze sztucznym ogniem. Pokój przeznaczony zapewne do relaksu po kąpieli niewątpliwie zaopatrzony był w barek. Wejście znalazła w korytarzu obok i już po paru chwilach pisarze siedzieli w fotelach ze szklaneczkami mrożonego Perriera. Były też alkohole, jednak zgodnie stwierdzili, iż nie warto przesadzać z trunkami przed czekającą ich kolacją. Z kominka promieniowało przyjemne ciepło.

– Mimo pewnej monotonii przyznam, że takie życie ma swoje uroki. Ciekawe, czy mogłabym się przyzwyczaić?

– Najpierw ci wszyscy dookoła... – Janusz wykonał szeroki ruch ręką – musieliby przyzwyczaić się do twoich wybryków.

– Jednak wątpię – powiedziała, nie podejmując zaczepki. – To wszystko jest

jakieś takie rozdęte, nienaturalne, udawane. Płacisz i masz gwiazdkę z nieba. Ale czy oni wszyscy, ci czciciele mamony, znają smak kielbasek pieczonych nad ogniskiem? Na pewno uznaliby, że w swej plebejskiej zwyczajności... jest wulgarna i ohydna.

– Chyba że musieliby zapłacić tysiąc dolarów za porcję, którą wcześniej wstępnie przeżułoby jakieś zwierzę, wzbogacając aromat... a potem znów schludnie zapakowaną podano by im na srebrnym półmisku. To by była ta sama kielbasa, ale wtedy zaczęliby się nią delektować.

– I tu kryje się cała prawda o życiu w luksusie.

Janusz zobaczył kątem oka jakiegoś chłopca, który wbiegł na teren basenu i przykucnął za postumentem jednej z rzeźb. Choć mógł mieć z pięć czy sześć lat, ubrany był w koszulę z granatowym krawatem i marynarkę. Pisarz pomyślał z niechęcią o rodzicach, mających zapewne wielkie plany wobec dziecka i stosowne do tychże wymagania. Lecz w imię czego odbierać mu dzieciństwo? Ciekawe, czy pozwalali mu grać w piłkę albo ojciec zabierał go na ryby?

– ...nie poradziliby sobie w naszym świecie.

Choć Januszowi umknął początek wypowiedzi Matyldy, domyślił się sensu całości.

– Interesujące też, czy my poradzimy sobie w ich świecie?

– Na razie dobrze nam idzie, pomijając pewne drobne incydenty...

Na teren basenu wkroczyła matrona ze zmarszczonymi gniewnie brwiami. Z jej zachowania i mowy ciała Janusz domyślił się, że szuka małego zbiega. Jednak chłopczyk nie wyglądał na wyjątkowo przestraszonego, gestem znanym dzieciakom na całym świecie zagrał na nosie ważnej pani i wcisnął się głębiej za postument. Matrona przeszła obok jego kryjówki, po chwili znikając Januszowi z oczu.

– ...czarną ze srebrnymi nitkami czy tę śliwkową?

– Co? No właściwie to nie wiem... – odparł z roztargnieniem pisarz, pokazując chłopcu uniesiony w górę kciuk. Tak trzymaj!

Dzieciak pomachał do nich rączką, poderwał się i wyskoczył zza postumentu. Biegł przez sam środek kałuży nachlapanej przez pisarzy, poślizgnął się i wywijając rozpaczliwie rękami, wpadł do basenu. Woda nakryła go niemal natychmiast, szamotał się pod powierzchnią, ale ciasne ubranie krępowało mu ruchy...

– Słuchasz, co mówię?! Co tam zobaczyłeś?

Janusz poderwał się, złapał wazon z kwiatami i rzucił nim w szybę, tłukąc ją w drobny mak. Matylda zamarła, pewna, że jej partner doznał pomieszania zmysłów. Nie ucichł jeszcze brzęk tłuczonego szkła, gdy pisarz wyskoczył przez rozbite okno, w paru susach znalazł się nad brzegiem basenu i rzucił szczupakiem w wodę. Gdy dziewczyna podbiegła ku krawędzi, ujrzała Janusza holującego jakiś



kłab ubrań... Nie, to było dziecko. Nieprzytomne.

– Pomóż mi... go wyciągnąć... – poprosił, z trudem łapiąc oddech.

Wspólnymi siłami wydobyli malca z wody. Matylda bez namysłu przystąpiła do robienia sztucznego oddychania. Na szczęście chłopczyk nie topił się długo, nie minęła minuta, kiedy zaczął dawać oznaki życia. Kiedy zbiegła się hotelowa obsługa, już siedział, kaszłąc i plując, przytrzymywany przez Matyldę. Wokół rozlegały się krzyki, ktoś gdzieś telefonował, w ogólnym rozgardiaszu trudno było zrozumieć, co tu się właściwie dzieje. Dosłownie po paru minutach pojawił się hotelowy lekarz z walizką i zaczął badać malca.

Widząc powstałe zamieszanie, Janusz uświadomił sobie, że na basenie istotnie był monitoring. Ale nim obsługa zdążyłaby zareagować, mogło być za późno. Skinął na Matyldę i wycofali się razem do przebieralni. Nie miał ochoty składać wyjaśnień ani odbierać podziękowań od opiekunów małego.

Bo jeszcze by mu się wymyśliło, co o nich naprawdę myśli...

Dzień piąty

***Mężczyzna w skórzanej kurtce wciska się nieproszony do akcji. I chyba już w niej pozostanie z uwagi na dość szczególne talenty...***

W hotelowej restauracji unosił się zapach świeżych kwiatów, kawy i przypraw. Łagodnie brzmiące dźwięki muzyki klasycznej harmonizowały z dyskretnym brzękiem sztućców, szelestem sukien oraz rozmowami ubranych wieczorowo gości. Grube dywany tłumiły kroki, blask żyrandoli odbijał się w lustrach. Matylda postanowiła olśnić dyrektora hotelu. Włożyła więc zwiewną czarną sukienkę, delikatnie poprządkaną... w kilku zmysłowych miejscach, srebrnozłotymi nitkami. Pod szyją, na owalnym dekolcie błyszczał cieniutki fantazyjnie skręcony złoty łańcuszek z rubinową zawieszka w kształcie serduszka, otoczonego maleńkimi cyrkoniami. Identyczne serduszka zdobiły płatki uszne zrobionej na bóstwo pisarki. Komplet uzupełniał pierścionek. Janusz popatrzył na swoją partnerkę i uśmiechnął się lekko na widok małej błyszczącej torebki. Ciekawe, co ona tam ma w środku, pomyślał, dobrze wiedząc, że Matylda w swojej torebce zawsze miała ogrom przeróżności, nie zawsze potrzebnych, to znaczy niepotrzebnych według niego, według niej – niezbędnych. A tu raptem mała torebka? No, no, jak ona wyselekcjonowała, co będzie tego wieczoru potrzebne, a co nie... Pamiętała także o biżuterii. Pisarz ucieszył się, ten komplecik z motywem serca był prezentem od niego, wręczonym podczas szczególnie uroczystej okazji, jaką była rocznica ich związku... Nigdy go jeszcze nie założyła, twierdząc, że biżuterii nie nosi w ogóle.

– Wreszcie je założyłaś...

– Wiesz przecież, że nie mam nic cenniejszego i nie mówię teraz wcale o materialnej wartości tego zestawu.

– Wyglądasz zjawiskowo... – nie dokończył komplementu, bo raptem zmaterializował się obok nich kierownik sali. Poprowadził pisarzy ku stolikowi, zdjął kartonik rezerwacji, odsunął nieco fotele, by łatwiej było zająć miejsce. Równocześnie pojawił się kelner z szampanem w wiaderku. Przystawki już stały na stole. Umiejętnie poluzowany korek wyskoczył z szyjki butelki, wydając dyskretne: puff.

– Gdzie nasz *directeur de l'hôtel*? – zagadnął Janusz, spoglądając na wolny fotel.

– Właściwie nie określiliśmy godziny, tylko że w porze obiadowej. – Matylda napiła się szampana i rozejrzała po sali. – Pewnie go właśnie

powiadają.

– Oby się tylko nie rozmyślił. Zwłaszcza po naszych wybrykach...

– Naszych? To ty stukłeś szybę na basenie. Ciekawe, czy doliczą ją nam do rachunku?

– Co za problem, zawsze to wydanych parę groszy więcej.

– Nie zgadzam się – oznajmiła stanowczo Matylda. – Tu chodzi o zasady. Ratowałeś temu chłopcu życie, a oni by mieli kazać ci za to płacić?!

– Ja tam nie zamierzam się awanturować.

Janusz zajął się wyśmienicie skomponowanymi przystawkami. Matylda wzruszyła ramionami i poszła w jego ślady. Miała szczerą nadzieję, że dyrektor nie sprawi jej zawodu. Nie dość, że łączyła z tą rozmową wielką nadzieję na rozwiązanie ich problemów, to jeszcze nie cierpiała czuć się lekceważona. Może jakoś sprawdził, kim są w istocie, i doszedł do wniosku, że dał się nabrać na jej bajeczki...

– Madame, monsieur, czy można?

Słyszając chropowaty nieco głos ze śladami obcego akcentu, pisarze unieśli głowy. Stojący obok mężczyzna miał krótko obcięte szpakowate włosy, zielone, trochę kocie oczy i nieregularną bliznę w okolicy kości policzkowej. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści, co i sześćdziesiąt lat, choć Matyldzie przemknęło przez głowę, że raczej to pierwsze. Miał na sobie kurtkę z niewyprawionej skóry z mnóstwem kieszeni, noszącą ślady długiego używania. Janusz zdziwił się mimowolnie, że kogoś takiego w ogóle wpuścili do hotelu.

– Jesteśmy tu z kimś umówieni – oznajmił, mając nadzieję, iż intruzowi wystarczy taka odprawa.

– Madame Matylda i monsieur Janusz? – upewnił się mężczyzna, nie przyjmując do wiadomości, że nie życzą sobie towarzystwa. Odsunął trzeci fotel i usiadł. – Postaram się nie zająć wiele czasu i nie przeszkadzać. O ile wasz gość się pojawi.

Janusz poszukał wzrokiem kierownika sali, Matylda położyła dłoń na torebce, w której miała kartę kredytową i dokumenty.

– Bez obawy, nie jestem gangsterem – powiedział natręt rozbawionym głosem. – Przysłał mnie dyrektor hotelu. Jesteśmy dobrymi znajomymi, tyle że Xavier z pewnych powodów woli się do tego nie przyznawać... Ale kiedy poprosiłaś go o pomoc, natychmiast do mnie zadzwonił. Akurat byłem w Paryżu, wiem z grubsza, -kogo poszukujecie, reszta do omówienia.

– Jak się do ciebie zwracać? – Matyldzie spodobał się bezpośredni sposób, w jaki wyrażał się nieznajomy.

– Wasilij. – Uśmiechnął się samymi kącikami ust. Pisarka natychmiast uświadomiła sobie, skąd jego wschodni akcent. – Waśka, jeśli wolicie.

Coś w jego zachowaniu budziło zaufanie. Przeczucia Matyldy zazwyczaj się

sprawdzały, co nie znaczy, że była nieomylna...

– Masz jakieś referencje?

– Czy najlepszą rekomendacją nie jest to, że w ogóle się tu pojawiłem?

Tylko Xavier mógł mnie przysłać.

Milczała chwilę, napiła się szampana i nagle uniosła wzrok.

– A znasz Josha?

– Nie miałem przyjemności.

Matylda się nie odezwała. Tymczasem Janusz zauważył, że u wejścia pojawił się dyrektor hotelu, popatrzył w ich stronę, niemal niedostrzegalnie skinął głową, po czym usiadł samotnie przy stoliku za marmurową kolumną.

– Widzę, że chcielibyście coś o mnie usłyszeć. – Waśka omiółł wzrokiem stół, jednak albo nie był głodny, albo nic nie znalazło jego uznania. – Siedem lat służby w Legii Cudzoziemskiej. Potrafię pilotować większość tego, co unosi się w powietrzu. Cztery zdobyte ośmiotysięczniki, w tym jedno wejście zimowe. Prowadziłem wyprawy w dżungli, na pustyni i w tajdze syberyjskiej. Oprócz angielskiego i francuskiego, znam dość dobrze język mandaryński, hiszpański, dogaduję się po arabsku.

– Imponujące.

– I jeszcze jedno...

– Tak? – Matylda uniosła brwi przekonana, że usłyszy znaną śpiewkę, iż jego usługi nie należą do najtańszych. Ale nie miała racji.

– Nie przyjmuję każdego zlecenia i starannie dobieram klientów. Częściej odmawiam, niż się zgadzam. Nie znoszę skretyniałych bogaczy, którym wydaje się, że dla forsy wniosę ich na jakiś szczyt albo upoluję im słońca, żeby mogli sobie z nim zrobić fotografię, a wypchane truchło umieścić w swojej posiadłości.

– Wydaje mi się, że... – zaczęła Matylda i zerknęła pytająco na partnera.

– Że kogoś takiego szukamy – dokończył Janusz.

Zamiast odpowiedzieć, ich nieokrzesany z pozoru rozmówca przywołał kelnera i wdał się z nim w pogawędkę po francusku. Dotyczyła dostępnych trunków. W końcu zamówił Ararat Brandy Dvin. Odezwał się, dopiero kiedy kelner wrócił z butelką i trzema lampkami.

– Armeński koniak nie jest tak doceniany, jak powinien. Winston Churchill spróbował go pierwszy raz w Jalcie na spotkaniu ze Stalinem i Rooseveltem. Potem, na osobiste polecenie wodza co miesiąc otrzymywał kilka butelek Dvina i do końca życia był jego wielbicielem.

– A piłeś polską wódkę? – zapytał Janusz.

– A bywało, bywało, stare dzieje... A ty rosyjską?

– Przez parę lat w Nowosybirsku nie piłem innej – odparł po rosyjsku Janusz.

Waśka przez mgnienie wyglądał na zaszokowanego.

- Ja też... – urwał i po chwili zapytał: – Co tam robiłeś?
- Przeszedłem szkołę życia.
- Warto było?
- Nie żałuję.
- A później?
- Jak widzisz, nie dałem się zabić.

Matylda słuchała uważnie, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej o partnerze. Janusz nie robił tajemnicy ze swego pobytu w Nowosybirsku, ale niechętnie wracał do tamtego okresu życia. A o tym, czym przez wiele lat zajmował się później, nie opowiadał w ogóle. Podejrzewała, że specyficzne umiejętności Wasilija nie wzięły się tylko ze służby w Legii Cudzoziemskiej. Janusz i on mogli być rówieśnikami... Wspólna przeszłość może dobrze wróżyć, mężczyźni wydawali się pozostawać w niemym porozumieniu. Trwało to chwilę...

Waśka nalał koniaku do trzech lampek, po czym wrócił do zasadniczego tematu:

- Dobrze, wasza kolej powiedzieć, czego ode mnie oczekujecie?
- To trochę nietypowe... – zaczęła z wahaniem Matylda.
- Nietypowe zlecenia to moja specjalność. – Waśka zaśmiał się. Wyjął z kieszeni kilka wizytówek i położył przed pisarką. – Pytałaś o referencje. Sprawdź, ci ludzie mogą za mnie poręczyć.

Przejrzała nazwiska. Prezes czegoś tam... muzyk... dziennikarz Times'a... Może zadzwonić, ale przecież nie będzie pewna, z kim naprawdę rozmawia. Napotkała zachęcające, lecz w istocie kpiące spojrzenie Waśki.

- Janusz, opowiemy mu wszystko?
- Uważam, że tak będzie najlepiej.
- Ciekawe, czy uwierzy?
- Ja bym nie uwierzył.
- Przyznaję, że mnie zaciekawiliście – wtrącił Rosjanin. – Co to ma być, założyliście się z kimś, że przewędrujecie boso Alaskę?
- Niezupełnie. Mam trochę pieniędzy... nawet więcej niż trochę. I muszę się ich prędko pozbyć. Ale przy okazji chciałabym przeżyć coś fascynującego!

Matylda zaczęła opowieść od telefonu w Szczepankowie. Krótko opisała ich początkową nieufność, wreszcie spotkanie w Pradze z Joshem. Pomięła drobne perypetie hotelowe, przechodząc od razu do sedna ich pomysłu.

Wasilij przysłuchiwał się wszystkiemu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Parę razy poruszył się, jak gdyby chciał zadać jakieś pytanie, lecz jednak się powstrzymał. Widząc to, Matylda przyrzekła sobie w duchu, że jeśli on się nie zgodzi, nie będą szukać nikogo innego. Strata czasu. Porozbijają się najwyżej trochę po Paryżu, ewentualnie jakaś mała podróż po Europie. Może tak będzie nawet lepiej, w każdym razie bezpieczniej.

-- I co o tym myślisz?

– Co ja myślę, to mało ważne. Wchodzę w to.

– Co cię przekonało?

Waśka zapatrzył się na panoramę Paryża za oknem.

– Xavier pokazał mi nagranie z monitoringu na basenie, ostrzegając, że nie jesteście zupełnie normalni. O mnie niektórzy powiedzieliby to samo. – Dziwny uśmieszek zagościł na jego ustach. – Nie darowałbym sobie, gdybym nie ujrzał zakończenia całej tej hecy. No i muszę napić się z Januszem dobrej rosyjskiej wódki.

– Będziemy potrzebowali rachunku za twoje usługi.

– Nie ma problemu. Posiadam licencję osobistego ochroniarza. Stawka tysiąc dolarów dziennie. Połowa płatna z góry. Nie obraż się, to będzie test waszej wiarygodności. Koszty paliwa, jedzenia, amunicji, noclegów i całej reszty po waszej stronie.

– Zgoda.

Wasilij wzniosł kieliszek z armeńskim koniakiem.

– Od czego zaczynamy?

– Możesz jutro wynająć jakiś mały odrzutowiec i pilotować go? – To będzie test twojej wiarygodności, pomyślała Matylda.

– Dokąd lecimy?

– Do... – wzięła głęboki oddech – Pekinu!

Kieliszek w dłoni Rosjanina zatrzymał się w pół drogi do ust.

– Macie chińskie wizy?

– O, cholera. O tym nie pomyślałam.

Waśka skrzywił się z politowaniem.

– A paszporty wzięliście, czy trzeba będzie lecieć po nie do Polski?

– Mamy paszporty, ale co z tego? Bez wizy...

– Przynieście mi je. Czekam za dziesięć minut w holu. Znam kogoś w chińskiej ambasadzie, kto lubi wystawne życie... Jutro będą wizy, najzupełniej legalne. Nie musicie więcej wiedzieć.

W windzie Matyldzie coś się przypomniało:

– Słuchaj, wydaje mi się, czy... on wspomniał o amunicji?!

– Nic takiego nie słyszałem...

Janusz naprawdę nie pamiętał, żeby padły takie słowa. Za to pamiętał doskonale wybrzuszenie z lewej strony skórzanej kurtki Waśki. Raczej nie nosił tam piersiówki...

Dzień szósty

***Matylda zastanawia się, skąd weźmie krokodyla i z nadzwyczajną łatwością udowadnia, że kobieta zmienną jest...***

Następnego dnia rano boy zabrał ich bagaże, oni jeszcze zwlekali z wyjściem, jakby trudno im było pożegnać się z iście królewskim apartamentem. Niepokój był prawie namacalny. Tu wszystko było proste, przewidywalne i niemal swojskie, na zewnątrz zaś czekała jedna wielka niewiadoma. W postaci obieżyświata awanturnika Wasilija i mglistego przeczucia, iż o wielkich przygodach najlepiej czyta się w książkach, bo zwyczajnie nie każdy jest do nich stworzony...

- Coś się tak zamyśliła? – zapytał Janusz.
- A ty?
- Sprawdzam tylko, czy niczego nie zapomnieliśmy.
- Ja też.
- To idziemy?
- W drogę!

Kiedy zjechali windą i znaleźli się w foyer, na widok dyrektora hotelu Matyldę ogarnęło złe przeczucie. Stał obok recepcji, trzymając za rękę chłopca, który omal nie utopił się poprzedniego dnia w basenie. Chyba nie chodziło o rozbitą szybę, a trudno mieć do nich pretensję o tę kałużę, na której mały się poślizgnął. Może w Stanach Zjednoczonych Ameryki jakiś przebiegły prawnik wysmażyłby pozew o gigantyczne odszkodowanie, ale to była przecież Europa...

Matylda rozejrzała się mimowolnie, ale nie dostrzegła żadnych przedstawicieli stróżów prawa. Wydało jej się wprawdzie, że stojący obok marmurowego kupidyna facet z wątpliwej urody kucykiem kieruje w ich stronę obiektyw aparatu, jednak wyglądało to na czysty przypadek.

Dyrektor pospieszył im naprzeciw.

– Bardzo się cieszę, że gościliście państwa w naszym hotelu – powiedział z promiennym uśmiechem i ukłonił się głęboko. – Ale przede wszystkim pragnę podziękować za uratowanie życia mojemu bratankowi.

Chłopiec stał grzecznie, jak przystało na dobrze wychowanego młodzieńca, który wie, czego się od niego wymaga. Janusz mrugnął do niego porozumiewawczo, a malec odwzajemnił mu się uniesionym triumfalnie kciukiem.

– To pański bratanek?! Co za zbieg okoliczności, że akurat... Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało – odetchnęła z ulgą Matylda. – Wszystko dobre, co się

dobrze kończy.

– *Naturellement!* Mam nadzieję, że wywiozą państwo od nas same dobre wspomnienia i że nic nie zakłócało państwu pobytu?

Matyldzie wydało się, że w tonie mężczyzny uchwyciła nutę starannie skrywanego rozbawienia.

– Jeśli już, to my nieco zakłóciliśmy porządek... Ale nie celowo.

– Jeśli państwo pozwolą, chciałbym wyrazić swą wdzięczność w sposób bardziej konkretny...

– Spieszmy się trochę. – Zaniepokojona kierunkiem rozmowy Matylda weszła dyrektorowi hotelu w słowo. Nie miała ochoty na żadne pożegnalne kieliszki szampana. – Jesteśmy umówieni.

– Oczywiście. Limuzyna czeka na zewnątrz, kierowca zawiezie państwa, dokąd tylko zadysponujecie.

– Świetnie, załatwmy więc formalności. – Sięgnęła do torebki po kartę kredytową.

– To nie będzie konieczne. – Dyrektor powstrzymał ją stanowczym gestem.

– W uznaniu tego, co państwo uczynili, rachunek został anulowany. Ze swojej strony dodam, że będą państwo u nas zawsze mile widziani. A dopóki cokolwiek będzie ode mnie tu zależało, dostaną państwo pokój w specjalnej cenie. Nie mogę wprawdzie obiecać królewskiego apartamentu, gdyż najczęściej jest zarezerwowany z dużym wyprzedzeniem, ale zapewniam, że inne pokoje również nie sprawią państwu zawodu.

Matyldzie dosłownie opadła szczęka. Dotarło do niej, że los zadrwił sobie, obdarzając ją kompletnie nieoczekiwanym prezentem. Byłaby nim uszczęśliwiona w każdym innych okolicznościach, ale nie teraz, gdy jej największą troską jest właśnie wydawanie pieniędzy. A nie ich zarabianie, do licha ciężkiego! Tym niemniej stało się i nie przychodził jej do głowy żaden sposób na odkręcenie tej niezręcznej sytuacji. Postanowiła zachować się z klasą.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni. A ty, młody człowieku – z sympatią zmierzwiła chłopcu włosy – ucz się pilnie, to może też kiedyś zostaniesz dyrektorem hotelu.

Młody człowiek wyglądał bardziej na znudzonego niż uszczęśliwionego perspektywą objęcia lukratywnej posady. Odprowadzani ukłonami personelu oraz zaintrygowanymi spojrzeniami gości przemierzali hol. Matyldzie wydało się, że kątem oka dostrzeżga sunący za nimi obiektyw aparatu. Być może jakiś paparazzi, polujący na goszczące w hotelu gwiazdy. Myśl, że może być pomyłona z jakąś celebrytką, miło połechtala Matyldę, poprawiając jej nieco humor. Miała przecież na sobie zielony artystycznie wymięty żakiet i granatowe dzinsy z kolekcji Spring-Summer 2016 Pierre'a Cardina, więc nie musiała wstydzić się wyglądu i rzeczywiście mogła być wzięta za celebrytkę. A humor poprawił się jej jeszcze



bardziej, kiedy obiecała sobie w duchu, że podczas następnego pobytu w tym hotelu wpuszczą do basenu krokodyla! Ewentualnie aligatora. Albo chociaż kajmana! Później się zastanowi, skąd go wezmą.

Na zewnątrz czekała limuzyna, na tylnej kanapie siedział Wasilij. Uchylił na ich widok drzwi.

– Mam jeszcze coś dla pani. – Wyciągnął rękę z kopertą.

– Co to takiego? I wydawało mi się, że mówimy sobie po imieniu. Jestem Matylda. Zapomniałeś, tak? – Wzięła kopertę, ale nie otwierała jej. Patrzyła na Waśkę, uśmiechając się do niego zachęcająco.

– To było przedtem, zanim zostałem zatrudniony. Teraz jestem waszym pracownikiem.

– Czy ty aby na pewno pochodzisz z Rosji? – spytała ze śmiechem dziewczyna. – Tam mówienie sobie po imieniu nikomu nie przychodzi z trudem. Wolimy traktować cię jak... przyjaciela, co oczywiście nie zmienia naszej umowy w żadnej kwestii. Co ty na to?

– *Możet byt*? – zruszczył odpowiedź ich najnowszy przyjaciel, wyskoczył z samochodu, następnie już całkiem po rosyjsku porwał Matyldę w objęcia i ucałował w oba policzki. Januszowi udało się nie skrzywić na ten widok.

– Co tam masz dla mnie?

Matylda spojrzała, koperta była delikatnie kremowa z wytłoczonym herbem, mało czytelnym. W lewym górnym rogu wygrawerowano ozdobnymi zawijasami *Comtesse Charlotte-Ann de Riquet*. Dokładnie na środku napisane było imię i nazwisko Matyldy, z bardzo starannie, artystycznie wręcz zakręconym zawijasem przy literze „ę”. Dziewczyna ścisnęła kopertę, nie była gruba, nic w niej nie szeleściło, nie przesuwano się, niczego nie można było wyczuć palcami.

– Będiesz tak macać ten liścik, czy go wreszcie otworzysz? – Janusz się zirytował.

– Zaraz otworzę, chcę tylko przedtem poinformować was obydwu o zmianie planów.

– Wizy chińskie już są w waszych paszportach, nie trzeba zmieniać planów – wtrącił Waśka.

– Doskonale, ale na razie nie będą nam potrzebne. Samolot gotowy? – Wasilij nawet nie raczył odpowiedzieć. Jego mina pokazywała jasno, że nie życzy sobie więcej podważania własnych kompetencji. – Ile czasu potrzeba, żeby załatwić na lotnisku zmianę trasy? Jakies pozwolenie? Korytarz, czy jak to się tam mówi?

– To zależy od tego, gdzie chcemy wylądować...

– W Rzymie! Wasia, załatwiał to, a na razie podrzuc nas do Epicure. Słyszałam, że można tam zjeść najlepszą kaczkę w Paryżu.

Wasilij bez słowa komentarza podał adres kierowcy limuzyny.

– Zmiana planu lotu trochę potrwa, ale oczywiście załatwię to, nie ma sprawy.

Gdy pisarze rozsiedli się przy stoliku wskazanym przez szefa restauracji, Janusz z zasznurowanymi ustami czekał na wyjaśnienia. Zawziął się i postanowił, że o nic nie zapyta. Właściwie nie wiedział, co go bardziej ciekawi – czy zawartość tajemniczej koperty, czy niespodziewany pomysł z lotem do Rzymu.

Matylda tymczasem powoli studiowała menu, choć przecież wiedziała, że chce kaczkę. Ale może jeszcze jakieś przystawki? Coś do picia?

Wytworny kelner już stał obok, więc pisarka, bez konsultacji z partnerem, zamówiła potrawy, których nazwy spodobały jej się w menu. Janusz kiwnął głową, potwierdzając, że prosi o to samo.

– Co myśmy tam nazamawiali?! – wysyczał, cały czas zły z powodu braku wszelkich informacji. – Nie mam nic przeciwko ślimakom ani żabom, byle nie lądowały na moim talerzu...

– Generalnie kaczkę, a co dalej, zaraz się przekonamy – oświadczyła beztrosko Matylda, nie przejmując się humorami towarzysza. Leżącym na stole nożem, który na pewno nie służył do tego celu, otworzyła kopertę od hrabiny de Riquet. Wypadł z niej czek na kwotę dziesięciu tysięcy euro, wypisane starannym pismem podziękowanie za uratowanie Bijou oraz zaproszenie do hrabiowskiej posiadłości. Termin zechce wskazać *chère Mathilde*, wystarczy tylko telefon z datą przyjazdu. Odmowa przyjęcia zaproszenia będzie wielką przykrością i *Mme la comtesse* ma nadzieję, że do tego nie dojdzie. Pod spodem dziecięcym pismem było wykaligrafowane: „*Nous nous félicitons également. Pierre et Bijou*”. Obok wyrysowano nieco koślawe serduszko i postawiono trzy wykrzykniki.

Matylda, krztusząc się lekko aperitifem, podała kopertę z zawartością spoglądającemu na nią z nieukrywaną ciekawością partnerowi. Potrząsnęła głową i zajęła się spożywaniem – chyba przystawki – czyli malutkich kawałeczków owoców morza otoczonych kurkami, w jakimś gorzko pachnącym gęstym sosie. Przed Januszem stanął talerz z taką samą zawartością. Z demonstracyjną obojętnością odłożył na bok liścik hrabiny i bez słowa komentarza zajął się konsumpcją. Ta trwała trochę, bowiem ledwo zjedli przystawki, czujny kelner podał dwa talerze z kaczą pierśią, pokrojoną w cieniutkie plasterki poprzetykane cząstkami pomarańczy i oblane sosem, wyglądającym na czekoladowy. Okazał się jednak żurawinowy. Następnie dostali lody w czymś z czekolady, co wyglądało jak ażurowa kula, i wreszcie postawiono przed nimi aromatyczną czekoladę w wykwintnej filiżance. Talerzyk dodatkowo ozdobiono -jeżynową gałązką z listkami i owocami.

– Zjeść te liście? – cichutko spytała Matylda, niepomna, że nikt wokół nie rozumie po polsku.

– Ja zjem tylko jeżyny. – Janusz z niejakim trudem nabił na widelczyk

jeżynową kulkę i spałaszował ze smakiem. – A z tą czekoladą to przesadziłaś. Zapomniałaś o swojej cukrzycy?

Wytarł usta serwetką. Jego mina świadczyła jasno, że może i to wszystko było smaczne, ale najęść to on się nie najadł. Matylda przez chwilę poczuła coś na kształt wyrzutów sumienia, bo przecież zazwyczaj oddawała mu połowę swojej porcji, a tym razem pożarła po prostu całą kaczkę, jak nie przymierzając głodne prosię, a nie wykwinna dama. Ale przecież mógł sobie zamówić dokładkę. Już chciała powiedzieć to swojemu nienajedzonemu mężczyźnie, gdy do stolika podszedł kelner, trzymając w rękach kształtną butelkę Puligny-Montrachet Les Referts.

– *Louis Jadot, si vous répondez?*

– Owszem, lubimy Chardonnay. – Janusz skinął głową, a Matylda wpatrzyła się w niego z otwartymi ustami.

– Skąd wiedziałeś, że to Chardonnay?

– Cóż, ma się to obycie – rzekł skromnie. Prawda była taka, że widział tę butelkę w karcie win i zapamiętał markę.

Poprosili jeszcze o kawę, bo jakoś trzeba było zabić czas do powrotu prywatnego komandosa, jak między sobą nazywali Waśkę.

– Wiesz – odezwała się *cher* Mathilde, biorąc do ręki kopertę od hrabiny de Riquet – dziesięć tysięcy euro to chyba niezła stawka za uratowanie życia psiaka. Szczególnie gdy wziąć pod uwagę, że on właściwie sam się uratował, bo ja zdążyłam tylko złapać za portki jego małego właściciela, czy tam opiekuna, wicehrabiego Pierre’a de Riquet.

– Zakładając, że jest on wicehrabią – mruknął Janusz. Wymieniona przez Matyldę kwota nie zrobiła na nim większego wrażenia. Tyle że pieniędzy, zamiast ubywać, to im wciąż przybywało.

– W pierwszej chwili chciałam odesłać ten czek. Ale po zastanowieniu się, sądzę, że takie... nieodnotowane nigdzie parę groszy na drobne... wydatki nam się przyda. Nie na wszystko możemy zdobyć rachunki.

– A ja pomyślałem, że pobyt w tym zamku będzie miłym wytchnieniem po tych wszystkich wysiłkach związanych z wydawaniem naszego... to znaczy twojego miliona. Ciekawe, że bogaczom przychodzi to jak zdmuchnięcie świeczki na torcie. Oddzwoń do drogiej Charlotte-Ann. Że dziękujemy za zaproszenie i z miłą chęcią zjawimy się za miesiąc. Dokładny termin potwierdzimy.

– Dlaczego ja? – Chciała się sprzeczać (dla zasady oczywiście!), gdy przy ich stoliku stanął Waśka, meldując, że wszystko załatwione i mogą wylatywać do Rzymu około szóstej po południu.

– Prędko wróciłeś, nie było żadnych problemów?

– Najmniejszych. Ale może więc teraz wytłumaczysz nam, szefowo, dlaczego tak raptem lecimy do Rzymu?

– Chciałeś zapewne zapytać, na co tam będziemy wydawać pieniądze. – Matylda roześmiała się, unikając odpowiedzi. Poleciała Waśce zamówić sobie coś na ząb, podczas gdy oni w tym czasie wybiorą się na godzinkę czy dwie do Galerie de Souzy, gdzie wystawiane są nie tylko wybitne dzieła sztuki z czasów Cesarstwa, Belle Epoque, ale i dzieła bardziej współczesnych artystów.

– To bliźniutko, dosłownie za minutkę będziemy – tłumaczyła przymilnie Januszowi. – Tam te dzieła sztuki można kupić, co chwilowo nie jest dla nas możliwe, ale wypatrzeć coś możemy. Za miesiąc z kawalkiem kto wie, kto wie...

– Wiesz przecież, że ostatnio odnowiłam kontakty z Heleną – mówiła Matylda, gdy przeglądali zbiory Galerie de Souzy.

– Ach tak, Helena – mruknął Janusz, zatrzymując wzrok na jednym z eksponatów galerii, którym była przepyszna para pistoletów inkrustowanych złotem... – Niektóre z tych rzeczy chciałbym nawet mieć... Ale co ma Helena do naszych planów...? – zapytał, demonstrując pewne rozkojarzenie. – A, prawda, ona teraz mieszka w Rzymie.

Helenę znał nieźle, przyjaźniła się z Matyldą, więc czasami bywała u nich w domu, zdarzało się, że wspólnie ruszali w miasto.... Lubił ją, głównie za to, że była nawet bardziej – o ile to możliwe – postrzelona od jego partnerki. Bo tak zwani zupełnie normalni ludzie potrafią być niewiarygodnie wręcz nudni. Wiedział, że ostatnio Helence coś tam nie udawało się zawodowo, do tego stopnia, że musiała zająć się w ogóle czymś, co miało znikomy związek z jej kwalifikacjami i wykształceniem. Nie bardzo chciała się z tym pogodzić, więc uległa namowom dawnego kolegi, jeszcze ze szkolnej ławki, i wyjechała do Rzymu, gdzie ów kolega, Michał, mieszkał już ładnych kilka lat. Ożenił się tam, miał dwoje dzieci, dobrą pracę.

– Przyjeżdżaj, dasz radę – namawiał Helenkę. – Język znasz, a to najważniejsze. Mieszkać możesz u nas, spokojnie się pomieścimy.

– A praca? – wahała się Helena.

– Co praca? – Michał odburkiwał prawie ze złością. – Zahaczysz się gdzieś na początek, a potem rozejrzysz za czymś odpowiednim. Przecież w kraju teraz nie masz żadnych perspektyw...

Fakt.

W Warszawie zajmowała się wszelkiego rodzaju tłumaczeniami, symultanicznymi także. Pewnego razu dostała intratne zlecenie od zagranicznego wydawcy, dotyczyło współpracy przy przekładzie na polski wielotomowego dzieła poświęconego polityce Watykanu. Z początku Helenka była szczęśliwa, dzieło było zajmujące, pracowało jej się świetnie, jednak z czasem zaczęły się niesnaski. Problemem była liczba zaangażowanych w przedsięwzięcie tłumaczy, z którymi należało współpracować. Helena była na dodatek osobą krewką, nie dawała sobie w kaszę dmuchać, ale zadarła niestety z niewłaściwym człowiekiem. Nie umiał

wiele, głównie żerował na pracy innych, jednak posiadał odpowiednie znajomości. Wystarczyło. Helenę błyskawicznie odsunięto od projektu. W dodatku ktoś tam komuś coś szeptnął na jej temat i nagle zlecenia translacji wyschły... usiłowała zająć się czymś bliższym życiu, nawet zatrudniła się w prywatnej korporacji, gdzie mile widziana była znajomość włoskiego. Ale i tam się nie udało... po tygodniu bez ogródek oświadczyła wiceprezesowi, małemu, śliniącemu się na jej widok grubasowi, co myśli o czynionych jej awansach, a w rezultacie – bo dość miała już wszelkich korporacji! – musiała zarejestrować się w urzędzie pracy. Zasiłek nie wystarczał nawet na wynajmowane mieszkanie, o tak zwanym przeżyciu do pierwszego już nie mówiąc.

Dała się więc namówić koledze – właściwie przyjacielowi, znali się już tyle lat, że mogła tak o nim myśleć – zlikwidowała stołeczne sprawy i, niemal jak stała, wyjechała do Rzymu. Początkowo rzeczywiście mieszkała z rodziną Michała, znalazła jakąś pracę, nie rewelacyjną wprawdzie, ale dającą jako takie zarobki. I wtedy poznała kolegę Michała, który przyjechał do niego w odwiedziny. Spodobali się sobie, coś zaiskrzyło, i wszystko byłoby jak w kinie, gdyby nie fakt, że Marek, bo tak nazywała się rzymska miłość Helenki... musiał wracać do Polski. Niestety, skończył mu się urlop. Helena była szalenie romantyczna i, co tu kryć, naiwna, wierzyła więc, że uczucie rozkwitające w Rzymie będzie trwać. I trwać. I trwać. Aż ona odłoży tyle pieniędzy, że wróci do Warszawy i będzie mogła kupić tam sobie własne mieszkanko. Albo aż on nie wytrzyma długiej rozłąki przerywanej płomiennymi spotkaniami, które były jak chwila..., kupi jej pierścionek z diamentem, buchnie na kolana i poprosi o rękę. Tyle że w realnym świecie działo się coś niezrozumiałego... rzymskie wizyty trwały coraz krócej, a przerwy między nimi były coraz dłuższe. Na dodatek żona Michała była znowu w ciąży i w mieszkaniu zrobiło się za ciasno. A Marek... był wygodny, znudziły mu się te podróże do wiecznego miasta, znalazł sobie nową sympatię, niemalże po sąsiedzku. Miał do niej może dwie stacje metra...

Janusz dobrze to wszystko pamiętał, ostatnio Matylda przebąkiwała, że przyjaciółka chyba wyjdzie na prostą, przynajmniej w sferze uczuć, albowiem poznała kogoś, kimś się zachwyca, aczkolwiek nie chce niczego więcej zdradzić.

– Mam nadzieję, że nie żonaty, na dodatek z dziećmi... – odezwała się Matylda, jakby czytała w myślach partnera. – Bo Helena zwykle mówi wszystko, pytana i nie pytana, a teraz w sprawach zasadniczych jak makiem zasiał, jedyne, co można się od niej dowiedzieć... że ten nowy... wspaniale zbudowany. Że Michał Anioł, gdyby żył, tylko jego chciałby rzeźbić. I nie tylko rzeźbić, znając upodobania artysty...

Matylda dość dużo wiedziała o Buonarottim, zawsze interesowała się sztuką, a Michał Anioł był jednym z jej ulubieńców.

– Widzisz więc sam – oświadczyła Januszowi – że mając możliwość, po

prostu musimy Helenę odwiedzić. Zobaczymy, czy w coś się nie wpakowała.

– Widzę. – Janusz kiwał głową. – A ty przy takiej małej okazji obejrzysz sobie z bliska swoją ukochaną Pietę i Kaplicę Sykstyńską.

– No właśnie. Dobrze mnie znasz. Wiesz, że mam gołębie serce i umiejętność niesienia pomocy. A sztukę kocham, przekonałeś się o tym choćby w Paryżu.

– I w Pradze, gdy albo nie wychodziłaś z muzeum Alfonsa Muchy, albo tropiłaś po całym mieście dzieła Davida Černego.

– Černy to jednak, z całym szacunkiem, nie Michał Anioł. Nie pretenduję do miana eksperta, nie ośmieliłabym się jednak dokonać takiej ryzykownej analizy porównawczej... Kieruję się jedynie własnym osądem, własnym spojrzeniem, własną intuicją. A jestem dość zachowawcza, jak wiesz. Černy mnie bawi, ale rzeźbiarzy jest dla mnie zaledwie dwóch – Michał Anioł i Rodin. Ale palicho rzeźbiarzy, sztuką zajmiemy się później. Teraz chcę się spotkać z Heleną.

– A ona wie, że zaraz będziemy w Rzymie?

– No skąd. To ma być niespodzianka.

Parę minut po siedemnastej samolot pilotowany przez Wasilija już kołował po lotnisku, a Matylda wyjaśniała Waśce, że teraz chcą, aby wynajął jakąś tak wspaniałą limuzynę, by Helenka z wrażenia musiała zbierać szczękę z podłogi...

– Najlepiej rolls-royce'a i nie obchodzi mnie, jak to załatwisz. Przekonałam się już, że możesz dokonać wszystkiego, a cena, jak wiesz, w ogóle mnie nie interesuje. Najlepiej, żeby wszystko kosztowało jak najwięcej. Bierzymy taksówkę i czekamy na ciebie w Piperò al Rex.

– Jak ty potrafisz wybrać najodpowiedniejszą restaurację w każdym mieście?

– Janusz był pod wrażeniem, gdy okazało się, że podane im carbonara było daniem absolutnie przepysznym. Makaron pokrywała jedwabista powłoka chleba zapiekanego z jajkiem, całość polano sosem z kawałkami boczku. Smakowało wprost niebiańsko.

Matylda tylko wzruszyła ramionami. A od czegoż internet? A poza tym cóż to za pytanie, ona przecież zawsze była perfekcyjnie przygotowana. Do wszystkiego.

Zjedli obiad, deser, wypili kawę, a Waśki nie było.

– Co jest? – martwiła się Matylda.

– Przecież nie wszystko da się załatwić błyskawicznie. Lepiej zadzwoń do Heleny, zorientuj się, gdzie jest, jakie ma plany na dziś. Głupio byłoby zajechać pod jej mieszkanie i pocałować klamkę. Albo pod miejsce jej pracy. A co ona właściwie teraz robi?

Uwaga była słuszna, konwersacja z przyjaciółką zajęła Matyldzie małe pół godzinki. Waśki nie było w dalszym ciągu.

– Helena pracuje teraz na poczcie, w okienku listowym. Musiałam

powiedzieć, że jesteśmy w Rzymie i że po nią przyjedziemy, inaczej nie przyznałaby się, gdzie ją można znaleźć. Prawie się pokłóciłam, bo ona sądzi, że praca na poczcie jest czymś, czego należy się wstydzić. Powiedziałam, co o tym myślę. W sumie uważam, że Helenka jest bardzo dzielna i że wspaniale daje sobie radę, właściwie sama w obcym mieście. Powiedziałam to. Dziwnie się zaśmiała na słowo „sama” i wyjaśniła, że owszem, jest sama, ale nie całkiem. Trochę mnie tym zdenerwowała, bo zaczynam sobie wyobrażać najgorsze. I wiesz? Zachowywała się, jakby wcale nie była zadowolona z naszego przyjazdu. Teraz już koniecznie muszę się z nią zobaczyć. Gdzie ten nasz komandos?!

A prywatny komandos właśnie wchodził do restauracji, z niezbyt pewną miną.

– Zawiodłem, niestety, *miłoczka*. Nie udało mi się wypożyczyć rollsa. Nigdzie. Obiecano mi za trzy dni, ale to przecież nie wchodzi w grę, wiem. Bardzo mi przykro, dysponujemy tylko bentleyem.

– Jakim modelem?

Matylda знаła się na samochodach. Jej pytanie zrobiło wrażenie na Wasiliju.

– Continental GT Speed, sześćset dziesięć koni mechanicznych, może jechać ponad trzysta kilometrów na godzinę.

Janusz uśmiechnął się sardonicznie i zapytał, gdzie niby mają rozwijać taką prędkość.

– Dobrze, ostatecznie może być bentley. I tak nie będziemy go długo używać. – Matylda pomachała kartą kredytową na kelnera. – Proszę doliczyć do rachunku jeszcze jedno takie danie. Lubisz makaron? – zwróciła się do Waśki. – My weźmiemy taksówkę i spotkamy się za dwie godziny przed Bazyliką Świętego Piotra. Chcemy obejrzeć słynną Pietę Watykańską.

– *Solo un momento*. – Wasilij wstrzymał kelnera. – Nie jestem głodny, zjadłem coś na mieście. Tu masz rachunek. – Wyciągnął druczek w stronę Matyldy. – A do Bazyliki pójdziemy razem, bo sami nie dostaniecie się łatwo do środka. Jest za gorąco, żebym pozwolił wam stać tam w kilometrowej kolejce.

– Może być – zgodziła się. – Helena dzisiaj się z nami nie spotka, ma dyżur do północy. Nie chce, żeby po nią przyjeżdżać, zdaje się, że ma już jakieś plany. Jutro za to przypada jej dzień wolny i jest do naszej dyspozycji. Umówiłam nas koło czternastej przed Kaplicą Sykstyńską, co ją dziwnie ubawiło... Nawet dobrze się składa, my sobie teraz pójdziemy obejrzeć Pietę...

– Niestety, nie zdążymy – wtrącił się Waśka. – Właś-nie sobie uprzytomniłem, że Bazylikę można zwiedzać do dziewiętnastej. Dzisiaj możemy zrobić sobie objazd po mieście, pokażę wam Koloseum, Schody Hiszpańskie i co tam będziecie jeszcze chcieli. Tylko najpierw musimy zainstalować się w hotelu. Wybraliście już jakiś?

– Może coś nam podpowiesz? – Matylda wyjątkowo nie była przygotowana.

Wasia wyjął telefon komórkowy i nie przejmując się zakazem rozmów podczas jazdy połączył się z kimś, rozmawiając w języku przypominającym trochę hiszpański.

– Po jakimu rozmawiasz? – zaciekała się Matylda.

Prywatny komandos jednak nie odpowiedział, zaczął natomiast jakieś gwałtowne manewry bentleyem, samochodem przecież nie miałym, na dość wąskich ulicach Rzymu. Po kwadransie zatrzymali się przed rozległym hotelem i dalej... było to, co nasi pisarze już znali. Bieganina chłopców hotelowych, elegancki bagażowy w firmowym uniformie wiozący ich windą, ukłon przed drzwiami. I dłoń dyskretnie wyciągnięta po napiwek.

Ujrzeni pyszny apartament, może nawet obszerniejszy od paryskiego... Oddzielna garderoba, dwie łazienki, dwa sejfy i szereg znanych już im udogodnień. Jednak najbardziej zachwylił ich przeszło dwukrotnie większy od pokoju taras, z małym basenem, łóżkiem balijskim i strefą SPA.

– O jakiej porze życzą sobie państwo masaż? – pytanie padło po włosku, ale natychmiast zostało powtórzone po angielsku.

Bez wahania zrezygnowali z masażu, prosząc jedynie, by kolację podano im na tarasie. Widok, jaki rozciągał się przed ich oczami odciągał uwagę od jedzenia. Nawet uwagę głodomora Janusza, ponieważ z tarasu mogli podziwiać kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Waśka zaszył się w swoim pokoju na tym samym piętrze.

– Słuchaj – Matylda zwróciła się do partnera. – Właściwie to za wcześnie na kolację. Pospieszylimy się chyba.

Ale gdy spojrzała na donoszone potrawy, szybko zmieniła zdanie. Janusz już zresztą pałaszował kolację, próbując wszystkiego po kolei.

Godzinę później rozległo się pukanie do drzwi.

– Wychodzimy gdzieś, czy żegnamy się do jutra? – Wasia wyglądał, jakby liczył na fajrant, niestety tak się nie stało. Ruszyli bentleyem na objazd miasta.

Na widok Koloseum samochód jakby sam się zatrzymał, bo przecież tej starożytnej osobliwości ominąć nie mogli. Niestety, obiekt także zamykano o dziewiętnastej. Obeszli więc amfiteatr dookoła i choć Matylda usilnie wypatrywała miejsca, z którego dałoby się uszczknąć na pamiątkę kawałeczek wiekowego muru, nic nie udawało się odłupać. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie zlecić tego zadania Wasilijowi, jednak szybko zrezygnowała z pomysłu. Mógłby za bardzo się przejąć poleceniem i użyć trotylu... Zresztą jako prawniczka z wykształcenia i osoba praworządna z przekonania w gruncie rzeczy wzdragała się przed takim świętokradztwem. Gdyby tak każdy turysta chciał po okruszku z tego zabytku, po amfiteatrze dawno już nie byłoby śladu.

– Jeszcze tylko Schody Hiszpańskie, Wasia, dobrze? Muszę pochodzić po Piazza di Spagna, bo film *Rzymskie wakacje* mam jeszcze na kasecie wideo



i pamiętam go doskonale. Tam przecież zaczęła się miłość księżniczki Anny i tego dziennikarza, granego przez Gregory'ego Pecka, nawet nie pamiętam jak miał na imię. Joe chyba. Ale film zapadł mi w pamięć, wzruszająca historia... – Matylda patrzyła na obydwu panów, marszcząc brwi, bo niechby tylko któryś spróbował się roześmiać z jej umiłowania starego romansu... Ale nie, panowie byli poważni. Pewnie też pamiętali ten film.

Stanęli więc na placu Hiszpańskim i gdy Matylda spojrzała na piętrzące się sto trzydzieści osiem stopni, zrobiło jej się trochę gorąco. Lubiła spacerować, lubiła nawet wędrowki po górach, ale wspinaczka po schodach jakoś nie należała do jej ulubionych rozrywek.

– To największe, ale i najszersze schody na świecie. Idziemy – powiedziała dzielnie, a w myślach dodała: Przecież nie będę pękać, pokonywałam już nie takie wyzwania.

– Schodom Potiomkinowskim ustępują – zakomunikował patriotycznie Waśka.

– W takim razie musimy kiedyś wybrać się do Odes-sy, ale teraz – *up, signori* – wydała rozkaz Matylda.

Wdrapali się jakoś aż na sam szczyt, docierając do kościoła Trinita dei Monti. Jakie to szczęście, pomyślał Janusz, że i ten obiekt już zamknięty, znowu zaczynam być głodny. Ponieważ zawsze miał coś „na wszelki wypadek” w kieszeni, schodząc, trzymał się dwa kroki z tyłu i dyskretnie wyciągnął minicroissant. Szybko go odpakował i jednym ruchem wepchnął do ust. W tej samej chwili potracił go jakiś rozradowany chłopiec, który z beztroską charakterystyczną dla młodego wieku spieszył na dół... Janusz zachwiał się i żeby nie wpaść na idącą przed nim Matyldę, próbował zrobić unik. Ale było już za późno, zdążył tylko poczuć, że wykręca mu się kostka i wylądował na kamiennych stopniach.

Waśka pomógł mu się podnieść i aż sam się skrzywił, widząc jak jego zwierzchnik i *kamarad* utyka, zaciskając zęby.

– Boli, brachu, znam ten ból. Nie ma co, jedziemy do hotelu. Załatwię elastyczny bandaż i coś na okłady. Zdaje się, że jutro masz dzień wolny, nie będziesz mógł chodzić z tą skręconą kostką.

– Ale...

– Wiem, co mówię.

Matylda dostrzegła, że Janusz ma coś w ustach, wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył nawet przełknąć nadgryzionego rogalika.

– Istnieje przesąd, że na tych schodach nie wolno nic jeść. I jak tu nie wierzyć w przesady? – Zaśmiała się zadowolona, że skończyło się w sumie mniej groźnie, niż mogłoby. – Pobyczysz się jutro w hotelu. Mam nawet pewne podejrzenia, że zrobiłeś to specjalnie... Chcesz skorzystać z tego balijskiego

masażu i ze SPA, przyznaj się.

– W przesady o świętym Nepomucenie jakoś nie uwierzyłaś – burknął Janusz, zły i zażenowany, że nie tylko wyszedł na fajtlapę, ale i na łakomczucha...

Choć jednak taki masaż i relaks w prywatnym basenie to całkiem niegłupi pomysł... Jęknął głośno i zaczął mocniej utykać.

Dzień siódmy

***W którym okazuje się, iż Pieta jest przereklamowana. Dalszemu zaś zamieszaniu winne są szare oczy Heleny, która zresztą chwilowo ogłosiła się Anitą; jednakże pewnych zasług nie można też tu odmówić Matyldzie...***

Następnego dnia Janusz bez protestów został w hotelu, korzystając z dobrodziejstw wielogwiazdkowych placówek (hotelowy lekarz, śniadanie do pokoju, drinki w zasięgu ręki, SPA, długo by wyliczać...), a Matylda wybrała się wreszcie do Bazyliki Świętego Piotra. Istotnie, kolejka była ogromna, ale Waśka, zniknąwszy na chwilę, pojawił się w towarzystwie gwardzisty, którego tradycyjny strój i olbrzymia halabarda robiły niezwykle wrażenie... Strażnik Watykanu poprowadził ich do bocznego wejścia, otwartego chyba tylko dla nich.

– Ile mu zapłaciłeś? – spytała Matylda.

– To mój dobry znajomy. Inaczej by nie pomógł, Gwardia Szwajcarska nie przyjmuje łapówek.

No i pani Ulęcka stała nareszcie przed Pietą Watykańską, znajdując ją tuż przy wejściu, po prawej stronie bazyliki, pomiędzy Świętymi Drzwiami i ołtarzem świętego Sebastiana. Rzeźbę osłania obecnie kuloodporna szyba, nie można więc przyjrzeć jej się tak dokładnie, jak chciałyby to uczynić Matylda. Ze swoją przekorną naturą nie lubiła powszechnie uznawanych arcydzieł, nie zachwycała się na przykład Giocondą Leonarda da Vinci. Ciekawa więc była, jakie wrażenie wywrze na niej słynna praca Michała Anioła, znana jej dotychczas tylko ze zdjęć, reprodukcji i filmów. W istocie rzeźba odznaczała się ponadczasową harmonią, czytała jednak sporo o Michale Buonarottim i nie spodziewała się -niczego innego.

A jednak... dzieło było zbyt eleganckie, zbyt piękne, wypieszczone i wygłaskane. Czytała, że twórca własnoręcznie polerował powierzchnię Piety słomą. Innych swoich dzieł nie traktował aż tak szczególnie. Krytycy powszechnie uważają, że jest to najbardziej ulubiona praca artysty, może dlatego, że znane było uwielbienie Michała Anioła dla *Boskiej komedii* Dantego.

Matyldę jednak słynna rzeźba rozczarowała. Natychmiast dostrzegła niewłaściwe proporcje postaci Madonny i Chrystusa. Ten ostatni był tu jakiś mały i chudy, a jego matka zbyt duża, może przez ilość spowijających ją szat. Dziewczyna uważała poza tym, że kobieta i mężczyzna nie wyglądali tu na matkę i syna, a raczej na równolatków. Uznała jednak prawo artysty do swobodnej interpretacji dzieła i choć w dalszym ciągu twierdziła, że nie lubi arcydzieł, po namyśle Pietę Watykańską do nich zaliczyła. Po prostu zbyt ceniła Michała Anioła,

żeby poddawać przesadnej krytyce którąś z jego prac.

Kaplicę Sykstyńską obejrzała pobieżnie; by poznać zgromadzone tam zbiory... Potrzeba co najmniej dwu dni, a tyle czasu to akurat nie miała. Zbliżała się przecież pora umówionego spotkania z Heleną.

– Obcięłaś włosy, świetnie wyglądasz! – Matylda trzymała w ramionach dawno niewidzianą przyjaciółkę, szarooką blondynkę obciętą na pazia.

– W ogóle cię nie poznałam, jesteś młodsza o dwadzieścia lat!

– Nosisz szkła kontaktowe? Miałaś chyba brązowe oczy, teraz masz niebieskie...

– Cudne są te twoje kolczyki...

Przerzucały się komplementami, bardziej lub mniej szczerymi, taksując się szybkimi spojrzeciami i obcałowując po policzkach.

– A gdzie Janusz? I kim jest twój przystojny towarzysz o intrygującym wyglądzie...? – Helena bezceremonialnie oceniała walory Wasilija, nie bacząc, że ten stoi tuż obok i być może rozumie po polsku.

Wasilij wyglądał, jakby niczego nie usłyszał. Błądził wzrokiem gdzieś nad głowami dziewczyn, jakby znalazł się tam zupełnym przypadkiem. Tylko gdzieś głęboko poczuł coś, co wydawało mu się, nie wróci. Wymazał to z pamięci...

Nikt nie znał bliźni, jakie na jego sercu pozostawiła kiedyś inna kobieta, której oczy były szare jak Ocean Arktyczny, choć o wiele od niego cieplejsze.

– To nasz opiekun, przewodnik, ochroniarz i organizator wypraw. Wasilij, a raczej Waśka. – Matylda zaczęła przedstawiać ich komandosa przyjaciółce. – Więcej opowiem ci o nim później...

– *Tam niet nicziewo...* Nie ma o czym opowiadać – szorstko powiedział Waśka, szukając czegoś w kieszeniach skórzanej kurtki. Trudno było nie odnieść wrażenia, że sam nie wie, czego.

– A w ogóle, to przy nim uważaj, on zna wszystkie języki świata. – Matylda zaśmiała się, jak gdyby nie dostrzegła dziwnego zachowania mężczyzny. Ale była dobrą obserwatorką i przez głowę przemknęło jej, że spotkanie z Heleną w przedziwny sposób poruszyło tego rosyjskiego twardziela. – A Janusz udaje, że zwichnął nogę i leni się w luksusowym hotelu.

– Helena. – Przyjaciółka Matyldy wyciągnęła rękę do komandosa. – ... Na pewno jest o czym opowiadać, ja chętnie posłucham. Trochę uczyłam się rosyjskiego... – Uciekła wzrokiem, napotkawszy spojrzenie Waśki. – Nieważne. A teraz błagam, chodźmy gdzieś na kawę, bo moje ciśnienie leży na podłodze.

Weszli do najbliższej kawiarni. Matylda opowiadała o najnowszych wydarzeniach, Wasilij nie wtrącał się do rozmowy, błędząc nieodgadnionym wzrokiem po wnętrzu lokalu. Tymczasem w kolejnej butelce Prosecco ukazało się dno. Ktoś by mógł pomyśleć, że Wasilij ani razu nie spojrzał na Helenę. Ale to nie była prawda. Umiał patrzeć tak, by nikt tego nie dostrzegł.

– Kocham Rzym, wiesz? – Matyldzie już trochę plątał się język, Prosecco nie należy wprawdzie do najmocniejszych alkoholi, ale zaczynały już trzecią butelkę.

– A za co go kochasz? Ja kocham i nienawidzę... ha, ha, ha. – Helena czknęła niespodziewanie i pospiesznie zakryła dłonią usta. – Bo... przepraszam, tak naprawdę uwielbiam tylko Watykan. – Pochyliła się ku Matyldzie, jakby zamierzała wyjawiać niebywały sekret. – A jeszcze bardziej pewnego watykańca... czyka, kanina? Jak się mówi?

– Jakiego Kaina? Upiłeś się, wariatko – chichotała Matylda. – Co sobie mój komandos pomyśli?

– Komandos? – Helena stuknęła palcem Wasilija w okolicę górnej kieszeni skórzanej kurtki. – To ty też komandos?

– Dawne dzieje... – Waśka nie miał ochoty na zwierzenia.

– Jak to też?! – zaprotestowała Matylda. – Tylko my mamy swojego prywatnego komandosa.

– Może tak. Może tylko wy... – Helenie niespodziewanie napłynęły do oczu łzy.

Waśka drgnął, wyciągnął skądś białą chustkę i chciał podać ją Helenie. Ta jednak odtrąciła pomocną dłoń.

– Wszyscy jesteście tacy sami! Tylko by obiecywali... A już najgorsi są ci od Michała Anioła. Przebierańcy! – bełkotała Helenka. – Wiecie, że do Gwardii Szwajcarskiej biorą wyłącznie kawalerów? To chore, skąd miałam wiedzieć...? No skąd?!

Waśka już nie starał się zachować kamiennej twarzy, był wyraźnie zaniepokojony. I doszedł do wniosku, że znacznie mniej rozumie po polsku, niż mu się dotąd wydawało.

– Może odwieziemy koleżankę, bo chyba ma dosyć – szepnął na ucho Matyldzie.

Widocznie szept nie był wystarczająco cichy, bo Helena zerwała się na równe nogi, przewracając kieliszek. Oparła się ręką o gruszkę w czekoladzie udekorowaną bitą śmietaną i chlapiąc tą śmietaną na Wasilija, tłumaczyła mu dobitnie, w paru językach, z przewagą włoskiego, że wcale nie ma dosyć! Że tylko nie cierpi komandosów! A najbardziej tych ze Szwajcarii. A w ogóle chce iść pod fontannę di Trevi, bo musi tam wrzucić trzy monety. Po czym wybiegła z kawiarni, odprowadzana zdumionymi spojrzzeniami gości.

Matylda trochę otrzeźwiała z tego wszystkiego. Z nieskładnej wypowiedzi dziewczyny zrozumiała, że powodem jej nastrojów jest jakiś watykański gwardzista. Ale przecież tam przyjmują tylko głęboko wierzących kawalerów o nieskazitelnej opinii? Helena zaś, o ile było Matyldzie wiadomo, tych cnót raczej nie miała w poważaniu. No jasne, nie ma to, jak celnie ulokować uczucie...

Potrząsnęła głową i przepraszając kelnera za zamieszanie, wydlubała z kieszeni kilka banknotów o wysokich nominałach. Nie mogła sobie teraz przypomnieć, skąd miała przy sobie tyle pieniędzy, gdyż zapomniała zupełnie o zrealizowanym w gotówce czeku od hrabiny.

– Ty zrozumiałaś, co ona mówi? – Wasilij unosił się już z fotela.

– Wszystko rozumiem. Ona ma chyba kogoś... A teraz goń ją i poczekajcie na mnie.

– Do fontanny niedaleko, nie zgubi się. – Waśce nagle jakby przestało się spieszyć.

– Ja też chcę wrzucić monetę. Ale ja tylko jedną, jeśli rozumiesz...

– To akurat tak. O wrzucaniu monet do di Trevi nawet ja słyszałem... I zdaje się, zacznym rozumieć, o co chodziło z tym Michałem Aniołem.

No jasne, nie dosyć, że trzeźwy, to jeszcze cholernie bystry, pomyślała Matylda, śledząc spojrzeniem znaną–nieznaną postać w skórzanej kurtce, opuszczając lokal. Następnie pisarka w sposób dystyngowany wyszła z kawiarni. To znaczy chciała tak wyjść, ale niestety poślizgnęła się tuż przed drzwiami na gruszcze w czekoladzie, którą upuściła Helena, nim pognęła wrzucić monetę odmieniającą jej los.... Matylda klapnęła na podłogę w sposób daleki od dystyngowanego. Na szczęście drzwiom nic się nie stało. Jej chyba też, ale przekona się, kiedy całkiem wytrzeźwieje.

Na zewnątrz Wasilij trzymał Helenę za ramię i coś jej tłumaczył. Odetchnął z ulgą na widok Matyldy i przekazał przyjaciółkę w jej ręce.

– Trzymaj ją, bo uparła się, że chce wrzucać te monety do di Trevi i musi tam koniecznie pojechać. Tłumaczę jej, że fontanna jest niedaleko, ale uparła się. No nie przetłumaczę, pomóż.

– Trzeba mi było powiedzieć, że to o rzut beretem, a nie wykręcać mi ramię – rzuciła obrażona Helena.

– Zdaje się, że skoro mieszkasz w Rzymie, to wiesz lepiej ode mnie, gdzie jest ta twoja fontanna szczęścia. – Wasia z jakiegoś powodu przeszedł na angielski.

Helena udawała, że nie rozumie. Po chwili obie przyjaciółki, trzymając się za ręce, szły środkiem chodnika, machając zawadiacko torebkami.

– ...i oznajmił mi w końcu, że na razie nie może się żenić... nie wolno mu niby... – Do Waśki docierały strzępy informacji przekazywanych przez Helenę. – To po co zaczynał? Halabardnik jeden... A wiesz, chyba rzucę tę robotę na poczcie. Najchętniej pojechałabym gdzieś daleko...

Matylda obejrzała się na Wasilija, zaraz to samo uczyniła Helena.

– Skąd ty go wytrzasnęłaś? Z Januszem już nie... naprawdę musiał zostać hotelu?

– Ej, nie przeginaj. Janusz jest i zawsze był pierwszy. Wasilij tylko dla nas pracuje, zapomniałaś? Przecież wszystko ci wytłumaczyłam.

– Pamiętam. Tylko nie wiedziałam, czy przy nim możesz mówić swobodnie... Zresztą i tak mi się nie podoba. Jest jakiś kanciasty i niewychowany.

– No co ty nie powiesz. A już mi się wydawało...

– Która pierwsza do wody? – Helena krzyknęła z łobuzerskim uśmiechem, nie dając przyjaciółce skończyć.

Złapała Matyldę za rękę, pociągając ją za sobą. Nim pisarka się zorientowała, obydwie taplały się już w fontannie di Trevi. Waśka, jedyny trzeźwy z towarzystwa, doskonale wiedział, że kąpiel tam była surowo zakazana. Czuł się odpowiedzialny za dokazujące kobiety.

– *Cziort pobieri!* – mruknął, spostrzegłszy, że w stronę jego podopiecznych energicznie kroczą dwaj karabinierzy. Na szczęście miał dużo bliżej.

– Jestem boginią. Jestem Anita. Anita! – wydzierała się Helena, mająca przed oczami słynną scenę z filmu *Słodkie życie* Felliniego.

Matylda dojrzała stróżów prawa, chciała wyciągnąć „Anitę”, jednak było to dość trudne, gdyż obie były mokre i śliskie. Jakoś wygramoliła się samodzielnie z fontanny, a Waśka złapał Helenę i przerzuciwszy ją sobie bezceremonialnie przez ramię, biegł do wynajętego bentleya. Karabinierzy pobiegli za nimi, Matyldzie chwilowo nic nie groziło.

Zrobiło jej się raptem zimno, poczuła, że alkohol całkiem jej z głowy wywietrzał. Przypomniała sobie, że podobno Marcelo Mastroianni, towarzyszący Anicie Ekberg w słynnej scenie kąpeli w fontannie di Trevi, musiał dość mocno rozgrzewać się procentami. Rozejrzała się więc, marząc o jakiejś przytulnej restauracyjce, w której mogłaby zastosować tę metodę rozgrzewki, jednak żadna nie wpadła jej w oko. Ujrzała za to włoskich policjantów maszerujących w jej stronę. Ani Waśki, ani Heleny nigdzie nie było widać, policjanci byli coraz bliżej, Matylda zdjęła więc z nóg eleganckie szpilki marki Max Mara, ciskając je na bok i pobiegła co sił w bosych nogach przed siebie. Po pewnym czasie zorientowała się, że nikt jej nie goni, za to nie miała zielonego pojęcia, gdzie jest i w którą stronę ma iść. Wybiegła prawie na środek ulicy i zaczęła machać rękami. Mimo braku obuwia i przemoczonego stroju w sumie wyglądała dość elegancko, a przynajmniej jak bardzo elegancka zmokła kura, więc nadjeżdżająca taksówka zatrzymała się na jej widok. Ale prawda była taka, że taksówkarz, mając jeszcze tylko jedną możliwość, polegającą na przejechaniu bosonogiej contessy, wolał jednak stanąć.

Gdy usłyszał nazwę hotelu, do którego chciała jechać jego pasażerka, uśmiechnął się pod nosem. Przeczucie go nie zawiodło. Na ten hotel niewielu mogło sobie pozwolić...

– O rany! – Janusz szybko otworzył drzwi apartamentu, bowiem walenie w nie było nadzwyczaj donośne i nie do zlekceważenia. Na widok przemoczonej

i bosej Matyldy zawołał, wypluwając słowa z szybkością karabinu maszynowego:  
– Jak ty wyglądasz, co się stało?! Ktoś cię gonił? Gdzie Waśka? A Helena? Chyba trochę za dużo wypiął, co?

– Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? – Matylda wpadła zdyszana do salonu, opadając na pierwszy z brzegu fotel. – Aaa, moje biedne nogi! I moje biedne śliczne buty...

Janusz wyszedł na korytarz i rozejrzał się. Żadnych butów nie dostrzegł, odpowiedzi na swoje ostatnie pytanie nie domagał się, bo odpowiedź nie była potrzebna. Jego partnerka, przewieszona przez podłokietnik fotela spała jak zabita.



Dzień ósmy

*W którym poza pewną rozmową telefoniczną pozornie niewiele się dzieje...*

Matylda obudziła się w wielkim sypialnianym łóżu. Przez chwilę przyglądała się pogniecionej i wciąż wilgotnej sukience schnącej na oparciu fotela, usiłując przypomnieć sobie przebieg poprzedniego wieczoru. Zasnęła chyba w salonie...? Trzeba będzie zadzwonić do Heleny, albo lepiej do Waśki, dowiedzieć się, czy zwiali tym karabinierom...

Wstała, nie budząc pochrapującego Janusza i powędrowała do łazienki. Doprowadziła się do ładu, zamówiła na dziewiątą śniadanie i obudziła partnera. Kiedy się golił, podśpiewując wesoło, zatelefonowała do Waśki.

– Słuchaj, możesz mi powiedzieć, jak się to wczorajsze skończyło...? – zapytała, zniżając głos do szeptu.

– A jak się miało skończyć? – zdziwił się Rosjanin. – Nikt nie dogoni bentleya. Przynajmniej, kiedy ja prowadzę. Jestem u siebie w pokoju.

– A Helena?

Odpowiedział po małej pauzie.

– Odwiozłem ją tam, gdzie chciała.

– Aha... To widzimy się, powiedzmy, za godzinę. Musimy opracować plan dalszej podróży.

– Okej, będę.

Kończyli z Januszem wyśmienite śniadanie na tarasie, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć Halinko, co tam słyhać w Szczepankowie? – Matylda ucieszyła się z telefonu przyjaciółki. – Niebawem do was wpadniemy, rezerwuj ostatni pomost. Dużo macie gości? Ryby pewnie biorą jak wściekle?

– Ryby niedługo będą pływały do góry brzuchami... – głos Haliny brzmiał grobowo. – Gości coraz mniej. A niedługo chyba i nam przyjdzie opuścić ośrodek.

– Co ty mówisz?! Stało się coś?

– Ciągle to samo. Kłody pod nogi, nieustanne szykany i zatrucie życia...

– Właścicielka ośrodka westchnęła zgnębiona. – Ten drań, który nas prześladowe, już się nawet nie kryje. To wojna. Wywalił ciężarówkę gruzu do kanału dopływowego, i teraz można przejść jezioro w bród. Wyobrażasz to sobie?

– Zawiadomiłaś policję, miejscową władzę i kogo tam można?

– Nie rozśmieszaj mnie, to walka z wiatrakami. On chce mieć tę kopalnię kruszywa, nie obchodzi go, jak bardzo zdevastuje przyrodę, i tylko ja mu stoję

okoniem. Władze gminy liczą na swoją działkę od interesu, więc co najwyżej udają zatroskanie, ale palcem nikt nie kiwnie. Wybrał najprostszą metodę, bo kiedy nas stąd wykurzy, będzie mógł rozjechać wszystko buldożerami i liczyć przyptywające pieniądze.

– Naprawdę jest tak źle?

– Źle to mało powiedziane. – Halina nie kryła przygnębienia. – Ptactwo się wynosi powoli, ryba się dusi w wodorostach, rozpacz ogarnia, gdy na to patrzeć. Ale to mu już nie wystarcza. Na drodze dojazdowej rozsypane szkło, po nocach hałasy, wycia i strzały w lesie. Mieliśmy dwa włamania i wybite szyby w samochodzie. Policja uznała, że to jakieś przypadkowe wybryki chuligańskie. Tylko skąd by się tu mieli wziąć chuligani?! Psa nie można wypuścić z ośrodka, a samemu strach na grzyby pójść, bo nie wiadomo, czy sukinsyn nie czai się gdzieś za drzewem... On nawet nie kryje się za bardzo, zależy mu, abyśmy wiedzieli, że czuje się bezkarny.

– Halinka, trzymaj się tam. Może coś wymyślimy wspólnie, kiedy przyjedziemy do was za parę tygodni.

– Jeśli nas jeszcze tu zastaniecie...

Matyldzie zabrakło słów. Najgorsza była świadomość, że zupełnie nic nie można było poradzić. Halina była za słaba na walkę z pozbawionym skrupułów draniem, dla którego liczył się jedynie upojny szelest banknotów.

Jeszcze długo po zakończeniu rozmowy Matyldzie dźwięczało w uszach: „Jeśli nas jeszcze tu zastaniecie...”.

Dzień dziewiąty

*W którym od początku nic nie jest takie, na jakie wygląda; padają strzały, a całą akcję należałoby nazwać iście koronkową...*

Nad Szczepankowem zagościł rzeński poranek. Łagodny wietrzyk rozwiewał reszki mgły, suszył łąki z rosy. W lesie pachniało mchem i butwiejącą ściółką, czasem zaszeleściło listowie. Lecz nad jeziorem panowała dziwna cisza. Miejsce, które jeszcze niedawno rozbrzmiewało krzykami ptactwa, pluskiem rzucających się na ofiarę szczupaków i odgłosami buszujących w trzcinach stworzeń, już nie przypominało tętniącego życiem uroczyiska.

Na niebie pojawiło się stadko dzikich kaczek, ale nawet one, które tu wśród oczeretów gniazdowały, wychowywały młode... nie zniżyły lotu, pomknęły gdzieś dalej w sobie tylko wiadomym kierunku.

Ubrany w wojskowy strój maskujący mężczyzna kroczył wiodącą nad brzegiem ścieżką, ogarniając otoczenie dumnym wzrokiem właściciela. Na widok martwego leszcza, kołyszącego się na mulistej płyciźnie, uśmiechnął się tylko z satysfakcją. Bezruch umierającej przyrody był w końcu jego zasługą. Nie wruszał go absolutnie, bo ryby i kawior sprowadzi sobie z Rosji. A przecież to nie jego wina, nie musiało do tego dojść! W swoim czasie zaoferował rozsądną cenę za ośrodek. Raz-dwa zrównałby wszystko z ziemią. Albo i nie... mógłby urządzić w nim mieszkania dla pracowników swojej kopalni, reszta terenu służyłaby za składowisko kruszywa. Ale właścicielka tego podrzędnego ośrodka wolała zarabiać te marne grosze, które jej tu zwożą wielcy miłośnicy przyrody... Uparta i nieprzejednana, jakby jej ptaszki, rybki i wiewiórki kogokolwiek obchodziły. Więc zastosował własne metody, wyjątkowo zresztą skutecznie. I na co im to było, przecież wiedzieli, z kim zadzierają!

Po paru minutach miejscowy samiec Alfa dotarł do ambony i wspiał się po trzeszczących szczeblach, upewniwszy się przedtem, że nikt przy niej nie majstrował. Kiedyś wycięli mu paskudny numer. Podpiłowali podpory i ambona runęła, kiedy zaczął na nią wchodzić. Szczęście, że niczego sobie nie złamał... Ich szczęście! Teraz więc wolał zachować ostrożność, chociaż szczerze wątpił, aby ze strony zaszczutej właścicielki ośrodka czekały go jeszcze jakieś niespodzianki. Gonila resztkami sił, było pewne, że długo nie wytrzyma. Właśnie szedł im pomóc w podjęciu ostatecznej decyzji, czyli dopilnować osobiście, aby była tą jedynie słuszną. Z jego punktu widzenia.

Poprzez gałęzie drzew dało się dostrzec kontury ośrodka, zarys pomostów

i kwitnące zagony wodnego zielska, gdzie jeszcze tak niedawno widać było przejrzystą taflę jeziora. Na brzegu rozsiane łódki, zastygłe w smętnym oczekiwaniu. Nikt nimi nie wypłynie, ale gdyby nawet, to czeka go bardzo niemiła niespodzianka. Samiec Alfa pogładził przewieszony przez ramię sztucer. Nie był rzecz jasna tak głupi, żeby strzelać ostrą amunicją do ludzi. Ale od czego ma się głowę? Przecież nie od parady... Wczoraj wysypał śrut z fabrycznych naboń, zastępując go grubokrystaliczną solą. Z dzieciństwa pamiętał, jak przeraźliwie boli postrzał takim spreparowanym „śrutem”, gdyż dawno, dawno temu... sam dostał od leśniczego solą w łydkę, gdy z kolegami poszli zastawiać sidła na zające. Ból i pieczenie przeszły dopiero po tygodniu moczenia i okładów ze zsiadłego mleka. Niech no więc tylko ktoś spróbuje zbliżyć się do tych łódek, z rozkoszą wymierzy własnoręcznie nauczkę... Miał wprowadzić pomagierów, ale niektóre rzeczy trzeba załatwiać samemu. Poza tym, gdy się coś podobnego robi, lepiej nie mieć świadków...

Pociągnął solidnie z piersiówki i zapalił cygaro.

Jakieś dwie godziny później, gdy nic się nie działo, zaczął się zastanawiać nad opuszczeniem posterunku. Ośrodek wyglądał jak wymarły, widać jego metody przynosiły efekty. Naraz wydało mu się, iż usłyszał jakieś podekscytowane czy rozbawione głosy. Zmrużył oczy, mocniej ściskając sztucer. Komuż to tak wesoło...?

Coś poruszyło się wśród zieleni, mężczyzna skupił wzrok, usiłując dostrzec coś więcej. Za drzewami mig-nęła kolorowa plama, po niedługiej chwili na kawałku pustej przestrzeni między ośrodkiem a jeziorem ukazały się dwie kobiety. O mało nie przetaił oczu, gdyż przedstawiały sobą istic zdumiewający widok...

Obydwie, podobne do syren, miały na sobie jasne suknie, skrzące się srebrnymi punkcikami w promieniach słońca. Ściągnięte w pasie, szerokie i udrapowane wymyślnie u dołu. Tak powłóczyście, że ich zakończone koronkami brzegi zamiatały niby tren ziemię. Suknie były zarazem wytworne i zwiewne. Wydawały się niemal prześwitujące tam, gdzie przylegały do ciała, lecz mogła to być jedynie gra światła i cieni. W rękach te przechadzające się kobiety trzymały przeciwsłoneczne parasolki w kolorowe plamy, kręcąc nimi, jak gdyby dla zabawy. Całości dopełniały kapelusze w kolorze krwistej czerwieni, z dużymi rondami opadającymi wokół głowy, kryjące twarze aż do linii ust. Kobiety poruszały się ze swobodą, jakby kroczyły paryskim bulwarem, wśród pełnych zachwyty spojrzeń i westchnień XIX-wiecznej śmietanki towarzyskiej. Wiodły ożywioną konwersację, śmiejąc się z czegoś od czasu do czasu. Jedna niosła butelkę szampana. Nie minęła minuta, gdy skryła je ściana szeleszczącej na wietrze zieleni.

Mężczyzna tkwił jakiś czas niczym sparaliżowany, zastanawiając się, czy nie śni. Czy to nie przywidzenie, lecz przecież – uspokajał się – siedząc w cieniu nie doznał udaru słonecznego, a opróżniona piersiówka była drobnostką, która nie

przyćmiła mu zmysłów! Kiedy za moment jasne plamy sukienek zamigotały bliżej jeziora, zszedł prędko po drabinie i ruszył na przełaj, gdzie przechadzały się te damy. Po paru minutach marszu minął opustoszałe pomosty, kobiet nigdzie nie było, musiały więc pójść dalej drogą nad jeziorem. Wprawdzie ośrodek miał od tej strony ogrodzenie, ale nakazał je zniszczyć buldożerem. Wiedziony ciekawością uparcie szedł dalej, choć coraz bardziej wątpił, czy jeszcze je spotka, czy były realne, czy też to tylko produkt jego wyobraźni? W dodatku zaczęło mu tu coś śmierdzieć... wyglądać podejrzanie... Zdrzemnął się na tej ambonie, czy co? Ale i tak na tej ścieżce zostawił samochód, toteż szedł dalej.

Zauważył je wreszcie. Stały nieruchomo, ucinając sobie zapewne pogawędkę, przysłonięte nieco zaroślami leszczyny, w miejscu, gdzie nad brzegiem jeziora, czy raczej tego, co z niego zostało... znajdowała się piaszczysta zatoczka. Mniej więcej tu zaparkował swojego czarnego land rovera. Doskonale. Czort jeden wie, skąd się tu wzięły takie damesy, jakieś aktorki albo modelki może? Pewnie zablądziły i zdecydowały się przenocować. Co za różnica zresztą. Uśmiechnął się wrednie do własnych myśli... Może być jeszcze ciekawiej, bo jak będą miłe, zabierze je na przejażdżkę. Nigdy nie wątpił w magię swojej osobowości, popartą grubym portfelem i drogim wozem. A jego posiadłość widziała już nie takie damulki.

Dla zrobienia wrażenia, skręcił w las, chcąc obejść bokiem kobiety ubrane jak na przechadzkę po królewskich ogrodach. Podjedzie do nich defenderem, się wrażenie na paniach robi, uchylając szyby... Wtedy poczuł jakiś nieprzyjemny zapach, wręcz fetor. Coś jakby padlina albo... zgniłe ryby? Zauważył, że drzwiczki samochodu są tylko przymknięte, a ze szczeliny u dołu kapie brudna woda, tworząc na ziemi powiększającą się plamę. Kiedy szarpnął za klamkę, w nozdrza buchnął mu obezwładniający smród, a na buty wysypały się szczątki gnijących ryb, pełne larw wnętrzości. Mężczyzna odskoczył w tył, zawył niczym ranione zwierzę i ze zmienioną wściekłością twarzą wypalił ze strzelby w kierunku jaśniejących przy brzegu sukien.

Huk rozniósł się po lesie, podrywając z drzewa stadko wron, jednak kobiety nawet nie drgnęły. Bez zastanowienia poprawił z drugiej lufy. Stały sobie dalej. To już przerastało jego zdolność pojmwania, więc ruszył w ich stronę, sięgając do kieszeni po nowe naboje. Nikt nie będzie niszczył mu bezkarnie wozu! Myśl, że one nie były do takich operacji odpowiednio ubrane ani nie miałyby czasu wypełnić mu pojazdu stertami rybiej padliny, jakoś do niego nie docierała. Za to po chwili dotarło coś innego...

Ujrzał jasne suknie, zgrabnie umieszczone na dwóch jałowcach, których czubki dodatkowo zdobiły krwistoczerwone kapelusze. Poruszone lekkimi podmuchami wiatru z daleka wyglądały jak kobiety, które przystały...

– Kapitalnie, gratuluję pomysłu. No, przeszłaś siebie samą! – wysyczała

Matylda, łapiąc się za głowę. – A ja oczywiście musiałam cię posłuchać!

– To ty wymyśliłaś, jak go wywabić z kryjówki i przywabić tutaj, więc nie zwalaj na mnie – odgryzła się Helena.

– Sam by w końcu przyszedł.

– Ale nie mogliśmy przecież czekać na niego w nieskończoność. Licho nie śpi, w każdej chwili ktoś mógł pokrzyżować nasz plan...

Kobiety siedziały po szyje w wodzie, w jedynym miejscu jeziora nadającym się jeszcze jako tako do kąpieli. Przez falujące łodygi tataraku obserwowały z narastającą konsternacją rozwój sytuacji na lądzie.

– Plan był dobry. Nie musiałaś go twórczo modyfikować. – Matylda wzdygnęła się, czując pod wodą dotknięcie. Na szczęście była to gałązka moczarki. – Upał upałem, a wykąpać mogliśmy się później. W kostiumach od Cavalli, a nie w tych koronkowych pantalonach.

– Co się przejmujesz, chłopaki siedzą w lesie i obserwują dyskretnie samochód, nikt nas nie widział – Helena zaprezentowała właściwą sobie bez troskę.

– Swoją drogą, chciałabym zobaczyć minę Waśki...

– Ja chyba śnię! Mało nie zginęłyśmy, a ty się cieszysz, że nikt nas nie widział? Twoja zgrywa wpakowała nas w paskudną kabałę. A powinnam mieć już nauczkę po rzymskiej fontannie, do której uparłaś się pójść.

– Jednak przyznasz, że mogło wyjść zabawnie – broniła się Helena. – Założenie było słuszne, ponadto liczy się styl... Drań zgłupiał na widok kukieł, no i ułat-wiliśmy chłopakom zadanie. Kto się spodziewał, że bydlak zacznie strzelać? Ale wyszło nie najgorzej, bo jakbyśmy wciąż stały na brzegu, to mogło naprawdę kiepsko się skończyć.

– Co prawda, to prawda... – Matylda musiała przyznać niechętnie, że wszystko było lepsze od zarobienia kulki. – Tylko co teraz?

– Teraz zaczekamy, aż chłopaki dokończą sprawę zgodnie z planem.

– Tylko siedź cicho. I nie wpadaj już na nowe pomysły...

– Czekaaj, on tu idzie. Wiejemy!

Mężczyzna zatrzymał się przy brzegu. Przez kilka minut rozglądał się niczym myśliwy za zwierzyną. Z boku zafalowały trzciny, jak gdyby coś dużego przeciskało się do brzegu. Patrząc tam kątem oka, złamał strzelbę, aby wsunąć nowe naboje. Raptem zza jego pleców -padło stanowcze polecenie:

– *Nie dwigaj się, ruki w wierch!*

Wystarczająco dobrze znał rosyjski, aby pojąć rozkaz. Jednak nie był przyzwyczajony, by nim komenderowano, to przechodziło jego zdolność pojmowania, a jedyne, czego właśnie pragnął, to wylądować na kimś wściekłość. Odwrócił się więc, napinając mięśnie. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, była zmierzająca ku jego twarzy pięść. Cios był dokładnie mierzony, zadany z pełnym rozmachem. Biznesmen poczuł, jakby dostał stalowym drągiem, zwiotczał i stracił

świadomość, nim upadł na ziemię.

Janusz z uznaniem gwizdnął przez zęby.

– Stara szkoła. Cicho i skutecznie.

– Następnym razem twoja kolej.

– Zapamiętam. Widziałeś dziewczyny?

– Nie, gdzie się ukryły... Spryciarzy dały ładne przedstawienie, w najważniejszym momencie schodząc furiatowi z drogi. Klasyka działań zwiadowczych i dywersyjnych. Jesteś pewien, że ta twoja nie przeszła szkolenia w służbach?

– Nie sądzę, choć jeśli chodzi o Matyldę, to niczego nie jestem pewien...

Wasilij obejrzał się. Dwie sukienki wisiały ciągle na jałowcach. Znalazł na ziemi tekturowe łuski po poprzednich nabojach. Przyjrzał się im dokładnie, dostrzegając wewnątrz kryształki soli.

– Taki patent? Oj, nie chciałbym tym zarobić w...

– Chyba ich nie trafił?! – zaniepokoił się Janusz.

– Nie ma strachu. Śrut solny nie zabije, ale wrzaski to byśmy usłyszeli. Coś mi mówi, że dziewczyny są całe i zdrowe. Zaczekamy na nie?

– Trochę ryzykowne. Ktoś mógł usłyszeć strzały, lepiej żeby nie widziano, w jaki sposób zajęliśmy się draniem...

– Racja. Dziewczyny miały przykazane schować się daleko, kiedy wejdziemy do akcji, więc... – Waśka zauważył zmierzające w kierunku wody ślady drobnych stóp na piasku i uśmiechnął się domyślnie. – Ładnie się schowały. Nie psujmy im zabawy, myślę, że prędko nas dogonią.

Janusz również dojrzał ślady i popatrzył tęsknie na wąski pas jeziora nadający się jeszcze jako tako do kąpieli. Zwłaszcza że kominiarka grzała jak gorący kompres. Ale w istocie, na nich już była pora. Lepiej nie prowokować losu, nie potrzebowali kłopotów.

Zamiast wiązać nieprzytomnego, Wasilij zatrzasnął mu na wywiniętych do tyłu rękach kajdanki. Potem uderzył go parę razy otwartą dłonią w policzki. Mężczyzna poruszył się, zamrugał powiekami i popatrzył błędnym wzrokiem.

– Cooo... kur...

– Nie gadaj, bo się zmęczysz! – warknął po rosyjsku Waśka. Biznesmen z szeroko otwartymi oczyma spoglądał na dwóch mężczyzn w kominiarkach.

– Kto wy, ja...

– Głuchy jesteś, *durak*?! Masz milczeć i słuchać. Wstawaj, *swotocz*!

Musieli mu pomóc. Padło krótkie polecenie nakazujące biznesmenowi iść przodem leśną drogą. Nie próbował protestować, czując, że na nic by się to nie zdało. Przez jego skołataną głowę przebiegały dziesiątki myśli. A nie był głupi, inaczej nie poradziłby sobie w interesach. Oprawcy działali na czyjeś zlecenie... Zakryli twarze, żeby ich nie zapamiętał, czyli nie zamierzają go zabić... Więc

chodzi o porwanie dla okupu. Dobrze, zapłaci, ile będzie trzeba... Ale potem poruszy niebo i ziemię, żeby znaleźć mocodawców...

– Droga wolna – odetchnęła Helena, wychylając się zza kępy leszczyny, skąd dziewczyny bezpiecznie obserwowały rozwój sytuacji. – Wszystko poszło jak po maśle.

– Powiedzmy... – Matylda zdejmowała z siebie wodorosty i usiłowała wyczyścić nogi z mułu. Z mizernym skutkiem.

– Świetnie to rozegrałyśmy, mucha nie siada. – Helena była pełna entuzjazmu. Nawet Waśka będzie musiał przyznać, że zasłużyła na medal. – Teraz się lepiej pospieszmy, chłopaki nie mogą czekać w nieskończoność. A słyszałaś, że nic nam nie groziło? Te naboje, to była tylko sól.

– Tylko?! – Matyldę przeszły ciarki, gdy wyobraziła sobie, że dostaje takim ładunkiem w siedzenie. – Spokojnie, no bądźże rozsądna wreszcie. Cud, że przez twoje pomysły nie dostałyśmy solą w tyłek. Musimy się ubrać i wyglądać jak ludzie, a nie topielice. Oni i tak bez nas się nigdzie nie ruszą...

Ostatnie zdanie wypowiedziała już tylko do kołyszącego się krzaka leszczyny, bo jej postrzelona przyjaciółka bez większego namysłu podążyła w stronę sukienek. Matylda machnęła ręką i ruszyła do brzegu, w miejsce, skąd niedawno wyszły. Opłucze się przynajmniej, zrobi porządek z włosami i wróci sobie wodą do zatoczki z piaskiem.

Helena pospiesznie dreptała przed siebie. Nad głową usłyszała jakieś brzęczenie, pomachała rękami, opędzając się od niewidocznego trzmiela, jednak wciąż patrzyła w dół, uważając, aby nie nastąpić bosą stopą na szyszkę czy korzeń. Nie zamierzała uronić niczego z całej zaplanowanej akcji, a najlepiej włączyć się do gry przed szykowanym biznesmenowi finałem. Tak się ułożyło, że Wasilij nie miał okazji poznać jej wszystkich talentów, ale co się odwlecze...

Nad jej głową znów rozległo się brzęczenie... Sio! Zaczęła odganiać się od natrętnego trzmiela...

Z ulgą weszła na piasek plaży, opłukała stopy przy brzegu i już sięgała po swą szykowną suknię, gdy jej ręka zawisła w pół ruchu. Przecież na materiale z miejsca pojawią się wykwity, mokre plamy... Albo coś zafarbuje, a to byłaby wielka szkoda... Niepomna, że koronkowa bielizna nie bardzo miała czym zafarbować, Helena obejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu i po prostu ściągnęła ją z siebie. Prędko wszystko wyżeła. Brzęczenie zaczęło narastać, znowu zamachała dłonią na natrętnego trzmiela, następnie popatrzyła w rozterce na pomietą, lecz wciąż mokrą bielizną. Pal licha te szykowne majtki. Upuściła na piasek wilgotne koronki i zaczęła wciągać przez głowę swą długą suknię...

Tymczasem Matylda podpływała do brzegu żabką i już zaczynała szorować kolanami po dnie. Miała się właśnie wynurzyć, gdy ujrzała Wasilija. Stał pod lasem jak zamurowany, obserwując lekkomyślne wygibasy Heleny. Matylda zdusiła



w ostatniej chwili ostrzegawczy okrzyk. Małeńka wtopa ci nie zaszkodzi, kochana – pomyślała mściwie. Należy ci się za ten numer w Rzymie przy fontannie di Trevi.

Matylda zaczęła odpływać, by tylko nie wydało się, że podglądający był zarazem podglądany... kiedy Rosjanin niespodziewanie ruszył w stronę Heleny, sięgając ręką pod wiatrówkę. Wyciągnął z przemyślnie ukrytej kabury masywnego colta, uniósł i wymierzył do dziewczyny...

Rozległ się ogłuszający huk, Helena usłyszała świst kuli i w panice padła na ziemię. Na głowę i ciało przerażonej kobiety posypały się jakieś drobne odłamki. Nie czuła bólu, ani w ogóle niczego. Jednak szok mijał z wolna...

Kiedy odważyła się unieść głowę, ujrzała klęczącego nieopodal Wasilija. Trzymał w dłoniach coś przypominającego szczątki małego samolociku. To coś miało metalowy korpus i kilka rozstawionych symetrycznie niewielkich śmigiełek.

– Niezły model – odezwał się Waśka. – Spory zasięg, szerokokątna kamera i bezpośredni przekaz obrazu.

– Co to jest...?

– Zdalnie pilotowany dron. Kiedyś dysponowało takimi tylko wojsko, do celów szpiegowskich, teraz są ogólnie dostępne.

Helenie zaczęło coś świtać.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś... – urwała, uświadomiwszy sobie, co robiła przez parę ostatnich minut. Poczwała napływające na policzki kolory. – Długo tu jesteś?

Rosjanin powiódł dookoła wzrokiem, jakby nie dosłyszał pytania.

– Ten dron ma właściciela...

– Ale przecież go złapaliście?

– Mam taką nadzieję...

Z leśnej drogi wypadł Janusz, błyskawicznie ogarnął wzrokiem sytuację i zawołał z niepokojem:

– Kto strzelał?! Gdzie jest Matylda?!

– Tam. – Helena wstała, obciągnęła suknię, podniosła przeciwsłoneczną parasolkę i pokazała na trzciny. – Gdzieś tam siedzi, musiała się nieźle przerazić. Lepiej ją przywołajmy.

Zaczęli nawoływać, ale bez rezultatu. Przez parę minut szukali Matyldy w trzcinach przy brzegu, potem coraz dalej. Bez rezultatu. Wszystkich zaczęło ogarniać złe przecucie, choć nikt nie chciał pierwszy wyjawic swych podejrzeń. Raptem Wasilij spojrział Januszowi w oczy i zapytał:

– Co zrobiłeś z tym draniem?

– No... Kiedy usłyszałem, że ktoś tu strzela, przywiązałem go paskiem do drzewa i zostawiłem.

– Więc po ptakach. A tak dobrze szło.

– A co on może działać w kajdankach i bez samochodu? Nawet jeśli by się jakoś uwolnił... – Janusz zamilkł, pamiętał to miejsce... Właśnie tu, nieopodal przybrzeżnych zarośli leżała porzucona przez tego biznesmena spod ciemnej gwiazdy strzelba. Zniknęła!

Ciszę rozdarł wystrzał, po nim nastąpił mrozący krew w żyłach krzyk. Puścili się biegiem w tamtym kierunku. Janusz pędził pierwszy, zdjęty szaleńczym niepokojem o swą partnerkę. Kiedy wypadli na drogę, ich oczom ukazał się zupełnie nieoczekiwany widok.

Mężczyzna w wojskowej panterce wiał aż się kurzyło. Matyllda uniosła strzelbę i posłała w jego kierunku zawartość drugiego naboju. Biznesmen kwiknął... podskoczył, jakby pod nogami pojawiła się niewidzialna trampolina, wpadł między drzewa i jęcząc rozpaczliwie, zniknął im z oczu.

Ubrana jedynie w mokre koronki Matyllda powitała ich z pełnym politowania westchnieniem:

– Ładni mi komandosi. Wszystko trzeba po was -poprawiać.

– Co ty znowu narobiłaś? – Janusz wciąż nie ufał własnym oczom.

– Nic takiego. Poprosiłam go tylko uprzejmie, żeby zrewidował swoje plany odnośnie do ośrodka. Prośbę poparłam argumentem, który on, jak sądzę, doskonale zrozumiał...

Wyjęła przyjaciółce z ręki przeciwsłoneczną parasolkę, rozpostarła i jakby nigdy nic, spokojnym krokiem powędrowała w stronę wiszącej wciąż na jałowcu sukni.

Helena poczuła raptem, że ktoś skradł jej cały show...

– Matyllda, słyszysz mnie?! – wołała do słuchawki właścicielka ośrodka. – Co to za warkot?

– Nic takiego, lecę helikopterem – wyjaśniła Matyllda, nim zdążyła ugryźć się w język.

– Co ty mówisz, dokąd?

– A tak, wycieczkowo. Krążymy nad Sycylią... – skłamała, zdecydowana nie przyznać się nawet na mękach, że jeszcze przed dwiema godzinami gościła z przyjaciółmi nad szczepankowskim jeziorem. – Co tam u ciebie, jakieś nowiny?

– Jakieś? To prawdziwa bomba! W życiu bym nie pomyślała, że wszystko się może tak skończyć. Ten łajdak, co chciał zniszczyć jezioro i przegnać nas na cztery wiatry, właśnie był u mnie, wyszedł dosłownie przed chwilą.

– Ciekawe...

– Wyglądał paskudnie, kulał, jęczał, nie chciał nawet usiąść. Był raczej trzeźwy, tylko wyobraź sobie, śmierdziało od niego zgniłą rybą... Przepraszał za wszystko, mało nie padając na kolana, zapewnił, że nie będzie budował żadnej

kopalni kruszywa, a zaraz jutro jego koparki przystąpią do udrażniania kanałów. – Głos Haliny brzmiał momentami, jakby sobie coś golnęła. Matylda nie dziwiła się przyjaciółce. Sama miała na to ochotę. – Myślałam, że mi się to śni. Rozumiesz coś z tego?

– No... tyle że wreszcie masz spokój.

– Ale jakim cudem, Duch Święty go oświecił?!

– Świętych bym do tego nie mieszała...

Matylda mrugnęła do Janusza, popatrzyła na siedzącego za sterami Waśkę i podrzemującą, mimo panującego w kabinie hałasu, Helenę. Niezła z nas kompania – pomyślała – ciekawe, do czego jeszcze jesteśmy zdolni...

Potrząsnęła głową, wracając do rzeczywistości. Przewidywała, że Helenie się to nie spodoba, ale będą musieli pożegnać się w Rzymie. Bo cokolwiek by mówić, byłaby nieco kłopotliwa ze swoim charakterem, towarzysząc im dalej... No i umowa z Joshem nie pozwalała płacić za nią. Poszaleli razem, no i świetnie. Kiedyś na pewno spotkają się znowu, teraz jednak muszą zająć się własnymi sprawami. Można powiedzieć, że stracili dwa dni, a czasu naprawdę mieli coraz mniej. Coś jej też szeptało, że Waśce będzie trochę przykro zostawiać Helenę... Ale to zawodowiec, nie da nic po sobie poznać.

Matylda nie miała szklanej kuli, więc nie mogła wiedzieć, że ujrzą Helenę dużo wcześniej, niż przypuszczała. I nie tylko ją...

Dzień dziesiąty

*Od którego nic już nie będzie takie jak uprzednio, Matylda planuje morderstwo, lecz w końcu bohaterowie podejmują rękawicę...*

– Ile my już wydaliśmy pieniędzy? – Janusz relaksował się w basenie na hotelowym tarasie. W najpłytszym miejscu, z głową opartą na dmuchanej poduszce. Byli tuż po śniadaniu, nieco rozleniwieni. – Kontrolujesz to trochę? Mija dziesiąty dzień naszej zabawy, więc teoretycznie powinniśmy się pozbyć ponad jednej trzeciej. Czyli roztrwonić co najmniej trzysta tysięcy dolarów.

– Roztrwonić? – Matylda poruszyła się na przepastnym fotelu, ustawionym w cieniu pod daszkiem. – Tak to odbierasz?

– Roztrwonić, przepuścić, wydać na bzdety... Jak zwał, tak zwał, ale momentami czuję się jak utracjusz zapalający cygara od studolarówek. Który nawet nie zdaje sobie sprawy, że każdego dnia na świecie umiera z głodu piętnaście tysięcy dzieci. Każdego dosłownie dnia, wczoraj, dziś, jutro...

– Coś w tym jest. Ja też czuję się chwilami, jakby mnie ktoś na siłę wepchnął do złotej klatki.

– I nawet nie musiał zamykać jej na klucz, pewien, że nie uciekniesz. Bo w środku jest przecież tak wygodnie, dostatnio i bezpiecznie.

Matylda odstawiała na szklany stolik pękaty kieliszek o smukłej nóżce. Jack Rose, ulubiony drink Humphreya Bogarta, jakoś nagle przestał jej smakować.

– Możemy w każdej chwili odpuścić, zerwać umowę, a resztę forsy podarować jakiemuś szpitalowi albo sierocińcowi.

– Nie byłoby ci szkoda?

Zastanowiła się przez chwilę, wodząc wzrokiem po zalanym słońcem tarasie z widokiem na kopułę Bazyliki Świętego Piotra.

– Trochę by było – odparła szczerze. – Chyba zaczynam się przyzwyczajać do luksusu... Nagle ożywiła się i usiadła w fotelu. – Ale wiesz co? Machnąć na wszystko ręką każdy by umiał. Nie lepiej spożytkować z sensem ten cały uśmiech fortuny?

– Co masz na myśli? – Janusz zmrużył oczy, przyglądając się partnerce. Wyglądała jak kot, który właśnie odkrył sposób na otwarcie lodówki. – Bardzo jestem ciekawy, czy to samo nam chodzi po głowie...

– Myślę po prostu, że teraz nie ma co stroić fochów i obrażać się na manę z nieba. Za to później, po wypełnieniu warunków umowy i objęciu w posiadanie legatu tego matuzalema dziwaka, zrobimy z pieniędzy właściwy użytek. Jest wiele

możliwości, żeby przyniosły radość tym, do których fortuna tak rzadko się uśmiecha. A nas nikt nie nazwie utracjuszami i nierobami.

– Podoba mi się twoja idea.

– Ale do tego musimy... – zaczęła Matylda.

– Dokładnie wypełnić warunki umowy – dokończył Janusz.

– W takim razie trzeba policzyć, ile do tej pory wydaliśmy i przedyskutować dalsze plany.

Matylda pobiegła do salonu i zaczęła zbierać poupychane w różnych miejscach rachunki. Trochę to trwało, gdyż musiała przeszukać ubrania, te wszystkie walizy, torby i torebeczki... Wprawdzie prościej byłoby sprawdzić w banku stan konta, jednak w rachubę wchodziły tylko potwierdzone wydatki na rzeczy nietrwałe, więc wołała pozbierać kwity. Postanowiła je odtąd trzymać w jednym miejscu i na bieżąco podliczać. Głupio by było pewnego dnia obudzić się, powiedzmy w Bangkoku, i stwierdzić, że nie mają grosza przy duszy. Albo po upływie miesiąca przekonać się raptem, że do upłynnienia miliona zabrakło jednego centa. Josh niby zapewniał, że pięć procent całości może pozostać nieudokumentowane, jednak Matylda wołała, o ile tylko się uda, mieć papier na wszystko. Ufała Joshowi, no... prawie całkowicie. Ale jego prawnikom już wcale.

Parę minut później Matylda zapadła w przepastny fotel na tarasie z plikiem faktur i paragonów, notesem i długopisem. Po kwadransie bilans był gotowy.

– No... wygląda, że słabo sobie radzimy z wydawaniem. Poszło nam sto dwadzieścia siedem tysięcy dolarów, a powinno ponad trzysta.

– Tylko tyle? – zdziwił się Janusz. – Nie zapomniałaś o czymś? Waśka przecież wynajął odrzutowiec i helikopter, myślałem, że na to pójda jakieś horrendalne sumy.

– Skąd... za śmigłowiec na godziny wyszło niecałe trzydzieści tysięcy. Odrzutowiec z Paryża do Rzymu połowę tego. – Matylda miała zawiedzioną minę.

– Wliczyłam już honorarium Wasilija. No i pamiętaj, że apartament w Paryżu mieliśmy za friko.

– A ile kosztowały ciuszki dla ciebie? – zainteresował się Janusz, bawiąc się niby od niechcienia fantazyjną parasoleczką z drinka.

– Dla ciebie również, nie zapominaj. Trochę więcej niż helikopter – dziewczyna wruszyła ramionami – chyba nie byłam przesadnie rozrzutna, ale musiałam uważać, żeby zmieścić się w tych dozwolonych pięciu procentach. To w końcu rzeczy trwałego użytku.

– No fakt, trudno to nazwać rozrzutnością... – oświadczył bez przekonania Janusz, spoglądając na swoje kąpielówki za trzysta euro. – W tym tempie nie wydamy miliona. Po prostu brakuje nam doświadczenia. Ale myślę, że jak się postaramy, damy radę. Kiedy zostałem z tą opuchniętą kostką w hotelu, szperałem trochę w internecie. Znalazłem w Nowym Jorku na Manhattanie hotel The Mark,

gdzie nocleg kosztuje siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. A nie szukałem długo...

Na szklanym stoliku rozdzwonił się telefon Matyldy.

– Helena, już się stęskniłaś? – powitała przyjaciółkę. – A może to nie za nami...?

– No wiesz, jak mogłaś?! Czemu mi o niczym nie powiedziałaś? Ja teraz z domu nie wyjdę, muszę się schować, wyjechać... ale dokąd?! Cały świat o was trąbi, muszę zasłaniać okna, boję się drzwi otworzyć, telefon chyba wyrzucę przez okno, albo nie, lepiej, żeby go nie znaleźli... – Helena wykrzykiwała do słuchawki nieskładne zdania, nie dając szansy, aby jej przerwać. – Operację plastyczną sobie zrobię, zobaczysz! Mogłaś choć słówkiem, jednym słóweczkiem uprzedzić, przecież nie miałabym pretensji... – Matylda już miała zapytać, czym się tak Helena upiła, lecz nie zdążyła. – Zresztą, nie powiem, żeby źle wyszło, kto mnie tam zresztą pozna?! Może tylko Waśka... ale pomyśli, że to było zaplanowane, prawda? Słuchaj, w zasadzie, to nie mam pretensji, pomysł pierwsza klasa! Mogłaś dopuścić mnie do spisku, przecież wiesz, że... bałaś się, że nie będę naturalna? A w ogóle, jak na to wpadliście, przecież to niesamowite przedsięwzięcie. A w tym hotelu, z tą pianą, no po prostu bomba...

– Rany, o czym ty gadasz?! – Matylda wykorzystała wreszcie pauzę w potoku słów przyjaciółki. – Nic nie rozumiem, co ci się stało? Jakie znów przedsięwzięcie?

– Nie udawaj, przecież mówię, że nie mam pretensji! Tylko jak byś mnie uprzedziła, to byśmy dopiero pokazały aktorstwo. No wiem, wszystko powinno -wyglądać naturalnie, ale...

Matylda uniosła brwi, kompletnie zdezorientowana, o co znów chodzi tej wariatce? Telefon był tym dziwniejszy, że głos Helenki brzmiał zupełnie trzeźwo.

– Co powinno wyglądać naturalnie? Powiesz wreszcie po ludzku?

– No jak to co? To całe sprawozdanie z waszej przygody, wszystkie perypetie, tarzanie się w luksusach, ucieczki i pościgi!

– Nie no... ty coś brałaś? – Matylda miała dość. – Albo powiesz, o co ci chodzi, albo natychmiast się rozłączam!

– Czekaj... Chcesz powiedzieć, że nie masz o niczym pojęcia? Akurat uwierzę.

Matylda odetchnęła głęboko i podjęła ostatnią próbę porozumienia się ze swą postrzeloną przyjaciółką:

– Helena, uwierz mi, nic nie rozumiem. Z twoich słów wynika, że dzieje się coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Naprawdę nie wiesz?

– Naprawdę.

– O cholera, to może nie powinnam...

– Helena!

– Słuchaj, to było tak. Wychodzę rano jakby nigdy nic po bułki, kupuję sobie do kawki świeżutkie wydanie La Repubblica, a tam, zaraz na drugiej stronie, wasze zdjęcie. Moje też, w fontannie... kiepskie raczej, ale mniejsza o to. No i opis całej historii, warunków umowy z Joshem Talko, który wypełnia wolę swojego pradziadka. Zapowiadają ekskluzywny wywiad z tym Joshem, zachęcają by sobie pooglądać was na YouTube. Nie mogłam w pierwszej chwili uwierzyć, więc odpałam internet, a w sieci aż huczy! Paparazzi zmawiają się na blogach. Można obstawiać u bukmacherów, czy wam się uda wydać ten milion.

– Jak to, co ty mówisz...? – jęknęła słabym głosem Matylda.

– Większość obstawia, że wam się uda, ale niektórzy węższą jakiś przekręt... Że niby wszystko jest ustawką, a wy macie procent z zakładów. Albo że ktoś zechce wam pokrzyżować szyki, uniemożliwiając wydanie tego miliona, i nie cofnie się przed niczym. Swoją drogą, jak wam idzie?

– Daj mi trochę czasu, muszę wszystko ogarnąć. Oddzwonię. – Matylda przerwała połączenie. Przez chwilę patrzyła na telefon jak na tykającą bombę -zegarową.

Z odrętwienia wyrwał ją głos Janusza:

– Coś się stało? Wyglądasz jak ogłuszona.

Matylda sięgnęła pod stolik, gdzie leżały poranne gazety. Odnalazła dziennik La Repubblica, spojrzała na czołówkę i zamarła na widok zdjęcia. Następnie przebiegła wzrokiem artykuł. Nie trzeba było znać włoskiego, żeby domyślić się, o czym traktował. Rzuciła Januszowi gazetę, sama pobiegła do salonu, aby włączyć laptop. Nie musiała długo szukać...

Helena mówiła prawdę!

Mogło się wydawać, że w sieci mówi się tylko o ich wysiłkach, jak tu wydać milion... Matylda zdawała sobie sprawę, iż to jedynie takie wrażenie osoby osobiście zainteresowanej tematem, gdyż wyszukiwarka selekcjonowała wyniki według zadanego klucza, lecz niespecjalnie to ją pocieszało. Znała na tyle dobrze prawa rządzące wirtualną przestrzenią, by nie mieć złudzeń, iż łatwo da się ugasić ten pożar popularności. Odpowiednio podsycane zainteresowanie historią tajemniczego spadku mogło uczynić ich podróż za milion dolarów – kultową, a im przynieść kompletny brak prywatności... Wystarczy, by do sieci wpływały wciąż nowe filmy i zdjęcia, najlepiej niecenzuralne, a przynajmniej kontrowersyjne. Do tego garść plotek, prawdziwe lub sztucznie wywołane zagrożenie na ich pełnym przegrodzie szlaku, a łaknący wrażeń widzowie będą wychodzić ze skóry, by tylko dać im na fejsie lajka. Jakby odmiana Big Brothera, tyle że w niespotykanej dotąd scenerii. I zupełnie nowym pomysłem było puszczanie w pościg za nimi sfory psów gończych w postaci paparazzich, wynajętych i samozwańczych tropicieli, a pewnie i wszelkiej maści degeneratów, którzy dla sławy nie cofną się przed niczym. A za wszystkie sznurki zapewne pociągał Josh. Nie mogło być inaczej.

Janusz zrozumiał z na wpół słyszanej rozmowy telefonicznej i artykułu tyle, że reszty się łatwo domyślił. W szlafroku wszedł do salonu i stanął za plecami Matyldy, gdy ta odpalała umieszczone w sieci filmiki. Gdyby dotąd pisarze żywili jeszcze choćby słabą nadzieję, że ktoś ze znajomych dla żartu podrzucił im spreparowaną gazetę i podpuścił Helenę, to z każdą sekundą nadzieja oddalała się niczym TGV, czy raczej zważywszy na kraj, w którym obecnie rozgrywała się akcja tej powieści, Pendolino...

– Ja chyba śnię – Matylda skomentowała posklejane w całość najważniejsze momenty ich spotkania z Joshem na barce w Pradze. – Zabiję go, utłukę i wdepczę w ziemię!

Janusz milczał jak grób.

Następny filmik przedstawiał wnętrze paryskiej taksówki, doskonale nagrał się dialog z kierowcą, który podejrzewał ich o przynależność do rosyjskiej mafii.

– To przecież niemożliwe! Skąd mogli wiedzieć, że polecimy do Paryża i o tej właśnie porze wsiądziemy do tej taksówki? – Matylda obróciła głowę, przez chwilę Janusz miał wrażenie, że widzi w jej wzroku rodzące się podejrzenie, czy to nie on był kretem... – Nie mogli przekupić wszystkich taksówkarzy w mieście...

– Josh wrzucił któremuś z nas do kieszeni nadajnik. Albo przyczepił do ubrania. A dobry haker może bez trudu włamać się do lotniskowego monitoringu, nie mówiąc już o przejściu kontroli nad kamerką w samochodzie. To było banalnie proste. Takie mamy czasy...

– Wiem, czytałam o tym. Tylko ciągle nie mogę uwierzyć, że to jest takie łatwe.

– Ale jest. Żyjemy w epoce wszechobecnej elektroniki. Nasze komputery, telefony, modemy telewizyjne i dziesiątki używanych na co dzień urządzeń są połączone z siecią, więc hakerzy mogą się do nas dostać przez każde z nich.

Matyldę przeszły dreszcze. Zrozumiała, jak może czuć się osaczona przez sforę psów łania. Kliknęła -kolejny filmik.

– O nie, tylko nie to... – W łazience paryskiego apartamentu przybywało piany, z której wynurzyła się postać przypominająca śnieżnego potwora. – Tam były kamery? Gdzie?!

– Teraz kamerę można schować w czymkolwiek. Nawet w gwoździu wbitym w ścianę...

Dziewczyna wstrzymała oddech, na szczęście umykający z łazienki śnieżny potwór był mało wyraźny i trudny do zidentyfikowania. Uspokoila się trochę, przeglądając relacje z Rzymu. Wędrówka nad fontannę di Trevi, zakończona kąpielą, i ucieczką przed karabinierami wyglądały jak kadry dobrze wyreżyserowanego filmu. Zwłaszcza jej spacer urokliwymi uliczkami Rzymu, w mokrej sukience i boso, wyszedł niemal poetycko. Gdyby jeszcze podłożyć odpowiednią muzykę... Tak, to nawet było niezłe. Matylda uspokoila się trochę na



myśl, że całość transmisji z ich podróży... jednak mieści się w granicach smaku. Prędko przebiegła myślami wydarzenia ostatnich dni. Co tam się dalej działo... chyba niewiele. Tropiciele nie byli wszechmocni, mogli stawać na głowie, nawet poznać trasę helikoptera i łączyć się z pokładowym komputerem, ale ośrodek nad jeziorem nie miał monitoringu. Była tego zupełnie pewna! Było raczej fizyczną niemożliwością, by szpicle dotarli tam równocześnie z nimi, cudów nie ma. Figa. Matylda pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmiech, klikając link do kolejnego filmiku...

Na ekranie ukazały się filmowane ze sporej wysokości dwie kobiety w jasnych powłóczystych sukniach z czerwonymi kapeluszami na głowach. Podążały ścieżką nad brzegiem jeziora, to ginąc z oczu pod koronami sosen, by pojawić się gdzieś na dalszym planie. Po chwili kamera, jakimś niepojętym dla Matyldy sposobem szybująca w górze, zbliżyła się, ukazując piaszczystą zatoczkę i stojącego nieopodal land rovera. Kobiety zachowywały się, jakby nie obchodził ich cały świat, nawet nie wiedziały o jego istnieniu, bo jakaś siła przeniosła je tam na mgnienie z zupełnie innej epoki. Oto zdejmują suknie, by przystroić dwa jałowce. Niech imitują kobiece wdzięki! Jeszcze tylko dodać nakrycia głowy, krwistoczerwone kapelusze..., a potem te dwie kobiety wchodzą do wody, aby po niedługiej chwili skryć się za ścianą sitowia. Widziany z tak niezwyklej perspektywy obraz zdawał się być urywkiem z jakiegoś dawno oglądanego filmu, jakby dotyczył kogoś całkiem innego. Matylda prawie w to uwierzyła, choć doskonale wiedziała, co będzie się działo dalej.

Akcja rozwijała się płynnie, sceny zostały świetnie zmontowane. Napięcie narastało aż do kulminacyjnej sceny, gdy jedna z kobiet ściągnęła z siebie mokre koronki i zdjęła z jałowca swą suknię. Stojący na skraju lasu mężczyzna w kominiarce ruszył niespodziewanie w jej stronę, wyciągnął broń i wystrzelił, gasząc raptownie obraz...

– Dron – słowo wypowiedziane równocześnie przez pisarzy zlało się w jedno.

– A więc to tak przebiegło... – odezwał się Janusz, który nadbiegł wtedy już po wszystkim, zaniepokojony hukiem wystrzału.

– Potem było dużo ciekawiej, właściwie szkoda, że tak szybko... – Matylda ugryzła się w język, przypominając sobie, że sama była czynną uczestniczką widzianych scen. A co najgorsze i absolutnie niedopuszczalne... nieświadomą obecności kamery! – Zabiję drania!

– Którego...?

Zamiast odpowiedzieć, porwała ze stołu telefon i wybrała zapisany w nim numer.

– To ty? – usłyszała po siódmym sygnale zaspany głos Josha. – Czy ty nie masz sumienia? Wiesz, która jest u nas godzina...

Matylda przełączyła telefon na tryb głośnomówiący, by Janusz nie uronił ani słowa.

– Nie obchodzi mnie godzina! I lepiej się obudź, bo zaraz wylądujemy helikopterem na twoim zakutym łbie!

– Jakim helikopterem? Jesteście przecież...

– Więc wiesz, gdzie jesteśmy? No jasne! Wiesz doskonale to, oraz parę innych rzeczy, tylko jakoś zapomniałeś mnie o nich uprzedzić?!

– Ale o czym? Bo niezbyt rozumiem...

– Że rozpuściłeś wieści o naszej umowie. Że śledzisz nas i nasyłasz paparazzich! Nowa odsłona Big Brothera ci się zamarzyła, co?! Ile z tego masz?!

– No, całkiem sporo, a powinno być jeszcze więcej. Bo muszę przyznać, że przechodzicie moje najśmielsze oczekiwania... – Josh zaśmiał się i nagle przestał udawać nieświadomego toczących się zdarzeń. – Zyski z reklam, umowy ze stacjami komercyjnymi, materiały na wyłączność dla mediów. Okazuje się, że pieniądze leżą na ulicy, trzeba mieć tylko odwagę i pomysł. Tylko tak dalej, a stworzę własne imperium medialne. Nie obawiaj się, wam też może coś skapnąć, jeśli będziecie dalej w swych poczynaniach tacy... innowacyjni.

– Posłuchaj mnie dobrze, chłopcze – głos Matyldy nabrał temperatury suchego lodu. – Albo natychmiast odwołasz wszystko, wydasz stosowne oświadczenie i umieścisz w sieci zakaz publikacji jakichkolwiek związanych z nami treści, albo szykuj się do procesu o zniesławienie, bezprawne wykorzystywanie wizerunku oraz naruszenie dóbr osobistych. Nie tylko powędrujesz za kratki, ale nie wypłacisz się nam do końca życia!

Słyszając tyradę Matyldy, jej partner przez chwilę pożałował nieroztropnego młodzieńca. Biedak, nie wiedział po prostu, z kim zadziera. Janusz wrzucił do dwóch szklanek lodu, nalał coli z kropelką whisky i już spokojny usiadł w fotelu. Gdzie diabeł nie może... wiadomo, kogo pośle.

– Proces powiadasz? Hmm... to by mogło być nawet nośne medialnie, przyczyniłoby jeszcze dodatkowego rozgłosu. Tylko jest jeden szkopuł. – Josh wydawał się zupełnie nieprzejęty perspektywą włączenia po sądach. Kontynuował wręcz ubawionym tonem: – Zanim wytoczysz większe armaty, zerknij sobie na czwartą stronę umowy, na taki niewinny paragraf u dołu, drobnym druczkiem. Poczekam przy telefonie.

Matylda odłożyła aparat. W głosie Josha było tyle pewności siebie, że poczuła ukłucie niepokoju. Znalazła trochę pognieciony egzemplarz umowy i otworzyła na czwartej stronie. Wskazany passus zawierał zgodę Matyldy na reklamę przedsięwzięcia. Na wszelkich polach i w sposób, jaki Josh Talko uzna za stosowny. Oraz pełne wykorzystanie wizerunku Matyldy. Do niej też należało poinformowanie innych uczestników o możliwości rejestrowania ich poczynania, a wszelkie związane z tym skargi, zażalenia i pozwy będą tym samym kierowane

pod jej adresem.

Literki były małe, jednak zupełnie czytelne, poniżej widniał jej własnoręczny podpis.

Matylda przeczytała umieszczony drobnym druczkiem fragment raz, drugi, trzeci... Potem sięgnęła ręką i wyłączyła telefon. Przez długą chwilę pisarze sączyli w milczeniu przygotowane przez Janusza drinki.

– Czy coś takiego jest zgodne z prawem? – zaczęła się głośno zastanawiać. – Taką klauzulę można z pewnością podważyć.

– Tak, być może. Jeśli zatrudnisz najlepszych adwokatów amerykańskich, przeznaczysz kupę pieniędzy i pogodzisz się z myślą, że sprawa będzie się wlec miesiącami. A rezultat wciąż będzie niepewny. Na swoje wyjdą tylko prawnicy inkasujący kolejne honoraria. Oraz Josh, szczęśliwy z dodatkowego rozgłosu.

– Chcesz powiedzieć, że przewidział wszystko i w każdej sytuacji będzie górą?

– Na to wygląda.

Matylda rozejrzała się po ogromnym salonie, przyjrzała obrazom, lustrom i zyrandolom.

– Ciekawe, czy teraz jesteśmy obserwowani?

– Nie wiem. Ale nie zdziwiłbym się.

– Josh jest chciwy, przebiegły i pozbawiony zahamowań. Jego bronią go nie pokonamy. Trzeba wymyślić coś innego.

– Masz jakiś pomysł?

– Na początek powinniśmy uspić jego czujność. Niech myśli, że się ze wszystkim pogodziliśmy.

– Czyli nie dokonujemy żadnej akcji zaczepnej? – upewnił się jakby trochę zawiedziony Janusz.

– To byłby błąd taktyczny.

– A swoją drogą...

– Tak?

– Niejedna celebrytka sprzedałaby duszę diabłu, -żeby być na twoim miejscu...

Janusz uchylił się przed nadlatującą poduszką i pierzchnął na taras.

Dzień jedenasty

***W którym bohaterowie zaczynają pojmować sens -powiedzenia, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej...***

Matyldzie zamarzyła się odprężająca kąpiel, lecz uzmysłowiła sobie, że to raczej nie wchodzi w rachubę. Choćby przeszukali najdokładniej pomieszczenie, wciąż obawiała się jakiegoś wścibskiego oka sprytnie ukrytej kamery. Niby mogła wejść do wanny w kostiumie, jednak to nie to samo. A nawet gdyby była nad morzem albo jeziorem, wciąż wypatrywałaby na niebie jakiegoś drona... Czy to jej kiedyś minie?

Myśl o jeziorze sprawiła, że raptem coś sobie uświadomiła. W jednym przeblysku stanął jej przed oczyma obraz Wasilija mierzącego z rewolweru do zawieszzonego w powietrzu elektronicznego szpiega...

Poderwała się z fotela, omal nie rozlewając drinka. Wyrzała na taras i przekonała się, że jej partner podrzemuje w cieniu parasola po sutym śniadaniu. W ostatniej chwili powstrzymała się przed obudzeniem Janusza. Sama załatwi sprawę równie dobrze. A może i lepiej...

Powinna się przebrać, jednak zniechęcała ją myśl o wszyskwidzących oczach kamer. Poprawiła więc tylko swój satynowy szlafrok, ścisnęła go mocniej paskiem, wsunęła stopy w pantofelki i wyszła z apartamentu. Zdawała sobie sprawę, że w hotelu tej klasy nie było przyjęte paradowanie po korytarzach w peniuarze, choćby najwykwintniejszym, lecz w tej chwili było jej to obojętne. Zapewne istniał tam monitoring, więc będzie to element usypiania czujności Josha. Niech chłopak myśli, że zaakceptowali jego reguły. Nie miała zresztą daleko. Pokój Wasilija znajdował się tuż za rogiem. Zapukała energicznie i weszła, kiedy tylko Rosjanin otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie.

Pokój był znacznie mniejszy od ich apartamentu, jednak urządzone komfortowo. Miał nawet balkon. W kącie salonu obok stolika i czterech skórzanych foteli stał doskonale zaopatrzonej barek. W powietrzu unosił się zapach cygara, co nieco zdziwiło Matyldę, gdyż Waśka nie palił dotąd w ich obecności. Może lubił w ten sposób kończyć lub zaczynać dzień, mniejsza o to.

– Jak prędko możesz się spakować? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Jestem spakowany. – Wskazał stojący pod ścianą nieduży płócienny plecak z mnóstwem klapek i kieszeni. – To stary nawyk, który nieraz oddał mi przysługę.

– Doskonale. – Matylda podeszła do drzwi balkonowych i ogarnęła wzrokiem dachy stylowych rzymskich kamieniczek. Nie odwracając się

powiedziała: – Opuścisz więc natychmiast hotel i mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Jesteś zwolniony.

– Mogę poznać powody?

– Znasz je. Właśnie dowiedzieliśmy się, o co w tej całej zabawie chodzi. I że nie grasz po naszej stronie.

– Skąd taki wniosek?

Matylda odwróciła się i oparła plecami o szybę. Nie uszło jej uwadze, iż Rosjanin nie zaprzeczył, iż orientuje się w sytuacji.

– Ten, kto pilotował w Szczepankowie filmujący nas dron, był tam wcześniej. Nie mógł zarazem śledzić naszego helikoptera, ukryć się w nieznanym terenie i przygotować na nasz przyłot. Tylko trzy osoby wiedziały, że nazajutrz zamierzamy tam polecieć. Ja ani Janusz nikomu nie mówiliśmy, Helena dowiedziała się w ostatniej chwili, więc tylko ty mogłeś zdradzić.

– Ktoś mógł nas podsłuchiwać...

– Też tak pomyślałam w pierwszej chwili. Póki nie przypomniałam sobie, że ani razu nie wymieniłam na głos lokalizacji ani nazwy ośrodka. Po prostu dałam ci wizytówkę, żebyś sam odszukał ośrodek na mapie i opracował plan lotu.

Matylda uświadomiła sobie naraz, że to były mocne poszlaki, jednak nie dostateczne. Rozmawiała najpierw z Januszem, nazwa ośrodka mogła zostać wypowiedziana... Albo sam Waśka mógł zupełnie nieświadomie przekazać ją, choćby telefonując na lotnisko. A teraz przyszła sama, pod wpływem impulsu, zamiast zabrać ze sobą zazwyczaj tak racjonalnego Janusza. Obawiała się po prostu, że jej partner nie wytrzyma, puszcza mu nerwy i skończy się jeszcze bijatyką...

Popatrzyła w nieruchome oczy prywatnego komandosa i zapragnęła, żeby wszystkiemu zaprzeczył, znajdując dobre, a przede wszystkim logiczne wyjaśnienie. Ten jednak milczał. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał dziwnie beznamiętnie:

– Dobrze zgadłaś. Xavier, dyrektor hotelu, nie jest żadnym moim znajomym. Przed tamtą kolacją odbyłem z nim krótką rozmowę, przedstawiając argumenty nie do odrzucenia. Josh mnie wynajął, abym bez zwłoki informował go o waszych poczynaniach.

– Nie chcę dalej słuchać. Po prostu wyjdź i zostaw nas w spokoju.

– Jak chcesz. Rozumiem, to kwestia zaufania. – Wasilij podszedł do plecaka i przerzucił go sobie przez ramię. – I pewnie nawet nie chcesz wiedzieć, dlaczego strzeliłem do tamtego drona?

Wyraźnie czekał na jej pytanie, widać było, jak mu na tym zależy. Ale Matylda tylko powtarzała sobie w myślach: Nie słuchaj go! Niech sobie idzie czym prędzej, nie jest potrzebny, sami sobie poradzimy. Rosjanin pokiwał głową, rzucił ostatnie spojrzenie na pokój, jakby sprawdzał, czy niczego nie zostawił, i ruszył

w kierunku drzwi. Kiedy kładł rękę na klamce, usłyszał za plecami:

– Dlaczego strzeliłeś do tamtego drona?

Waśka odwrócił się i odetchnął głęboko.

– To było moje zerwanie umowy z Joshem. Jaśniej nie można mu było tego przekazać. Nawet nie zadzwonił później, widział wszystko na filmie.

– Ale dlaczego...?

– Bo was polubiłem, czy to nie wystarczy? – Waśka uśmiechnął się zawadiacko i nieco kpiąco, jakby był już pewien, że przekonał do siebie Matyldę. – Widzisz, z początku sądziłem, że to będzie zlecenie jak wiele innych. Josh nie odkrył się z początku, jest zbyt ostrożny. Jednak popełnił błąd, sugerując, bym we właściwym czasie zadbał, aby spotkało was trochę nieprzyjemności, wzbogacających dramaturgię przekazu... Sądził, że ma mnie w garści, pójdę na całość, bo mu się nie mieściło w głowie, iż kogoś nie można kupić. Miałem informować go o każdym drobiazgu, o wszystkich waszych ruchach, instalować w waszych pokojach podsłuchy i kamery... uznałem, że to nie moja bajka. Kto by mnie po czymś takim zatrudnił? I niech się cieszy, że nie pokazałem mu osobiście, co robię z takimi typami. A wierz mi, stać mnie na to.

– Wierzę. – Matylda była już całkiem rozbrojona. – Ale przyznaj się, że w podjęciu decyzji pomogły ci pewne szare oczy...

Rozległo się natarczywe walenie do drzwi. Waśka odwrócił się, unikając tym samym odpowiedzi i otworzył drzwi. Na korytarzu stał Janusz.

– Jest u ciebie Matylda?

– Tak. Rozmawiamy sobie o moich sprawach zawodowych.

– Tak przypuszczałem... – Zmierzył spojrzeniem Rosjanina trzymającego na ramieniu plecak i stojącą w głębi pokoju Matyldę. – I do jakich doszliście konkluzji?

Matylda usiadła w jednym z foteli przy niskim stoliku.

– Chodźcie tu, a ty Waśka zamknij drzwi.

Mężczyźni zajęli miejsca. Janusz spojrzał pytająco na partnerkę, a gdy ta skinęła głową, nalał do trzech kieliszków koniaku.

– Najpierw muszę cię o czymś powiadomić... – zaczęła Matylda.

– Równie dobrze mogę ja – przerwał jej Wasilij.

Pisarka uniosła dłoń.

– Pozwól mi jednak. Janusz nie należy do łatwych słuchaczy – zauważyła niby to żartobliwie. Prawda była jednak taka, że obawiała się nieprzejednanej postawy partnera, ale sądziła też, że łatwiej od komandosa znajdzie właściwe słowa. – Okazuje się, że wszyscy zostaliśmy uwikłani przez Josha w przedstawienie, które on reżyseruje, pociąga za wszystkie sznurki. Bo kukielki mają tańczyć, jak im zagra. Widzisz, nasz przyjaciel początkowo zatrudnił się w nieco innej roli, niż moglibyśmy przypuszczać...

– Wiem o tym – powiedział spokojnie Janusz, kołysząc brunatnym płynem w kieliszku.

Matylda patrzyła z niedowierzaniem, starając się coś wywnioskować z wyrazu twarzy partnera. Waśka kiwnął leciutko głową, jakby nie było to dla niego niespodzianką, i zapytał:

– Kiedy się domyśliłeś?

– Gdy oglądałem nasze wyczyny nad jeziorem.

– I nic mi nie mówiłeś?! – sapnęła Matylda. – Nie wierzę.

– Przypomnij sobie, jak powiedziałaś, że zabijesz drania. A ja zapytałem, którego...

– A potem jakby nigdy nic poszedłeś na taras uciąć sobie drzemkę. Tak mało cię obeszło, że Wasilij nas wystawił Joshowi?

Rosjanin chrząknął, co miało chyba wyrażać sprzeciw..., jednak pierwszy odezwał się Janusz:

– Ty jesteś, przyznasz sama, dość... impulsywna. Więc chciałem z nim sam pogadać, ale mnie uprzedziłaś.

– Czyli wzajemnie pomyśleliśmy mniej więcej to samo o sobie...

– Na to wygląda. – Janusz posłał Matyldzie pełne uczucia spojrzenie. – Znam ludzi pokroju Waśki, paru takich spotkałem. Kiedy domyśliłem się roli naszego prywatnego komandosa, zrozumiałem też, co oznaczał strzał do tego drona.

– On mógł tylko chronić Helenę...

– To również. Ale trudno o jaśniejszy sygnał nielojalności wobec Josha. Oznaczał wycofanie się ze współpracy i groźbę, że odtąd Josh powinien bardziej uważać, bo sam może zamienić się w łowną zwierzynę. – Janusz zwrócił się do ich kompana: – Mam rację?

– W mojej branży liczy się reputacja – odpowiedział Wasilij. Sięgnął po kieliszek z koniakiem, jakby uważał temat za zamknięty.

– Ulżyło mi. – Matylda odetchnęła. – Powiedz, Waśka, jeszcze tylko, czy ty zamontowałeś kamery w paryskim hotelu? – Tak naprawdę najbardziej interesowało ją, czy w ich aktualnie zajmowanym apartamencie komandos też umieścił elektronicznych szpiegów. Ale to była chyba głupia myśl, skoro zerwał z Joshem? – Właściwie nie musisz odpowiadać, w obecnej sytuacji to nieistotne...

Wasilij najwyraźniej uważał inaczej, napił się koniaku i wyjaśnił:

– Zrobił to zapewne ktoś z personelu hotelowego, za odpowiednim wynagrodzeniem. I to pewnie sporym, bo za takie naruszenie prywatności gości hotelowych, a nawet za samo dopuszczenie do wycieku nagrań z legalnego monitoringu, grożą wysokie kary, łącznie z więzieniem. Ja miałem zacząć później. Josh sugerował, żebym był z wami ostrożny; mówił mi, że wy tylko udajecie nieświadomość, a w gruncie rzeczy gracie tak, by wystawić go na końcu do wiatru.

Plątał się w tym trochę, jednak wypłacił mi zaliczkę, więc nie widziałem powodu, aby nie wcielić w życie jego planu. Wasza opowieść różniła się nieco od tego, co Josh mi mówił; słowem, postanowiłem się upewnić, kto w tej rozgrywce posługuje się znaczonymi kartami. Josh, moim zdaniem, był przekonany, że kiedy już powiem A, i zacznę robić te drobne świństwa..., nie będę miał wyboru i będę mu jeść z ręki. Już na początku pobytu w Rzymie rozważałem wycofanie się. W końcu uznałem, że warto się przekonać, do czego jest zdolny... Przyznam, że mnie samego zaskoczył.

– Ale czemu nie powiedziałeś nam od razu nad -jeziorem, co się naprawdę dzieje?

– Cóż, czas naglił, okoliczności nie sprzyjały poważnym rozmowom...

– Przyznaj się, po prostu nie byłeś pewien, jak głęboko w tym siedzimy? – zapytała bez ogródek Matylda. – Mogliśmy być parą oszustów, która tylko czeka na okazję wyrolowania biednego Josha. Albo kandydatami na celebrytów, którzy nie mają żadnych oporów przed odarciem ich z resztek prywatności?

Wasilij wyjął z którejś kieszeni kurtki cygaro. Rolował je delikatnie w palcach.

– Przyznaję, jeszcze rano nie byłem pewien, co o was myśleć. Do czasu, kiedy Matylda powiedziała, że mnie zwalnia.

– A ty właściwie byłeś gotów się zgodzić i natychmiast opuścić hotel...

Rosjanin zapalił cygaro, nie zważając na grymasy Matyldy. Ale zaraz wstał i otworzył szeroko skrzydła drzwi balkonowych.

– Uwierzyłeś w to?

Matylda uznała, że nie musi odpowiadać. Napiła się odrobinę koniaku i przez chwilę rozważała coś w milczeniu. Raptem uniosła głowę.

– Waśka, tutaj chyba możemy bezpiecznie rozmawiać?

– Z pewnością. Sprawdziłem, mój pokój jest czysty. Jak jest z waszym, nie mam pewności. Ale chyba i tak nie pobędziemy długo w Rzymie?

– To właśnie musimy omówić. Ale przyznam... – dziewczyna skrzyżowała ramiona, jakby nagle zrobiło się jej zimno – że czuję się jakaś... zaszczuta. To wprost niewiarygodne, chore!, że można tak osaczyć człowieka. W jakich my czasach żyjemy? On śledził nas w samolocie do Paryża, podglądał przez kamery lotniskowego monitoringu, w taksówce, wiedział, który hotel wybierzemy. Potem w Rzymie znał każdy nasz krok... Jak to w ogóle możliwe?!

– Nie przeceniaj Josha, to było prostsze, niżby się mogło z pozoru wydawać.

– Wasilij położył cygaro na barierce i sięgnął po swój kieliszek koniaku. – Każdy telefon wysyła sygnał, który da się namierzyć i zlokalizować, więc nie potrzebował lotniskowego monitoringu. Nawiasem mówiąc, zaczniemy od tego, że telefony zostawimy gdzieś, powiedzmy w skrytce dworcowej, a kupimy nowe, których nie zdoła kontrolować. A wracając do Josha, nie wiem dokładnie, jak wszystko



zorganizował, ale z waszej opowieści wynika, iż miał mnóstwo czasu. Twierdzi, że blisko rok zajęło mu odnalezienie ciebie?

– To ponoć nie było łatwe...

– Bzdura. Jesteśmy w tyłu miejscach sieci, w tyłu bazach danych, że zdziwiłbym się, gdyby zajęło mu to więcej niż dwa dni. Za to więcej czasu potrzebował na planowanie kampanii medialnej i nawiązanie kontaktów z odpowiednimi hakerami, którzy pomogą mu w fazie realizacji. Myślę, że wybierał tych psychopatycznych, zblazowanych, niedocenianych, łaknących niecodziennych wrażeń poza granicami legalności. Zdziwilibyście się, czego może dokonać dobry haker. Przejęcie kontroli nad komputerem to pestka. On może zdalnie wyłączyć silnik pędzącego autostradą samochodu, zmienić sygnalizację świetlną na ruchliwym skrzyżowaniu, zakłócić działanie systemów alarmowych policji, wysłać fałszywe rozkazy brygadzie antyterrorystycznej i dużo, dużo więcej...

– Pięknie nas pocieszyłeś, nie ma co.

– Nie ma co popadać w paranoję. – Wasilij się zaśmiał. – Chciałem wam tylko uświadomić, że Josh wyprzedza nas o parę długości. Ale moim zdaniem nie przekroczy pewnych granic, bo poległby od własnej broni. W końcu idea była taka, że wasze poczynania będą śledzone na bieżąco, więc nie wyjdzie z roli wielce wam życzliwego wykonawcy testamentu pradziadka.

– Ale kogo może interesować wydanie w miesiąc miliona dolarów?! Ludzie już do tego stopnie zdurnieli?

– Wszystko jest kwestią odpowiedniego podania, ubarwienia i stworzenia otoczki – odezwał się milczący dotąd Janusz. – Ludzie uwielbiają podpatrywać innych, stąd powodzenie telewizyjnych tasiemców i produkcji typu Real Life.

– Powiedziałaś, że on nie przekroczy pewnych granic. – W tonie Matyldy kryło się całe morze wątpliwości. – Jesteś pewien, że nic nam nie grozi...?

– Tego nie twierdzę. – Waśka miał już pusty kieliszek. Pokręcił przecząco głową do Janusza wskazującego barek, wyjął z małej lodówki puszkę piwa. – Josh, świadomie lub nie, otworzył portal, przez który mogą wydostać się demony.... Załóżmy najgorsze, jeśli poszczujemy na siebie ludzi, apelując do najniższych instynktów, nieuchronnie przychodzi moment, kiedy wszystko wymyka się spod kontroli. Większość wam tylko zazdrości, stawia się na waszym miejscu, próbując wyobrazić sobie, że to oni biorą udział w grze o fortunę. Lecz są tacy, którym to nie wystarczy, pragną stać się czynnymi uczestnikami rozgrywki. Wszelkiej maści wykolejeńcy, psychopaci i żądni sławy życiowi nieudacznicy już wietrzą szansę dokonania czegoś wielkiego. W ich pojęciu, oczywiście...

– Pięknie. – Matyldę przeszły dreszcze.

– To ledwie wierzchołek góry lodowej.

– Masz coś więcej w rękawie? – Dziewczyna dopiła koniak i skinęła na

partnera, aby jej dolał. – Wal śmiało, nie krępuj się.

– Dziś rano zauważyłem w internecie ciekawy przeciek... Otóż ktoś sugerował, że istnieje nagroda dla -tego, kto przeszkodzi wam wypełnić umowę.

– Josh za tym stoi?

– Niekoniecznie. I to właśnie jest w tym najniebezpieczniejsze. Wystarczy rzucić gawiedzi ochłap, wzbudzić niezdrowe zainteresowanie i wywołać nerwowe napięcie, a reszta dzieje się właściwie sama. Plotka zaczyna żyć własnym życiem, mnożą się teorie, zainteresowani wymieniają się informacjami i zwołują niczym głodne wilki... To nie tylko psychole, ale i bogaci socjopaci, wiodący na co dzień dość zwyczajne życie.

– Trzeba więc wystąpić otwarcie i wszystko zdementować!

– Jasne, a ludzie natychmiast uwierzą? Dopiero wtedy zaczniesz się, jak wy to mówicie... polka?

– Rozumiem. – Matylda popatrzyła w stronę drzwi, jak gdyby spodziewała się, że zaraz zostaną wyłamane przez tłum szaleńców. – Skoro tak usilnie zaprzeczają, to znaczy, że coś musi się za tym kryć.

– No właśnie. Ale jest jeszcze gorszy scenariusz...

– Naprawdę? – Matylda na chwilę zatkała sobie uszy. – Mówił ci już ktoś, że jak nikt potrafisz pocieszyć...

– To pierwszy raz.

– No dobrze, powiedz wszystko i miejmy to już za sobą.

Wasilij zgniótł puszkę po piwie i wyrzucił przez otwarty balkon, jakby chciał podkreślić, że mają większe problemy niż ewentualny mandat od miejscowej straży miejskiej. Matylda pomyślała mimowolnie, że płacenie mandatów powinno być zgodne z umową. Popelnianie wykroczeń niektórzy traktują jak rozrywkę, zwłaszcza bogacze...

– Obawiam się czegoś jeszcze. Bukmacherzy już przyjmują zakłady, czy spełnicie warunki umowy. To nie jest specjalnie groźnie. Przynajmniej póki odbywa się oficjalnie...

Janusz poruszył się gwałtownie.

– Chcesz powiedzieć, że zainteresowali się nami -jacyś spece od nielegalnych zakładów?

– Istnieje taka możliwość... Ich nie znajdziecie łatwo w sieci, posługują się innymi kanałami. Jest kategoria ludzi, dla których pieniądze nie mają znaczenia, mają wszystko, więc poszukują silniejszych wrażeń. Im więcej emocji, tym lepiej. Stawki są wysokie... choćby ludzkie życie. Oczywiście cudze. Nie cofną się przed niczym, by wygrać. Parę razy, w sposób dość zawołowany, zapraszano mnie na takie swoiste polowania na ludzi...

– Czemu nam to opowiadasz? – zapytała Matylda tknięta okropnym przecuciem.

– Źle się domyślasz, nie dostałem tego typu propozycji, jeśli chodzi o was. Ale Josh wyciągnął kamyczek mogący pociągnąć za sobą lawinę. Jeśli mam dla was dalej pracować, chciałbym, abyście byli wszystkiego świadomi. Prawdopodobnie nie sprawdzi się nic z kreślonych przeze mnie czarnych scenariuszy. Ale...

– Ale?

– Nie rozmawiałbym tu teraz z wami, gdybym zawsze nie zakładał najgorszego.

– Co teraz powinniśmy zrobić? – zapytał Janusz.

– A co proponujesz?

Pisarz odniósł wrażenie, że Waśka chce go sprawdzić. Przekonać się, czy nie zmarnował czasu, przedstawiając swój punkt widzenia na ich sytuację. Skoro miał wejść do gry po ich stronie, pragnął mieć pewność, że nadają na wspólnej fali.

– Powinniśmy dyskretnie opuścić hotel, zabierając tylko niezbędne rzeczy – powiedział Janusz. – Przedtem sprawdzimy, czy nie mamy nadajników w ubraniach -albo bagażach. Trzeba kupić nowy komputer i telefony, załatwisz to?

– Jasne. A dokąd pojedziemy?

Obydwaj popatrzyli pytająco na Matyldę.

– Muszę się zastanowić... – Przetarła oczy jak ktoś, kto się właśnie obudził.

– Na razie bierzcie się do roboty, ja tymczasem zostanę tutaj i spróbuję trochę ochłonać.

– Okej, szefowo. – Waśka zarzucił sobie na ramię plecak. – Tylko nie myśl za długo, pierwsza decyzja jest na ogół słuszną...

Kiedy za mężczyznami zamknęły się drzwi, Matylda powędrowała do łazienki. Miała co najmniej godzinę spokoju w bezpiecznym od kamer i podsłuchów miejscu. Wasilij sugestywnie nakreślił obraz czyhających na nich zagrożeń, gdyby chociaż połowa miała się spełnić, lepiej było machnąć ręką na resztę schedy po narzeczonym babki, podrzeć w strzępy umowę, zaszyć się na parę tygodni na jakiejś rajskiej wysepce, a potem wrócić do poprzedniego życia. Z bardzo pokąźną sumką, wciąż widniejącą na jej koncie. Janusz z Waśką postąpili bardzo fair, niczego jej nie narzucając, choć z pewnością myśleli podobnie. To były jej pieniądze. Rozsądek nakazywał natychmiast wycofać się z tej całej niewiarygodnej imprezy, póki machina nie nabrała jeszcze rozpędu. Tak, to będzie najlepsze. Lubiła przygody, jednak hipotetyczny obraz nakreślonego przez Waśkę rozwoju wypadków przejmował dreszczem. Kiedy się staje na drodze żywiołu, lepiej nie zgrywać bohatera. Będzie więc rozsądna, nawet gdyby miała tego później żałować.

W porównaniu z łazienką w ich apartamencie ta u Wasilija wydała się Matyldzie wręcz mikroskopijna. W dodatku urządzona spartańsko, z dwoma zaledwie lustrami i bez oszłamiającej ilości kosmetyków. Fakt, że hotelowa

łazienka była ze cztery razy większa od domowej, jakoś nie zmieniał pierwszego wrażenia pisarki. Jednak nalewając wodę do obłożonej marmurowymi płytkami wanny, Matylda uświadomiła sobie, jak łatwo przywyknąć do luksusów. Oraz jak trudne bywają -czasem powroty do rzeczywistości...

Ułożyła się w wannie i przymknęła powieki, żeby raz jeszcze w spokoju przemyśleć decyzję, którą w zasadzie już podjęła. To, co do tej pory wyciekło do sieci, było w miarę okej, nawet zabawne. Nie przysporzy jej kłopotów ani trwale nie nadszarpnie wizerunku. Ale już koniec, wychodzi z gry, której w żaden sposób nie da się kontrolować. Nie ma czego żałować, bo z całą pewnością nie czułaby się dobrze w roli celebrytki. Jednej z tysięcy podobnych do siebie laleczek o plastikowym uśmiechu i umysłach morskich świnek. Nigdy nie marzyła o tym, by rozpoznawano ją na ulicy i błagano o wspólne selfie do wrzucenia na Facebooka. Mdlilo ją na samą myśl, że przestałyby się liczyć pisane przez nią książki, obojętne, czego by jeszcze w życiu dokonała, byłaby kojarzona wyłącznie z tym, co krążyło po sieci. Filmików opatrzonych rzecz jasna komentarzami internetowych trolli, pełnymi obrzydliwych insynuacji i wyspanych z palca bzdur, których w żaden sposób nie dałoby się zdementować. Wszystko, tylko nie to! Całe szczęście, iż w porę zorientowali się, co się wokół nich dzieje. Może jeszcze da się opanować lawinę. A raczej zejść jej z drogi.

Tylko jak wybrnąć z sytuacji, w której ktoś inny pociąga za sznurki i właściwie nie ma dobrego wyjścia...?

Matylda drgnęła, usłyszawszy coś jakby szczęk otwieranych drzwi, stłumione wykładziną kroki i jakieś dziwne szelesty. Waśka? No nie, za szybko na niego, zresztą zawołałby coś do niej. Tym bardziej Janusz by jej nie straszył...

W panice zmierzyła wzrokiem odległość do zostawionego przy umywalce szlafroka, dochodząc natychmiast do wniosku, że łazienka nie była wcale taka mała, jak jej się dotąd wydawało. Wzięła głęboki oddech, następnie chwyciła w rękę butelkę z jakimś kosmetykiem, stojącą na półeczce obok wanny, zdecydowana rzucić nią w intruza, kiedy tylko pojawi się w progu. Butla była szklana i ciężka, przy odrobinie szczęścia zdoła wyrządzić draniowi porządną szkodę, dając Matyldzie szansę ucieczki...

Odgłos włączonego raptem odkurzacza uzmysłowił jej, jak niewiele brakowało, żeby napadła Bogu ducha winną sprzątaczkę. Proszę, do czego doprowadziła gęstniejąca atmosfera zagrożenia, jeszcze parę dni i popadłaby w paranoję, wszędzie widząc czających się złoczyńców. Tamta na pewno pukała, nim otworzyła drzwi.

Matylda wyszła z wanny, nie wypuszczając wody. Owinięta szlafrokiem wychyliła się z łazienki i zawołała po angielsku, przekrzykując szum pracującego -odkurzacza:

– Czy mogłaby pani przyjść później?

Dziewczyna w czepku i hotelowym fartuszku na ciemnogrnatowej sukience patrzyła zaskoczona. Może nie знаła angielskiego? Matylda już szukała w głowie odpowiednich słów po włosku, ale sprzątaczką tymczasem odzyskała mowę.

– Sorry. Widziałam, że pan, który tu mieszkał, wychodził z plecakiem, dlatego przyszedłam...

Pokojówka przyglądała się dziwnym wzrokiem Matyldzie, która uznała za stosowne rzucić jakieś wytłumaczenie:

– To mój... pracownik.

– Tak, ja rozumiem. – Kobieta wciąż przyglądała się Matyldzie niczym jakiemuś niezwykle zjawisku. – Ktoś przyjdzie posprzątać później, bo ja już niestety kończę zmianę.

Matylda kiwnęła głową, lecz sprzątaczką wciąż ociągała się z opuszczeniem pokoju. Zwinęła przewód odkurzacza, poprawiała równiutko wiszące na wózku ściereczki, zerkając co chwilę w kierunku gościa. Chyba nie oczekiwała napiwku?

– Coś jeszcze?

– Nie, ja tylko... – Sprzątaczką sięgnęła niespodziewanie do kieszonki w fartuszku i wyciągnęła stamtąd notes z wytłoczonym emblematem hotelu. – Czy mogłabym prosić o autograf? Bardzo proszę, inaczej nikt mi nie uwierzy!

Matyldę do tego stopnia zdumiała prośba, że aż cofnęła się o krok i spojrzała w lustro. Co się dzieje, u licha?! Może jest podobna do jakiejś gwiazdy kina, o której jeszcze nic nie wie? Sprzątaczką stała wyczekująco, ciągle zwlekając z odejściem.

– Pani mnie chyba z kimś pomyliła...

– Niemożliwe. Pani Matylda, ta, która musi wydać milion dolarów, zanim panią okradną, porwą albo zamkną w więzieniu. Albo zaczną torturować, czy co tam wymyślą. Widziałam rano o pani program, fantastyczny! – zawołała z entuzjazmem. Nagle zakryła na moment usta i rozejrzała się, jakby coś sobie uświadomiła. – Ja wiem, że pani musi udawać, że się ukrywa i robić te wszystkie hece... Ale ja nic nie powiem, przysięgam! Coś by pewnie zapłacili, ale ja jestem po pani stronie. Boże, jak chciałabym być na pani miejscu!

Porwać i torturować?! Matyldzie zrobiło się słabo.

– Na moim miejscu...? Kto chce mnie porwać i torturować?

– Przecież na niby, ja wiem. Wszystko wyreżyserowane, co? – Sprzątaczką zmrużyła oko... już ona tam wie, jak działają media. – Oglądałam Big Brothera i te programy, gdzie zostawia się ludzi na bezludnej wyspie i obserwuje dzień po dniu, jak sobie radzą. Powie mi pani, jak się załapać do takiego programu? Proszę!

– Uwierz mi, że byś nie chciała...

– Tu są kamery? – Sprzątaczką rozejrzała się z nadzieją, że sama wystąpi w choćby małym epizodzie.

– Nie ma. – Matylda miała dość, pragnęła już tylko splawić natrętą fankę.

– A w tamtym apartamencie? Mogłabym przyjść i chociaż jedno zdjęcie...

– Czy ty nic nie rozumiesz, w jakim świecie żyjesz?! – warknęła Matylda, dając upust narastającej frustracji. Jeszcze przed chwilą nie zdawała sobie sprawy, jakim szerokim echem odbiły się ich dotychczasowe „występy”. – Myślisz, że kręcimy wszystko według scenariusza i inkasujemy honorarium? Oprzytomnij kobieto, to nie odbywa się w taki sposób!

Kobieta wyglądała na mocno spłoszoną wybuchem Matyldy. Bąknęła coś z zawiedzioną miną i ruszyła w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą odkurzacza. Pisarce zrobiło się nieco przykro. Sprzątaczką wyglądała na jej rówieśniczkę, miała ten sam kolor włosów i uczesanie, nawet podobną figurę. I wydawało się jej zapewne, że jakimś głupim zrzędzeniem losu omija ją w życiu to, co najlepsze... Raptem Matylda wpadła na pewien pomysł:

– Zaczekaj jeszcze. Może chciałabyś nam pomóc?

– No pewnie... – padła ostrożna odpowiedź, sprzątaczką nie była pewna, czy to nie jakiś żart na użytek ukrytych kamer.

– Świetnie, znakomicie. – Matylda położyła palec na ustach, zamknęła drzwi balkonowe i przywołała ją gestem dłoni. Wskazała fotel przy stoliku w rogu pokoju. Następnie oznajmiła szeptem: – Zdradzę ci nasze plany, jeśli pomożesz nam w czymś i przyrzekniesz zatrzymać wszystko w tajemnicy przez dzień lub dwa. Zgoda?

Matylda celowo stworzyła konspiracyjną atmosferę, choć w pokoju Wasilija czuła się bezpiecznie. Nalała pierwszego z brzegu trunku do dwóch kieliszków.

– Jasne, że pomogę – przyrzekła solennie sprzątaczką.

– Bo widzisz, chcemy im zwać, przynajmniej na jakiś czas.

– Ale dlaczego?

– Mamy pewien plan, który tylko podkreśli atmosferę... – oznajmiła enigmatycznie Matylda. I natychmiast obiecała: – Kiedyś poznasz szczegóły.

– A co miałabym zrobić?

– Pomóc mnie i partnerowi opuścić po cichu hotel. Pracujesz tutaj, znasz wyjścia dla personelu i na pewno możesz załatwić służbowe uniformy? A potem wyprowadzić nas dyskretnie?

– Jasne, że mogę – zapewniła sprzątaczką i natychmiast spytała z ożywieniem: – To znaczy, że też wystąpię w waszym reality? Super!

– No nie, zastanów się chwilę. Chcemy zwać w tajemnicy, tak aby nie zauważyła tego żadna kamera ani nie dostrzegli paparazzi. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Entuzjazm dziewczyny nieco stopniał. – No dobrze, pomogę. Tylko szkoda, że nikt się o tym nie dowie.

Matylda napiła się trunku, który okazał się rodzajem jakiejś słodkiej nalewki. Kombinowała, jak by tu wynagrodzić anonimową pomoc, nim ta zrezygnuje, wycofując się rakiem, gdy w jednym przeblysku doznała nagłego olśnienia. To

było tak proste, że aż... genialne!

– Słuchaj, myślę, że mogłabym tak wszystko urządzić, żebyś zagrała w naszym programie... – powiedziała z wahaniem, udając, że głęboko się namyśla.

– Tylko nie wiem, czy jesteś dobrą aktorką?

Pytanie Matyldy było tyleż prowokacyjne, co chytre, bo która kobieta by zaprzeczyła? Sprzątaczką nie okazała się wyjątkiem od reguły. Wyprostowała się w fotelu, starając się przybrać nonszalancką pozę modelki, i zapewniła:

– Mam już doświadczenie. Byłam statystką w filmie i nawet mieli mnie wziąć do reklamy. Tylko w ostatniej chwili obcięli im budżet... Ale obiecali zadzwonić!

– Znakomicie, tak czułam, że musisz mieć coś wspólnego z branżą filmową...

– A co miałabym robić? – zapytała szybko sprzątaczką, najwyraźniej nie mając ochoty drążyć tematu swej niespełnionej kariery.

– Nic takiego, po prostu... Udawać mnie.

– Jak to?

– Posłuchaj uważnie, bo nie mamy wiele czasu. – Matylda pochyliła się w fotelu i znowu zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Apartament jest opłacony za kolejne cztery doby, jedzenie wliczone w cenę. Nie ma podsłuchów ani kamer, tak się umówiliśmy z producentem. O ile można mu wierzyć... – skłamała, uznając, że taka wersja lepiej odpowiada wyobrażeniom jej rozmówcy. – Pomożesz nam więc dyskretnie opuścić hotel, a potem zajmiesz moje miejsce. Jesteśmy nieco podobne, zostawię ci trochę własnych ubrań. Twoja głowa, byś nie została zdemaskowana, na noc zasłaniaj okna, posiłki zamawiaj do apartamentu, nie odbieraj telefonów, a na taras wychodź w kapeluszu z szerokim rondem. Nikt się nie zorientuje.

– A potem?

– Potem wszyscy będą w szoku, że tak ich nabiłaś w butelkę. Wyobrażasz to sobie?

– I będę się mogła przyznać do wszystkiego? – Sprzątaczką ucieszyła się, jakby już musiała mrużyć oczy przed błyskami fleszy. – Że to byłam ja?

– No jasne. Przebieraj się, używaj sobie i rób, co tylko chcesz. Im dłużej nikt się nie zorientuje, tym lepiej!

– Mogą wyrzucić mnie z pracy...

– A za co? Zapewnisz im darmową reklamę.

– Pewnie. Zresztą i tak miałam odejść. Mam coś innego na oku. – Machnęła ręką, bo jakaś myśl rozpalila błysk w jej oczach. – Tylko powiedz mi jeszcze, czy będę mogła...

– Co takiego?

– Nic, nic – zapewniła pospiesznie kandydatka na gwiazdę. – To kiedy

zaczynamy? Bo ja o północy kończę zmianę. Poproszę kierownika o parę dni wolnego, mam zaległy urlop.

– Zgodzi się?

– Sam mówił, żebym go wreszcie wykorzystała.

– Idealnie się składa. Załatw dla nas przebranie i przyjdź do apartamentu.

– Będę za dwadzieścia minut.

– Okej... Nie, czekaj! – Matylda palnęła się dłonią w czoło, przypomniawszy sobie, że miała wybrać z konta jak najwięcej gotówki, aby przez jakiś czas nie posługiwać się kartą płatniczą, takie transakcje podobno łatwo wyśledzić. Powinna wybrać się do banku przed opuszczeniem hotelu, otwarcie, charakterystyczną limuzyną, a potem wrócić, jak gdyby nigdy nic. Nawet gdyby szpiedzy Josha się o tym dowiedzieli, pomyślą najwyżej, że planują jakąś kosztowną ekstrawagancję. Ale nie przyjdzie im do głowy, iż zamierzają się definitywnie urwać ze smyczy. Poza tym musi naradzić się z chłopakami. W końcu nie miała pewności, że zaakceptują jej pomysł.

– Powiedz mi, kiedy w hotelu panuje najmniejszy ruch?

– No, wczesnym rankiem.

– Więc przyjdź, kiedy tylko zrobi się jasno. Jak masz na imię?

Tamta zawahała się na moment, Matylda wyczuła, że szuka w głowie czegoś pasującego do czekającej ją roli.

– Simonetta.

Sprzątaczką napiła się likieru i z błakającym się na ustach podejrzanym uśmiechem wyszła z pokoju. Matylda odczekała parę minut, zachodząc w głowę, czy jej spontaniczny pomysł podmiiany był w istocie tak błyskotliwy. Ale w końcu to tylko sobowtór. Gdyby się miała zakładać, Matylda dałaby pokojówce najwyżej kilka godzin w nowym wcieleniu.

A oni powinni już wtedy być daleko...



Dzień dwunasty

*W którym bohaterowie przebiegle gubią tropy i są na najlepszej drodze, aby rozpuścić się we mgle. Jednak niezdrowa ciekawość Wasilija pcha ich w jeszcze większą kabałę...*

Włoska sprzątaczką okazała się znacznie bystrzejsza, niż przypuszczała Matylda. W szatni dla personelu marudziła tak długo, udając rozmowę przez telefon w jakiejś rodzinnej sprawie, aż reszta zmiany przebrała się i rozeszła do domów. Potem przesiedziała parę godzin w pokoiku ochroniarza, z którym była w dość dobrej komitywie. Mając ciągle na sobie uniform sprzątaczkę, zajrzała do pomieszczenia, gdzie trzymano rzeczy przeznaczone do prania. W jednym z koszy znalazła fartuszek i czepek sprzątaczkę, w innym płócienną kurtkę oraz spodnie hotelowego hydraulika. Do kompletu dobrała czarny beret, pozostawiony na szafce w męskiej szatni, upchnęła wszystko do wiaderka, a potem, prowadząc wózek ze środkami czystości, windą dla personelu wjechała na właściwe piętro, gdzie czekali spiskowcy...

– Pomysł miałś dobry, nie zaprzeczam – powiedział po polsku Janusz, wciągając na siebie strój hydraulika. – Ale kiedy wyda się twoja zamiana z Simonettą, czy jak tam się naprawdę nazywa, prawnicy mogą zakwestionować rachunek za hotel, w którym de facto nie mieszkałeś.

– Wątpię, gdyż po pierwsze – nie będą pewni momentu, w którym daliśmy nogę, po drugie – mogliśmy cały czas siedzieć w środku i powiedzmy nie wychodzić z sypialni... – Matylda włożyła granatową sukienkę sprzątaczkę i z ulgą stwierdziła, że pasuje idealnie. Jej sobowtór miał niemal identyczną figurę. – Wasilij sprawdził pomieszczenia swoim wykrywaczem i twierdzi, że jest czysto.

– Swoją drogą to dziwne.

– Widać nie zdołali przekupić dyrektora hotelu. Pamiętasz, co mówił Waśka, że za coś takiego grozi nawet więzienie? Myślę, że menedżerowie lepszych hoteli jak ognia boją się podejrzeń o naruszanie prywatności, bo poza odszkodowaniami, traciliby klientów. Bardzo możliwe, że szpiegdy obserwują budynek tylko z zewnątrz, bo skoro Josh już wie, że się zorientowaliśmy, szykują coś nowego, na co nie będziemy przygotowani...

– Nie kracz.

– Tylko głośno myślę. – Włożyła fartuszek i czepek, po czym z zadowoleniem przejrzała się w lustrze. – Myślę zresztą, że moja dublerka nie udźwignie roli, a nasi wielbiciel prędko się zorientują i zaczną nas szukać.

Wydatek na hotel zaksięgowалам sobie na razie do końca dnia, tyle na pewno nam zaliczą.

– Kiepsko nam idzie to szastanie forsą.

– Więc postarajmy się to nadrobić. Nie powinno być problemu, pamiętasz ten apartament na Manhattanie, gdzie doba kosztuje siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów? Jak nie uda się inaczej, wpadniemy na tydzień do Nowego Jorku i sprawa z głowy.

– O ile nam pozwolą...

– Teraz ty kraczesz.

Janusz wcisnął na głowę czarny берет. Następnie umieścił na wózku sprzątaczkę dwie niewielkie walizeczki. Waśka tylko tyle bagażu pozwolił im zabrać.

– Dobra, nie będę krakał, tylko urwijmy się wreszcie ze smyczy.

Matylda obróciła się do Simonetty.

– No, jak wyglądamy? Da się tak wyjść bez wzbudzenia podejrzeń?

– Jasne! Ochroniarz przy monitorze tylko się nudzi i czyta gazety. – Dziewczyna machnęła lekceważąco ręką i ciągnęła, dając dowód świetnej znajomości funkcjonowania hotelu: – Zresztą najbardziej interesuje go główne wejście i hol. Wiem dobrze, bo nieraz nosiłam mu cappuccino i gadaliśmy sobie, jeśli akurat nie miałam niczego do roboty. A po korytarzach cały czas kręci się personel, nikt się nie zainteresuje. Zresztą kamery są głównie przy windach dla gości, na tym piętrze jest jeszcze jedna na początku korytarza, na lewo od waszych drzwi. My pójdziemy w drugą stronę, będzie widać tylko z daleka nasze plecy.

– Jesteś pewna? Może którejś nie zauważyłaś?

– Litości, ja bym miała nie zauważyć? – Simonetta wzniosła oczy ku sufitowi, zdumiona, że podważana jest jej spostrzegawczość. – Wszyscy pracownicy wiedzą, gdzie są kamery, bo... po prostu, pracując tutaj, dobrze jest wiedzieć takie rzeczy.

– Naturalnie, nie wątpię. Ale jak tylko wrócisz, najlepiej włóż coś z moich ciuchów, do tego kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i idź od razu na taras. Usiądziesz sobie w cieniu z kieliszkiem szampana, żeby wszyscy zainteresowani byli pewni, że ciągle jestem w hotelu. Okej?

– Załatwione! – Simonetta złapała wózek, nie mogąc się już doczekać występu. – A wy gdzie pojedziecie?

– Na safari do Kenii – oznajmiła Matylda i położyła znaczącym gestem palec na ustach. – Tylko się nie wygadaj.

– Nawet na torturach nic ze mnie nie wyciągną! Za żadne pieniądze – zapewniła kandydatka na gwiazdę.

Matylda uśmiechnęła się w duchu. Nie ma to, jak zostawić fałszywy trop. Ani przez moment nie wierzyła w dyskrecję Simonetty.

Chwilę później z pokoju wyszły dwie sprzątaczkę z wózkiem i przygarbiony hydraulik w głęboko nasuniętym na czoło berecie. Spokojnym krokiem oddalili się w głąb korytarza, gdzie tuż za rogiem znajdowała się winda dla personelu. Bez przeszkód zjechali na poziom oznaczony przyciskiem minus jeden. Przewodniczka poprowadziła pisarzy krętymi zakamarkami, gdzie zabłąkany gość zgubiłby się bardzo szybko. Wreszcie pchnęła jakieś metalowe drzwi, za którymi dostrzegli wąską ulicę z zaparkowanymi po drugiej stronie samochodami. Jeden z nich dał sygnał klaksonem. Zanim wyszli, przebrali się szybko w zwykłe stroje, zostawiając na wózku hotelowe uniformy. Za moment wkładali już dwie walizki do bagażnika nierzucającego się w oczy bordowego opla.

Waśka, jak zwykle, spisał się na medal!

– Skąd tak szybko wytrzasnąłeś samochód? – zainteresowała się Matylda, gdy oddalili się już spory kawałek od hotelu, a Wasilij przestał uważnie zerkać we wsteczne lusterko.

– Ukradłem.

– Żartujesz, prawda?

– Nie jestem cudotwórcą – zachnął się Rosjanin. – To było najprostsze wyjście, w dodatku nie zostawimy śladu, po którym można by nas namierzyć. Musimy tylko szybko pozbyć się wozu, najlepiej na jakimś zatłoczonym parkingu. Policja odnajdzie go i odda właścicielowi.

Matylda potrzebowała długiej chwili, aby przetrwać informację, że właśnie uczestniczy jako współniczka w popełnianiu przestępstwa. A jedynym wyjściem było po prostu nie dać się na nim przyłapać.

– Co zrobimy potem?

– To ty miałaś się zastanowić, gdzie chcesz pojechać.

– Szczerze mówiąc, wydarzenia nabrały takiego tempa, że nie zdążyłam.

Ale...

– Nie szkodzi, szefowo. Proponuję bez zwłoki opuścić Rzym, póki nikt nie podejrzewa nawet, że ulotnił się z hotelu.

– Pełna zgoda. W jaki sposób to zrobimy?

Matylda obawiała się, że Waśka chce ukraść kolejne auto, lecz prywatny komandos rozwiął jej obawy:

– Pojedziemy pociągiem do Neapolu. Podróż trwa trochę ponad godzinę.

– Tylko godzinę? – zdumiała się Matylda.

– Pociągi Frecciarossa, czyli Czerwona Strzała, to superszybka luksusowa kolej. Składy rozwijają prędkość do trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– A bilety nie są imienne? – zapytał Janusz, pamiętając, że w kraju musieli się zwykle legitymować konduktorowi.

– Owszem, ale to nie problem. Legitymuje się tylko kupujący. Mam przy sobie dokumenty na zupełnie inne nazwisko, więc nie zostawimy za sobą tropu.

– Pewnie przypadkowo je wzięłeś...?

Wasilij wzruszył ramionami, skręcając w stronę Piazza dei Cinquecento, gdzie znajduje się dworzec Roma Termini.

– Jeśli wolicie kupić na własne, to proszę uprzejmie. Pragnę tylko zauważyć, że właśnie wiejemy z hotelu kradzionym wozem, i sądziłem, że naszym priorytetem jest zachowanie incognito, jak długo się da.

– Rób jak uważasz – zgodziła się Matylda. – Więc jeszcze dziś po południu znajdziemy się w Neapolu. Co wtedy?

– To wielki port. W Zatoce Neapolitańskiej cumują setki jednostek pływających. Idealnie byłoby znaleźć jakiś jachcik do wynajęcia i cichutko wypłynąć na Morze Tyrreńskie. Będziemy praktycznie nie do odnalezienia, a szefowa będzie miała czas spokojnie się zastanowić, co zamierza robić dalej.

– Tylko weźmy wreszcie rachunek, bo wydawanie pieniędzy idzie nam jak po grudzie – jęknęła Matylda.

– Da się zrobić – obiecał Wasilij. – Poszukam kogoś, kto po prostu wypisze kwit bez wprowadzania danych do systemu, jak by to zrobiła firma czarterująca jachty.

– Ty potrafisz obsłużyć wszystko, co jeździ, lata i pływa?

– Bez przesady. Ale żeglować umiem, dlatego wybrałem Neapol. Najlepiej jednak wynająć coś ze sternikiem, który odstawi nas do wybranego portu i sobie wróci.

Kiedy zaparkowali na placu przed dworcem i wyszli z samochodu, od razu poczuli się trochę dziwnie jako zupełnie anonimowi turyści. Wędrujący we wszystkich kierunkach ludzie, zaabsorbowani własnymi sprawami, mijali ich obojętnie, nie mając pojęcia, że ocierają się o gwiazdy, o których dosłownie huczy w sieci. Matylda prawie zatęskniła do wygodnej limuzyny, unizonych ukłonów dostępnej na każde skinienie obsługi i świadomości, iż każdy jej kaprys natychmiast zostanie spełniony.

Wnętrze Roma Stazione Termini przypominało nieco warszawski Dworzec Wschodni, lecz hala była znacznie większa, a przy kasach ciągnęły się długie kolejki. Jednak wielość stanowisk sprawiła, że Wasilij wrócił z biletami przed upływem kwadransa. Na szczęście były jeszcze miejsca w Czerwonej Strzale do Neapolu, do odjazdu mieli prawie dwie godziny. Prywatny komandos zarządził, by zanotowali najważniejsze numery, wyjęli karty z telefonów i oddali mu aparaty oraz laptop.

– Nie obawiaj się, pójde kupić nowe – powiedział, widząc wahanie Matyldy.

– Nie zostaniemy odcięci od świata.

– Ale ja mam w komputerze swoje teksty! Może po prostu zostawimy go w dworcowej skrytce?

– Na kilka tygodni? Mam lepszy pomysł, zwyczajnie wyślę go w paczce na

twój domowy adres. Okej?

– Nie. Będą nim rzucać i go zniszczą!

Wasilij poszukał wzrokiem pomocy u Janusza, lecz ten był ogromnie zajęty przyglądaniem się swym beżowo-oliwkowym butom z weluru marki Loriblu, które w istocie niezbyt pasowały do dżinsów.

– Kupię aluminiowy neseser i w nim wysłę laptop. Zadowolona?

Matylda udąa, że głęboko się zastanawia, wreszcie westchnęła:

– Tego też nie doliczymy do wydatków. Jak tak dalej pójdzie, skończą mi się pieniądze, na które nie trzeba pokrycia i chyba zaciągniemy u ciebie kredyt. Zwrócimy wszystko po upływie miesiąca...

– Stać mnie na to.

– Wierzę – powiedziała żartobliwym tonem.

Ale rzeczywiście wierzyła, że Wasilija stać na dużo więcej, niż sugerowałaby jego znoszona skórzana kurtka.

Przed gigantycznym dworcem Napoli Centrale panował straszny hałas, trąbiły klaksony, ludzie wołali coś do siebie z typowym włoskim temperamentem. Pisarze pozazdrościli Wasilijowi jego zgrabnego plecaka, ich walizki ciągnięte za sobą na małych kółeczkach sprawiały tylko kłopot, wywracając się na krawężnikach i wjeżdżając pod nogi spieszącym w różnych kierunkach turystom. Rosjanin jakimś szóstym zmysłem wyłowił z szeregu pojazdów wolną taksówkę i zatamował uliczny ruch na chwilę, potrzebną by ich trójka zajęła miejsce. Matylda na końcu języka miała kąśliwą uwagę na temat nie zostawiania za sobą śladów, lecz powstrzymała się, widząc, że Waśka wcisnął kierowcy banknot i rzucił parę słów po włosku. Taksówkarz nie włączył licznika.

W ciągu paru minut dotarli wąskimi uliczkami i znanymi jedynie miejscowym skrótami na zachodnie przedmieścia Neapolu. Dalej sunęli wijącymi się serpentynami klifowego wybrzeża. Matylda szeroko otworzyła oczy, obserwując przez szybę zapierający dech widok na całą Zatokę Neapolitańską z górującym nad wszystkim Wezuwiuszem. Wiedziała, że choć wulkan od ponad pół wieku nie dawał oznak specjalnej aktywności, drzemiące w nim żywioły jedynie przycichły, jak gdyby zmęczone wywoływanyymi przez wieki kataklizmami.

Wasilij poprosił kierowcę o zatrzymanie się obok szeregu kamieniczek z kolorowymi fasadami, w których na dole znajdowały się sklepiki i knajpki ze stolikami wychodzącymi na trotuar. Zostawił pisarzy w jednej z nich, poprosił, aby przypilnowali jego plecaka, i bez dalszych wyjaśnień zszedł stromymi schodkami wiodącymi na nabrzeże.

Było jeszcze jasno, lecz powoli nadciągał wieczór. Wszechobecne zapachy

smażonych ryb, aromatycznych przypraw i kawy przypomniały im natychmiast, że tego dnia jedli tylko śniadanie. Usiedli przy wolnym stoliku pod parasolem. Neapol jest wprawdzie uważany za ojczyznę pizzy, jednak mieli nadzieję zjeść coś bardziej oryginalnego. Właściciel lokalu przywitał ich wylewnie, po krótkiej wymianie uprzejmości zamówili za jego namową paranzę, czyli popularne w regionie danie z frutti di mare z drobnych ryb, kałamarnicy i krewetek.

– Wiedziałaś, że paranzą nazywano dawniej w Neapolu grupkę kutrów morskich prowadzących wspólne połowy? – Janusz skropił cytryną stos smażonych w całości z głowami i ogonkami rybek różnych gatunków, otoczonych wianuszkami krewetek i drobnych kałamarnic. – A obecnie określa się tak, w przenośnym znaczeniu, najważniejszych szefów miejscowej camorry?

– To ciekawe... – bąknęła Matylda, podejrzliwie przyglądając się małym głowonogom o zrumienionej skórce. Przypominały rozgwieżdżone podwinięte pod siebie ramionami. – Za żadne skarby nie wezmę tego do ust!

– Pomogę ci, jedz tylko krewetki i ryby.

Musieli przyznać, że nigdy wcześniej nie kosztowali tak wyśmienicie przyrządzonych owoców morza. Widać cena nie musi być wyznacznikiem jakości. Wszystko było złowione tego ranka, delikatne i dosłownie rozplątało się na języku. Kieliszek czerwonego wina pomógł Matyldzie skosztować nawet kałamarniczek, ale nie zagustowała w tym miejscowym rarytasie, z ulgą przekładając resztę mackostworów na talerz partnera.

Nie mieli ochoty na żaden wyszukany deser, poprosili więc o kawę. Jednak restaurator uparł się podać im słynne baba neapolitano z odrobiną bitej śmietany i truskawką. Gratis, z pozdrowieniami dla *amici del Polacco!* Matylda nie oponowała długo, tak tylko troszkę, dla zasady.

– No popatrz, zorientował się, że jesteśmy z Polski. – Janusz z przyjemnością ugryzł kawałek pulchnej drożdżowej babeczki. – Niezłe to.

– Ech, ty ignorancie, nawet nie wiesz, że wcinasz sławny neapolitański rarytas, który Włosi zawdzięczają Polsce.

– Poważnie? – Przyjrzał się uważnie deserowi, podejrzewając, że Matylda stroi sobie żarty z jego łakomstwa. – Jakoś nigdy u nas tego nie jadłem.

– Wyobraź sobie, że ich baba powstała na bazie naszej swojskiej drożdżowej babki, przepis zaś wzbogacono na dworze króla Polski i późniejszego księcia Lotaryngii Stanisława Leszczyńskiego w Luneville. Do Neapolu przepis trafił za sprawą włoskich mistrzów kuchni zatrudnianych na jego dworze.

– A skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Cóż, taki mój urok, że wiem różne rzeczy – odparła z przekorą.

Prawda była taka, że nie pamiętała, skąd wie tyle o pochodzeniu miejscowego rarytasu. Być może z targów żywności, gdzie kiedyś zaciągnął ją partner, ciekaw ogromnie specjałów prezentowanych przez zagranicznych

wystawców.

Wypili kawę i zamówili jeszcze po kieliszku wina. Niepostrzeżenie zaczęło się ściemniać, dawało się jeszcze dostrzec ciemną powierzchnię morza ze światełkami kutrów i jachtów oraz zarys nabrzeża. Masyw Wezuwiusza odcinał się na tle pogodnego nieba z zapalającymi się gwiazdami.

– Gdzie ten Waśka? – zaniepokoiła się Matylda. Popatrzyła na nowy aparat telefoniczny leżący w zasięgu ręki. – Może zadzwonić do niego?

Janusz ziewnął, pozostawiając partnerce rozstrzygnięcie problemu. Nie sądził, by należało niepokoić telefonami komandosa. W końcu wynajęcie jachtu czy innej jednostki pływającej, odpowiadającej ich potrzebom, mogło zająć trochę czasu. Jego towarzyszką była jednak zbyt niecierpliwa, westchnęła głośno i wybrała numer, jedyny zapisany w pamięci nabytego przed paroma godzinami telefonu. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Teraz nie mogę rozmawiać – usłyszała wyszeptane po rosyjsku słowa. – Czekajcie na mnie tam, gdzie jesteście.

– Kiedy do nas... – Matylda nie dokończyła pytania, spostrzegłszy, że połączenie zostało przerwane.

– Powiedział, że nie może rozmawiać i mamy czekać na niego – wyjaśniła spoglądającemu pytająco Januszowi. – Tylko nie rozumiem, czemu mówił tak cicho i zaraz się rozłączył? Coś się stało?

– Jakby działo się coś niepokojącego, to Waśka już by tu był. Najprawdopodobniej coś znalazł, prowadzi pertraktacje i nie chce, aby mu przeszkadzać.

– Masz rację. Czekajmy więc na niego, bo i tak nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić.

Cierpliwość pisarzy została wystawiona na sporą próbę. Zamówili jeszcze butelkę słabego miejscowego wina i zestaw słonych przekąsek. Czas mijał, przy sąsiednich stolikach zmieniali się goście, ale nic więcej się nie działo. Matylda kilkakrotnie chwyciła telefon, lecz odkładała go na stolik, widząc uspokajające gesty partnera. Jednak kiedy minęła dwudziesta druga, nawet on zaczął się niepokoić, choć starał się nie dać tego po sobie poznać. Ale Matylda zbyt dobrze go znała, aby nie widzieć, co oznacza głośne stukanie paznokciami w blat stolika i rzucane spod zmrużonych oczu spojrzenia w stronę, w którą udał się ich przyjaciel. Przyjaciel...? – zastanowiła się w duchu Matylda. Na ogół zbyt łatwo szafuje się tym określeniem. Ale czuła, że na nazwanie Wasilija, choć różniło ich niemal wszystko, pochodzili i żyli w tak różnych światach, nie ma lepszego słowa. Po prostu przyjaciel, któremu bez wahania powierzyłaby swój los. Który ciągle nie wracał, a oni sobie tu spokojnie przy winku siedzą, jakby nigdy nic...

Zdecydowanym ruchem złapała telefon i wybrała numer. Sygnał zdawał się ciągnąć w nieskończoność, póki nie włączyła się poczta głosowa.

– Idziemy po niego! – zdecydowała. – Coś musiało się stać.

– Ale dokąd? Zastanów się dziewczyno. Zaczniemy łązić po całej zatoce i go nawoływać? Kiedy on może wrócić tymczasem?

– Jak wróci, to zadzwoni. Czuję, że coś mu się mog-ło stać. Może ktoś go pobił i leży gdzieś nieprzytomny... Musimy go poszukać. – Matylda poderwała się z fotelika. – Waśka by tak zrobił!

Widać było, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać. I wtedy usłyszała za plecami pytanie:

– Co takiego bym zrobił?

Wasilij usiadł przy ich stoliku, wyciągnął cygaro i popatrzył pytająco na Matyldę.

– Pal, skoro musisz. I powiedz, czemu tak długo cię nie było. Załatwiłeś coś?

– Moment... – Rosjanin zobaczył zbliżającego się restauratora. Zerknął na niemal opróżnioną butelkę wina na stoliku, skrzywił się lekko i poprosił o dwa kieliszki wódki. Jakiegokolwiek.

– Ja nie mam ochoty – zastrzegł się Janusz.

– Trudno, wypiję sam.

Kiedy pojawiła się przed nim zamówiona wódka, opróżnił jednym haustem kieliszek. Następnie zapalił cygaro. Wydawało się, że chce opóźnić moment, w którym zacznie zdawać relację ze swych poczynań.

– Sprawy się trochę skomplikowały, ale to was nie dotyczy. Mam coś do załatwienia, sprawa zajmie mi ze dwa dni, najwyżej trzy. Najlepiej, jeśli tymczasem wynajmę wam coś na swoje lewe dokumenty, chociaż i tak nikt was tu nie znajdzie.

Matyldę замуrowało. Janusz wyglądał, jakby rozważał, czy nie zmienić decyzji, co do mocnego alkoholu...

– Co ty opowiadasz?! Możesz jaśniej?

– Szefowa jak zwykle chciałaby wszystko wiedzieć... – niby to zażartował Waśka w odpowiedzi, ale nawet nie skrzywił w uśmiechu ust. – Będziecie zupełnie anonimowi, wystarczy włożyć czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, nie płacić kartą i tak dalej. Zadzwonię, kiedy będę znowu mógł być do dyspozycji.

– Cholera, ja nie chcę być anonimowa! Mamy do załatwienia sprawę wydania miliona, czas ucieka, a ty nas zostawiasz?

– Tutaj jesteście bezpieczni...

– Dobrze wiem, że jesteśmy bezpieczni! – Matylda przerwała mu, w jej głosie słychać było irytację. – Zwaliśmy tylko chwilowo, żeby Joshowi utrzyć nosa. Przemyślałam sobie wszystko, i rozumiem, że nic specjalnego nam nie grozi. Josh chce mieć tylko show i oglądalność, zakłady o to, czy wypełnimy umowę idą zupełnie niezależnie, a ci jacyś wyimaginowani myśliwi mają chyba lepszych kandydatów do odstrzelenia niż nieustannie szpiegowaną, filmowaną i pilnowaną



parę pisarzy. Prawda?

- Prawdopodobnie. Ja też o tym myślałem, widzę sprawy podobnie.
- Wielkie dzięki, za napędzenie strachu. Naprawdę miło z twojej strony.
- Gdybyś przeżyła i widziała tyle, co ja...
- Waśka, przestań. Powiedz po prostu, dlaczego chcesz się wycofać.

Rosjanin wypuścił kłęb dymu i popatrzył jej w oczy.

- Nie chcę, przysięgam. Ale potrzebuję dwóch lub trzech dni wolnego.
- To sprawa osobista?

Matylda przypomniała sobie, jak żegnał się z Heleną. Trzymał ją długo, obejmując z rodzajem jakiejś niezręcznej czułości, której nie sposób udawać. Szepnął jej coś do ucha, by tylko nikt nie słyszał. Ale przecież, jeśli było w tym coś więcej, nie trafiło go nagle tego wieczoru...

– Nie, to nie jest sprawa osobista. – Waśka jakby zawahał się, czy nie wyjawic jednak czegoś więcej, lecz nagle zrezygnował. – Wierz mi, o pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć. Zrobię coś, co nie dawałoby mi spokoju, gdybym to tak zostawił. Potem do was zadzwonię.

– Jak chcesz. – Matylda podniosła się od stolika. – Sami znajdziemy sobie lokum, nie musisz iść z nami. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć, prawda?

– Źle to odbierasz...

– Po wszystkim zadzwonię, ale nie obiecuję, że odbiorę. To kwestia zaufania.

– Nie pozostawiasz mi wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór.

– Więc siadaj. – Wasilij przytrzymał ją za rękę. Kiedy zrobiła to, westchnął:

– Ech, kobiety, same z wami utrapienia...

Wypił drugi kieliszek wódki i zerknął w głąb knajpki, jakby chciał zamówić następny.

– Parę godzin temu zszedłem na nabrzeże, żeby poszukać dla nas jakiejś nierzucającej się w oczy jednostki pływającej. Powędrowałem daleko na zachód, aż do portu rybackiego, gdyż tam najłatwiej trafić na jakąś okazję. Turyści bez przerwy wynajmują łodzie motorowe do wędkowania morskiego, zawsze coś się trafi. Szyper zawiózłby nas dokądkolwiek tylko byśmy zechcieli i ostatnia rzecz, o jaką by pytał, to dokumenty. Pogadałem z rybakami, akurat żaden nie był wolny. Na morzu dostrzegłem duży kuter, zbliżał się, ale stanął na kotwicy w sporej odległości od portu. Spytałem o niego, ale rybacy jakoś nagle przestali być rozmowni. Zaczęło się robić nieprzyjemnie, któryś odszedł na bok i dzwonił do kogoś. W trakcie rozmowy spoglądał w moją stronę, jakby opisywał komuś mój wygląd. Bardzo tego nie lubię... Potrafię dość dobrze czytać ludzkie emocje, wiem, kiedy lepiej odpuścić. Poszedłem sobie, póki jeszcze mogłem.

– Kontrabanda? – zapytał Janusz.

– Zgadza się. A mnie wzięli za policyjnego szpicla. Ciekawe dlaczego?

Pytanie Waśki wyglądało na czysto retoryczne. Ogorzały, w starej skórzanej kurtce nie prezentował się jak spragniony wędkarskiej przygody turysta.

– Nie miałem już tam czego szukać. Ale po niecałej godzinie znalazłem się dalej na klifie, skąd miałem niezły widok. Kuter ruszył po zmroku do brzegu, nieco na zachód od portu. Zanim podniósł kotwicę, wygasił wszystkie światła. Gdyby nie księżyc, straciłbym go z oczu. Podszedłem ostrożnie dziką ścieżką do miejsca, gdzie powinien przybić.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Matylda. – Mogłeś zawiadomić policję, to przecież nie twoja sprawa.

– Robię wiele rzeczy, które trudno wytłumaczyć... – odparł Waśka takim tonem, jakby zastanawiał się nad własnym charakterem każącym mu pchać palce między drzwi. – A policja wie więcej, niż mogłoby się wydawać. Jeśli nie interweniuje, może mieć wiele powodów...

– Narkotyki? – znów spytał Janusz.

– Niekoniecznie. Dlatego wolałem sprawdzić, bo mogło się okazać, że zawiadamiając władze, oddałbym komuś niedźwiedzią przysługę. Wszyscy wiemy, że obecnie głównym zajęciem marynarki włoskiej jest ratowanie imigrantów usiłujących pokonać na wszystkim, co jako tako nadaje się do pływania, Morze Śródziemne. Bywało, że wyławiali kilkuset dziennie. Gdyby i tu chodziło o przemyt uciekających przed wojną ludzi, nie chciałbym się mieszać. Każdy ma prawo ratować życie.

– Rozumiem. Co było dalej?

– Widziałem kilka furgonetek, do których przechodzili pasażerowie kutra. Wszystkiego pilnowało paru rozrośniętych w barach facetów z karabinami. Nie uwierzylibyście, ile osób może zmieścić się na takiej łajbie. Akcja zajęła najwyżej pięć minut, kuter odbił od brzegu, ominął port rybacki i już z pełnym oświetleniem zacumował jakieś trzysta metrów stąd. Kuter nazywa się Gina. Ładna nazwa.

– Czyli wiozł imigrantów. Nie twoja więc sprawa?

– Tak, wiozł imigrantów.

– Mówiłeś chyba, że im współczujesz i nie chcesz się mieszać?

Wasilij milczał przez długą chwilę ze wzrokiem utkwionym gdzieś w mroku obejmującym Zatokę Neapolitańską. Kiedy znów się odezwał, jego głos zdawał się dziwnie obcy:

– W Libii, Turcji i paru innych krajach setki tysięcy pozbawionych domów ludzi czeka na sposobność przedostania się do Włoch. Są wśród nich kobiety i dzieci. Przeprawy przez Morze Śródziemne odbywają się najczęściej w ścisłej współpracy między tamtejszym półświatkiem a miejscową mafią, która prędko zorientowała się, że na przemyśle ludzi może zrobić lepszy interes niż na narkotykach. Najpierw inkasują pieniądze za podróż od samych zainteresowanych. Krążą pogłoski, że przetargi na prowadzenie obozów przejściowych dla

imigrantów wygrywają często ludzie podstawieni przez mafię dzięki przyjaźni z miejscowymi notablami. Dochód przynosi zaopatrzenie obozów, catering, nawet wywóz śmieci. Wszystkie ceny są zawyżone, a faktur nie sposób sprawdzić. Potem wielu uchodźców znajduje „zatrudnienie” w mafijnych strukturach, choć na specyficznych zasadach. Używa się ich do handlu tandetą dla turystów, rozprowadzania miękkich narkotyków, i temu podobnych spraw. Handel ludzkimi narządami również wymaga źródła, a to zdaje się być niewyczerpane...

– Nie mogę uwierzyć. – Matyldzie zrobiło się zimno. – To jakiś koszmar.

– Bywa też – ciągnął dalej Waśka, że handlarze żywym towarem dokonują jeszcze przed wzięciem na statek selekcji, wyławiając spośród imigrantów dziewczęta, na które jest specjalny popyt. Obietnicami lub zgrabnie podanymi kłamstwami, że zostało tylko jedno miejsce, a resztę rodziny zabiorą następnym transportem, oddzielają co ładniejsze od grupy i ładują na statek. Tutaj odbiera je mafia. Nikt więcej nie widział żadnej z tych dziewczyn.

– Dlaczego nam o tym opowiadasz...? – zapytała Matylda, nie chcąc uwierzyć we własne domysły.

– Z kutra Gina wysiadły same kobiety. Najstarsza miała może ze dwadzieścia lat. Najmłodsza... dużo mniej.

Matylda zadrżała. Napila się wina, ale to nie pomogło.

– Waśka, czemu powiedziałeś, że potrzebujesz paru dni wolnego? Co ty chcesz zrobić?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Dobrze. Gina stoi niedaleko przy pomoście, którego nikt nie pilnuje, ponieważ nie ma takiej potrzeby. Tu wszyscy wszystkich znają. Wiedzą, co się dzieje, do kogo tak naprawdę należy łajba, i kiedy najlepiej odwrócić wzrok. Załoga zeszła na ląd, sprawdziłem to. Posiedzę tu więc do zamknięcia lokalu, jeszcze pewnie ze dwie godziny, potem zakradnę się na ten kuter i wypłynę bez świateł w morze. On już nigdy nie zawita do żadnego portu... A wy idźcie już, tutaj wszędzie łatwo znajdziecie nocleg. Wybaczcie, że was nie odprowadzę. Najlepiej, żeby nie widziano nas zbyt długo razem, po co kusić licho?

– Popłyniemy z tobą...

– Nie – powiedział stanowczo Waśka, ucinając wszelką dyskusję. – Mam swój honor i nigdy nie narażę na niebezpieczeństwo ludzi, którzy mnie zatrudnili. To nie podlega żadnym dyskusjom. Ale nie obawiaj się o mnie szefowo, obiecuję, że wrócę.

– Dlaczego Waśka? – zapytała Matylda, czując jak wilgotnieją jej oczy. – Proceder będzie trwał, kupią nowy kuter i będą go lepiej pilnować. A ty nie pomożesz wszystkim, którzy tego potrzebują...

Rosjanin wzruszył ramionami, patrzył gdzieś daleko w morze. Zdawało się, że nie odpowie. Jednak powiedział cicho, jakby do siebie.

– Słyszałem kiedyś pewną przypowieść. Stary człowiek szedł rankiem brzegiem morza. Sztorm wyrzucił na brzeg setki meduz. A on podnosił je ostrożnie i wkładał do wody. Jakiś młody człowiek spacerujący z dziewczyną zaśmiał się i powiedział, że przecież to, co robi, nie ma znaczenia, bo i tak nie uratuje wszystkich. Starzec włożył następną meduzę do wody i odparł: Dla niej to ma znaczenie.

Matylda na chwilę położyła dłoń na ramieniu Waśki, potem skinęła na Janusza i oboje odeszli bez długich pożegnań. Jakby rozstawali się jedynie na trochę, a -rano znów mieli zobaczyć...

Dzień trzynasty

*W którym Waśka szybko się przekonuje, że zatopienie kutra nie będzie tak proste, jak mu się początkowo wydawało...*

Świt zastał Wasilija za kołem sterowym. Najlepsza pora do tego, co zamierzał zrobić. Popatrzył na przyrządy, skorygował nieco kurs i wyszedł ze sterówki, aby sprawdzić stan pontonu ratunkowego, umieszczonego na dachu nadbudówki. Będzie mu niedługo potrzebny. Wszystko było w porządku, przytwierdzony do pontonu kompresor wyglądał na w pełni sprawny, były też wiosła zwane pagajami. Nocą Waśka sterował tak, by odpłynąć jak najdalej od zatoki, jednak przed świtem skierował się w stronę brzegu. Do przepłynięcia na pagajach będzie miał ze dwie mile, ale pomoże przyływ.

Zatopienie kutra rybackiego nie było prostą sprawą, ale Rosjanin znał się na rzeczy. Jednostka miała duży zbiornik z olejem napędowym. Jego opary nie są tak łatwo palne, jak dzieje się to z benzyną, jednak były komandos umiał konstruować zapalniki z rzeczy, jakie większość ludzi ma w kuchni, był więc pewien, że w maszynowni znajdzie wszystko, czego potrzebował. Otworzył właz i zaczął schodzić pod pokład, kiedy usłyszał jakiś szmer i jakby odgłos cichej rozmowy. Zamarł, machinalnie sięgając pod kurtkę. Z rewolwerem w dłoni pokonał ostatnie stopnie, na palcach przemierzył krótki korytarzyk i ostrożnie zajrzał do kajuty dla załogi...

– No jesteś wreszcie! – Matylda odrzuciła koc i usiadła na koi. – Można tu dostać kawy?

Wasilij w milczeniu lustrował ciasne wnętrza, starając się ze wszystkich sił nie wybuchnąć... Najwyraźniej nie docenił tej dwójki. Gdy wszedł nocą na pokład, po prostu dla pewności omiótł promieniem latarki pomieszczenie załogi i maszynownię, po czym udał się do sterówki, by uruchomić kuter. Był zupełnie pewien, że nikt w małej rybackiej przystani nie wywoła alarmu, spostrzegłszy oddalającą się bez świateł jednostkę. Nawet jeśli takie rzeczy nie były na porządku dziennym, to przecież każdy wiedział, że szefostwo miejscowej camorry nie tolerowało nadmiernego zainteresowania własnymi poczynaniami. A kiedy wreszcie zorientują się, co zaszło, raczej nie powiadomią straży przybrzeżnej ani włoskiej marynarki wojennej. Być może jakiś capo di tutti capi uzna to za wypowiedzenie wojny przez konkurencję, dając sygnał do uderzenia odwetowego, ale takim obrotem sprawy Waśka nie przejmował się zupełnie. Najwyżej paru podziurawionych kulami bandytów zniknie w odmętach Zatoki Neapolitańskiej,

a proceder przemytu ludzi ucichnie na trochę, póki wszystko nie wróci do normy.

– To nie był dobry pomysł – powiedział jakby do siebie rosyjski komandos.

– Gdzie się ukryliście?

– W schowku na sieci – wyjaśnił Janusz. – Gdzie jak gdzie, ale tam nie miałeś powodu zaglądać.

– Powinniście byli mnie posłuchać. Nie lubię zbędnego ryzyka.

– Powiedz to Matyldzie.

– A ty nie mogłeś?

– Zrobiłem to.

– To słabo się starałeś.

– Myślisz, że tobie poszłoby lepiej?

– Może za bardzo się patyczkujesz? Na drugi raz powinieneś ją...

– Skończyliście już? – syknęła Matylda, wołac nie dowiadywać się, jakie metody perswazji sugerował jej partnerowi komandos. – Bo jeśli tak, to może dostanę wreszcie kawy i naradzimy się nad dalszym kursem?

– Kawa przyda się wszystkim. Idę uruchomić silnik, popłyniemy całą mocą na południe, aby oddalić się od najbardziej uczęszczanych szlaków. – Wasilij spojrział na swój rewolwer, jakby dopiero teraz się zorientował, że wciąż trzyma go w ręku. Schował broń i zarządził szorstkim tonem, pragnąc przywrócić sobie zachwiany niesubordynacją przyjaciół autorytet: – Szefowa tymczasem znajdzie Kuchenkę, czajnik i całą resztę. Będziemy potrzebowali prowiantu, z pewnością trzymają tu jakieś zapasy na dłuższe rejsy. Wielkich wygód nie będzie. Wszystko jasne?

Przez chwilę przyglądał się Matyldzie, jak gdyby spodziewał się protestów, ale dziewczyna tylko skinęła głową, zadowolona, że ich prywatny komandos tak prędko pogodził się z sytuacją.

Słońce unosiło się coraz wyżej na bezchmurnym niebie. Waśka nie schodził z mostka, pilnując obranego kursu i lustrując co jakiś czas horyzont przez lornetkę. Janusz dotrzymywał mu towarzystwa, nasłuchując nadawanych przez radio komunikatów. Nie tylko pogodowych, gdyż mimo zapewnień Rosjanina, iż jest to mało prawdopodobne, lepiej byłoby wiedzieć zawczasu, że wszczęto poszukiwania zaginionej jednostki. Matylda znalazła w szafkach pod pokładem spore zapasy sucharów i konserw, była też kawa i parę butelek mocnego alkoholu. Po niezbyt wyszukanym śniadaniu wybrała butelkę grappy i razem z dzbankiem kawy zaniósła do sterówki. Wasilij skrzywił się nieco, ale i tak nalał sobie do kubka tego włoskiego specjału, sięgając do jednej z kieszeni kurtki po cygaro.

– To dokąd płyniemy szefowo? – zapytał z nutą -zaczepekki.

– Co byś powiedział na Cannes albo Monaco?

– Że to kawałek drogi, bo należałoby opłynąć Sardinie, a w naszej sytuacji wolałbym nie zbliżać się -zanadto do jej brzegów.

– Chciałbyś jak najprędzej zmienić środek transportu? – domyśliła się.

– Otóż to.

– Więc co proponujesz?

– Najbezpieczniej będzie wytyczyć kurs na Tunezję. Naszym kutrem powinniśmy dopłynąć jutro z rana. Wysadzę was na odludnym brzegu, zatopię łajbę, potem złapiemy jakąś okazję do Enfidha, gdzie jest największy port lotniczy w całej Północnej Afryce.

– Wynajmiemy sobie samolot i polecimy, gdzie nam się spodoba. – Matylda się rozpromieniła. – Będziemy bezpieczni, niezależni i nie do znalezienia! Świetny plan, Waśka. Wiedziałam, że można na tobie polegać.

– Moje plany są zawsze dobre – zauważył nieskromnie komandos. I dodał z przekąsem, przyglądając się przez okno drepczącej po pokładzie mewie: – Pod warunkiem, że nikt mi się do nich nie wtrąca...

– To było pierwszy i ostatni raz – przyrzekła, unosząc dłoń jak do przysięgi.

– Drugi – uściślił Waśka. – Pierwszym była ta wariacka wyprawa śmigłowcem do waszego kraju, kiedy zachciało ci się nastraszyć tamtego biznesmena.

– No, prawda... więc drugi. Ale trzeciego nie będzie!

W odpowiedzi komandos tylko posłał Januszowi pełne powątpiewania spojrzenie i zaciągnął się dymem z cygara. Pisarz nie odezwał się ani słowem, udając, że zbyt skupił się na słuchaniu radiowych komunikatów, by włączać się do rozmowy.

Matylda opuściła ciasną sterówkę i rozejrzała się po pokładzie. Łagodna bryza i bezchmurne niebo zachęcały do wylegiwania się w ciepłych promieniach słońca, lecz kuter rybacki nie był przesadnie komfortowy. Wszędzie blacha, boje do oznaczania łowisk, becзки i liny. Pachniało rdzą, wodorostami i rybą. Nie zamierzała jednak narzekać, skoro znalazła się tam niejako na własne życzenie. Zeszła na dół poszukać jakiegoś materaca albo śpiwora, w każdym razie czegoś, na czym można by się w miarę wygodnie opalać. Najpierw zajrzała do walizki, gdyż nie była pewna, czy nie zostawiła kostiumu Simonettecie, bo Waśka upierał się, żeby zabrali jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Jej wzrok padł na nowy laptop, kupiony przed wyjazdem do Neapolu. Ciekawe, jak ta łaknąca popularności Włoszka, upojona niespodziewaną szansą występu w reality show, radzi sobie w jej skórze? Przy odrobinie szczęścia wszyscy są przekonani, że nie opuścili Rzymu. Matylda poczuła się trochę dziwnie ze świadomością, że ktoś tam zabawia się na jej konto, a ona nie ma na to zupełnie wpływu...

Czym prędzej włączyła laptop i z pomocą dokupionego przez zapobiegliwego komandosa modemu połączyła się z internetem. Gdy wpisała swoje nazwisko, zdumiała ją liczba linków w wyszukiwarce, a nawet przejęła dreszczem. Wyglądało, że popularność reality wciąż rośnie, choć przecież

historyjka o konieczności roztrwonienia miliona dolarów była błahostką w porównaniu z globalnymi problemami ludzkości. Świat jest szarpany kryzysami, po Europie krążą za przeproszeniem dżihadyści, palce zaślepionych żądzą władzy dygnitarzy zawisły nad przyciskami nuklearnymi, a ludziom chce się oglądać bzdety?! Ludzkość zdurniała do reszty? A może nie tyle zdurniała, ile znalazła sobie sposób odreagowania stresu. Czyż nie po to wymyślono igrzyska? Można z miękkiego fotela w swoich czterech ścianach śledzić na żywo cudze perypetie, brać udział w zakładach, kibicując jednej czy drugiej stronie. A jeśli nawet przydarzy się jakiś nieszczęśliwy wypadek, to nikt nie będzie miał poczucia, że w jakikolwiek sposób się do niego przyczynił. Każdy wiedział, że uczestnicy takich programów postępują dokładnie wedle scenariusza, a dramaturgia to czysta iluzja. Tyle dobrego, pomyślała Matylda, że cokolwiek by się działo, ludzie zapomną o wszystkim prędzej niż o przegrywających wyborach politykach. Po prostu znajdą sobie nowych faworytów.

Policzyła w myślach, kiedy opuścili cichaczem hotel w Rzymie i kliknęła jeden z wcześniejszych linków. Panorama szczepankowskiego jeziora... nie, dalej..., wielki hotelowy taras, Janusz w basenie, ona popija coś w cieniu... Skąd to mogli filmować? Matylda przymknęła oczy, przywołując zapamiętaną scenerię hotelu. Właściwie zewsząd, z dachu albo robili zbliżenia teleobiektywem z okna jakiegoś wieżowca. Nieważne, bo najwyraźniej rzeczywiście nie było kamer wewnątrz apartamentu, czego najmocniej się obawiała. W Paryżu uratowała ją piana, ale tam...

Matylda rozluźniła się, widząc, że niczego szczególnego nie było na filmach, ot, niewyraźne migawki. Szpiedzy nie niepokoił ich, czekając na rozwój wydarzeń. Pod hotelem, o ile wiedziała, nie kręcili się fani – miło ze strony Josha, że nie zdradzał publicznie miejsca pobytu swoich marionetek... No tak, to nie leżałoby w jego interesie. Wolał, by wszystko spowijała atmosfera tajemniczości, liczył zresztą, że sprowokuje Matyldę do czegoś szalonego albo głupiego... A jak robić szalone rzeczy, rozdając autografy i strzelając sobie selfie z gawiedzią? A może szykował jakieś perfidne sztuczki i inne atrakcje, usypiając tymczasem ich czujność? Ale ubiegła drani i mogą sobie pluć w brodę! Ciekawe, jak długo pozostaną w błogiej nieświadomości? Matylda zachichotała na myśl, że teraz wszystko w rękach włoskiej sprzątaczkii o przerośniętym ego. Sięgnęła po napoczętą butelkę grappy, której wolała nie zostawiać w sterówce pod opieką mężczyzn. Nałala trochę do szklanki i szepnęła:

– Twoje zdrowie, Simonetto. – Upiła łyczek. Trunek smakował jej zdaniem jak bimber, ale pasował do miejsca, w którym się znalazła. – Baw się dobrze!

Kliknęła link do filmiku nagranych niedługo po opuszczeniu przez nich hotelu...



Wracamy do dnia dwunastego

***W którym pojawia się nieoczekiwany czynnik, włoska dublerka postanawia rozbić bank, udając przy tym słodką idiotkę, a Matylda dostaje wypieków, gdy uświadamia sobie, że wszystko pójdzie na jej konto...***

Simonecie bez trudu udało się wrócić służbową windą na właściwe piętro, po czym, nie zaczepiana przez nikogo, dostała się do apartamentu gwiazdy reality show. Wózek sprzątaczkę ukryła za wysokim oparciem kanapy, żeby nie przypominał jej o profesji, którą zamierzała porzucić raz na zawsze. Nie brakowało jej inteligencji i sprytu, po prostu praca, jaką ostatnio wykonywała, była koniecznością... nie wyszło jej w życiu parę rzeczy. Mężczyźni okazywali się nie tymi właściwymi, pracodawców zrażał jej brak pokory i brak entuzjazmu do wykonywania bzdurnych poleceń, przyjaźnie urywały się jakoś dziwnie szybko... Doskonale zdawała sobie sprawę, że mogłaby ostrożniej wyrażać opinie o innych, nauczyć się wreszcie, że ludzie nie oczekują szczerości, tylko wolą słyszeć to, co sami o sobie sądzą. Wtedy odwdzięczają się tym samym i wszyscy są zadowoleni. Jednak Simonetta nie umiała się zmusić do wiecznego nadskakiwania i pokory, zawsze w końcu wychodziła z roli, w jakiej chciano ją widzieć. To się nie bardzo opłacało, ale była przynajmniej niezależna i wolna. Oraz samotna...

Potrząsnęła głową, i by odegnąć ogarniające ją od czasu do czasu przygnębienie, naląła sobie solidnego drinka z lodem i limonką. Następnie zajęła się przeglądaniem ciuchów pozostawionych przez Matyldę. Dopiero wtedy zaczęło do niej docierać, co się naprawdę dzieje oraz w jak przedziwnej sytuacji się znalazła. Reality show, którego niezamierzenie stała się częścią, odkryła zupełnie przypadkiem, surfując któregoś wieczoru po internecie. Po prostu w oko wpadło jej zdjęcie kobiety wylegującej się na tarasie w ciepłych promieniach słońca. Natychmiast poznała, że wykonano je w hotelu, gdzie pracowała, a w pierwszej chwili miała wrażenie, iż to ją samą ktoś przyłapał, gdy pewnego razu, zamiast sprzątać apartament, zamknęła się w nim od środka i oddała błogiemu lenistwu... Szybko zdała sobie sprawę, że to jedynie zewnętrzne podobieństwo, lecz dzięki temu rozpoznała Matyldę następnego dnia. Usiłowała być miła, gdyż od pewnego czasu nauczyła się udawać słodką idiotkę. Tak było łatwiej i dostawało się wyższe napiwki. Przystąpiła na propozycję zastąpienia Matyldy bez chwili wahania, bo zrazu wydawało się jej, że ta szczęściara, która wygrała los na loterii... stroi sobie jakieś żarty i chce się zabawić jej kosztem, więc postanowiła nie sprawiać jej satysfakcji swoim tchórzostwem i poudawać przejętą rolę. Jednak wypadki przyjęły

nieoczekiwany obrót. Kiedy zorientowała się, że Matylda oraz jej towarzysze naprawdę zamierzają cichaczem opuścić hotel, nie bardzo mogła się już wycofać. A zresztą, cóż jej szkodziło? Wizją utraty pracy nie przejmowała się zanadto, odłożyła już parę groszy i zamierzała spędzić rok lub dwa włócząc się po świecie. Gdzieś tam dorobić jako kelnerka, ruszyć dalej, znów się zatrudnić, póki jej się nie znudzi w nowym miejscu... Kto wie, może pozna kogoś odpowiedniego i się ustatkuje, ale nie wybiegała tak daleko w przyszłość. Dlatego szansa zostania na chwilę celebrytką wydała się jej nawet kusząca, ale bynajmniej nie traktowała tego jak ostatniej deski ratunku. Skoro już jednak weszła w skórę Matyldy, postanowiła uczynić wszystko, aby nie sprawić jej zawodu. Zwłaszcza iż ta dziwna Polka robiła wrażenie kogoś, kto zupełnie nie pasował do występów w reality show. Była jakaś znękana i trochę chyba zaszczuta... Ona naprawdę chciała zejść z oczu kamerom i szpiegom!

Simonetta włożyła powłóczystą sukienkę oraz czerwony kapelusz z szerokim rondem, po czym ze szklaneczką w ręku wyszła na zalany porannym słońcem taras. Odwróciła się na chwilę, udając, że rozmawia z kimś przebywającym w salonie, wreszcie machnęła ręką, niby to ucinając dyskusję, i powędrowała w stronę basenu. Krok miała chwiejny, stawiała boscie stopy nierówno, jakby taras był chybocącą tratwą dryfującą po rozbujanym wiatrem morzu. Potknęła się o marmurową obudowę zbiornika, wpadając prosto do wody. Przez chwilę szamotała się niczym niedoszły topielec, by wreszcie wstać i wypełznąć niezgrabnie ze zbiornika. Jakimś cudem czerwony kapelusz wciąż tkwił na jej głowie. Mokry materiał przylgnął do jej ciała, ale nic sobie nie robiła ze zniszczenia kreacji, ruszając ku krawędzi tarasu. Szła niczym lunaticzka, wpadła na barierkę i wychyliła się, nieomal wypadając. Gdyby w ostatniej chwili nie złapała błyszczącego drążka, pokoziołkowałyby w ślad za szklanką, która po chwili rozbiła się na tarasie przycupniętej w dole kawiarenki. Simonetta nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, przytrzymała na głowie kapelusz i nim raczący się lodami goście zdążyli unieść głowy, już dryfowała pijanym krokiem w kierunku apartamentu. Wydawało się, że nie trafi w szeroko rozsunięte szklane drzwi, jednak w ostatniej chwili zauważyła, że przed nosem ma panoramiczne okno, skręciła i skryła się w środku ocienionego salonu...

\*

Matylda, oglądająca filmik pod pokładem kutra przemierzającego Morze Tyrreńskie, wydała cichy okrzyk, kiedy Simonetta omal nie wypadła z tarasu. Serce podeszło jej do gardła, jak gdyby to jej własne życie zawisło na włosku. Napila się grappy, tym razem bez toastu za zdrowie dziewczyny. Nagranie pochodziło z dnia poprzedniego, żywiła słabą nadzieję, że to był ostatni wybryk tej Włoszki...

\*

Simonetta odetchnęła głęboko, całkiem zadowolona z zaimprovizowanego przedstawienia. Nikt nie miał prawa poznać, że to nie zalana Matyllda była o krok od nieszczęśliwego wypadku. Widzowie będą zadowoleni, więc na razie wystarczy. Może odpocząć i zająć się sobą. Zdjęła kapelusz i zamaszystym ruchem rzuciła go na sofę pod oknem, ociekającą wodą sukienkę przewiesiła przez oparcie. Powędrowała po puszystej wykładzinie do stolika z telefonem, pora skorzystać z wszechobecnego luksusu, jaki na pewien czas stał się jej udziałem. Zamówiła przystawki i owoce morza, do tego butelkę najlepszego wina z hotelowej piwnicy. Poprosiła, aby kelner wszedł bez pukania i zostawił wszystko na stoliku w salonie, następnie zamknęła się w ogromnej łazience. Wołała uniknąć możliwości rozpoznania przez kogoś z obsługi. Półgodzinna kąpiel dobrze jej zrobiła, poczuła się wreszcie jak gwiazda zażywająca zasłużonego relaksu. Pożałowała nawet, że jej rola będzie tak krótka, trzeba będzie powrócić do rzeczywistości.

Włożyła jedwabny szlafrok pachnący lawendą, poprawiła włosy, układając je podobnie jak to robiła Matyllda, i opuściła łazienkę, przetykając ślinkę na myśl o zamówionych frykasach. Tego dnia, poza odrobiną alkoholu, nie miała niczego w ustach. Wchodząc do salonu, uświadomiła sobie, że coś się zmieniło.... Słyszała cichą muzykę. Ktoś zaciągnął u wyjścia na taras firanę, jakby nie chciał, by dało się zajrzeć z zewnątrz. Podobnie w oknach...

Za stołem, zastawionym dla dwóch osób, siedział mężczyzna. Miał śniadą cerę, starannie uczesane ciemne włosy i urodę przejrzałego serialowego amanta. Był w białej koszuli z poluzowanym pod szyją krawatem, elegancką marynarkę przewiesił przez oparcie sąsiedniego krzesła. Czuł się jak u siebie.

– Nie przysiądziesz się? – zagadnął tonem towarzyskiej konwersacji. – Tutejsza kuchnia zasługuje na swą renomę. Zwłaszcza homary są wyśmienite, o ile komuś nie przeszkadza, że szczypcę trzeba samodzielnie rozłupywać.

Simonetta popatrzyła na swoje białe stopy, jakby właśnie dotarło do niej, że nie jest odpowiednio ubrana do posiłku. Natychmiast poznała siedzącego za stołem mężczyznę. Był szefem ochrony oraz kimś w rodzaju hotelowego detektywa. Mimo gładkich manier, nie budził sympatii wśród personelu. Miał zwyczaj pojawiać się niepostrzeżenie, gdy sprzątaczkę przebywały w pokojach gości, patrząc im na ręce. Nigdy nie było wiadomo, gdzie się go spotka. Krążyły pogłoski, że kilka wylał z pracy bez podawania przyczyny, lecz czasem przymykał oko na jakieś drobne przewinienie, jeśli dziewczyna umiała się zrewanżować. Ale to były tylko plotki. A ona nie zrobiła niczego złego, miała prawo tu przebywać. Nie obawiała się też o pracę, bo już zdecydowała, że ten dzień był ostatni.

– Należysz mi wina? – zapytała, siadając po przeciwnej stronie stołu. – Nie spodziewałam się tutaj akurat ciebie. Może byłoby lepiej, żeby właścicielka tego apartamentu nie zobaczyła cię, kiedy wróci? To moja dawna znajoma. Ale ciebie

chyba nie zapraszała...?

– Może więc zaczekamy na jej powrót i przekonamy się? Ale obawiam się, że więcej jej nie zobaczymy, prawda?

Simonetta postanowiła nie odpowiadać. Nie widziała sposobu pozbycia się intruza, który najwyraźniej wiedział więcej niż powinien. Ale przynajmniej nie mógł jej w żaden sposób zaszkodzić. Napila się wina i zajęła sałatką z owoców morza.

– Nie jesteś, widzę, w nastroju do rozmowy, ale nie szkodzi. Powiem ci coś, co pozostanie między nami. Ale najpierw dowiedz się, że śledzę na bieżąco wydarzenia pewnego reality show, a od niedawna znam też jego kulisy. Otóż skontaktował się ze mną pomysłodawca całego tego cyrku i... Zresztą nie musisz wiedzieć o sprawach, które de facto ciebie nie dotyczą. – Szef hotelowej ochrony odłożył sztućce, wytarł usta serwetką i nalał sobie kawy. – Przypadkiem widziałem, jak z tego apartamentu wychodzą dwie sprzątaczkę z hydraulikiem. A przecież nikt go nie wzywał, zwłaszcza o tak nietypowej porze, powiadomiono by mnie o tym. Przejrzałem uważnie nagrania z monitoringu. I zgadnij, co zarejestrowały kamery sprzed wyjścia dla personelu i dostawców? Stąd wiem, że *signora* Matylda i jej towarzysz już nie wrócą.

– I co z tego?

– Zapłaciła ci, żebyś ją zastąpiła, jak myślę. Przyznaję, że istnieje między wami pewne fizyczne podobieństwo. Ale na twoim miejscu nie liczyłbym, że coś na tym dla siebie ugrasz. Nie jesteś gwiazdą tego programu i nic tego nie zmieni. Tamta zaczęła jakąś własną gierkę, a ciebie wystawiła na pośmiewisko...

Dziewczyna skrzywiła usta i spojrzała oczami zranionej łani na swego rozmówcę.

– Zamierzasz komuś sprzedać tę informację?

– Wręcz przeciwnie. Można lepiej wykorzystać okazję. – Utkwił w dziewczynie nieruchome spojrzenie. – Opłaci się i tobie, i mnie.

– Opłaci...?

– Dobrze usłyszałaś. – Napił się kawy i kontynuował tonem brzmiącym sucho i obojętnie, jakby był całkowicie pewien, że nie usłyszy sprzeciwu: – Dość regularnie zatrzymuje się u nas pewien gość i tak się składa, że wynajmuje zawsze ten sam apartament. Na tym piętrze, tuż obok. Zarezerwował stolik w restauracji na dole i zasiądzie przy nim niedługo. To jego stały zwyczaj. Chciałbym, abyś poszła do jego pokoju, otworzyła sejf w szafie i przyniosła mi jego zawartość. A raczej tylko pieniądze, resztę zostaw. Podzielimy się sprawiedliwie. Ja wezmę trochę więcej, ale to chyba oczywiste, ponieważ wszystko zorganizowałem.

– Tylko tyle? – Simonetta nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Ale to działało się naprawdę.

– Podam ci kombinację cyfr otwierających zamek. Nie musisz wiedzieć, jak

ją poznałem. Dostaniesz kartę otwierającą wszystkie drzwi.

– Kim jest ten gość? – spytała dla zyskania na czasie.

– Ciekawość bywa zgubna... ale i tak się zorientujesz, więc ci powiem.

Realizuje specjalne zamówienia bardzo majątnych klientów. Drobnego go nie interesują.

– Narkotyki?

– Między innymi.

– Czemu sam nie pójdziesz go okraść?

– Bo tobie pójdzie o wiele łatwiej. Sprzątaczką nie budzi niczyich podejrzeń.

Nawet gdyby coś poszło nie tak i zastał cię w pokoju, zawsze się wytłumaczysz.

Wrabiał ją, to było jasne. Gdyby coś poszło nie tak, bez wahania wskaże ją palcem. Albo Matyldę. A najprawdopodobniej uczyni tak, nawet gdy wszystko się powiedzie. Żeby zagwarantować sobie bezpieczeństwo i zgarnąć całą pulę. Handlarz narkotyków nie wezwie zapewne policji, ale z pewnością nabierze podejrzeń co do szefa ochrony. A wtedy ten poda mu ofiarę na tacy...

Simonetta uznała, że najlepszą strategią będzie udawanie naiwnej idiotki.

– To... się może udać. Musi! Ile tam będzie forsy?

– Więcej niż kiedykolwiek widziałas na oczy.

Opróżniła kieliszek do dna i zerwała się z błyszczącymi oczyma. Okrążyła stół, pochyliła się i leciutko ugryzła mężczyźnie w płatek ucha.

– Zrobimy to teraz...?

– Trochę później. Teraz masz co innego do zrobienia.

Dupek! – podsumowała go w myślach – może jestem wcięta, ale nie do tego stopnia. Nie jesteś w moim typie. Kiedy zademonstrowała zawiedzioną minę, odwróciła się i chciała odejść, złapał mocno za brzeg szlafroka.

– Jeśli będziesz mądra, nie pożałujesz, pamiętaj. Dawno miałem na ciebie ochotę...

A ona poczuła ochotę odwrócić się i dać mu w twarz. Ale to byłby błąd, słodkie idiotki tak nie robią. Facet nie puszczał szlafroka. Czowała, że nic jej nie grozi, przynajmniej na razie, on demonstrował jedynie swą siłę i władzę. Dała krok, pozwalając by śliski jedwab zsunął jej się z ramion, kiedy zrobiła następny, szlafrok bezgłośnie spłynął na wykładzinę. Podeszła do wózka sprzątaczkę. Zebrała części służbowego uniformu, przebiegła do łazienki i zamknęła się od środka. Oparta plecami o drzwi policzyła w myślach do dziesięciu. Zastanawiała się dłuższą chwilę nad sytuacją. Pożałowała, że łazienka nie ma okna, przez które mogłaby uciec. Zresztą, co za różnica? Facet liczy na jej chciwość, nie przyjdzie mu do głowy, że jego ofiara zwieje. Ułożył dobry plan, w którym była tylko jedna luka... Ale za to ogromna. Włożyła prędko granatową sukienkę i fartuszek.

Szef ochrony czekał na nią przed drzwiami do łazienki. Na jej widok skinął z aprobatą głową. Uśmiechnął się z satysfakcją i raptem rzucił czymś w jej stronę.

– Łap!

Simonetta chwyciła nadlatującą foliową torebkę i zaczęła obracać ją w dłoniach, niczego nie rozumiejąc. Opakowanie zawierało na jej oko ze sto gramów jakiegoś białego proszku.

– Co to jest?

– Kokaina.

Dziewczyna wydała okrzyk niczym ktoś, komu dla żartu kazano zamknąć oczy i podano żywą ropuchę. Upuściła pakunek na podłogę.

– Jesteś jego współnikiem, razem siedzicie w tym interesie?

– No proszę, nawet bystra jesteś.

– Co miałabym z tym zrobić?!

– Nic nie musisz robić. – Szef hotelowej ochrony pochylił się i podniósł torebkę, trzymając dwoma palcami za sam brzeg. Włożył ją ostrożnie do kieszeni marynarki. – To na wypadek, gdyby wpadło ci do głowy, że możesz zwinąć forszę i się ulotnić bez pożegnania. Na foli zostały twoje odciski palców, a ja mam świadka, który przysięgnie, że oferowałaś mu kokainę. Gdybyś nie wiedziała, to informuję, że w naszym kraju za handel ciężkimi narkotykami dostaje się od ośmiu do dwudziestu lat więzienia. Rozumiesz?

Simonetta poczuła, jakby grunt palił się jej pod nogami. Niemal słyszała w uszach szcęk zamykających się stalowych drzwi z kwadratowym judaszem. Osiem lat... zamiast promieni słońca będzie wieczny cień i półmrok, zamiast śpiewu ptaków na wymarzonej rajskiej plaży, będą rozlegać się chrapliwe głosy innych więźniarek. Wejdzie za bramę jako młoda jeszcze kobieta, a wyjdzie zniszczona i odrażająca. O ile wytrzyma i nie przetnie sobie żył ukradzionym z więziennej stołówki nożem...

Plan tego drania nie miał luk.

Mężczyzna wręczył jej uniwersalną kartę do drzwi. Kazał trzykrotnie powtórzyć kombinację cyfr otwierających sejf. W końcu uśmiechnął się szeroko, jakby pragnął dodać jej otuchy.

– Nic ci nie grozi, tylko zrób dobrze, co ci kazałem, i wracaj. Dostaniesz swoją dolę, rozstaniemy się i nie zobaczymy nigdy więcej.

Simonetta popatrzyła mu w oczy, kiwnęła głową i podeszła do stołu. Nalała sobie kieliszek wina, wypila duszkiem i odstawiła głośno na blat. Na jej twarz wróciły rumieńce.

– Co z kamerą na korytarzu?

– Idąc tutaj, odwróciłem ją w drugą stronę.

– W takim razie jestem gotowa.

– Grzeczna dziewczynka.

Korytarz był pusty, jak prawie zawsze o tej porze. Pchając wózek, podeszła do właściwych drzwi i zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc przesunęła kartę

w szczelinie zamka i przez ściereczkę, którą wyciera się kurze, nacisnęła klamkę. Apartament był mniejszy, lecz nie mniej ekskluzywny. W salonie stała skórzana sofa, głębokie fotele i masywny mahoniowy stolik. W powietrzu unosił się zapach drogich cygar. Wnętrze przywodziło na myśl skrzyżowanie gabinetu prezesa dużej firmy z klubem dla angielskich dżentelmenów.

Simonetta doskonale знаła rozkład i umeblowanie prawie wszystkich hotelowych pomieszczeń, więc bez namysłu skierowała się ku umieszczonej w sypialni ściennej szafie. Odsunęła lustrzane skrzydło drzwi i ukucnęła przed sejfem wielkości małej lodówki. Wstuknęła klawiszami cyfrowy kod, elektroniczny mechanizm zareagował cichym zgrzytnięciem. Otworzyła drzwiczki. Wyobrażała sobie, iż ujrzy zapas narkotyków oraz jakiś rodzaj broni palnej, z której mogłaby zrobić użytek, zastraszając czekającego na nią mężczyznę i pozbawiając go przewagi. Albo wezwać policję i zadenuncjować obydwu drani. Ale w środku leżały tylko pieniądze. Widać handlarz śmiercią był na tyle ostrożny, że towar trzymał gdzieś poza hotelem. Za to banknotów było naprawdę dużo. Nie usiłowała ich policzyć, miała tylko świadomość, że wystarczyłoby ich na wiele lat wygodnego życia. Może nawet na całe życie...

Po minucie wróciła do salonu. Miała trochę czasu, nim szef hotelowej ochrony zacznie się niecierpliwić. Przejrzała zawartość wózka, na którym wciąż leżał uniform sprzątaczk używany przez Matyldę. Rozsunęła szklane drzwi na taras, jakby chciała przewietrzyć pomieszczenie. Podeszła do barku w rogu salonu, nalała do szklanki trochę drogiej whisky, wypła i odetchnęła z wysiłkiem. Z namysłem popatrzyła na komodę, gdzie stał hotelowy telefon. Znała na pamięć wszystkie wewnętrzne numery.

Kilka minut później pojawiła się na korytarzu. Popychając wózek, wróciła pod drzwi apartamentu Matyldy i otworzyła je uniwersalną kartą.

– Jak poszło? – Szef ochrony stał w głębi salonu obok szczelnie zasłoniętego okna. Gdyby nie głos, który zdradzał jego pozycję, można by go było nie zauważyć. – Nikt cię nie widział?

– A co za różnica, kto zwraca uwagę na sprzątaczkę? – Machnęła bez troski dłonią i powachlowała się nią, dając wyraz uldze, że ma już wszystko za sobą. – Kończmy z tym szybko, bo nie wiadomo, kiedy on wróci do siebie.

– Bez paniki. Nie zajrzy tak od razu do sejfu. Gdzie masz pieniądze?

– Powiem, jak wytrzesz moje odciski z torebki, którą trzymasz w kieszeni.

– To jest mąka, kotku. Nie noszę takiej ilości kokainy przy sobie.

– Co?! Pięknie mnie nabrałeś. Ale może i lepiej, nie wiem, czy inaczej bym się odważyła... – Ściągnęła pantofle i rozwiązując fartuszek, zbliżyła się do stołu. Nalała sobie wina. – Ależ to były emocje, chyba będzie mi się śniło po nocach. Pieniądze są na wózku w koszyku na ścierki. Muszę się szybko przebrać i zwiewać, daj mi moją dolę i znikaj.

Simonetta podeszła do sofy pod oknem, gdzie leżała zwiewna sukienka. Włożyła na głowę kapelusz Matyldy z szerokim rondem opadającym na oczy. Tymczasem szef ochrony grzebał chwilę w wózku sprzątaczkii, wydał pełen irytacji pomruk i odwrócił się gwałtownie.

– Tylko tyle było w sejfie?!

Coś, co ujrzała w jego wzroku, sprawiło, że poczuła na plecach ciarki. Równocześnie drzwi do apartamentu, które pozostawiła niedomknięte, zaczęły otwierać się wolno, centymetr po centymetrze. Ciarki zmieniły się w lodowate igły.

– Tylko? – Wzruszyła ramionami. – Przecież to kupa forsy, wzięłam wszystko.

Zmrużył oczy, jego ręka powędrowała gdzieś pod marynarkę. Simonetta dostrzegła postawnego mężczyznę w smokingu, wchodzącego bezszelestnie do apartamentu.

– Nie pogrywaj ze mną, dziecińo, gdzie reszta forsy?

Zamiast odpowiedzieć szarpnęła za umieszczony z boku sukienki suwak i zaczęła ją ściągać, skupiając całą uwagę szefa ochrony na sobie.

Wkładając strój sprzątaczkii, nie pofatygowała się, by włożyć bieliznę...

Mężczyzna w smokingu uniósł dłoń z pistoletem, do którego miał dokręcony tłumik. Cekał, ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę.

Simonetta obróciła się bokiem i zrobiła parę kroków, pieszcząc dłonią przewieszoną przez oparcie powłóczytą suknię Matyldy. Suknia wciąż była mokra.

– Jeśli myślisz, że ci pozwolę...

Urwał, spostrzegłszy, że dziewczyna w ogóle go nie słucha. Po prostu szła dalej jak lunaticzka. Czula mrowienie między łopatkami, ale bała się odwrócić głowę. Odchyliła poruszaną lekkimi podmuchami wiatru firanę, nabrała głęboko powietrza i jakby zapomniiała, iż ma na sobie jedynie czerwony kapelusz, wyszła na osłoneczniony taras. Zdążyła jeszcze usłyszeć głos mężczyzny w smokingu, z którym rozmawiała przed paroma minutami przez hotelowy telefon:

– Nie ruszaj się! Twój plan był całkiem niezły. Miał tylko jedną lukę...

Simonetta opuściła rondo kapelusza bardziej na oczy. Krocząc nago po rozgrzanych płytkach tarasu, nie myślała o ukrytych kamerach, mogących śledzić jej poczynania, tylko o zbirach w apartamencie. Ten drugi, którego poprosiła do telefonu, dzwoniąc do hotelowej restauracji, stał się jej sprzymierzeńcem. Chwilowym. Bo tacy ludzie nigdy nie zostawiają świadków. Szef ochrony nie wyszedłby za nią na taras, gdyż wiedział, że zostanie sfilmowany. Ale facet w smokingu nie zawaha się, bo po prostu o tym nie wie... Widział ją przez okno, więc musiała dać dobre przedstawienie. Najlepsze w jej życiu.

Zbliżyła się do basenu, ale nie weszła do środka, tylko przystanąła na krawędzi. Świadomość, że śledzą ją tysiące oczu, była dziwna, jakaś zupełnie



nierealna. Ale nie ją właściwie, nazwisk dublerki nie umieszcza się w czołówce filmów. Trochę to niesprawiedliwe. Sprawdziła stopą wodę, idealna...

Raptem zasłona u wyjścia z apartamentu wybrzuszyła się, przybierając na chwilę kształt ludzkiej postaci. Szef hotelowej ochrony wytoczył się na zewnątrz, jakby w zwolnionym tempie dał kilka chwiejnych kroków, wreszcie runął na ziemię. Na przodzie jego białej koszuli rozlewała się czerwona plama.

Simonetta podbiegła do sięgającego ponad jej głowę murku z boku tarasu. Kratka z jakimś pnącem była wykonana solidnie, wytrzymała ciężar wspinającej się po niej dziewczyny. Podparła się rękoma, przełożyła nogi i zeskoczyła na drugą stronę. Weranda należała do apartamentu zajmowanego przez mężczyznę w smokingu. Miała niewiele czasu, nim tamten zorientuje się w sytuacji. Wpadła do salonu, złapała pozostawiony tam przez siebie strój sprzątaczkę i wyskoczyła na korytarz. Z towarowej windy wysiadał właśnie boy hotelowy. Chłopak rozdziawił usta na widok nagiej kobiety, biegnącej w jego stronę...

– Pali się! – zawołała, chowając się w kabinie. Wcisnęła najniższy z przycisków i krzyknęła przez zamykające się drzwi: – Wezwij strażaków!

Nim winda zjechała do końca, Simonetta zdążyła włożyć granatową sukienkę. Z tego wszystkiego zapomniała o pantoflach, ale to było najmniejsze zmartwienie. Rozchyliła papierową torbę i popatrzyła z niejakim niedowierzaniem na upchnięte w niej ciasno bank-noty...

\*

Dzień później Matyllda, tkwiąca pod pokładem rybackiego kutra, kliknęła link do najnowszego z filmików. Był opatrzony jakąś nieprawdopodobną ilością komentarzy internautów. Zapewne odkryli podmiannę. No, to było raczej nieuniknione, mówi się trudno... Uniosła do ust szklanekę z grappą i zamarła. Oto Simonetta wychodzi na taras, by sobie popływać... Ujęcie z góry, zapewne z szybującego wysoko drona, ukazywało niewiele więcej poza czerwonym kapeluszem. Dopiero następane, z normalnej perspektywy, sprawiło, że Matyllda poczuła na twarzy gorąco. Jej dublerka była kompletnie naga. I w jakiś sposób umiała sprawić, że wyglądało to naturalnie. Niemal czuło się, jak oglądający ją z fascynacją internauci wstrzymują oddech. Matyllda złapała się na głupiej myśli, że przecież mogła się sama odważyć, udając nieświadomą tych wszystkich kamer... Nagle obejrzała się przez ramię, aby upewnić się, iż żaden z jej towarzyszy nie przygląda się scenie. O nie, za żadne skarby nie pokaże im tego! Zrobiło jej się trochę słabo, gdy przypomniała sobie, jak wielu ludzi to właśnie oglądało. I że coś raz umieszczone w internecie, nigdy z niego nie zniknie. Pal ich lichu, anonimowych widzów, bo nigdy się nie spotkają, a jeśli nawet, nikt nie rozpozna jej normalnie ubranej na ulicy. Ale wystarczy, żeby któryś z jej prawdziwych znajomych zobaczył ją na YouTube, natychmiast przekaże drugiemu, tamten

następnemu... Nie ją! Ale nawet nie może zadzwonić do nikogo i wyjaśnić, że to jakieś przywidzenie albo wynajęta dublerka, że nie zrobiła tego specjalnie dla zyskania rozgłosu. I tak by zresztą nie uwierzyli! Słowo, a raczej obraz, wychodzi jaskółką, a wraca wołem... Sama się postarała, żeby ta temperamentna Włoszka była w jej skórze wiarygodna. Tylko patrzeć, jak po wszystkim zaczną napływać propozycje ról filmowych i sesji do Playboya. Będzie musiała chyba wyemigrować, najlepiej do Chin albo nawet...

Nowa scena przerwała porażające wizje Matyldy. Na taras wyszedł jakiś mężczyzna w zakrwawionej koszuli i runął bezwładnie na ziemię. Zbliżenie kamery pokazało jego zastygłą twarz z szeroko otwartymi oczyma i czerwoną stróżką wypływającą z ust. Simonetta podbiegła do murku, wspięła się zwinnie i już była na górze. Równocześnie na tarasie pojawił się inny mężczyzna w smokingu. Uniósł pistolet i wymierzył w stronę znikającej po drugiej stronie murku dziewczyny...

Matylda zamknęła z trzaskiem laptop. Przez chwilę siedziała jak skamieniała. Wreszcie wypila do końca zawartość szklanki, poderwała się i pobiegła do sterówki.

– Waśka, nie wiem, jak to zrobisz, ale jutro chcę znaleźć się na końcu świata!

Komandos popatrzył zdumiony na jej zaczerwienione policzki.

– A można konkretniej? Gdzie szefowa pragnie się znaleźć?

– W Chinach.

Skok w przeszłość

Chiny 1995

***W którym wkracza na scenę Yu Tian, czyli Deszczowy Dzień. I dowiaduje się czegoś, co zmieni jej życie na zawsze.***

Ziao Yu Tian była podekscytowana. Właśnie po raz pierwszy poczuła, że nie jest już dzieckiem.

– Miesiąc temu skończyłaś dziesięć lat. – Mama, Chien Huang Lan, delikatnie rozczesywała długie czarne włosy córeczki. – Dziś jest szczególny dzień, kolejna rocznica tragedii, o której się nie mówi, o której i ty wiesz za mało. Wraz z twoją babcią uznałyśmy, że powinnaś dowiedzieć się więcej. Jesteś już na tyle dorosła, żeby poznać trochę lepiej historię naszego kraju i okoliczności śmierci swojego ojca, szanownego Ziao Lan Longa. – Mama schowała szczotkę i wpięła we włosy dziewczynki żółtą orchideę. – Pójdiesz dziś ze mną na pewne spotkanie, bardzo ważne.

Yu Tian radośnie się uśmiechnęła, patrząc na kwiat. Wiedziała, że jego nazwa oznacza imię mamy. Ale mimo tego, że Yu Tian dość często wpinano we włosy kwiaty, jeszcze nigdy nie ozdobiono ich żółtą orchideą.

Nim wyszły z domu, Huang Lan zaczęła opowiadać córce o wydarzeniach, które zmieniły życie jej rodziny.

Między piętnastym kwietnia a czwartym czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku na centralnym placu Pekinu, Tian'anmen, miały miejsce manifestacje i protesty, zapoczątkowane przez studentów, do których stopniowo dołączali najpierw pekińscy robotnicy, a następnie przedstawiciele innych zawodów. Sondaże prasowe wykazywały, że takie działania popierało trzy czwarte mieszkańców Pekinu. Żądano rozpoczęcia reform politycznych, likwidacji narastającej korupcji, domagano się demokratyzacji życia publicznego. Manifestacje studenckie, organizowane początkowo ku czci zmarłego Hu Yaobanga, sekretarza Komunistycznej Partii Chin, uważanego za zwolennika reform politycznych, przerodziły się w poważne demonstracje, rozpoczęte strajkiem głodowym studentów. Strajk przerodził się w okupację placu. Nowy sekretarz generalny KPCh, Zhao Ziyang, był gotów do rozmów, doszło nawet do spotkania z protestującymi, lecz nie przyniosło ono spodziewanego rezultatu, żadna ze stron nie chciała ustąpić. Władze Chin wprowadziły więc w Pekinie stan wyjątkowy i podjęto próby rozpędzania demonstrantów. Lokalne oddziały

wojskowe nie poradziły sobie z tym zadaniem, sprowadzono więc z prowincji oddziały 27. armii, wyznaczając jej zadanie odbicia miasta z rąk demonstrantów. Mieszkańcy Pekinu, którzy mają odwagę rozmawiać o tych wydarzeniach, na podstawie własnych wspomnień, określali żołnierzy z 27. Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej jako bandę prymitywów, zdolnych jedynie do zabijania. Faktycznie, pochodzili oni z odległych rejonów Chin, mówili odmiennym dialektem, przeważnie północnym, prawie niezrozumiałym zarówno dla mieszkańców Pekinu, jak i dla lokalnych jednostek wojskowych i policyjnych. Cechowali się wyjątkową brutalnością i dużym stopniem samowoli. Przy użyciu broni maszynowej i czołgów rozpędzili uczestników protestu w nocy z trzeciego na czwartego czerwca. Zmasakrowano tysiące ludzi. Faktycznej liczby ofiar nikt nie zna do dziś, według różnych źródeł zginęło od tysiąca do trzech tysięcy demonstrantów.

– Jedną z ofiar był twój ojciec. Został rozjechany czołgiem. Zjeżdżyliśmy z twoją babcią pięć szpitali, nim go znalazłyśmy. W tym piątym szpitalu jego nazwisko było pierwsze na liście – zakończyła swą opowieść Huang Lan. – Dziś miałby czterdzieści lat, wtedy był młodym, obiecującym dziennikarzem. Ty byłaś czteroletnim dzieckiem, chroniłyśmy cię, obydwie z babcią, jak mogłyśmy. Gdybyś tylko rozmawiała o tym, co się stało... żyjemy w takich czasach, że nikomu nie można ufać. Nasza rodzina była cały czas obserwowana i dużo nas kosztowało udawanie, że pogodziliśmy się z losem, dlatego dla dobra twojego i całej rodziny nie mogliśmy ci powiedzieć, jak naprawdę zginął twój bohaterski -ojciec...

Yu Tian słuchała z zapartym tchem. Czołgiem? Przecież to straszne! Chciała zadawać pytania, ale rzut oka na matkę wystarczył. Jej zmarszczone czoło i osłonięta włosami twarz świadczyły o tym, że Huang Lan uważa rozmowę za zakończoną. Dziewczynka postanowiła więc, że będzie dzielna, zapewne wkrótce pozna całą prawdę. Właściwie prawie nie miała pojęcia o tamtych czasach, a gdy czasami pytała o ojca, o którym miała blade wspomnienie... matka odpowiadała, że zmarł młodo na serce. W przedszkolach i w szkołach plac Tian'anmen przez cały czas był po prostu Placem Niebiańskiego Spokoju, a wydarzenia sprzed lat ciągle stanowią swoiste tabu. Data czwarty czerwca jest na indeksie, a w chińskich mediach nie dopuszczane są nawet takie eufemizmy, jak „ten dzień” czy „ów rok”.

– Córeczko, w więzieniach przez cały czas przebywają świadkowie „tamtego dnia”. – Huang Lan mocno zaakcentowała ostatnie słowa. – Mówię ci o tym wszystkim nie tylko dlatego, że nadszedł czas, abyś poznała prawdę. Mówię ci o tym też dlatego, żebyś wiedziała, iż musisz być rozważna, bowiem policja obserwuje rodziny ofiar tego pamiętnego czerwca. A teraz szykuj się, wychodzimy. Nie rozglądaj się, idź w miarę normalnym krokiem, ale gdybyś zobaczyła coś podejrzanego, powiedz mi o tym natychmiast.

Yu Tian nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Czy będzie ktoś je

śledził? Czy wychodząc z domu, robią coś złego? Ale wyraz twarzy matki powiedział jej jedno. To nie była zabawa.

– Dziś mija kolejna rocznica wydarzeń na placu Tian'anmen. Myślę, że wiesz, iż nie wszyscy Chińczycy popierają politykę naszej partii i jej przywódców. Niejeden raz byłeś świadkiem różnych spotkań w naszym domu i chociaż staraliśmy się, żeby niewiele do ciebie docierało, przecież wiem, że już dużo rozumiesz. Dlatego teraz postanowiłyśmy, ja, twoja babcia i panie, które zaraz poznasz, że powinnaś zostać wtajemniczona...

Huang Lan szła zdecydowanym krokiem przed siebie, zatrzymując się, by tu i ówdzie od ulicznych sprzedawców kupić grono winogron, pęk związanych papryczek, kilka żółtych batatów. Część zakupów oddawała córce, cały czas opowiadając coś z wesołą miną. Wyglądało, jakby wyszły na codzienne zakupy i ta uliczna krzątanka zaczynała robić się nużąca, gdy raptem, dziewczynka nie spostrzegła nawet, jak i kiedy, znalazły się pod płóciennym daszkiem stoiska z warzywami, a za chwilę już wchodziły wąskimi schodkami do jakiegoś niewielkiego pomieszczenia. Potem odłoniła się przed nimi kotara z wyhaftowanymi żurawiami, dość nędznie wyglądająca, z zaciągniętymi nitkami i naddartymi brzegami. Za kotarą widać było prowadzące stromo w górę schody. Po pokonaniu kilkunastu stopni stanęły przed kolejnymi drzwiami, Yu Tian zapamiętała, że były drewniane, mocne i grube. Jeszcze tylko wysoki próg obity błyszczącą blachą, a za nim niewielkie pomieszczenie wyścielone jedynie grubymi słomianymi matami i pełno ludzi... siedzieli w różnych pozach: po turecku, na piętach, na podkulonych nogach, głównie kobiety. Choć byli także nieliczni mężczyźni. W rogu pokoju, przy małym stoliku z laki, na którym stała taca z przyborami do parzenia herbaty, mieścił się jedyny fotel, na którym zasiadła starsza kobieta ubrana w tradycyjny chiński strój. Miała na sobie czerwonoróżowe kimono przepasane ciemniejszym pasem. Szerokie rękawy otaczały bordowe lamówki, a nad lewym uchem ciemnowłosej damy wpięta była wspaniała czerwona orchidea.

– To Ding Zilin, nasza założycielka – szepnęła -cichuteńko mama do Yu Tian. Dziewczynka była już na tyle duża, aby rozumieć, jak należy się zachować. Podeszła powoli do siedzącej kobiety i skłoniła się nisko. Potem podreptała za Huang Lan i obydwie ukucnęły na piętach w przeciwnym rogu pomieszczenia.

Minęło jeszcze kilka minut, gdy Ding Zilin uniosła w górę lewą dłoń:

– Witam was, o siostry, i was, coraz liczniejsi, nasi bracia. Cieszę się, że i w tym roku udało nam się zorganizować spotkanie, choć wielu naszych internowano. Jak wiecie, takich spotkań jest dzisiaj kilkanaście w całym Pekinie, mam więc nadzieję, że nawet jeśli kogoś przewencyjnie aresztowano, będzie to chwilowe, nie daliśmy władzy wyraźnego powodu do ostrzejszych działań. Wszystko wymaga czasu. Na razie chcemy, aby nasz ruch stał się masowy, żądamy

przywrócenia pamięci, pragniemy rozgłosu... Niestety, jak aż za dobrze wiemy, władze potrafią sprawić, że boom gospodarczy, jaki obserwujemy obecnie, zaciera niemiłe wspomnienia, pamięć ofiar tej tragicznej nocy. A ci, którzy trafili do więzienia, są powoli zapominani. Nie możemy do tego dopuścić, niech młodzi, których tu po raz pierwszy gościmy, pamiętają...

Ding Zilin skinęła lewą dłonią. Z maty poderwały się cztery młodsze kobiety, wydoły ze stojącej za fotelem przewodniczącej skrzyni szeroką jedwabną matę i starannie ją rozłożyły przed stolikiem z laki.

– Yu Tian, Mao Lin, Hu Intao oraz ty, Qingchen, podejdźcie tu.

Cztery przywołane dziewczynki nieśmiało podeszły i przycupnęły przed przewodniczącą.

– Powtarzajcie za mną – rzekła Ding Zilin.

Ze złożonymi dłońmi mówiły więc: „Ja – tu każda wstawiała swoje imię – szanując zaszczyt przyjęcia w szeregi organizacji Matki Tian’anmen, przysięgam działać dla dobra naszego ukochanego kraju, nie zważając na trudności i przeszkody, które będą przed nami stawiane. Jak nasi najbliżsi oddali życie za ojczyznę, tak my oddamy wszystkie siły i umiejętności, aby nic takiego nigdy się już nie wydarzyło. Prowadź nas, czcigodna matko założycielko”.

Przy kolejnym skinieniu ręki Zilin trzy dziewczynki wstały i wróciły skąd przyszły. Jedna Yu Tian nie ruszyła się z miejsca, wstała tylko i skłoniła głowę przed przewodniczącą.

– Chcę prosić o łaskę – wyszeptała, sama zdumiona swoją odwagą, nie odwracając się w stronę matki, jakby w obawie, że zostanie powstrzymana.

– Mów, dziecko. – Kolejne skiniecie ośmieliło córkę Huang Lan.

– Mama opowiedziała mi rano historię wydarzeń na naszym placu. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że czwartego czerwca zginął tam także mój ojciec. Obiecuję, że gdy dorosnę, czcigodne Matki, zrobię wszystko, by pamięć ofiar nigdy nie została zapomniana przez dzieci Tian’anmen...

Przewodnicząca była zdumiona słowami dziecka. Spojrzała w stronę matki dziewczynki, jakby podejrzewała, iż to ona nauczyła ją kilku zdań, które właśnie padły. Ale Huang Lan spoglądała pełnymi łez oczyma, podobnie zaskoczona postawą córki. A dziewczynka skłoniła się głęboko i trwała tak długo w tym ukłonie, aż Ding Zilin klasnęła kilka razy w dłonie. Gest ten powtórzyli wszyscy zebrani.

– Dziękujemy ci, dziecko. Chciałabym, żebyś nie musiała dotrzymywać obietnicy, ale nie śmiem marzyć, że pamięć zostanie przywrócona za mojego życia. Huang Lan – zwróciła się do matki dziewczynki – dobrze wychowałeś swoją córkę.

Zachowanie dziewczynki uczyniło na wszystkich wielkie wrażenie. A zwłaszcza na pewnym młodzieńcu, który nawet nie podejrzewał, że tamtego dnia po raz pierwszy ujrzał przyszłą żonę. Ale dwudziestoletniemu Wang Jin He,

studentowi informatyki, drobna postać pełnej zapału panienki zapadła w serce i nie mógł już o niej zapomnieć. Przyszedł wtedy na tajne spotkanie z babcią, która sama prawie nie mogła się poruszać. Służył jej ramieniem i w ogóle był podporą jej starości. Gdyby nie on, już dawno nie byłoby jej na świecie, bowiem w tragiczną noc z trzeciego na czwartego czerwca odciągnął ją z linii strzału przebranego w mundur żołnierza mordercy, walącego z karabinu maszynowego w manifestujący tłum. Najprawdopodobniej wtedy właśnie zginął jego starszy o cztery lata brat, jego ciała nigdy nie odnaleziono... rodzina nie znalazła jego nazwiska na żadnej liście rannych ani zmarłych. Obeszli szpitale, posterunki, urzędy, a nawet siedziby władz partii. Do dziś nie wiadomo, co stało się z Xiao Shu, wciąż nie zaprzestali poszukiwań. W pierwszym z odwiedzanych wówczas szpitali jeden z lekarzy płakał, opowiadając, że żołnierze nie pozwalali nieść pomocy rannym studentom. Wszystkich, żywych i martwych, znajdujących się w szpitalach, zwożono do specjalnych miejsc odosobnienia, gdzie słuch o nich ginął. Matki Tian'anmen wszelkimi możliwymi sposobami powoli identyfikowały ofiary czerwcowej masakry, najczęściej dowiadując się jedynie, że w dniu tym i tym, w miejscu określonym jako „przybliżone”, władze poddały kremacji kilka setek zwłok. Osoby zaginione uznawano więc za ofiary, nieoficjalnie, żadnej osobie zaginionej nie wystawiono aktu zgonu. Tylko nielicznym udało się zidentyfikować zabitych, jeśli potrafili odnaleźć ciała bliskich w szpitalu kilka godzin po tragedii.

Rodzice Jin He odeszli z tego świata bardzo szybko po wydarzeniach czerwcowych, matka zmarła na zawał serca w lipcu, ojciec żył jeszcze rok, cały czas wierząc, że Xiao Shu za chwilę wróci do domu. Babcia i jej wnuk dawali sobie jakoś radę, młodzieniec chlubnie ukończył szkołę i rozpoczął studia. Nie przeszkadzano mu w tym, może przez przeoczenie, a może władze uznały, że utrata bliskich dała młodemu człowiekowi wystarczającą naukę, by nie ulegać złym wpływom. Lecz mimo iż od tamtego pamiętnego czerwca minęło parę dobrych lat, Jin He, jego schorowana babcia i wiele osób, których krewni wówczas zginęli lub zaginęli, starali się o tym pamiętać i nie tracili nadziei, że kiedyś dotrą do prawdy.

Tak więc czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku Jin He był z babcią na spotkaniu zorganizowanym przez Matki Tian'anmen, a deklaracja poczyniona w imieniu Dzieci Tian'anmen przez pewną, ujrzaną po raz pierwszy w tym dniu, dziewczynkę poruszyła jego serce.... Spotykali się później kilka razy na różnych nieformalnych zgromadzeniach, a w roku dwa tysiące trzecim założyli stowarzyszenie „Dzieci Tian'anmen”. Jin He ukończył studia z wyróżnieniem. Właściwie był lepszym specjalistą, niż chciał się do tego przyznać; informatyka stała się jego ucieczką od szarej codzienności. Mimo zakazów i trudności z dostępem do internetu, umiał ominąć wszelkie blokady, nawiązać kontakty ze studentami z całego świata. Oczywiście najbardziej

interesowała go grupa młodych Chińczyków, szczególnie tych nielicznych, którym udało się opuścić kraj, zanim dotknęły ich represje za udział w wydarzeniach na placu Tian'anmen.

Jin He i Yu Tian bardzo się do siebie zbliżyli podczas wspólnej działalności na rzecz „Dzieci Tian'anmen”. Yu Tian po ukończeniu studiów została dziennikarką – to było jej marzenie, od kiedy usłyszała, czym zajmował się jej ojciec. Oczywiście musiała pisać pod dyktando informacji i dyrektyw płynących z góry, zgodnie z wytyczoną linią partii. O wydarzeniach z pamiętnego czerwca nie wolno było nawet wspomnieć...

W roku dwa tysiące dziewiątym Ziao Yu Tian i Wang Jin He pobrali się, żałując bardzo, że ich najbliżsi nie dożyli tej uroczystości. Chien Huang Lan zmarła dwa lata temu, a babcia Jin He kilka lat wcześniej.

Czwartego czerwca dwa tysiące dziesiątego roku urodziła im się córeczka. Chociaż dzień ten, mimo upływu czasu, prawie w Chinach nie istniał, jakby wypchnięty poza ramy kalendarzy... chcieli jakoś specjalnie uczcić datę przyjścia na świat ich dziecka. Dali więc córce na imię Czerwony Śnieg – Hong Xuě – bowiem choć śniegu w czerwcu nikt nie widział, koloru czerwonego w tym szczególnym dniu było aż za dużo.



Powrót do terażniejszości

Dzień czternasty

***W którym pewien kuter kończy swój żywot, a nasi bohaterowie udają się do Państwa Środka, czyli Zhōngguó.***

Świt na morzu potrafi być urzekający. Tarcza słoneczna zdaje się powoli wynurzać wprost z wody, zastępując atramentową czerń błękitem i w ciągu kilku minut niwelując wrażenie zagubienia pośród bezkresu nieprzyjaznej toni. Matylda z Januszem, kiedy bywali gdzieś na wybrzeżu, lubili wstać tuż przed świtem i wędrować na plażę, by podziwiać wschód słońca. Tym razem jednak wszystko odbyło się bez odrobiny romantyzmu.

Wasilij obudził ich parę minut po trzeciej w nocy, pozwalając jedynie na kubek kawy, by mogli otrząsnąć się ze snu. Ubiegłego popołudnia komandos znalazł gdzieś w schowku dwa solidne marynarskie worki, które można było przewiesić przez ramię, i zarządził przepakowanie do nich zawartości walizek. Teraz wzięli przygotowane wieczorem skromne bagaże i wyszli za Waśką na pokład. W obawie przed tunezyjską strażą przybrzeżną wszystkie światła na kutrze były pogaszone. Rosjanin oświetlił latarką metalową drabinkę, do której przywiązany był ponton ratunkowy.

– Schodźcie i poczekajcie na mnie. Potrzeba mi paru minut.

– Daleko do brzegu? – Matylda dostrzegła na horyzoncie blask przedświt, jednak było jeszcze zbyt ciemno, żeby dało się zauważyć zarys jakiegoś łądu.

– Niecałe dwie mile. Jesteśmy na wschodnim wybrzeżu Tunezji, w Zatoce Gabes, wylądujemy trochę poniżej Mahares – odparł Waśka, jakby sądził, że im to cokolwiek mówiło.

– A na brzegu nikt nas nie zaskoczy?

– Raczej wątpię. To tereny gajów oliwnych. Podejdziemy kawałek i postaramy się złapać okazję na lotnisko w Enfidha.

– Okazję? – Matylda bynajmniej nie poczuła się uspokojona. – Daleko to?

– Niezbyt. Jakies trzysta kilometrów. – Waśka zbagatelizował sprawę.

– Ale to przecież nie Unia Europejska, a my nie mamy w paszportach pieczętek wbijanych przy przekraczaniu granicy! – przestraszyła się Matylda, która nagle zdała sobie sprawę, jakie przestępstwo popełniają.

– Spokojnie szefowo. Jeśli tylko straż przybrzeżna nie wyłowi nas z wody, potem damy sobie radę. Nieprzypadkowo wybrałem Tunezję, tak się składa, że

znam tu kogoś, kto winien mi przysługę.

– Zdaje się, że wszędzie znasz kogoś, kto winien ci przysługę?

– Bez przesady. W każdym razie zadzwonię do niego po drodze, a on zadzwoni do kogo trzeba. Na lotnisku przejdziemy przyspieszoną odprawę, posługując się dokumentami respektowanymi na całym świecie.

– Jakimi dokumentami, my przecież... – urwała, widząc uniwersalny gest Waśki oznaczający liczenie pieniędzy. No jasne, znajomości swoją drogą, ale nie ma to jak dobra łapówka.

Ponaglani niecierpliwymi gestami komandosa zeszli do kołyszącego się lekko pontonu. Choć był skonstruowany na użytek aż ośmiu pasażerów, miał ławeczki utrzymujące sztywność konstrukcji i linki, których można było się przytrzymać, wydał się dziewczynie czymś w rodzaju chybotliwej wysepki, którą może zatopić pierwsza większa fala. Nie jest tak źle, przynajmniej nie pada, a my nie jesteśmy rozbitkami – usiłowała pocieszać się, obserwując Janusza układającego plecak i dwa marynarskie worki tak, by zapewnić jak największą stabilność ich napełnionej powietrzem łajby. Po kilku minutach dołączył do nich Wasilij. Mężczyźni chwycili krótkie wiosła i skierowali ponton we wskazanym przez komandosa kierunku. Na horyzoncie było już widać -kawałek tarczy słonecznej.

Ponton za sprawą siły mięśni wiosłarzy i sprzyjającego prądu przyływu dość szybko oddalał się od kutra. Matylda intensywnie wpatrywała się w malejący stateczek, wyczekując... chyba eksplozji? Minął dobry kwadrans, świt już na dobre rozlał się po niebie, gdy dostrzegła unoszący się nad kutrem dym. Zrazu słaby, szybko zagęścił się, przybierając postać czarnych kłębow.

– Waśka, co tam się dzieje? – zapytała, gdyż spodziewała się raczej wybuchu, który rozniesie jednostkę na strzępy.

– Pożar w maszynowni. – Obejrzał się przez ramię i wrócił do wiosłowania.

– Wystarczyło podpalić parę szmat nasączonych ropą. Niedługo powinien wybuchnąć zbiornik paliwa i kuter pójdzie na dno.

– Myślisz, że to w jakimś stopniu ukroci ten cały proceder handlu kobietami?

Waśka w milczeniu pokręcił głową. Pomyślała, że niepotrzebnie pytała. W grę wchodziły wielkie pieniądze, więc organizatorzy procederu nie zrezygnują z powodu utraty jednego kutra. Współczesny świat opleciony jest skomplikowaną siecią powiązań finansowych i politycznych, a wielkich graczy mało obchodzi jednostki, których głos jest ledwie słyszalny. Zatopienie jednego stateczka do przemytu ludzi niczego nie zmienia.

Ale i tak zrobili, co należało.

Niecałą godzinę później ponton osiadł łagodnie na wąskiej piaszczystej plaży. Wasilij podziurawił go nożem, spuszczać powietrze. Sflaczałe pozostałości tratwy ratunkowej zasypali piaskiem i ruszyli w głąb lądu. Natychmiast stało się

jasne, jak mądrze postąpił komandos, zamieniając walizy pisarzy na marynarskie worki, będące o niebo poręczniejsze na nierównym spalonym słońcem gruncie. Przekroczyli pasmo jakichś rachitycznych krzewów i dalej podążali wśród posadzonych w równych rzędach drzewek oliwnych o krzywych pniach i sękatych gałęziach. Ziemia była spękana i sucha, bez jednego źdźbła trawy.

– To ma być gaj oliwny? – Matylda zupełnie inaczej go sobie wyobrażała. – Przypomina mi raczej pozostawiony na pastwę losu stary sad ze zdziczałymi drzewami.

– Pozory mylą. Gaje oliwne uprawiano tutaj już w czasach rzymskich. Spójrz, jak równo są posadzone. W ten sposób łatwiej było pilnować zajmujących się nimi niewolników. Tunezja zajmuje czwarte miejsce na świecie w produkcji oliwek. Prawdziwy potentat.

– Ale te drzewka są małe i mimo tego wyglądają na stare.

– Są długowieczne, a odpowiednie przycinanie ułatwia zbiory. Tutaj rzeczywiście warunki są trudne, ale, jak widać, jakoś sobie radzą. Słyszałem, że co jakieś sto lat pień oliwki pęka na dwie części, z których jedna obumiera, za to druga staje się nowym drzewkiem. To przystosowanie do niesprzyjających warunków, bo minimalizuje potrzeby.

– Ciekawe – podsumowała bez specjalnego entuzjazmu. Choć było jeszcze wcześniej, słońce zaczynało coraz mocniej przypiekać. – Daleko jeszcze do miejsca, gdzie zamierzasz złapać, jak to określiłeś, okazję?

– Z mapy wynikało, że jakieś trzy kilometry.

Matylda westchnęła ciężko, ale powstrzymała się od kąśliwej uwagi. W końcu to za jej sprawą zakradli się z Januszem na kuter, zamiast spokojnie zaczekać w jakimś moteliku aż Rosjanin po swojemu załatwi sprawę.

Po dobrej pół godzinie uciążliwej wędrówki w tym trudnym terenie Waśka raptem się zatrzymał. Wskazał ręką widoczne w prześwicie między drzewami jakieś niskie zabudowania przypominające parterowe baraki albo magazyny. Miały płaskie dachy i wyblakłe jasnożółte tynki.

– Spójrzcie. Myślę, że to domy jakichś zatrudnionych tu rodzin, bo raczej nie właściciela całej plantacji. Pójdę zasięgnąć języka, a wy zaczekajcie tutaj i starajcie się nie rzucać w oczy. Na pewno mają jakiś samochód, który podwiezie nas za odpowiednią opłatą.

– Tylko nie targuj się o cenę. – Matylda miała dość i chciała już znaleźć się bliżej cywilizacji.

– Trochę trzeba się potargować, inaczej wyglądałoby podejrzenie. Ale spokojnie, szefowo, wymyślę jakąś bajeczkę o zabłąkanych turystach. Tutaj ludzie są bardzo życzliwi i przyjaźnie nastawieni. Zwłaszcza na widok dolarów.

Matylda miała złe przeczucie, jakby wszystkie niecodzienne, a niekiedy i dramatyczne, przeżycia skumulowały się w jej psychice, gasząc wrodzony

optymizm dziewczyny. Otuchy nie dodawał jej fakt, że Janusz był wyjątkowo skupiony i milczący. Wprawdzie nigdy nie był gadułą, jednak teraz ukazywał nowe, nieznane dotąd oblicze. Nie umiałyby dobrze wyjaśnić, na czym to polegało. Widziała, jak wymieniali z Waską spojrzenia, rozumieli się bez słów. Może nie wiedziała wszystkiego o swoim partnerze? Nie ujawniał niektórych cech, bo w ich spokojnym, uporządkowanym życiu nie było takiej potrzeby...

– Janusz, która godzina? – zapytała, kiedy usiedli w cieniu drzewka oliwnego ze zwartą koroną, dającą schronienie od słońca.

– Zbliża się szósta – odparł, choć nie nosił zegarka.

To była jedna z tych rzeczy, które zauważyła wcześ-niej, nie przywiązując do nich wagi. Zawsze wiedział, która jest godzina, z dokładnością do paru minut. Nigdy nie gubił się w miejscach odwiedzonych choć jeden raz, nawet przed wielu laty. Miał zdumiewającą pamięć do twarzy. Nigdy nie opowiadał o swej młodości. I znał się na broni.

– W jaki sposób Waśka przemycił rewolwer z Francji do Włoch? Przecież lecieliśmy samolotem.

– Jest sporo możliwości. Można dać znajomemu, który przewiezie samochodem. Poza tym ludzie typu naszego przyjaciela, sporo podróżujący, mają schowki z bronią w często odwiedzanych miejscach albo kontakty z ludźmi załatwiającymi takie rzeczy od ręki. Ja bym po prostu wysłał kurierem w opakowaniu po jakimś sprzęcie, suszarce do włosów czy czymś podobnym, podając fałszywe dane personalne. To całkiem proste... – nie dokończył, zauważywszy dziwny wyraz twarzy swej towarzyszki.

– Proste? Mnie chyba by tak od razu nie wpadło do głowy, jak to zrobić...

– Miałem na myśli, że proste dla kogoś takiego jak on.

– Aha.

Matylda miała ochotę zapytać o ten Nowosybirsk, pomyślawszy, że moment jest nie gorszy od innych, żeby dowiedzieć się więcej o przeszłości partnera. Przynajmniej tyle, co Waśka, który – czego była pewna – ostatecznie zdecydował się towarzyszyć im w przygodzie życia w momencie, gdy Janusz przyznał, że dobrze zna to syberyjskie, pełne tajemnic miasto. Studiował tam, w innym ustroju, innej rzeczywistości... Już otwierała usta, gdy do ich uszu dotarł narastający warkot silnika samochodu. Przez gałęzie drzewek oliwnych ujrzeli furgonetkę, której tył był kryty plandeką. Podjechała bliżej, wzbijając tumany kurzu na piaszczystej drodze, zatrzymała się, nie gasząc silnika, i z szoferki wysiadł komandos oraz młody chłopak o śniadej cerze. Miał pogniecioną luźną koszulę, workowate spodnie i słomkowy kapelusz tak zdefasonowany, iż Matylda pomyślała, że pewnie odziedziczył go po dziadku.

– Załatwiłem transport, za kilka godzin będziemy na lotnisku – oznajmił Wasilij.

– Super, co za ulga... – Mina Matyldy przeczyła słowom. Furgonetka wyglądała na pierwszy rzut oka jak znaleziona w składnicy złomu. W ciasnej kabinie było tyle miejsca, co w małym fiacie.

– Z tyłu będzie wam zupełnie wygodnie – powiedział wesoło komandos, nie zrażony wyrazem jej twarzy. – Zapłaciłem po sto dolarów od łebka. Na naszego kierowcę wołają Muh, czyli świnia.

– Żartujesz?

– Wcale nie. Oni mają imiona, ale w Tunezji częściej używa się przydomków, wziętych od wyglądu albo z kalendarza chińskiego. On urodził się w roku świni i tyle. Nawet dziewczęta tak się nazywa i nikt nie widzi w tym niczego osobliwego.

– Skoro tak twierdzisz... – Nie była przekonana co do prawdziwości słów Rosjanina. – Nie będzie kłopotów, jeśli zatrzyma nas jakiś patrol drogowy?

– Mała szansa. To cywilizowany kraj, pełen turystów. Nasz samochód niczym się nie wyróżnia, pełno jest tu podobnych. Będę pilnował, żeby Muh nie przekraczał przepisów, a jakby coś, parę dolarów w paszporcie załatwi sprawę. Szefowa może być zupełnie spokojna.

– A potem? – Nie była bynajmniej uspokojona. Bo uświadomiła sobie raptem, że czeka ich wynajęcie samolotu, odprawa celna, w paszportach brakuje im pieczętek, mają załatwione na lewo chińskie wizy, no i kradnąc, a potem zatapiając kuter, popełnili poważne przestępstwo. W dodatku chętnie dopadłaby ich włoska mafia, Josh staje na głowie, żeby ich znaleźć, a po zabójstwie w rzymskim hotelu policja na pewno podejrzewa, że Matylda jest w nie jakoś zamieszana. Tylko patrzeć, jak Interpol wyśle listy gończe. – Zamkną nas albo zabiją, a zwłoki zakopią w lesie lub na pustyni... To jakiś koszmar, w ogóle nie rozumiem, jak do tego wszystkiego doszło.

Janusz przytulił ją, pragnąc dodać jej otuchy... a Waśka powiedział pogodnym tonem:

– Wszystko mam pod kontrolą. Lecimy do Pekinu. Oczywiście, jeśli nie zmieniłaś tymczasem zdania?

– Nie zmieniłam.

Widząc ciągle zafrasowaną twarz Matyldy, zmrużył oczy.

– A właściwie to czemu szefowa tak uparła się na te Chiny?

Do Matyldy dotarło, że przecież jej towarzysze nie mają pojęcia o wybrykach Simonetty. Sama też widziała tylko finał i zachodziła w głowę, co się zdarzyło w hotelowym apartamencie.

– Mam powód. Powiem, a właściwie pokażę wam w samolocie... Teraz czuję się jak ścigana zwierzyna.

– Tam będziecie bezpieczni. Nie masz się czym przejmować. Dzwoniłem do swojego przyjaciela, na lotnisku nie będzie problemów z celnikami, jego prywatny

odrzutowiec będzie czekał. Uwzględniając różnicę czasu, w Pekinie wylądujemy wieczorem.

– Tak po prostu?

– W życiu nie dzieje się nic tak po prostu – odparł poważnie. – Latami pracowałem na swoją reputację i znajomości, na których mogę polegać.

– Obyś przez nas tego nie stracił.

Rosjanin, nie przeciągając dyskusji, wrzucił plecak na tył furgonetki i przywołał pisarzy. Na podłodze leżały puste jutowe worki i parę opon. Wsiedli, wymościli sobie miejsca i usiedli, opierając plecy o marynarskie worki. Podróż zapowiadała się może nie luksusowo, jednak w miarę wygodnie. Minęła właściwie nie wiadomo kiedy. Matylda początkowo wyglądała przez szpary w plandece, lecz jednostajna, niemal pustynna panorama, z nielicznymi zabudowaniami i ubogą roślinnością, prędko jej się znudziła. Na skrzyni panował półmrok, dziury w plandece zapewniały przewiew, a jednostajny warkot silnika działał usypiająco. Po stresujących przeżyciach i zerwaniu się o świcie pisarze czuli znużenie, więc co rusz zapadali w drzemkę. Pojazd zatrzymał się tylko raz na stacji benzynowej, gdzie korzystając z okazji, kupili kilka czekoladowych batonów i napoje. W południe wysiedli przed terminalem Enfidha-Hammamet.

Największy port lotniczy Północnej Afryki zarówno z zewnątrz, jak i w środku, robił imponujące wrażenie. Hala ze szkła i metalu lśniła nowoczesnością, nie brakowało doskonale zaopatrzonych sklepów i restauracji. Ogarnąwszy się trochę w łazience, zjedli gorący posiłek i napili się kawy, płacąc za wszystko gotówką. Następnie Wasilij, nie tracąc czasu, poprowadził ich, omijając stanowiska odprawy pasażerów, ku bocznemu korytarzowi, gdzie stał funkcjonariusz w granatowej koszuli z krótkimi rękawami i złotymi paskami na pagonach. Rosjanin kazał im się zatrzymać, zbliżył się do mężczyzny, z którego zachowania dało się wywnioskować, że właśnie na nich czekał, i podał mu trzy paszporty. Funkcjonariusz zniknął na parę minut za jakimiś drzwiami, po czym wrócił i oddał dokumenty. Waśka skinął na pisarzy. Poszli wszyscy za celnikiem, który wyprowadził ich bocznym wyjściem do odkrytego samochodu.

– Twój przyjaciel musi być wysoko postawiony – szepnęła Matylda, kiedy po niedługiej jeździe zatrzymali się przed lśniącem samolotem o ostrym nosie. Był większy, niż się spodziewała. – Mało kto chyba może sobie na coś takiego pozwolić.

– Nie mylisz się. To Bombardier Global 5000, jeden z najbardziej luksusowych odrzutowców dalekiego zasięgu, może zabrać dziewięciu pasażerów, nie licząc załogi. Jest szybszy od boeingów, mamy do pokonania prawie dziewięć tysięcy kilometrów, a zrobimy to bez międzylądowania. Będziemy w powietrzu jakieś dziesięć godzin.

Wnętrze samolotu urządzono niczym salon w porządnym apartamencie. Do

dyspozycji mieli barek oraz niezłe zaopatrzoną lodówkę. Pisarze usiedli na wygodnych skórzanych fotelach, natomiast komandos poszedł do kokpitu porozmawiać z pilotem.

– Miałas wyjaśnić, czemu lecimy do Chin i, zdaje się, coś nam pokazać – przypomniał Janusz, nalewając zimnego piwa do szklanek.

– Dobrze, ale zaczekajmy na Waškę.

Ich przyjaciel pojawił się jak na zawołanie, zajął najbliższy fotel i popatrzył pytająco na szefową... Najwyraźniej też pamiętał o jej obietnicy. Matylda wyjęła laptop, włączyła i szybko odszukała link do właściwego filmu. Kliknęła odnośnik i bez słowa odwróciła komputer w stronę swych towarzyszy. Sama wyjrzała przez okno, obserwując błękitne niebo.

– No coś takiego – sapnął Janusz. – Gdybym nie wiedział, że siedzieliśmy wtedy w pociągu do Neapolu, przysięgłbym, że to ty mało nie przeleciałaś przez barierkę.

Matylda mruknęła coś nieartykułowanego. Gdy doszło do finałowej sceny zabójstwa, Janusz głośno wciągnął powietrze, a Wasilij zamarł z uniesioną do ust szklanką. Po chwili głośno ją odstawił na stolik, cofnął ostatnie ujęcie, a w pewnym momencie zatrzymał filmik i zmarszczył brwi, wpatrując się intensywnie w kadr... Simonetta, mająca na sobie jedynie czerwony kapelusz, wspinała się na murek. Ale Rosjanin nie patrzył na nią, tylko na zastrzelonego mężczyznę, leżącego na wznak na tarasie.

– Co tam się do diabła stało?! – Janusz dał upust ogarniającym go emocjom.

– Nie wiem, może zaprosiła kogoś nieodpowiedniego... – Matylda już ze sto razy zadawała sobie to samo pytanie. – Albo to ja miałam zostać zabita, ale coś poszło nie tak, może on się wmieszał i popsuł komuś szyki...? Waška, jak myślisz?

Komandos nie odzywał się dłuższa chwilę. Wreszcie zamknął komputer i odetchnął głęboko.

– Nie wiem, co się stało. Ale lawina ruszyła, film zrobił swoje i wszyscy są przekonani, że to ty na nim jesteś. Myślę, że jeśli nie szuka nas jeszcze Interpol, to lada moment zaczną. Zapewne da się wszystko wyjaśnić, ale w tym momencie lepiej się nie ujawniać, bo policja mogłaby nie wypuścić nas z łap przez parę tygodni.

– Wolę nie myśleć, jakie wrażenie to zrobiło na moich znajomych w kraju...

– W swoim czasie wyjaśnimy im, co i jak zaszło – oświadczył bez przekonania Janusz i zaczął po swojemu pocieszać. – Zresztą nie każdy jest wmieszany w zabójstwo, będą ci zazdrościć przygody i słuchać z wypiekami na twarzy.

– A na razie patrz z wypiekami, jak spaceruję nago w świetle fleszy! – parsknęła.

– Fleszy tam nie było... – mruknął Janusz.

– Josh mi za to zapłaci!

Wasilij kiwnął głową.

– Wreszcie szefowa zaczęła mówić z sensem.



I znów przeszłość

Chiny 2015–2016

***Dojrzeła pewna decyzja, mająca diametralnie zmienić życie dwójki chińskich dysydentów.***

Jin He angażował się coraz bardziej w działalność antypaństwową. A właściwie – antypartyjną, bo państwo swoje kochał i chciałby, żeby było inne. Lepsze. Dużo lepsze, choć w zasadzie i tak bardzo się zmieniło. Rozpędzona dzięki taniej sile roboczej, często odbywającej się w nieludzkich warunkach pracy nieletnich, gospodarka zapewniła takie nadwyżki finansowe, że państwo część z nich zaczęło wreszcie wykorzystywać do poprawy bytu obywateli. Jin He miał jednak zbyt dużo kontaktów ze studentami z krajów zachodnich, żeby nie móc zrozumieć różnicy między wolnym, normalnym i dostatnim życiem a zniewoleniem będącym udziałem jego rodaków. Jego rodzinie powodziło się nieźle, był bardzo cenionym informatykiem i jego zarobki wystarczały do spokojnego utrzymania bliskich. Yu Tian jako dziennikarka na etacie w państwowej gazecie też nie zarabiała źle. Nadto życie nie było drogie, nie mieli wygórowanych potrzeb, dziecko chowało się zdrowo, więc w zasadzie nie mogli mieć powodów do narzekań. Tyle że wolność to nie tylko pieniądze, cały czas czuli się obserwowani, choć od śmierci ich krewnych w pamiętnym czerwcu minęło już wiele lat. Temat wydarzeń na Placu Niebiańskiego Spokoju jednak przez cały czas stanowił tabu i w dalszym ciągu nawet wymawianie pewnych słów było zabronione. Szczególnie teraz, gdy Chiny otworzyły się nieco na świat i za chińską granicę nie tak trudno było się przedostać już nie tylko zagranicznym turystom, ale i reporterom z Zachodu. Dziennikarze chińscy, między innymi również Yu Tian, do tej pory nie mogli uwierzyć, że w innych krajach można pisać wszystko na każdy temat, a krytyka poczynań rządu lub partii rządzącej jest czymś zwyczajnym. W ich kraju za protest przeciwko cenzurze szło się do więzienia, a jeszcze częściej – do obozu pracy. Najłagodniejszą formą kary było przetrzymywanie ludzi bez wyroku w areszcie domowym.

Mimo widocznego w kraju postępu i poprawy bytu, ludziom brakowało swobód obywatelskich i coraz bardziej mieli dosyć wszechobecnej i stale rozprzestrzeniającej się korupcji. Powstające mimo różnych przeszkód organizacje pozarządowe i spontanicznie tworzone ruchy społeczne nie mogły wiele zdziałać, ich akcje były zduśzane w zarodku, a działacze osadzani w więzieniach.

Jin He potrafił omijać wszelkie zapory i blokady internetowe, prowadził bloga, pod pseudonimem, z zagranicznego adresu. Wraz z żoną pisali tam artykuły o potrzebie rządów prawa, powszechnego nauczania prawdziwej historii, wolności słowa i powszechności zgromadzeń. Pisali, że Chiny potrzebują Nowego Ruchu Obywatelskiego i próbowali organizować taki ruch. Jednak nawet zdawałoby się niewinna pikietą uliczna była rozganiana natychmiast, a jej uczestnikom groziły lata więzienia. Trudno było zrzeszyć większą grupę ludzi, na tyle silną, aby władza zaczęła się z nią liczyć. Zbyt wielu było donosicieli, którzy bądź to z przekonania, bądź z rozkazu władz, popartego często sporymi sumami, gorliwie czynili swą powinność. Więzienia więc były przepełnione, a obozy pracy działały nieustannie.

Władze sprytnie zaczęły organizować procesy dysydentów podczas świąt, gdy kraje zachodnie zajęte były przygotowaniami do Bożego Narodzenia, a wyroki zapadały przed chińskim Nowym Rokiem, który przypada 31 stycznia. No i Chiny były światowym mocarstwem, z którym liczyły się największe potęgi militarne i gospodarcze. Silnemu wolno więcej, a Zachodowi brakowało woli i nieodparty ch argumentów, by skutecznie upominać się o prawa człowieka...

Była druga dekada listopada dwa tysiące piętnastego roku. Yu Tian przyprowadziła córeczkę z przedszkola, wysłuchując po drodze jej chaotycznej opowieści o wielkim zaszczycie, jakiego dzisiaj doznała.

– Nie było cię, mamó, dzisiaj na Dniu Flagi. Inne mamy były i robiły zdjęcia. A ja stałam przy maszcie i pomagałam wciągać chorągiew. Tylko ja i jeszcze jeden chłopiec, Bai Mao. Wszyscy klaskali, a potem śpiewaliśmy hymn.

– Co mówisz...? No tak, to wspaniale...

Hong Xuē zaczęła płakać, bo mama nie zwracała dzisiaj na nią w ogóle uwagi.

– Jestem dumnym obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej – skandowała, podnosząc prawą rękę do czoła i zaciskając małą pięść.

Yu Tian ustaliła z mężem, że nie będą na razie edukować córeczki. Jeszcze jest za mała na to, żeby tłumaczyć jej, iż niekoniecznie należy być dumnym z bycia obywatelem ChRL. Miała pięć i pół roku, przecież i tak niczego nie zrozumie. Ale Yu Tian nie dlatego nie reagowała na pełną entuzjazmu opowieść dziecka, które teraz, stojąc przy oknie, wykonywało płynne ruchy Tai Chi. Mama małej Hong Xuē miała wielkie zmartwienie. Choć w zasadzie to, co już z całą pewnością stwierdziła, powinno być radością i szczęściem...

Była w ciąży. Podejrzewała to od końca września. A od początku listopada miała zawroty głowy i poranne wymioty. Znała te objawy, identycznie czuła się przed narodzeniem córeczki. Nie była u lekarza, bo ten musiałby zlecić usunięcie ciąży. Po długich dyskusjach z mężem zdecydowali się na drugie dziecko. Marzyli

o synku, choć i dziewczynkę powitaliby z radością. Obydwoje kochali dzieci, jak zresztą wszyscy Chińczycy. Rodzina była najwyższą wartością w ich kraju i to, że można było mieć tylko jedno dziecko, też było powodem wielu protestów i manifestacji. Polityka w tym względzie wprawdzie zmieniała się już powoli, bowiem chińskie społeczeństwo starzało się, a przewaga chłopców nad dziewczynkami doprowadziła do zaburzonych proporcji płci w społeczeństwie i wielu mężczyzn nie będzie miało z kim założyć rodziny.

Zaczęło dochodzić do porwań dziewczynek i handlu „przyszłymi żonami”, władza zaczęła reagować... łaskawie wyrażając zgodę na posiadanie drugiego dziecka, ale pod warunkiem, że się ma czym je opłacić, trzeba było mieć też odpowiednie znajomości albo pochodzić z rodziny, gdzie było tylko jedno dziecko. Wyłącznie wtedy para może mieć drugie dziecko, jeśli tylko uzyska od państwa na to zgodę, wydawaną w formie decyzji administracyjnej, czyli oczywiście uznaniowej, co dla dysydentów jest raczej nie do uzyskania. A zarówno Yu Tian, jak i Jin He znajdowali się na liście chińskich dysydentów. Drugie dziecko w ich sytuacji było po prostu fantasmagorią. A oni chcieli je mieć i już. Musieli więc coś wymyślić, mieli kontakty, mieli plan, a teraz mieli dodatkową motywację.

Decyzja o emigracji dojrzała.

Rozpoczęli przygotowania. Musieli zniknąć z kraju szybko, zanim ciąża Yu Tian zacznie być widoczna.

– Myślę, że nadszedł już czas podjęcia ostatecznej decyzji. – Jin He zakończył ceremoniał parzenia herbaty, dość rzadko przestrzegany w ich domu. Zazwyczaj nie mieli czasu na te wszystkie czynności, niezbędne przy stworzeniu naparu uznawanego za idealny. Ale dzisiaj był dzień dla nich szczególnie. Poza tym decyzja, jaką podjął Jin He, była bardzo trudna i mężczyzna obawiał się, że może być zbyt bolesna dla jego żony. W ich sytuacji jednak było to jedyne rozwiązanie, na szukanie innego nie mieli czasu.

– Czy nasz Czerwony Śnieg już śpi? – zapytał jeszcze, rozstawiając na specjalnym herbacianym stoliku filiżanki, imbryczek i większy czajnik z gorącą wodą. – Usiądź, Ziao Yu Tian, moja czcigodna żono, i posłuchaj, co mam do powiedzenia.

Yu Tian poczuła niepokój. Jej mąż nie był zbyt tradycyjny i fakt, że rozpoczął dzisiejszą rozmowę od ceremonialnego parzenia herbaty, a bardziej to, że nie odezwał się do niej pieszczotliwie, jak zwykle, lecz pełnym imieniem i nazwiskiem, z tradycyjnym wstępem, przekonał ją, że zapewne nie bardzo spodoba się jej to, co ma usłyszeć.

I rzeczywiście. Okazało się bowiem, że ich przyjaciele z Amnesty International, a głównie ci wywodzący się od Matek Tian'anmen – opracowali jedyną możliwą obecnie trasę ich ucieczki z Chin. Mieli być przerwani przez mało szczelną granicę z Birma, a stamtąd do Bangkoku, gdzie ma siedzibę biuro

Wysokiego Komisarza do spraw Uchodźców ONZ. Tam będą mogli złożyć podanie o azyl i prosić o przesiedlenie na przykład do Kanady lub Stanów Zjednoczonych, na których im najbardziej zależało, bowiem Jin He, jako szczególnie uzdolniony informatyk, wiedział, że ze swoimi kwalifikacjami nie powinien mieć większych trudności z znalezieniem tam dobrej posady.

Plan miał kilka mankamentów, między innymi taki, że na rozpoznanie podania w sprawie azylu czeka się dość długo, a oczekiwanie jest o tyle niebezpieczne, iż wszędzie są chińscy agenci.

– Posłuchaj, wcale nie jest powiedziane, że uda nam się zrealizować nasz plan – mówił Jin He, a Yu Tian nie mogła wypić nawet jednej filiżanki herbaty, tak trzęsły się jej ręce. – W Bangkoku nie jest dużo lepiej niż w Pekinie. Niebezpieczeństwo wykrycia grozi z każdej strony, czasami uciekinierzy donoszą na swoich kolegów, a w razie złapania jest się wywozonym z powrotem do Chin, gdzie grożą procesy, a także tortury. Sama wiesz... – Jin He wstał i zaczął krążyć po pokoju. Spojrzał na żonę i usiadł blisko niej, obejmując ją ramieniem. – Ale to jeszcze nie wszystko. Najgorsze jest to, że...

– Powiedz mi wszystko, wytrzymam. – Yu Tian wstała, zajrzała na chwilę do córeczki. Dziewczynka spała, wyglądając jak mały aniołek. Zamknęła drzwi i usiadła, a Jin He pomyślał, że to prawda, co mówi się o kobiecej intuicji. Bowiem to, o czym miał teraz powiedzieć, dotyczyło właśnie Hong Xuē.

Otóż osoby organizujące ich ucieczkę nie chciały się zgodzić na udział córeczki w tym przetruciu. To zbyt niebezpieczne, mówili, dziecko nie wytrzyma trudów podróży. Na początek czekała ich nieustanna zmiana miejsc, koczowanie w namiotach pod gołym niebem, niekiedy bez jedzenia, bez sanitariatów, to nie są warunki dla dziecka, a już tym bardziej dziewczynki. A i ukrywanie się w oczekiwaniu na azyl będzie przedsięwzięciem wprost niemożliwym.

– Musimy więc zostawić naszą Śnieżynkę – zakończył Jin He. – Albo zrezygnować z emigracji. Co oznacza, że rezygnujemy z...

Yu Tian siedziała jak sparaliżowana. Doskonale wiedziała, z czego mieliby zrezygnować w razie zmiany planów. A ona przecież już to drugie dziecko miała, wymyśliła nawet dla niego imię. Dla niego, bo była przekonana, że to będzie chłopiec. Yuqi. Oczekiwany.

Więc, skoro już jest, jak mogą z niego zrezygnować?

– Czy chcesz wiedzieć, co możemy zrobić w tej sprawie? – Jin He znowu krążył po pokoju. Pił już trzecią filiżankę herbaty, tę najmocniejszą, i był bardzo pobudzony. Koniecznie chciał zakończyć tę rozmowę, podjąć wspólną decyzję, nie tylko dlatego, że tam gdzieś czekali na jego odpowiedź. Po prostu dlatego, iż czuł, że po raz drugi na taką rozmowę się nie zdobędzie.

A on dobrze wiedział, co trzeba uczynić. O ile podejmą decyzję na tak.

Dokonał wstępnego rozeznania, a właściwie zrobili to za niego przyjaciele.

Ci, którzy podjęli się pomocy przy ucieczce.

Otóż był pewien człowiek, który organizował półlegalne adopcje dzieci. Rodzina, decydująca się na oddanie dziecka – bez względu na powód, o powody zresztą nie pytano – zobowiązywała się do utrzymywania dziecka do czasu, aż znajdzie ono nowych rodziców. Potem kontakty miały się urywać. Czasami można było wynegocjować możliwość widywania lub odwiedzin takiego dziecka, na ogół jednak nie było to stosowane. Przed przekazaniem dziecka w ręce nowej rodziny ta biologiczna miała prawo weryfikacji rodziców adopcyjnych. Jeśli z jakiegokolwiek przyczyny powstawałyby jakieś zastrzeżenia, rodzina biologiczna mogła nie wyrazić zgody na nowych rodziców, w dalszym ciągu łożąc na utrzymanie dziecka. Takie odmowy mogły być trzy, a właściwie dwie, bo przy trzeciej dziecko musiało być zabrane z powrotem, a opiekun dziecka otrzymywał kwotę wyrównawczą w ustalonej wysokości.

– Wiesz, nie było łatwo, ale w końcu dotarłem do takiego człowieka. To właściwie małżeństwo. Nie mają własnych dzieci, adoptowali jedną dziewczynkę. Daje im ona tyle radości, że postanowili pomagać tym, którym nie dane było takie szczęście. Do tego rodzaju adopcji trafiają głównie dziewczynki, bo przecież chłopca nikt nie odda. A rodzinie, która już ma chłopca, nie zależy na drugim dziecku, więc w ogóle nie mają takiego problemu.

– Do tej pory niczego mi nie powiedziałeś? Rozmawiałeś z tymi ludźmi sam? Jak mogłeś? – Yu Tian zaczęła łkać i prawie wpadła w histerię. Jednak po chwili zerknęła na zamknięte drzwi od pokoju córeczki i opanowała się, bojąc się obudzić dziecko.

Omówili wszystko spokojnie i podjęli decyzję.

Wyjadą.

Zostawią Hong Xuě.

Ale nie tracą jej z oczu. I niedługo sprowadzą ją tam, gdzie osiadą na stałe. Na pewno! Jak to zrobią? Przy wszechobecnej korupcji na każdym urzędniczym szczeblu nie będzie to przecież takie trudne. Wystarczy posmarować komu trzeba. Więc Jin He znajdzie dobrą pracę w Stanach Zjednoczonych i zaczyna oszczędzać, wydając tylko na to, co będzie niezbędne do przeżycia...

Teraźniejszość

Dzień piętnasty

*W którym nie do końca rozstrzyga się, czy Matylda jest pruderyjna, czy nie.*

Podążając za Rosjaninem, opuścili halę lotniska. Pekin przywitał ich potwornym upałem, jakby byli w sercu tropikalnej dżungli.... I choć w Tunezji pogoda była podobna, Matylda myślała, że tu, w Pekinie, przynajmniej wieczór przyniesie chwilę wytchnienia od żaru. Była zmęczona, dziwnie rozdrażniona i denerwowało ją jęczenie Janusza, że coś by zjadł.

– To może najpierw jedźmy do hotelu – mrugnął do niej Waśka, który sam też by coś zjadł, ale za nic nie chciał się narazić szefowej. Ona jakoś nigdy nie była głodna. No, prawie nigdy. – Znam taki, który powinien zadowolić szefową.

Prywatny komandos nie kłopotał się poszukiwaniem postoju, po prostu stanął na skraju chodnika, machnął ręką, a prawie natychmiast przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Kiedy usadowili się w środku, Waśka zagadał coś do kierowcy, ten kiwnął głową, coś tam po swojemu odpowiedział i samochód ruszył. Matylda była pod wrażeniem zasobów językowych ich przewodnika. Komandos poliglota...

Hotel oczywiście był piękny, świetnie zlokalizowany, a apartament pisarzy odpowiednio komfortowy. Jedno wszak trochę ich zadziwiło... Otóż w sypialni, do której przylegała ogromna łazienka, jedna ze ścian była szklana, a przez tę szklaną ścianę widać było... wewnątrz kabiny prysznicowej, istny panel dysz, pokręteł oraz szeregu dźwigierek o, jak na razie, nieodgadnionym przeznaczeniu. Matyldzie myśl o dokonywaniu ablucji pod prysznicem, w którym ścianę zastępowała przezroczysta szyba, wydała się wprost wstrząsająca.

– No wiesz – fuknęła do Waśki, sprawdzającego pokoje pod kątem ich „czystości technicznej” – nie jestem zbytnio pruderyjna, ale...

– Jest, jest – mruknął Janusz, myśląc, że mruczy -cicho.

– Słyszałam. – Matylda nie wdała się jednak w dyskusję z partnerem, kontynuowała swoją poprzednią wypowiedź – ...ale taka voyeryczna ściana jest dla mnie nieco... perwersyjna. Co to za hotel, Wasiliju? Może to taki z pokojami do wynajęcia na numerek?

– Tak na poczekaniu trudno było dostać coś więcej. Ale nie obawiaj się, to nie jest pokój na godzinkę czy dwie. Tylko apartament dla nowożeńców.

Matylda rozejrzała się wokoło. Istotnie, łoże było wielkie, udekorowane

kwiatami (prawdziwymi!), na stoliku w rogu stało kilka butelek szampana i innych przednich trunków, do wyboru. Obok oczywiście bateria lampek i kieliszków, sterty smakołyków, w większości Matyldzie nieznanym. Wszędzie były bukiety kwiatów w wazonach i różne rośliny luzem, poukładane w misternych kompozycjach.

– Ach, jak słodko. – Skrzywiła się z przekąsem. – Te czerwone róże na poduszce, ej, powinny być orchidee...

– No tak. – Janusz zaśmiał się z lekką ironią. – Teraz przeszkadzają ci róże. Ale najpierw zwróciłaś uwagę na szklaną ścianę, przez którą można oglądać pokaz pod prysznicem....

– Pokaz? Może ty wystąpisz? – prychnęła Matylda, łapiąc się w duchu na myśli, że... pomysł w sumie nie najgłupszy. Już zaczęła sobie wyobrażać to i tamto, gdy Waśka poinformował, że ścianę można zakryć naciśnięciem jednego małego przycisku.

– Z góry opada zasłonka, coś w rodzaju żaluzji – uczynił w powietrzu gest prestidigitatora. – A żaluzje, według życzenia, można ustawiać pod różnymi kątami.

– Mam nadzieję, że od środka... – Matylda westchnęła.

Kolację zjedli w hotelowej restauracji, wybierając owoce morza, do których przekonali się całkiem niedawno.

Gdy Matylda szykowała się do wieczornej kąpieli, została ponownie zaskoczona. Janusz, ciekawski jak zwykle – choć on nazywał to dociekliwością – zajrzał do nocnej szafki stojącej obok łóżka. Wyjął stamtąd pewien pakunek owinięty przezroczystą folią.

– Proszę, mamy klapki pod prysznic i czepek. A tutaj, popatrz. – Wyciągnął paczuszkę z czymś w kształcie miseczek z gumkami. – Dali biustonosz kąpielowy.

– Co takiego...? – Matylda nie wierzyła własnym oczom i z półotwartymi ustami przyglądała się przedziwnemu wynalazkowi. – Robią ścianę ze szkła, ale dają biustonosz kąpielowy?! W życiu bym nie pomyślała, że Chińczycy mają takie podejście do... tych spraw.

– Chcesz przymierzyć? – Janusz wciąż trzymał w dłoni paczuszkę.

– Nawet nie myśl! I najpierw dokładnie spuszczę tę żaluzję... – Matylda urwała, spostrzegając, że jej partner zwija się ze śmiechu. Zrozumiała powody jego wesołości, gdy wreszcie przyjrzała się dokładniej tajemniczej paczuszce. Nie był to, rzecz jasna, żaden biustonosz kąpielowy, tylko dwie maski przeciwsmogowe, powszechnie używane w zanieczyszczonych spalinami chińskich aglomeracjach.

– Dałaś się nabrać, przyznaj. – Janusz śmiał się coraz bardziej. Nie pomogła obrażona mina Matyldy, a zresztą ona za chwilę też pękała ze śmiechu, bo rzeczywiście w biustonosz kąpielowy uwierzyła.

– Ale popatrz – powiedziała, gdy uspokoili się trochę. – Możemy przyjąć, że

biustonosz, klapki i czepeczek dali na wypadek awarii tej zasłonki prysznicowej.  
A majtki?!

– Rzeczywiście. Może gdzieś są?

– To ich poszukaj. – Pokazała język i rozchichotana pobiegła do łazienki.

– Teraz ty. – Wróciła rozkosznie zaróżowiona i pachnąca kosmetykami hotelowymi. Najlepszych marek!

– Idę, idę. – Janusz nie włożył nawet tych kłapek kąpielowych. – Ale wiesz, co? – Zerknął na nią z szelmowskim uśmiechem. – Tej żaluzji nie udało ci się dokładnie zasunąć, może następnym razem to mnie powierzysz to trudne zada...

Umknął w ostatniej chwili przed nadlatującym pantoflem.

Oczywiście, że wiedziała. Przecież sama ją zasuwiała...



Dzień szesnasty

***Pewien szczur niestety traci życie, a Janusz je nietoperza.***

Następny dzień poświęcili na zwiedzanie tej wschodniej stolicy świata, choć niektórzy za taką uważają Szang-haj. Ale do Szanghaju też mieli zamiar zajrzeć. Skoro już byli w tym nader interesującym kraju, postanowili, że przynajmniej obejrzą plac Tian'anmen, Wielki Mur – lub choćby jego kawałek, Terakotową Armię i co tylko się da.

– Ale koniecznie – Matylda lubiła mieć ostatnie słowo – musimy popłynąć rzeką Jangcy, obejrzyć te słynne Trzy Przełomy. I wartą czterdzieści milionów dolarów zaporę, która spowolniła obrót ziemi. – Czytałam o tym na Wikipedii. Podobno NASA wyliczyła, że zgromadzenie w jednym miejscu czterdziestu miliardów ton wody, na dodatek sto metrów nad poziomem morza!, spowodowało przesunięcie bieguna geograficznego naszej planety o dwa centymetry, co wydłużyło dobę o 0,06 mikrosekundy. – Widząc pełne zdumienia spojrzenia swych towarzyszy, wyjaśniła: – Nauczyłam się tego na pamięć, bo lubię takie ciekawostki.

Waśka wiedział już więc, co i jak planować; zniknął, żeby logistycznie przygotować następne odcinki podróży po Chinach, a tymczasem pisarze – Janusz oczywiście był znowu głodny – postanowili wybrać się na lokalny targ z żywnością, gdzie wedle zapewnień Rosjanina można skosztować niecodziennych rarytasów, które w innych częściach świata nie uchodzą za jadalne. Najpierw jednak, prawie zmuszony do tego przez Matyldę, która uparła się, że nie wyjedzie z Pekinu, nie obejrzawszy Placu Niebiańskiego Spokoju, pisarz poprosił hotelowego boya o sprowadzenie taksówki. Okazało się, że właściwie nie była przydatna, bo plac nie leżał daleko, a po nim można chodzić jedynie na piechotę. Do oglądania jest tam tylko Mauzoleum Mao oraz prawie czterdziestometrowy obelisk Bohaterów Ludu. Przed mauzoleum nieustannie stoi ogromna kolejka, jak kiedyś przed Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym w Moskwie. Po przejściu Placu Niebiańskiego Spokoju można dojść do Zakazanego Miasta, ale stwierdzili, że wybiorą się tam dopiero po konsultacjach z Waśką, który miał ułożyć i zaprogramować ich dalszą podróż. Skoro już mieli taksówkę, podreptali chwilę po placu, zrobili sobie pamiątkowe fotki przed ogromnym zdjęciem Mao Tse-tunga wiszącym na Bramie Niebiańskiego Spokoju i kazali taksówkarzowi obwieźć się po Pekinie. Długo im coś tłumaczył, ale dogadanie się z Chińczykiem, nie znając podstaw języka mandaryńskiego, jest prawie niewykonalne, nie mieli więc pojęcia,

o co mu chodzi. Ruszyli jednak i dopiero po kilku minutach zrozumieli, że jazda po tym mieście jest po prostu niemożliwa, z uwagi na monstrualne korki. Wysiedli więc, zapominając nawet o poproszeniu o rachunek (i tak pewnie by nie zrozumiał) i na targ z żywnością doszli piechotą. Na szczęście wiedzieli, jak iść, bo Janusz wziął z recepcji anglojęzyczną mapę Pekinu.

Targ ich oszołomił. To było ich pierwsze zetknięcie z prawdziwym Wschodem, bo do tej pory to, co zobaczyli w stolicy Chin, wyglądało miejscami, jak za przeproszeniem... Ursynów. Czyli swojsko. Wszystko tylko było szersze, wyższe i zasobniejsze. Liczba markowych sklepów i wielkich domów handlowych zadziwiała. To mają być Chiny? Fakt, nie dotarli nawet do Zakazanego Miasta, nie widzieli też Letniego Pałacu. I nie wiedzieli, czy zobaczą, bo Waśka – na specjalne zlecenie Matyldy, która z przyjemnością zrzuciła ten przykry obowiązek na jego barki – liczył wydane pieniądze i dni, które jeszcze na to wydawanie mają. Ostatnio mamrotał coś, że się grzebią, że za mało wydają, że te Chiny wcale nie są takie drogie, że powinni lecieć do Nowego Jorku... i takie tam.

– Oj, Waśka, nudny jesteś – burczała Matylda.

– Ale pamiętaj, że to tobie zależało, żeby zejść z oczu szpiegom. Nie powinniśmy tkwić w miejscu. Jest kwestią czasu, kiedy zorientują się, gdzie jesteśmy.

– W Chinach nie będą mieli takiej swobody, jak gdzie indziej. Sam mówiłeś, że tu internet jest moderowany, pełna kontrola treści, trudno przemieszczać się, komunikować i wytropić kogoś.

– Zapewne, jednak...

– Jestem tu, więc chcę zobaczyć jak najwięcej! O – przypomniało się Matyldzie – gdzieś słyszałam, że koniecznie trzeba odwiedzić hutongi<sup>3</sup>. Zorganizuj to, dobrze?

Wasilij zerknął z ukosa na Janusza, ale ten tylko wzruszył ramionami, jakby chciał przypomnieć, kto tu rządzi.

Na targu mogli wydawać, ile chcieli, ale nikt rachunków tam nie wystawiał. A jednak nie był to stracony czas. Pominąwszy powtarzające się kramy z milionem podrabianych ciuchów, grzebyków, lusterek, puzderek ze smokami i samych smoków oczywiście, najwięcej było straganów z najróżniejszymi lokalnymi przysmakami, od jakichś pieczonych małych stworzeń po ośmiornice, węże oraz jeszcze żywe, nadziane na patyki i przygotowane do zanurzenia we wrzącym oleju skorpiony. Ryby, pająki, ślimaki, robaki nieznannej proveniencji, ptaki i ptaszki, opierzone i oskubane, co kto woli, kaczki po pekińsku, a jakże... Różności, raj dla podniebienia smakosza znudzonego tradycyjną kuchnią Zachodu... Janusz przyglądał się wszystkiemu po kolei, nie zwracając uwagi na grymasy Matyldy, która wlokła się za nim ze zwieszoną głową, żeby na te wszystkie kulinarne okropności nawet nie patrzeć. Ale były tam też smakołyki, na których spróbowanie

namówił ją Waśka i jakoś dała się przekonać, że można to zjeść, a właściwie wychleptać. Było to coś podobnego do greckich jogurtów, tyle że słodkawe. Gęste, sycące, chłodne (sprzedawali z lodówek), Matyllda prawie się od tego czegoś uzależniła (nie mogła się doczytać, jak to się nazywało, poznawała po kształcie opakowania). I gdy tylko wypatrzyła na jakimś stoisku znajomo wyglądającą buteleczkę, natychmiast ustawiała się tam w kolejce, a właściwie ciągnęła za rękaw Janusza, bo to on nosił portfel z chińską walutą. Nawet nie pytał, o co chodzi, kupował taki jogurcik, czasami nawet dwa, bo i jemu ten napój smakował.

Właśnie przed chwilą poczuł takie pociągnięcie za rękaw i choć sam miał zamiar nabyć coś na straganie ustawionym naprzeciwko, pomyślał, że może i lepiej, jeśli jego partnerka zajmie się przez chwilę swoim przysmakiem, bo on właśnie chciał sobie kupić coś, o czym wolałby jej nie mówić. Stał więc za czwórką Chińczyków nabywających różności od sprzedawcy jogurtów, gdy raptem jakaś Chinka odskoczyła z głośnym piskiem, wskazując palcem pod nogi. Po ziemi biegał sobie dość spory szczur, węsząc w nadziei, że mu coś z nieba spadnie.

– Mutiin! Mutiin! Łaaa! – brzmiały piski jakiejś otłuszczonej dziewczynki, która na widok szczura wrzeszczała i podskakiwała jak opętana. Zza lady wyskoczył właściciel straganu z wielką mosiężną patelnią w ręku, zrobiło się ogromne zamieszanie, stojący w kolejce rozpierzchli się na cztery strony świata, bo nie do końca wiedzieli, co się działo, grubaska darła się coraz głośniej, szczur z tego wszystkiego chyba skołowaciał, bo zamiast pierzchnąć, wrósł w ziemię. Rozległ się miękki plask i gryzoń zakończył życie. Matyllda nie była specjalną wielbicieleką szczurów, ale zabójstwo, którego była mimowolnym świadkiem, wstrząsnęło nią na tyle, że odechciało jej się jogurtowego przysmaku. Rozepchnęła tłoczących się nad truchłem zwierzątka rozjazgotanych Chińczyków i mało brakowało, a kopnęłaby z całej siły piszczącą nieustannie – już teraz naprawdę bez powodu! – grubą smarkulę, dołożywszy z rozpędu także jej mamuśce. Waśka, który tymczasem dołączył do nich, porwał Matyldę w objęcia i siłą odciągnął od dziewczynki, która tak przestraszyła się szczura, że trzeba go było zabić...

– Dziewczyno, dla Chińczyka zwierzę to tylko zwierzę. A już szczur nie znaczy nic. Uspokój się.

– Nie masz racji – upierała się Matyllda. – Szczur to przecież prawie święte zwierzę, jest jednym z chińskich znaków zodiaku. Zresztą to właśnie mój znak.

– Znak zodiaku, owszem, ale nie święte zwierzę. Chiny to nie Indie, tu nie ma świętych zwierząt. Zresztą sama widzisz, że każde zwierzę dla Chińczyka to tylko pokarm.

– A propos pokarmu. – Spojrzała na Janusza. – CO TY JESZ?

– Eee, no... – zaplątał się w wyjaśnieniach Janusz, który miał nadzieję, że zamieszanie wokół szczura będzie jego sprzymierzeńcem. Rzeczywiście bowiem jadł coś... mocno nietypowego. Musiał, po prostu musiał, zjeść to coś, o czym

będzie opowiadać wnukom, jeżeli kiedyś się ich doczeka. Nie odważył się skosztować skorpiona, nie mógł przekonać się do zjedzenia wielkiego pająka, gdy raptem spostrzegł coś, co wyglądało całkiem niewinnie. No, prawie jak malutki kurczaczek.

– Mów prawdę! – zażądała Matylda.

– Nie jestem pewien. Ale nim to trafiło na grill, przypominało nietoperza.

Waśka związał się ze śmiechu, bo dziewczyna przez chwilę wyglądała, jakby chciała powiedzieć: „no, daj spróbować”, ale nic z tego! Czegoś takiego to ona nawet nie powącha.

Wyprawa na targ zakończyła ten dzień pełen wrażeń, wszyscy byli już zmęczeni, hotel na szczęście leżał niedaleko, powlekli się do niego, chłonąc po drodze wieczorne życie Pekinu. Ulice rozświetlały latarnie, wszędzie kramy z egzotycznymi owocami i słodkościami, całości malowniczego obrazu z jednego dnia w Państwie Środka dopełniały siedzące w kucki grupy ulicznych śpiewaków i grajków. Matyldzie niezbyt podobały się te orientalne śpiewy, a Janusz irytował się, że jest tak odporna na folklor.

– Waśka. – Matylda wróciła do roli „szefowej”. – Na jutro zorganizuj zwiedzanie Wielkiego Muru. A czy pojedziemy do Xi’an, oglądać Terakotową Armię, Wielki Meczet i historyczne mury miejskie z jedenastego wieku, to już zależy od was. Hutongi wam podaruję. Bez względu jednak na wszystko muszę popłynąć rzeką Jangcy, choćbyśmy mieli kupić cały statek wycieczkowy.

– Taki zakup nie wchodzi w zakres umowy – odezwał się Janusz, zły, że jest pomijany w całym planowaniu. – Chyba już prędzej wynajmiemy jacht motorowy, co Waśka?

– Hmm... – odezwał się komandos – Musimy więc dostać się do Wuhan. Jest tam największy port śródlądowy. Wszystko, co pływa po Jangcy, tam zawija.

– To daleko?

– Ujdzie, jakieś tysiąc dwieście kilometrów. – Widząc zaniepokojone spojrzenia swych podopiecznych, Waśka machnął ręką, bagatelizując sprawę. – Superszybką koleją dotrzemy tam w jakieś pięć godzin.

– Co za ulga. – Matylda westchnęła, choć trudno jej było wyobrazić sobie pokonanie takiej przestrzeni w zaledwie parę godzin.

3 Hutong – tradycyjny chiński zespół ściśle połączonych ze sobą parterowych budynków. Budowane były na planie prostokąta, z wąskimi uliczkami, do których przylegają bramy wejściowe do małych wspólnych dziedzińców, a wokół nich ulokowane są parterowe zabudowania z nieotynkowanej cegły. Hutongi zazwyczaj nie mają sieci wodociągowej ani centralnego ogrzewania, a wspólne wychodki są na podwórzu lub na ulicy. Obecnie władze Chin przerabiają niektóre pomieszczenia na luksusowe hotele, robiąc z hutongów atrakcję turystyczną.



Dzień siedemnasty

***W którym „Sunny Jenny” zdobywa nowych pasażerów.***

Następnego dnia późnym wieczorem wsiedli do pociągu. Wnętrze wagonu przypominało nieco rodzime Pendolino, choć było obszerniejsze, z większą liczbą siedzeń. Noc nie pozwalała podziwiać widoków, więc podróż minęła im na drzemce, przerywanej parokrotnie przez konduktora sprawdzającego bilety.

Bladym świtem zajechali do blisko dziesięciomilionowej metropolii. Z okien taksówki widzieli imponujące wieżowce, niektóre jeszcze w budowie, ale nie robiły już takiego wrażenia jak na początku wyprawy do Chin. Matylda i Janusz zostali w pokoju hotelowym, błogosławiąc Waškę za dostarczenie zapasu kawy. W Chinach była praktycznie nieosiągalna, a napój serwowany gdzieś w dworcowej knajpcie był zaledwie rozwodnioną namiastką ulubionego napoju pisarzy. Komandos udał się do portu rzecznego. Było jeszcze za wcześnie na śniadanie, więc po jakimś takim odświeżeniu się w łazience położyli się w ubraniach na łóżku wielkości lądowiska dla helikoptera. Materac był tak twardy, że równie dobrze mogliby leżeć na dywanie i nie dałoby się zauważyć specjalnej różnicy.

Rozmawiali luźno o najbliższej przyszłości, jednak bez konkretów, gdyż ostatnie wydarzenia uświadomiły im jasno, że snucie dalekosiężnych planów mija się z celem. Istniało zbyt wiele nieprzewidywalnych czynników. Matylda miała jedynie nadzieję, że tymczasem sławetne wyczyny Simonetty jakoś przejdą bez echa; wyjaśni się, że Matylda nie miała z tym nic wspólnego i po wszystkim jakby nigdy nic wróci do życia, które wiodła wcześniej. Chyba jest prawdą, że pieniądze szczęścia nie dają. Ale trzeba przekonać się o tym na własnej skórze.

Jakieś dwie godziny później, gdy Janusz miał właśnie zaproponować sprawdzenie, czy hotelowa restauracja jest już otwarta, rozległo się pukanie i w pokoju pojawił się Waška.

– Mów, co załatwiłeś – zawołała Matylda na widok jego zadowolonej miny.  
– Wyglądasz jak kapitan statku, który płynie na wyspę skarbów – zażartowała.

– Ciepło, ciepło... – Komandos opadł na fotel, wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki metalową piersiówkę i pociągnął spory łyk. – Szefowa trafiła niemal w dziesiątkę.

– Wynająłeś jakiś fajny jacht motorowy? – ucieszył się Janusz. – Zawsze chciałem stanąć za sterem czegoś takiego.

– Niezupełnie. Wynająłem... Cały statek wycieczkowy z pełną załogą.

Czteropiętrowy, na górze taras i leżaki, brakuje jedynie basenu. Do naszej wyłącznej dyspozycji jest dwieście kabin z balkonami, dwie restauracje i sala widowiskowa z barem, sklepy z odzieżą i pamiątkami, gabinety medycyny chińskiej oraz parę innych atrakcji. – Rosjanin zerknął w stronę czujnika dymu u sufitu, wzruszył lekceważąco ramionami i zapalił cygaro. – No, zbierajcie się, „Sunny Jenny” niedługo wypływa.

– Waśka, upiłeś się? – Matylda przyglądała mu się z niesmakiem. – Może prześpisz się, a potem porozmawiamy...

– Wolalabyś nie widzieć mnie pijanego. – Komandos wszedł jej w słowo. Znów pociągnął z piersiówki, jakby chciał utwierdzić Matyldę w podejrzeniach i dopiero wtedy wyjaśnił: – Pojechałem do portu zasięgnąć języka wśród tragarzy, bo oni zwykle wszystko najlepiej wiedzą, a w naszej sytuacji informacje powinny być zdobywane dyskretnie. Od słowa do słowa, dowiedziałem się, że „Sunny Jenny” miał rejs zamówiony przez lokalnych dygnitarzy partyjnych, ale z niewiadomych powodów odwołano wszystko w ostatniej chwili. Może ktoś na kogoś doniósł i go aresztowano albo wyższa instancja partyjna postawiła weto, nie wiadomo. W Chinach to normalka, nie będą o niczym pisać w gazetach ani paplać w telewizji. Ale tak czy inaczej, statek musi popłynąć do Yichang trzema przełomami Jangcy, ponieważ tam będą czekać pasażerowie kolejnego rejsu. A skoro i tak miał płynąć, z pełną załogą oraz zapa-sami...

– Dogadałeś się z kapitanem – Janusz zerwał się z łóżka. – Jesteś genialny!

– Ile zapłacimy? – zainteresowała się Matylda. Cały statek wycieczkowy do ich wyłącznej dyspozycji? Przestraszyła się nagle, że zostaną bez grosza po zakończeniu rejsu. – Mówiłeś o dwustu kabinach...

– I tu jest mały problem. Rejs dla dygnitarzy odwołano, ale wszystko jest opłacone i kapitan, dosyć niechętnie zgodził się nas zabrać. Jednak nieoficjalnie. Tysiąc dolarów od głowy.

– Tylko? – zmartwiła się Matylda. – Nadto Josh -może nie wliczyć tego do naszej puli wydatków.

– Coś ci powiem, szefowo. On zaakceptuje wszystkie koszty. I postara się, żeby prawnicy również nie czynili przeszkód.

– Skąd możesz być taki pewien?

Rosjanin zmrużył oczy i wypuścił pod sufit kółko dymu z cygara. Jego głos stał się twardy i zimny:

– Osobiście go o to poproszę.

– Cóż za niesamowite widoki! – Matylda, leżąca wygodnie na leżaku na balkonie ich kabiny, nie nadążała fotografować wszystkiego, obok czego przepływali. – Waśka, naprawdę zasłużyłeś na premię, ten statek i ten rejs to

najwspanialsza rzecz w całych Chinach.

– Premii nie odmówię, ale całych Chin to przecież nie widziałas. To wielki kraj, jest tu naprawdę wiele wspaniałych miejsc. Niestety, nie mamy czasu na dokładne zwiedzanie. Teraz rozumiem, czemu chciałaś wiać do tego skansenu komunizmu z pozornie ludzką twarzą... – Matylda uciekła wzrokiem, przypominając sobie filmik z wyczynami Simonetty, nieco, jej zdaniem, momentami zbyt odważnymi. Nie podejrzewał chyba, że sama ją do tego namówiła?! Już otwierała usta, by rzucić jakąś kąśliwą uwagę, lecz wtedy Waśka sfinalizował swój wywód: – Kończymy rejs, potem tylko skok do Szanghaju i wreszcie odfruwamy wydawać pieniądze. Okej?

– Widzę, że cię ciągnie do Nowego Jorku. Masz tam kogoś? – Matylda odłożyła na stolik aparat fotograficzny i rzuciła w Wasilija jakimś folderem. Mocno go tym zaskoczyła, ale oczywiście złapał broszurkę w locie, zasługując tym sobie na pełne podziwu spojrzenie Janusza, który okupował drugi leżak i aż drgnął, gdy prospekt zafurkotał mu nad głową...

– Co to jest?

– Pełno tych reklamówek leży na stolikach w holu – powiedziała Matylda. – Chciałabym zobaczyć to miejsce, ta pagoda jest po prostu niesamowita.

Waśka rzucił okiem na prospekt i podał go Januszowi.

– Wracam za kwadrans.

Oczywiście sprawę załatwił. Statek miał nazajutrz przybić do miejsca, z którego będzie można zwiedzić całą formację skalną Shibaozhai, bo to ją właśnie przedstawiano w folderze, który tak zaciekał Matyldę.

Okazało się, że chińska załoga nie zaniedbywała swych obowiązków, mimo iż wieźli jedynie trzech pasażerów. Właściwy stosunek do pracy musieli mieć w genach, choć zapewne dostali też polecenie od kapitana, by wszystko przebiegało jak zawsze. Bo w Chinach trzy tysiące dolarów nie leżało na ulicy...

Wieczorem jedyni goście statku obejrzeni spektakl przygotowany przez artystów z różnych prowincji autonomicznych, obrazujący zwyczaje, obrzędy, stroje i regionalne tańce. Wbrew obawom Matyldy, która początkowo nie chciała tego oglądać, obawiając się, że będzie się nudzić jak mops... przedstawienie było fascynujące. A prezentowane stroje tak ją urzekły, że zrobiła obchód wszystkich umieszczonych na ich łajbie sklepików i kupiła sobie przepiękną, oryginalną, chińską sukienkę.

– Ciekawe, gdzie to będę nosić. – Zaprezentowała się w swoim nowym nabytku Januszowi i Waśce, wywołując pomruk aprobaty. – Ale trudno, po prostu musiałam ją kupić.

– Będiesz ją zakładać na spotkania autorskie. – Janusz był sukienką szczerze zachwycony.



Dzień osiemnasty

***Opowiadający głównie o tym, co się zdarzyło podczas jedzenia chińskiego ciasta grochowego. Oraz dlaczego Matylda musiała pilnować, by „Sunny Jenny” nie odplynęła za wcześnie...***

Przed śniadaniem wszyscy troje przeszli do sali, w której odbywał się wczorajszy wieczorny spektakl, i wzięli udział w minikursie tai-chi. Ćwiczyli stanie jak słup Zhan Zhuang, pięć pozycji rozwijania jedwabnego kokonu Chan Si Gong i początki stylu Chuan. Dla Wasilija wszystkie ćwiczenia były szalenie proste, techniki tai-chi znał od bardzo dawna; natomiast Matylda i Janusz, mimo entuzjazmu popełniali mnóstwo błędów, cierpliwie korygowanych przez chińskiego instruktora.

– Te ćwiczenia podobno mają pozytywnie wpływać na poprawę kondycji fizycznej i psychicznej. – Matylda, niecierpliwa jak zwykle, była niezadowolona, że kiepsko jej idzie. – Ale na moją psychikę źle działa fakt, że nie mogę natychmiast w sposób doskonały płynnie powtórzyć pozornie prostych ruchów.

– Dziewczyno, tu nieodzowna jest cierpliwość. Doskonalić się trzeba latami... – Waśka machnął ręką i, już nic nie mówiąc, podążył za Januszem na śniadanie.

Shibaozhai – a dosłownie: „Kamień szlachetny Twierdza” – to niezwykle miejsce nad rzeką Jangcy w prowincji Chongqing. Droga prowadzi na wzgórze, między rzędami kramów z pamiątkami i przekąskami ciągnących się od przystani do niesamowitego dziewięciopiętrowego pawilonu, zwanego „Czerwoną Pagodą”. W pewnym momencie trzeba wejść na szeroki linowy most z desek, kołyszący się przy każdym kroku. Niektórzy zastygają tam w miejscu, aby po chwili kurczowo uczepli lin niepewnie się wycofać. Dochodzące do samego mostu kramy przycupnęły przed domami, wyglądającymi, jakby nikt w nich nie mieszkał. Obłazące tynki i zamknięte mimo upału okna robią przygnębiające wrażenie, a całości dopełniają umieszczone na parterach metalowe pordezewiałe rolety. Może kiedyś były tam sklepy, punkty usługowe, bary, mieszkały rodziny z dziećmi – pomyślała Matylda. Teraz z pewnością nie ma tam niczego, a wszystko, co istnieje w tym upiornym opuszczonym mieście, żyje wokół straganów z tandetą. Turyści utrzymywali jakoś resztkę mieszkańców, którzy nie mieli co ze sobą począć. Młodzi wyjechali dawno, we wnętrzu kramów tkwili na ogół staruszkowie, przywołujący apatycznie gości, żeby zarobić kilka juanów. Wystarczało na przeżycie, nic więcej.

Pisarze przeszli się mostem linowym, obejrzeni pagodę, zrobili mnóstwo zdjęć i wreszcie zgłodnieli. Nawet Matylda. Wracając, dostrzegli jakąś budkę, gdzie sprzedawano słodkości i napoje. Kupili tam kilka kawałków czegoś, co Waśka nazwał ciastem grochowym.

– To chiński specjał – oznajmił. – Nie wszystkim smakuje, ale spróbować trzeba.

Wypatrzyli więc mały placyk, a na nim drewnianą ławkę. Rozwinęli pergamin, w który sprzedawca zawinął im kawałki ciasta, i zabrali się do konsumpcji.

– To z grochu? – Matylda z niedowierzaniem gryzła smakołyk. – Nigdy w życiu bym nie zgadła. Pyszne.

Janusz tylko pokiwał głową, podniósł się i po chwili wrócił z kolejną, większą porcją tego czegoś, czym się zajadali. Pyszne, czy nie, niczego innego na tym straganie nie było, a pisarz był po prostu głodny. Oczywiście Matylda zdecydowanie za dużo zjadła i dla niego zostało zbyt mało. Nie mógł przecież dopuścić do tego, aby burczący brzuch zakłócał mu zwiedzanie. Ledwo Janusz zdążył rozłożyć nową porcję ciasta na ławce, gdy jego partnerka złapała największy kawałek. Nie doniosła go jednak do ust, bowiem nagle gdzieś zza ich pleców wystrzeliła bardzo brudna rączka i zabrała ciasto niczym ptak porywający okruch chleba. Wszyscy obejrzeni się zaskoczeni. Nieopodal ich „stołu”, którym była ta odrapana ławka, stało chińskie dziecko, dziewczynka, sądząc po fryzurze, łapczywie wpychając sobie zdobycz do buzi. Jadła jak mały psiak, który boi się, że zaraz jakiś większy i silniejszy brytan odbierze mu pokarm. Janusz na widok brudnej i podobnej do ostatniego nieszczęścia dziewczynki rozwinął do końca pergamin z porcją słodkości i łagodnym ruchem, bez słowa, podsunął całą zawartość w pobliże małej łapki. Dziecko zjadło już ukradziony kawałek. Powolotku wyciągnęło rączkę po następny i schowało się z nim gdzieś w krzakach porastających placyk.

Matyldzie urosło coś w gardle. Popatrzyli po sobie, Janusz poszedł po następną partię ciastek.

– Kupiłem więcej, może ta dziewczynka wróci.

– Ona wyglądała jak bezdomne biedactwo... – Matylda miała łzy w oczach.

– Waśka, mówiłeś, że w Chinach nie ma bezdomnych.

– Nic takiego nie mówiłem. – Wasilij rozglądał się uważnie na wszystkie strony, ale dziecka nie było nigdzie widać. – Mówiłem tylko, że poziom bezdomności jest tu chyba najniższy na świecie. I że w Chinach nikt nie umiera z głodu na ulicy, jak w Indiach.

– Ale to dziecko wyglądało na bardzo głodne. Może się zgubiło?

– Tu się raczej nie można zgubić. A Chińczycy bardzo kochają swoje dzieci, prędzej sami chodziliby głodni, niż pozwolili, aby ich potomek musiał szukać

jedzenia na ulicy.

– To co się stało, że postanowiła na własną rękę zdobyć coś do jedzenia...? – Matylda nie mogła się uspokoić. Czuła, że obraz zabiedzonej dziewczynki nie przestanie jej prześladować.

– Nie powiedziałem, że nikt w Chinach nie bywa głodny. Pomyśl tylko, tu mieszka przeszło miliard ludzi. A poza tym skutki „polityki jednego dziecka” sprawiły, że mnóstwo dzieci jest porzucanych, głównie dziewczynki...

– No widzisz, zostawili ją!

– Nie, nie, uspokój się. To dotyczy niemowląt i zupełnie maleńkich dzieci. Rząd dostrzegł problem i stworzono specjalne „domki”, gdzie rodzice mogą zostawić dziecko, które w rezultacie trafi do sierocińca.

– Ale ona była głodna, brudna i bała się.

– Pewnie jej mama siedzi za którymś ze straganów. A obrotów dużych to oni tu raczej nie mają, sama widzisz. Więc dziecko mogło być głodne.

– Albo jej rodzice mieli wypadek, czy coś takiego, a ona błąka się teraz jak bezpański pies...

– Jeśli tak, to w końcu ją znajdą i oddadzą do sierocińca.

Słowa Rosjanina jakoś Matyldy nie pocieszyły.

Zjedli, co zostało, pokręcili się jeszcze trochę wokół kramów, ale nic nie zwróciło ich szczególnej uwagi.

– Wracamy na statek? – Janusz spojrział na partnerkę i raptem poczuł, że coś trzyma go za nogawkę spodni. Była to ta ich mała znajoma z placyku. Wczepiła się w Janusza, jakby był jej jedyną ostoją na tym zapomnianym chińskim kawałku brzegu Jangcy.

Wasilij ukucnął obok dziecka i zagadnął o coś łagodnym głosem. Dziewczynka schowała się za Januszem. Płakała i kręciła rozpaczliwie główką.

Matylda delikatnie pogłaskała ciemne włosy dziecka.

– Waśka, spróbuj ją uspokoić. Powiedz, że zabierzemy ją do mamy... pomożemy, ale niech powie, co się jej stało.

– Spróbuję. Ale to może się nie udać, bo dobrze znam tylko język mandaryński, a w innych dialektach porozumienie może się okazać trudne, a ona jeszcze chyba nie chodziła do szkoły...

– Waśka, postaraj się, błagam.

Ludzie handlujący na straganach musieli widzieć, co się dzieje, jednak nikt nie wydawał się zainteresowany małą. Można było odnieść wrażenie, iż wręcz unikają spoglądania w kierunku przybyszów. Komandos długo tłumaczył coś dziecku. Wydawało się, że mała nic nie rozumie, jednak wreszcie powiedziała coś słabiutkim głosem.

– Z tego, co zrozumiałem – przekazał im ze zdumieniem Waśka – jednak chyba to dziecko jest bezdomne. Głodne i śmiertelnie przerażone. Chyba skądś

uciekła...

– Skąd?

– Nie wiem. Ona mówi bardzo niewyraźnie i niechętnie. Wygląda jednak na to, że uznała Janusza za swojego zbawcę i opiekuna. – Zagadał coś jeszcze do dziecka. Dziewczynka tylko mocniej chwyciła się nogawki Janusza. – Wygląda na to, że chce iść z nami...

– Zabieramy ją na statek – zdecydowała, ani chwili się nie wahając, Matylda.

Wasilij kiwnął głową, jednak najpierw, mimo jej pewnego oporu, wziął dziewczynkę na ręce i poszedł porozmawiać z kilkoma osobami obsługującymi kramiki. Nikt małej nie znał i nikt jej nigdy nie widział. Tak przynajmniej mówili. Przeżalone dziecko łkało i wyrywało się, wyciągając żałośnie rączki w stronę Janusza. Postawione przy nim ponownie chwyciło w garść nogawkę spodni pisarza i posłusznie dreptało obok. Dziwne to było, jednak mała Chinka wyraźnie obawiała się swych pobratymców, a ciągnęła ku obcym.

– W Chinach mówi się, że jeśli uratujesz komuś życie, jesteś już zawsze za niego odpowiedzialny – szepnął jakby do siebie Waśka.

Gdy zbliżali się do pomostu, Matylda popatrzyła niespokojnie na wielki wycieczkowy statek. Stał w milczeniu, na balkonach nie było widać turystów.

– Może byłoby lepiej przemycić ją jakoś po cichu...?

– To nie Europa – Wasilij wzruszył ramionami – nikt nie zapyta, skąd się wzięła. Najwyżej trzeba będzie dopłacić coś za jej posiłki i tyle. Zwłaszcza, że to dziewczynka. Chciałbym się mylić, ale przypuszczam, że to jest tak zwane czarne dziecko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wszystkiemu winna polityka jednego dziecka – tłumaczył parze pisarzy komandos. – Ostatnio trochę złagodzona, ale wciąż będąca źródłem trudnych do ogarnięcia nieszczęść. Jeśli można mieć tylko jedno dziecko, każdy by chciał, aby urodził się chłopiec. Bo zwyczajowo łatwiej zapewnić mu wykształcenie i dobrą pracę, poza tym tylko syn ma prawo do składania ofiary duszom przodków, będącej warunkiem powodzenia całego rodu. No i tradycja każe synowi opiekować się na starość rodzicami oraz dziadkami.

– A jeśli jednak rodzi się córka? – zapytała Matylda.

– Wielu traktuje to jako nieszczęście. Aby mieć prawo do kolejnego dziecka, trzeba zapłacić haracz, na który mało kogo stać. A jeśli rodzice się upierają wychować drugie, narodzone już dziecko, są wyrzucani z pracy, urzędnicy żądają daniny albo konfiskują w majestacie prawa cały dobytek. „Czarne dzieci” to malcy niezgłoszeni do systemu, bez prawa do nauki, opieki zdrowotnej i dokumentów. Nikt nie potrafi policzyć, ile niczyich dzieci żyje w Chinach bez prawa do imienia, szkoły i lekarza.

- To po prostu straszne...
  - Ich los nie jest najgorszy – powiedział ponuro -komandos. – Wiele dziewczynek znika cicho niedługo po narodzinach, są porzucane lub zabijane.
  - Nie..., powiedz, że to nieprawda.
  - Zjawisko było tak masowe, że nawet władze dostrzegły problem i, jak mówiłem ci wcześniej, państwo udostępniło specjalne „domki”, gdzie można zostawiać dzieci, głównie dziewczynki, czasem – bardzo rzadko – chłopców, którzy urodzili się poza przeznaczonym dla rodziny limitem dzietności z nieplanowanej ciąży.
  - I co się z nimi dzieje dalej?
  - Trafiają do sierocińców. Potem bardzo często są adoptowane przez małżeństwa z zagranicy. Chińska procedura adopcyjna jest bardzo prosta. Pary z zachodu płacą kilka tysięcy dolarów i spora część tej sumy idzie do kieszeni miejscowych notabli. Zdarzało się, że urzędnicy siłą zabierali „czarne dzieci” rodzicom, bo mieli już umówionych zagranicznych klientów. A gdy w grę wchodzi duże pieniądze, do procedury biorą się też zwykli łajdacy, którzy kupują albo wręcz porywają dzieci. I znów głównie dziewczynki, gdyż mniejsze jest prawdopodobieństwo, że ktoś będzie ich szukał. Jakiś czas temu słyszałem, że policja zatrzymała szajkę handlarzy żywym towarem, uwalniając kilkanaścioro przetrzymywanych dzieci. Zgadnij, co stało się później?
  - Nie wiem. No, chyba wróciły...
  - Żadne z rodziców nie chciało dziecka z powrotem. Ponieważ już otrzymali za nie pieniądze.
- Matylda mocno zacisnęła dłonie, przykazując sobie w duchu, by się nie rozplakać i nie przestraszyć tej biednej znajdy. Postanowiła, że nie zostawi jej, zajmie się losem dziewczynki, choć w tamtym momencie nie umiałyby powiedzieć, na czym konkretnie miałyby to polegać. Gdy Waśka dowie się czegoś więcej od małej, naradzą się i wspólnie podejmą decyzję.
- Rosjanin miał rację, że nikogo nie zainteresuje biednie wyglądająca dziewczynka, którą przyprowadzili na statek. Wprawdzie obsługa coś tam szeptała do siebie, jednak tylko kłaniali się grzecznie pasażerom z przyklejonymi do twarzy uśmiechami. Po drodze Wasilij wręczył parę banknotów chińskiej pokojówce, prosząc, by przyniosła z kuchni trochę jedzenia. W kabinie Matylda najpierw dała dziecku napić się soku, potem popatrzyła z troską na umorusaną buzię.
- Powiedz jej, że teraz pójdziemy się umyć. I żeby się nie bała, bo zostanie z nami.

Komandos ukucnął i wypowiedział kilka zdań. Ostatnie brzmiało pytająco. Dziewczynka bąknęła coś, trochę śmieiej, niż poprzednio, ale cały czas widać było w jej oczach lęk. Waśka pytał dalej, z jego miny nie można było wyczytać, czego dotyczą krótkie odpowiedzi małej.

- Ona ma na imię Czerwony Śnieg.
- Jak to się wymawia?
- Łacińskim alfabetem pisze się Hong Xuě. Wymawia się *Honsjee*, miękko.

Poćwiczysz trochę i będzie dobrze.

Matylda powtórzyła parę razy imię małej, aż była pewna, że dobrze je zapamiętała. Potem pomogła dziewczynce zdjąć brudne ubrania

– Waśka, możesz to gdzieś wyrzucić? – poprosiła, podając mu kłęb ciuszków. – Na razie dostanie moją koszulkę i jakieś spodenki, potem w sklepie kupimy resztę.

– Zrobi się. Pójdę dowiedzieć się, kiedy odpływamy.

Komandos wrócił po niecałych pięciu minutach. Matylda z małą wciąż była w łazience, skąd dolatywał szum prysznic.

– Wyjdźmy na korytarz – poprosił Janusza, który sączył zimną colę w fotelu na balkonie.

Waśka tylko skinął głową w kierunku schodów i poszedł przodem. Mina komandosa była poważna, a w wyrazie twarzy coś naglącego, więc pisarz podążył za nim, nie zadając pytań. Czuł, że dotyczy to dziecka.

Zeszli ze statku szerokim trapem. Dopiero wtedy Rosjanin odezwał się, nie zwalniając kroku:

– „Sunny Jenny” miała odpłynąć za godzinę. Przekonałem kapitana, żeby zaczekał jeszcze jedną, ale i tak mamy mało czasu.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– Coś mnie tknęło, możesz to nazwać instynktem albo wrodzoną podejrzliwością, ale zanim wyrzuciłem sukienkę małej, dokładnie się jej przyjrzałem. W kieszonce miała kilka rysunków na karteczkach, które przykleja się do tablicy... Gdzieś znalazła bloczek takich kartek, i sobie rysowała... – Waśka wyjął parę kartek i podał Januszowi. – Popatrz.

Pisarz spodziewał się ujrzeć kotki, ptaszki i serduszka, ale na wykonanych niewprawną rączką rysunkach byli tylko ludzie. Młoda kobieta, mężczyzna i dziecko. Na wszystkich trzymali się za ręce. Janusz widział wiele dziecięcych rysunków, na których byli rodzice i dzieci, zawsze uśmiechnięci, najpiękniejsi, najukochańsi, w otoczeniu piesków, słoneczka na niebie i zieleni. To nic, że włosy sterczały im jak druty, to nic, że oczy przypominały spodki od filiżanek, to nic, że usta układały się w komiksowe grymasy, bo każde dziecko na świecie wie, że mamusia z radością przycisnie do serca wizerunek kochającej się rodziny wykonany maleńką rączką.

Na rysunkach małej Hong Xuě brakowało chmurek na niebie, słoneczka, uśmiechów na twarzach. Wszyscy byli smutni. Może dlatego, że ani mama, ani tata, nie mieli tych rysunków nigdy przycisnąć do serca...

– Ona jest sierotą – powiedział Janusz. W swej dedukcji opierał się

wyłącznie na niewprawnych rysunkach ołówkiem, ale ujrzał w nich całą prawdę. – Nie zgubiła się, nie uciekła od rodziców.

– Chyba tak. Rodzice daliby jej blok i kolorowe kredki.

– Ale co z tego wynika? Dokąd idziemy?

Komandos wziął jeden z rysunków dziewczynki i pokazał odwrotną stronę. Miała nierówno przedarte brzegi, była zadrukowana chińskimi literami i szeregiem cyfr.

– Widzisz, ta kartka jest inna. Po chińsku dużo lepiej idzie mi mówienie niż czytanie, ale zorientowałem się, że to pismo z jakiegoś urzędu, które ktoś podarł i wyrzucił. Czerwony Śnieg musiała znaleźć to w śmieciach i wzięła sobie do rysowania na niezapisanej stronie. Wiesz, pomocnik kucharza rano zapewniał mnie, że jeśli szukamy przewodnika... pochodzi stąd i może nas oprowadzić. Nie skorzystałem, bo cóż tu jest do zwiedzania poza Czerwoną Pagodą? Ale na tym świstku jest adres. Pokazałem mu go, a on wytłumaczył mi, jak tam trafić.

– Rozumiem. Czyli idziemy zorientować się, skąd mała uciekła i dlaczego?

Skręcili w uliczkę ciasno zabudowaną przylegającymi do siebie domami bez wyrazu. Miały po dwa lub trzy piętra, płaskie dachy i wypłowiałe od słońca szare tynki. W miasteczku życie koncentrowało się w alei ze straganami pełnymi tandetnych pamiątek dla turystów, tutaj nie włóczyły się nawet bezpańskie psy. Janusz nie potrafił opędzić się od myśli, że po prostu zostały zjedzone.

– Może to jakiś sierociniec? Jeśli tak, to oddamy im ją? – Janusz wiedział, jak trudno będzie przekonać do takiego postępowania Matyldę. Zwłaszcza że dziewczynka nie uciekałaby, gdyby jej było dobrze. Ale cóż innego mogliby zrobić?

– Nie wiem... Okaze się na miejscu. Tyle że taka zapadła dziura jest kiepskim miejscem na sierociniec. Nawet w Chinach, gdzie pewnych społecznych problemów z założenia się nie dostrzega.

– Ale co innego możemy zrobić? – pisarz zadał wreszcie pytanie, z którym borykał się od momentu, gdy dziewczynka złapała go za nogawkę spodni.

– To tutaj – oznajmił komandos, zatrzymując się przed stojącym na uboczu budynkiem. Nie odpowiedział na pytanie swego towarzysza, być może uznawszy je za retoryczne. A najpewniej sam nie znał dobrej odpowiedzi.

Od ulicy nie było wejścia, należało pokonać wąziutki zaułek z boku domu, wiodący na zawałone najróżniejszymi gratami podwórze. Były tam zardzewiałe ramy rowerów bez kół, powiązane w paczki płaty tektury, butelki i sterta glinianych skorup, blacha oraz trudne do rozpoznania kawałki złomu.

– To chyba nie tutaj. – Janusz rozejrzał się z powątpiewaniem. – Może mała znalazła papier na cudzym śmietniku?

– Może... Jednak należało spróbować, nie darowałbym sobie, gdybyśmy tak po prostu odpłynęli.

O ile od ulicy dom jeszcze jako tako wyglądał, na dziedzińcu widać było odłazący płatami tynk, przegniłe ramy w oknach. Tylko obite blachą drzwi wyglądały na niedawno wymienione. Nie miały klamki, toteż Waśka załomotał w nie dłonią. Musiał powtórzyć czynność parę razy, nim z wnętrza dobiegły jakieś szelesty i skrzypienia. Kiedy drzwi otworzyły się wreszcie, ujrzeni w półmroku młodzieńką Chinkę, która w milczeniu skłoniła głębokę głowę, jakby zawstydzona usiłowała uniknąć kontaktu wzrokowego, cofnęła się o dwa kroki, niewyraźnym gestem zachęcając przybyszów do wejścia, odwróciła się i zaczęła wchodzić po stromych wąskich schodach. Nie mieli wyboru, mogli albo zostać przed domem, albo pójść za nią. Szczupła Chinka stąpała cichutko, jednak pod ich ciężarem drewniane stopnie skrzypiały głośno. Na piętrze było jedynie okienko wielkości świetlika. Dziewczyna wskazała przybyszom jedyne drzwi na tym poziomie i bez jednego słowa zaczęła wspinać się wyżej. Waśka zagadnął coś do niej, lecz nawet nie odwróciła głowy, znikając im po chwili z oczu.

– Niemowa? – mruknął Janusz.

Rosjanin wzruszył ramionami i zapukał. Nie było odzewu, więc nieco zniecierpliwiony pchnął drzwi.

Wnętrze zdumiało ich i zaszokowało, kontrast ze stanem oglądanego z zewnątrz budynku był niewiarygodny. Ściany wyłożono misternie rzeźbioną ciemną boazerią, meble wyszły chyba spod ręki prawdziwego mistrza. Zewsząd przyciągały wzrok bogate ornamenty, figurki z laki i pięknie malowane wazy. U sufitu zwieszały się lampiony i mała klatka z parą świerszczy, wydających szeleszczące odgłosy. Dało się wyczuć zapach kadzidełek. Na komódce pod oknem płonął rząd świec.

– Nie wierzę, to chyba z czasów dynastii Ming... – Rosjanin podszedł do smukłej wazy z granatowym wzorem. – Musiała kosztować fortunę, o ile to nie falsyfikat.

– Tu nikogo nie ma – zdziwił się Janusz. – Co mamy robić?

Nim komandos odpowiedział, uchyliły się zamaskowane drzwiczki w boazerii. W pokoju pojawił się mężczyzna w zapiętej pod szyję marynarce bez klap. Mógł dobiegać pięćdziesiątki, jak wydawało się Januszowi, choć wciąż miał problemy z określeniem wieku Chińczyków. Gospodarz odezwał się przyjaznym tonem, podchodząc bliżej. Jednak nie uklonił się ani nie wyciągnął ręki. Przyglądał się gościom wyczekująco.

Rosjanin wypowiedział kilka zdań. Janusz wnosił z jego mimiki i tonu głosu, iż było to uprzejme powitanie. Chińczyk głośno zaklaskał w dłonie i wskazał im krzesła ustawione obok niskiego długiego stolika.

– Dostaniemy herbaty, to taki miły gest na powitanie – szepnął Waśka.

– Nie szkoda czasu? Statek odpływa za jakąś godzinę.

– To są Chiny i byłoby nieuprzejmie odmówić poczęstunku, zanim przejdzie



się do interesów.

Do pomieszczenia weszła dziewczyna, inna niż ta, która ich wpuściła. Na tacy niosła pękaty porcelanowy czajniczek i kruche filiżanki.

– Co za interesów? – zdziwił się pisarz.

– On nas nie rozumie, ale uważnie obserwuje, więc nie rób takich dziwacznych min, ma być po tobie widać spokój i opanowanie – przestrzegł Waśka. – Nazywa się Wong Kar-Wai, co oznacza strażnika rodziny i domu. Powiedziałem mu, że przyszedliśmy kupić dziecko.

– Kupić... skąd ten pomysł? – zapytał Janusz najspokojniejszym głosem, na jaki go było stać.

– Po prostu zaryzykowałem. To nie jest dom rodzinny naszej małej, bo nie uciekałyby stąd z takim przerażeniem. Również nie wygląda na sierociniec, prawda? Więc jedno z dwojga: albo źle trafiliśmy, albo... aż za dobrze. Oznajmiłem, że przysłała nas pośrednik, który polecił ten właśnie adres.

Janusz prędko ułożył sobie w głowie wcześniejsze informacje przyjaciela o konsekwencjach polityki jednego dziecka.

– Sądzisz, że on sprzedaje za granicę niechciane dzieci?

– Już jestem pewien. Moja prośba go nie zdziwiła ani nie zaniepokoiła. Nie ma w tym zresztą niczego dziwnego, bo proceder odbywa się za cichym przyzwoleniem urzędników, którzy dostają haracz, a przy okazji mają problem z głową. Nie muszą się nawet osobiście angażować. Są za granicą agencje, które organizują całe wycieczki adopcyjne. Przyszli rodzice dostają kwatery w pobliżu sierocińca i przebierają w dzieciach jak w owocach na straganie.

Dziewczyna rozlała herbatę do filiżanek i natychmiast opuściła pokój. Rosjanin napił się, mlasnął z uznaniem i wypowiedział parę zdań do gospodarza. Janusz dostrzegł znany wszystkim gest liczenia pieniędzy i zdawało mu się, że usłyszał chińskie imię ich znajdy.

Wong nie okazywał żadnych emocji. Siedział w milczeniu, pił herbatę i spoglądał w stronę świerszczy, wygrywających u sufitu swoją melodię. Janusz pomyślał, że prawdopodobnie niczego więcej nie uzyskają. Dziewczynka uciekła stąd z jakiegoś powodu, ale to z pewnością nie był jej prawdziwy dom. Na pewno jej nie oddadzą. Nie mieli tu nic więcej do roboty, bo statek miał odpłynąć za jakąś godzinę.

– Nie przeciągajmy tego. – Janusz wyprostował się na swym krześle. – Właściwie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Czerwony Śnieg uciekła, bo źle ją traktowali albo tęskniła do rodziców. Porwali ją czy kupili od nich jako niechcianą córkę... wszystko jedno. Ona prędzej opowie wszystko niż on. I tak nie oddamy mu małej, więc możemy się wynosić.

– On jest chytry i czuje się nietykalny, bo władze mają w tym swój interes. Chciałbym się dowiedzieć więcej, Czerwony Śnieg mogła mieć jakieś dokumenty.

– Nawet jeśli, to nam ich nie pokaże. Chyba że przyłożysz mu rewolwer do skroni. – Janusz wstrzymał oddech, przekonany, że komandos tak właśnie zamierzał postąpić. Ale Wasilij nie zrobił niczego podobnego. To było zupełnie do niego niepodobne. – Co cię powstrzymuje?

– To, że nie mam broni. Nie jestem magikiem, nie wyszedłbym z nią z lotniska w Pekinie. To nie Europa bez granic, przypomnij sobie, jak dokładnie nas sprawdzali. Poza tym do głowy mi nie przyszło, że tak prędko może się przydać. Mogłem zdobyć coś na miejscu, ale oceniłem, że nie ma takiej potrzeby. Mój błąd.

Janusz uzmysłowił sobie, że nie zabrał telefonu ani nie zostawił Matyldzie żadnej wiadomości. Pewnie szuka już ich po całym statku, snując różne zatrwajające scenariusze.

– Chodźmy więc. Od małej dowiemy się reszty.

– Masz rację, ale jeszcze chwila. Zagram ostatnim atutem.

Komandos wypowiedział głośno imię dziewczynki, potem wystudiowanym ruchem wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Wysupłał z niego studolarówkę i położył na stoliku. W usta włożył cygaro i zapalił, dając tym samym znać gospodarzowi, że nigdzie im się nie spieszy, więc nie wyjdą bez informacji.

Chińczyk z wyniosłą miną spojrzał na pieniądze. Milczał. Może poczuł się obrażony, jednak Janusz był przekonany, że to jedynie taktyka, aby uzyskać jak najwięcej. Gdy Waśka dołożył kolejną studolarówkę, na ustach Wonga pojawił się słaby uśmiech. Trzeba było jeszcze trzech banknotów, by dłoń gospodarza wyciągnęła się po pieniądze. Schował je prędko i wreszcie zaczął mówić.

– Ona jest złym, niewdzięcznym dzieckiem... – komandos na bieżąco tłumaczył półgłosem słowa Wonga. – Nie została porzucona ani porwana z domu... Jej rodzice trafili do więzienia za spiskowanie przeciwko państwu... Nie miała bliskich krewnych, powinna umrzeć z głodu na ulicy... Wzięli ją z litości, dobrze wiedząc, że mogą ją zatrzymać, bo złe demony ukradły jej duszę... Czerwony Śnieg jest niewidzialna... Chciał oddać ją za granicę, żeby ulżyć społeczeństwu, byli już chętni...

– Co on bredzi, chciał ulżyć społeczeństwu?! – Janusz skorzystał z chwili przerwy w relacji Chińczyka. – Jaka niewidzialna...?

– To, co mówi, ma sens. Takie tu są niestety realia. Grzechy rodziców skazanych na karę śmierci albo długoletnie wyroki obciążają na zawsze ich dzieci. Chińczycy wierzą, że one są napiętnowane i skażone już w łonie matki, więc nieuchronnie same zostaną przestępcami. Nikt nie dba o nie, rodzina się ich wyrzeka, sąsiedzi nie chcą znać, są porzucane na pastwę losu. To tkwi głęboko w mentalności tego narodu, nawet egzekucja rodziców nie zmywa piętna zbrodni z ich dzieci. Najczęściej są wyganiane, zabijane albo... sprzedawane za granicę. Nazywa się je „niewidzialnymi dziećmi”.

– Opowiadałeś o „czarnych dzieciach”, które żyją poza systemem opieki...

– Tak, ale to jeszcze gorsza kategoria. „Niewidzialne dzieci” są właśnie takimi naprawdę. Małe umierają z głodu odepchnięte przez otoczenie, starsze tęsknią i łudzą się, że sąd zwróci im rodziców. Ale tak się nie dzieje prawie nigdy. Pozbawione nadziei, dachu nad głową, głodujące i brudne łapią się różnych form przetrwania, pracują na czarno albo w obozach, żebrzą, a najstarsze schodzą na drogę przestępstwa. I w żaden sposób nie mogą upomnieć się o swe prawa, bo nie sposób wykorzenić krzywdzących stereotypów, które tu wysysa się z mlekiem matki...

– Straszne.

Wong z obojętną miną przysłuchiwał się wymianie zdań, z której nie rozumiał ani słowa. Znów klasnął w dłonie, a kiedy pojawiła się obsługująca ich dziewczyna, wydał krótkie polecenie i sięgnął po czajniczek, aby dolać gościom herbaty.

– Nie podoba mi się to... – powiedział cicho Wasilij. – Powiedział, że zaraz przyjdzie tu Czerwony Śnieg. Chce za nią pięć tysięcy dolarów.

– Blefuje, nie wie, że spotkaliśmy małą. Myśli, że pośrednik czy ta zagraniczna agencja, z którą ma konszachty, podała nam pierwsze lepsze imię. W każdym razie nic tu po nas.

– Masz rację. – Rosjanin uniósł się odrobinę, lecz zaraz opadł z powrotem, spoglądając gdzieś ponad ramieniem pisarza. – Ale już chyba za późno...

Janusz obejrzał się. W progu pokoju stało dwóch młodych Chińczyków o nieruchomych zaciętych spojrzeniach. Nie byli szczególnie mocno zbudowani, ale wrażenie robiły ich oszpecone licznymi bliznami twarze i widoczne na odsłoniętych torsach tatuaże z motywem ziejących ogniem smoków. W dłoniach trzymali metalowe pręty.

Wong zagadał do Wasilija. Ten odparł coś szybko, potem zaczął wyrzucać z siebie słowa urywanym, pełnym strachu głosem. Gospodarz na ten widok jedynie głośno się roześmiał.

– Co się dzieje? – szepnął Janusz, zdumiony postawą komandosa.

Waśka uniósł dłonie w geście poddania, po czym jął wyciągać wszystko, co miał w kieszeniach. Na stoliku wylądowała zapalniczka, jakieś drobiazgi, trochę juanów i zwitek banknotów. Wong warknął gardłowo w stronę Janusza, który również zaczął wyciągać wszystko, co miał w kieszeniach. Uzbierało się razem około dziesięciu tysięcy dolarów. Januszowi nie było żal pieniędzy, pragnął jedynie, aby cało wrócili na statek. Po chwili Chińczyk drapieżnym ruchem zgarnął całe pieniądze. Następnie, jakby nigdy nic, ujął czajniczek i dolał herbaty do trzech filiżanek. Znów się głośno roześmiał, przyjął swobodną pozę i zaczął coś mówić. Wasilij tłumaczył na bieżąco:

– Jesteśmy głupcami, którym szczury wyjadły mózgi... On wie, że

Czerwony Śnieg się do nas przybliżała, ludzie mu donieśli... Możemy sobie ją zatrzymać, bo dobrze na niej zarobił...

– Więc chodźmy już stąd. – Janusz, unosząc się z krzesła, obejrzał się na dwóch wytatuowanych bandziorów. – Póki jesteśmy cali.

– Czekaj. On chwali się swoją przebiegłością, nie może się oprzeć, aby nie wywyższać swojej szacownej osoby. Może powie więcej. – Rosjanin palił cygaro, zbierając ze stolika osobiste drobiazgi. – Rodzice Czerwonego Śniegu nie siedzą w więzieniu... To dysydenci, nie ma dla nich powrotu... Byli głupszy od pijanych małp... Oddali córkę na przechowanie, bo musieli uciekać z kraju... Udało im się, mieszkają gdzieś w Nowym Jorku... Zbierają pieniądze na fałszywą adopcję córki przez jakiegoś znajomego, który miałby ją przywieźć... Przysyłają co miesiąc pieniądze na jej utrzymanie i będą to robić, póki się nie dowiedzą prawdy... Ale on im nic nie powie, będzie inkasował pieniądze za opiekę, póki się tylko da... Jeszcze dziś spali jej dokumenty...

Janusz poczuł, jak ogarnia go fala nienawiści do puszącego się w poczuciu pełnej bezkarności handlarza żywym towarem. Zapytał martwym głosem:

– Co jej takiego zrobił, że uciekła?

Waśka zadał po chińsku krótkie pytanie.

– Ci głupcy obiecali, że niedługo będzie miała dużą rodzinę. Wang powiedział dziewczynce, że jej poprzedni rodzice umarli, i dostanie nowych... Nie wierzyła, nie chciała słuchać, była taka niewdzięczna... Zamknął ją w szopie na podwórzu, żeby zmądrzała... Zamierzał głodem przełamać jej opór, ale ta dzikuska wyłamała spróchniałą deskę i uciekła...

Janusz utkwiał nieruchomy wzrok w Wongu, aż tamtemu spelzł z twarzy wredny uśmieszek.

– Waśka, szkoda, że nie masz broni...

– Też żałuję. Gdyby nie tych dwóch pod drzwiami, udusiłbym go gołymi rękami.

Janusz bał się. Nie o siebie, ale o to, że nie będzie umiał wyjść i o wszystkim zapomnieć. Myślał o niewidzialnych dzieciach, o które nawet Bóg się nie upominał. Tęskniących za czymś, co nie nastąpi nigdy. Otulonych bezgraniczną samotnością jak mokrym od łez całunem. Tylko on wiedział, do czego jest zdolny w chwilach, gdy świat ukazywał to gorsze oblicze, każąc mu dokonywać wyboru między spokojem a odpłatą za ludzką krzywdę.

Nie wiedział tego Waśka, nie wiedziała Matylda...

– Masz jeszcze cygaro? – zapytał zmienionym głosem.

– Nie widziałem, żebyś palił.

– Kiedyś paliłem.

Wziął od komandosa cygaro, skłonił się gospodarzowi na pożegnanie i ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze podszedł do komódki, na której ustawiono

świeczki, i przypalił cygaro od płomienia. Wasilij był już blisko bandziorów z metalowymi prętami w dłoniach. Janusz jednym płynnym ruchem zmiotł na podłogę zestaw pięknie malowanej chińskiej porcelany. Nim przebrzmiał trzask pękającej ceramiki, Chińczycy obrócili się z uniesionymi do ciosu prętami w stronę wzburzonego pisarza, który najwyraźniej oszalał.

To był ich pierwszy, ale nie ostatni błąd. Bowiem stracili z oczu Waškę.

Ciężki but komandosa wylądował między nogami jednego z napastników, momentalnie wyłączając go z gry. Drugi otrzymał potężne uderzenie w kark, po którym zatoczył się jak pijany. Janusz nie usiłował pomagać Wasilijowi, tylko zwrócił się w stronę Wonga. Chińczyk zerwał się z chrapliwym okrzykiem, przeskoczył niski stolik i przyjął postawę adepta wschodnich sztuk walki.

I to był następny błąd. Bowiem Janusz nie zamierzał stosować uświęconych tradycją zasad.

Złapał wazę, pochodzącą zdaniem Wasilija z epoki Ming, i rzucił w kierunku Wonga. Tamten otworzył szeroko oczy, unosząc ręce, żeby chwycić cenny przedmiot. Udało mu się, ale pisarz był już przy nim. Działał instynktownie, stosując wpojona mu kiedyś zasadę, że walkę wygrywa szybszy i bardziej zdeterminowany. Nim Chińczyk zdołał zareagować, wyrznął czołem w sam środek tej obmierzłej twarzy zawodowego handlarza ludźmi. Przegroda nosowa pękła z chrupnięciem przypominającym rozłupywanie orzecha. Natychmiast odskoczył spoza zasięgu wciąż groźnych rąk Chińczyka, złapał za oparcie masywnego krzesła i z rozmachem rąbnął w nogi Wonga. Trafił krawędzią siedziska wykonanego z solidnego drewna. Krzesło wytrzymało. Kość nie. Zamierzał uderzyć kolejny raz, gdy poczuł, jak ktoś przytrzymuje go za ramiona.

– Wystarczy, bracie – z tyłu dobiegł głos Wasilija – bo go zabijesz.

– Może powinienem.

– Może i tak. Ale wtedy możemy mieć duże kłopoty. A największe Czerwony Śnieg, bo tylko my jesteśmy nadzieją, że przestanie być niewidzialna.

Janusz ukląkł i przeszukał kieszenie jęczącego, nie próbującego już oporu Wonga, odnajdując ich pieniądze.

– Zapytaj go o dokumenty małej. Powiedz, że albo je dostaniemy, albo spalimy mu dom.

Komandos zagadał po chińsku. Mężczyzna oderwał na chwilę rękę od zakrwawionej twarzy, wskazując czerwoną komódkę z mnóstwem szuflad. W pierwszej od góry leżała spora koperta z napisem: Hong Xuě.

Drogę powrotną pokonali biegiem. Z daleka usłyszeli syrenę statku. „Sunny Jenny” czekała, Janusz wiedział, że Matylda nie pozwoliłaby kapitanowi odpłynąć bez nich. Kiedy weszli na statek, załoga natychmiast uniosła trap. Janusz czuł, jak cudza krew kapie mu z czoła... Otarł je rękawem, na którym zostały rdzawe plamy. Wjechali windą na właściwe piętro i Waška pierwszy otworzył drzwi kabiny.

– Co wy sobie, u licha, myślicie?! Gdzieżeście poleźli, zostawiając mnie... – Matylda urwała na widok wciąż zakrwawionego czoła Janusza.

– Opowiedz wszystko szefowej, ja idę pogadać z kapitanem – oznajmił komandos. Wyglądało, że raczej szuka pretekstu, by chwilowo uniknąć starcia z szefową ich zwariowanej imprezy. Nim zamknął za sobą drzwi, klepnął Janusza w ramię. – Nieźle to rozegrałeś, bracie. Bez broni nie mieliśmy szans przeciw tym trzem bandytom. Tak myślałem, póki nie zacząłeś rozróbki.

– Najważniejsze, że oni również tak myśleli.

– Na drugi raz uprzedź, co zamierzasz.

– A ty na drugi raz miej przy sobie rewolwer.

Gdy Rosjanin opuścił kabinę, Matylda pobiegła do łazienki, zmoczyła pod kranem ręcznik, po czym wróciła i przyłożyła partnerowi do czoła. Spytała łamiącym się trochę głosem:

– Wytłumaczysz mi, co się stało?

– Nic takiego... – spojrzał na siedzącą na balkonie chińską dziewczynkę. Rysowała coś prawdziwymi kredkami na dużej kartce papieru. – Tylko Czerwony Śnieg przestała być niewidzialna.

Dzień dziewiętnasty

***W którym należy pokonać tysiące kilometrów, przekroczyć nielegalnie granicę, nie dać się złapać i poradzić sobie z istic słowiańską gościnnością...***

Wasilij zerknął na zegarek. Minęła północ. Nie był senny, ostatnich parę godzin spędził na balkonie ze szklaneczką rumu, cygarem i trzymanym na kolanach laptopem. Matylda była zdecydowana wywieźć z Chin dziewczynkę i jak to ona, dała temu wyraz w nieznoszący sprzeciwu sposób. Zwłaszcza gdy usłyszała, czego dowiedzieli się podczas wizyty u handlarza dziećmi. Wizyty, która mogła się źle skończyć, gdyby nie Janusz... No, no, kto by pomyślał, że ten raczej spokojny, wiecznie łasujący, małomówny Polak potrafi w jednej chwili zmienić się w dzikie zwierzę. Waśka znał ten typ ludzi i zawsze wolał mieć ich po swej stronie. Przez chwilę kusiło go, aby sprawdzić swoimi kanałami, co Janusz robił w młodości w Nowosybirsku i dokąd go później pognało, ale nie uczynił tego. Miał wrażenie, że jego druh zamknął ten rozdział i nie pragnął do niego wracać nawet myślą. Więc uszanował to. Sam miał takie rozdziały w życiu...

W związku z najnowszymi wypadkami należało dobrze przemyśleć kolejne kroki. Dzięki pozbyciu się łat-wych do namierzenia telefonów i starego komputera, unikaniu płatności kartą oraz ciągłym zmianom miejsca pobytu udało im się odciąć

od psów gończych Josha. Lecz ze względu na to, że ich drużyna powiększyła się o dziecko, nawet w Chinach ziemia zaczęła im się palić pod nogami. A Waśka zamierzał coś z tym zrobić, gdyż, pomijając inne niebezpieczeństwa, perspektywa wyładowania w chińskim więzieniu jawiła się jako koszmar. Nie łatwo by było stamtąd wyjść, po ilu latach, zresztą to nie o siebie się bał. Miał za sobą kilka telefonów do zaufanych ludzi, przejrzał mapy, badając różne możliwości opuszczenia Chin. Lecz na tym nie kończyły się ich problemy. Matylda była bystra, ale nie zdawała sobie sprawy ze wszystkiego, bo nie wiedziała rzeczy, których on był świadom. Nie miała pojęcia, że pożyczył od niej laptop głównie po to, aby jeszcze raz obejrzeć scenę zabójstwa w rzymskim hotelu. Robił to tyle razy, aż miał absolutną pewność...

Pukanie do drzwi przerwało rozmyślenia komandosa. Zamknął laptop i odłożył na stolik. Następnie zawołał po polsku, domyślając się, kto stoi na korytarzu:

– Otwarte.

– Janusz został z małą – powiedziała Matylda. – Uspokoilo ją, kiedy przyrzekłeś, że zabierzemy ją do rodziców. Boję się tylko, że oni... no wiesz, znaleźli się w innym świecie, zaznali nieco dobrobytu, i teraz nie w głowie im... Może naprawdę sprzedali ją, jak tylu innych, a Wong tylko przechwalał się, że wciąż wyciąga od nich pieniądze?

– Nie chce mi się wierzyć. Ale gdyby tak było, to nie chciałbym być na ich miejscu. – Głos komandosa był tak zimny, że Matyldę przebiegły ciarki.

– A ja nie chciałabym być tą, która powie małej, że nie ma już rodziców i powinna o nich zapomnieć. – Pisarka przeszła na balkon i usiadła na foteliku. Mimo późnej pory było parno. – Jestem prawie zazdrosna, bo Czerwony Śnieg nie zasnąłaby, gdyby Janusza nie było w pobliżu.

– Dzieci natychmiast wyczuwają, kto nie pozwoliłby im zrobić krzywdy.

– Ja też bym nie pozwoliła.

– Ale on jest większy. Ona instynktownie czuje, że on łatwiej obroniłby ją przed złymi ludźmi.

– Łatwiej...? – Przypomniała sobie, w jakim stanie wrócił jej partner z wyprawy do domu, z którego uciekła Hong Xuě. Obok szklanki Wasilija na stoliku stała druga, czysta, jakby czekała na kogoś. Nalała sobie rumu na dwa palce. – Opowiedz mi, co tam się tak naprawdę wydarzyło? Bo Janusz był jak zwykle bardzo lakoniczny...

Rosjanin zrelacjonował jej wszystko, spoglądając na ledwie widoczny w świetle gwiazd skalisty brzeg Jangcy. Matyldę przeszły dreszcze, oczyma wyobraźni widziała jak Janusz bije tego Chińczyka, niemal słyszała w uszach trzask łamanych kości.

– Czasem się okazuje, że tak mało wiemy o najbliższych – powiedziała jakby

do siebie. Napiła się rumu i odetchnęła głęboko. – On robił takie rzeczy już wcześniej, prawda?

Waśka miał minę Sfinksa...

– Zrobił to, co ja powinienem zrobić. – Komandos zaciągnął się cygarem, a widząc, że Matylda otwiera usta, oznajmił: – Koniec o tym.

– Obaj jesteście rozmowni jak piece kaflowe – mruknęła z przekąsem.

– Słyszałem już na swój temat różne rzeczy, ale nikt nie porównał mnie do pieca. Serdeczne dzięki.

– Chętnie bym posłuchała tych różnych rzeczy, jakie o tobie mówiono. Nie krępuj się.

– Nie sądzę... To głównie określenia, których nie powtarza się w obecności damy.

– Szkoda, może bym się czegoś nauczyła. – Westchnęła z udawanym żalem.

– Ale skoro już tu jestem, to pogadajmy o planach na przyszłość. Właściwie po to przyszedłam.

– Plan jest bardzo prosty. Nad ranem „Sunny Jenny” zacumuje w Yichang. Schodzimy na ląd i opuszczamy po cichu Chiny z naszym niewidzialnym dzieckiem. Najlepiej pryskać przez granicę z Rosją, między Kazachstanem a Mongolią. Jeśli się na to zgodzisz, czeka nas skok przez góry Ałtaj. To kompletnie niezagospodarowany, pustynny teren, nie ma tam przejść granicznych i nic praktycznie się nie dzieje poza niewielkim przemytem w obydwie strony. W Nowosybirsku będą czekały na was i dziewczynkę francuskie paszporty z rosyjską wizą. Potem lecimy do Moskwy, a stamtąd, gdzie tylko szefowa...

– Czeka, czekaj! – zawołała Matylda, przytłoczona natłokiem informacji. – Opuszczamy po cichu Chiny... A mogłabym dowiedzieć się jak? I dlaczego, u licha, akurat wiejemy do Rosji?

– Bo obiecałem Januszowi, że napijemy się w Nowosybirsku wódki.

– A naprawdę? – Matylda nie miała ochoty na żarty. – Mów po ludzku.

– Czerwony Śnieg nie ma paszportu. W kopercie, którą zabraliśmy od Wonga, były tylko podstawowe dokumenty poświadczające jej miejsce urodzenia, stan zdrowia oraz dane rodziców. Nie można z nią legalnie wyjechać ani wysiąść na jakimś europejskim lotnisku. A tak się składa, że w Nowosybirsku mogę załatwić dowolne dokumenty, oczywiście za odpowiednią opłatą.

– Ale czemu to mają być francuskie paszporty?

– Nie marudź szefowo, akurat były pod ręką, na inne trzeba by trochę poczekać. Taki mój... znajomy na miejscu wykona wam zdjęcia i wklei gdzie trzeba. Potem lecimy rejsowym samolotem do Moskwy i w porcie lotniczym Szeremietiewo zupełnie legalnie przekraczamy granicę. No, prawie zupełnie legalnie.

– Ale jak przedostaniemy się z Yichang do Rosji? Wspomniałeś, zdaje się,



o skoku ponad górami Ałtaj? – Matylda wyobraziła sobie ośnieżone szczyty górskie, niedostępne i wrogie.

– A cóż to znowu za góry. – Waśka wzruszył ramionami, jakby czytał w myślach dziewczyny. – Najwyższy szczyt, Chujten, mierzy raptem nieco ponad cztery tysiące metrów nad poziomem morza.

– Co za ulga – mruknęła zgryźliwie. – Czyli obejdzie się bez lin, czekanów i raków?

– Lepiej. Na lotnisku w Yichang, za jakieś... – zerknął na zegarek – trzy godziny wylądaje nasz Bombardier Global 5000.

– Waśka, ściągnąłeś go znów z Tunezji?!

– Nie było takiej potrzeby. Przyjaciel akurat go nie potrzebował, więc poprosiłem, aby tak na wszelki wypadek zaczekał parę dni w Pekinie. Bo z doświadczenia wiem, że z szefową niczego nie można być pewnym, a jej plany lubią ulegać nieoczekiwanym zmianom...

– Tym razem, to nie moja wina, panie jasnowidzący – fuknęła Matylda. – Czemu nie polecimy Bombardierem dalej?

– Już wyjaśniam. W Chinach potrzeba na wszystko pozwoleń, jednak łatwo je uzyskać za „odpowiednią” opłatą. Nie bez przyczyny mówi się, że to Chińska Republika Korupcji. Przelałem już na konto należące do pewnego notabla dwadzieścia tysięcy dolarów... – widząc przestrach w oczach Matyldy, pospiesznie dodał. – Spokojnie, uczyniłem to za pośrednictwem swojego banku w Szwajcarii, rachunek jest anonimowy, nikt nas po nim nie wyśledzi. Potem się rozliczymy.

– Załatwione. Mów dalej, czemu nie opuścimy naszym odrzutowcem Rosji?

– Ponieważ nie jestem cudotwórcą. Bombardier ma pozwolenie na lot nad Chinami, ale tylko tyle. Przeleci nisko nad Ałtajem, aby nie rzucać się w oczy radarom, potem pilot oznajmi, że ma awarię, i poprosi o pozwolenie na lądowanie w Nowosybirsku.

– Gdzie rosyjscy celnicy wygarną nas z samolotu, zakują w kajdanki i...

– Gdzie naczelnik służby celnej będzie ślepy i głuchy.

– Ile dolarów tym razem to będzie kosztować? – spytała Matylda, myśląc równocześnie, że jeśli Wasilij nie przekona Josha do akceptacji lewych wydatków, zostaną zupełnie goli. Ale w tamtym momencie obchodziła ją tylko potrzebująca pomocy chińska dziewczynka. Reszta się jakoś ułoży...

– Dziesięć tysięcy dolców. Gotówką. Na szczęście mamy tyle. Ale to ty musisz wydać komendę.

– Zgadza się – zdecydowała Matylda.

– Tyle że lot Bombardierem nad terytorium Rosji to już inna bajka, natychmiast mielibyśmy na karku myśliwce.

– Rozumiem. Czyli odbieramy paszporty i... prawie legalnie lecimy dalej. A dokąd?

– Szefowo, tego to ja chciałbym się od ciebie dowiedzieć.

– Nowy Jork? – zastanawiała się głośno Matylda. – Zwracam ci uwagę, iż tam mieszkają rodzice małej, a Francuzi nawet wizy nie potrzebują.

– Ciekawe – zastanawiał się głośno komandos – czy Wong mówił prawdę i oni rzeczywiście jeszcze ją chcą. Bo jeśli nie...

– To będziemy mieli niemały problem – dokończyła za niego Matylda. – Dziecko z fałszywymi dokumentami trzeba przecież gdzieś zgłosić i jakoś wytłumaczyć... porwanie.

– Do tego dochodzi nielegalne przekroczenie granicy przez osoby, których szuka Interpol, że o paru innych przyjemniaczkach nie wspomnę.

– Waśka, więc może zaszyjemy się gdzieś z Czerwonym Śniegiem, a ty polecisz do Nowego Jorku, żeby odnaleźć jej rodziców.

– Czemu nie... – komandos już miał powiedzieć, że chciałby też na chwilę wpaść do Rzymu. Ujrzeć pewne szare oczy i jeszcze coś załatwić..., ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Już wiem! – ożywiła się Matylda. – Z Moskwy polecimy do Francji i zatrzymamy się w zamku hrabiny de Riquet. Mamy od niej zaproszenie, z którego teraz uprzejmie skorzystamy.

– Nieźle pomyślane – zgodził się komandos.

– Idę opowiedzieć wszystko Januszowi. Ależ się zdziwi, że jutro wylądujemy w Nowosybirsku!

Zza przepierzenia oddzielającego ich od balkonu sąsiedniej kabiny rozległ się znajomy głos:

– Nie musisz, wszystko słyszałem. O piecu kaflowym również. – Głowa Janusza przechyliła się przez barierkę, pisarz zarechotał, widząc jak przestraszona Matylda drgnęła, omal nie spadając z fotelika. – Wracaj do kabiny, ale nie zapomnij szklanki z rumem. To znakomite lekarstwo na stargane nerwy.

Matylda nie zapomniała zabrać szklanki. Jednak szybko się okazało, że choć musieli zachowywać się cicho, aby nie obudzić Czerwonego Śniegu, Janusz znał lepsze od rumu sposoby ukojenia napięcia nerwo-wego...

Czterogodzinny lot Bombardierem wyjątkowo dłużył się wszystkim. Może z wyjątkiem małej Hong Xuě. To drzemała na kolanach Janusza, to myszkowała po salonie odrzutowca, który zapewne wydawał się jej szybującym po niebie smokiem, niosącym na swoim grzbiecie pałac pełen czarów.... Złożona przez Waśkę obietnica, że zabiorą ją do rodziców, uspokoiła dziewczynkę, w jakiś magiczny sposób usuwając w niepamięć straszne przeżycia. Uwierzyła natychmiast, bo jak można było nie uwierzyć tym dziwnie wyglądającym ludziom, dla których wszystko jest takie proste? Pan Wong był zły, widziała to w jego

nieruchomych jak u jaszczurki oczach. Zawsze, kiedy otwierał usta, wydawało się, że wysunie cienki ruchliwy język i zasyczy. Cały czas czekała. Nie wolno jej było głośno wypowiadać imion rodziców, więc rysowała skrycie obrazki, na których byli już razem.

Uciekła z ciemnej zatęchłej komórki na podwórzu, gdzie siedziała za karę, że nie chce nowej mamy i taty. Musiała, bo wierzyła w to, że ci prawdziwi ją odnajdą. Żywiła się po śmietnikach, spała na brzegu Jangcy w zaroślach, wiedząc, że musi wytrzymać, aż rodzice przybędą lub kogoś po nią przyślą. I doczekała się! Ci mili ludzie, mówiący niezrozumiałym językiem, co przy płynęli wielkim statkiem, nakarmili ją, umyli i ubrali, ale przede wszystkim obiecali zabrać do mamy i taty. Na pewno mówili prawdę. Czowała to swoim stęsknionym za rodzicami malutkim serduszkim. No i dali jej kolorowe kredki!

Waśka siedział w kokpicie odrzutowca, pilnując, by wszystko przebiegło zgodnie z planem. Zbliżało się południe, różnica czasu między Yichang a Nowosybirskiem wynosi zaledwie godzinę. Janusz z nieobecny wyrazem twarzy wyglądał przez okrągłe okienko. Kiedy Matylda poczuła, że samolot zniżył lot, zrobiła to samo co partner, tyle że po drugiej stronie kabiny. Ujrzała miasto przecięte szeroką wstęgą rzeki Ob, ulice, budynki i rojące się samochody. Zdumiało ją w pierwszej chwili, że miasto jest tak wielkie, choć Janusz mówił jej, iż ta postsowiecka metropolia jest określana jako „Chicago Syberii”, że stała się wiodącym ośrodkiem rosyjskiej nauki i przemysłu. Samolot schodził coraz niżej, a Matylda uświadomiła sobie, z pewnym rozczarowaniem, że choć to Syberia, nigdzie nie widać śniegu... No tak, był środek lata, które mimo iż krótkie, bywało tam gorętsze niż w strefie klimatu umiarkowanego.

Bombardier wylądował łagodnie, po czym ostre hamowanie obwieściło koniec podróży. W salonie pojawił się Waśka, popędzający wszystkich do opuszczenia maszyny. Zamiast schodków do wyjścia przystawiono metalową drabinkę. Komandos zrzucił na dół ich marynarskie worki, które jakiś mężczyzna pozbierał i wrzucił do terenowego samochodu marki UAZ. Wóz miał ciemnozielony kolor, brezentowy dach i był jeszcze sowiecką odmianą wojskowego łazika, bardzo poszukiwanego przez kolekcjonerów. Kiedy Matylda stawiała stopy na szczebelkach nie budzącej wielkiego zaufania drabinki, przez głowę przemknęło jej, że to właśnie na lotnisku Nowosybirsk Tołmaczowo został aresztowany znany biznesmen Michaił Chodorkowski. Jednak nie było czasu na spóźnioną refleksję, że jako szefowa całej wariackiej imprezy nie powinna godzić się na każde szaleństwo. Tyle że wszystko działo się zbyt prędko, a ona i tak nie miała lepszego pomysłu na bezpieczne opuszczenie Chin.

Wsiedli do UAZ-a i zdążyli jedynie trzasnąć drzwiczkami, gdy kierowca wdepnął pedał gazu i ostro skręcił, zjeżdżając z pasa na drogę wiodącą między jakieś hangary i blaszane baraki. Kierowca obrócił na moment głowę, błysnął

w uśmiechu kilkoma złotymi zębami i zawołał:

– Mówcie mi Alosza.

– Jestem Matylda.

– Bardzo mi przyjemnie poznać.

– Jedziemy do hotelu?

– *Niet.*

– Aha... – Zauważyła dziwny uśmieszek na ustach Waśki. – A w sklepach można płacić dolarami?

– *Niet.*

– Może chociaż w restauracji?

– *Niet.*

– Nawet za wódkę?

– Wódki się napijemy za darmo.

– No to naprawdę jesteśmy w Rosji. – Westchnęła.

Miasto za oknem nie różniło się bardzo od wielu europejskich aglomeracji. Szerokimi ulicami jechały samochody, z których wiele miało kierownicę po prawej stronie. Wynikało to z dużego eksportu z Japonii pojazdów, które docelowo miały trafić na drogi UK... Na Syberii żyje się w pewnym oderwaniu od świata, ludzie nie zawracają sobie głowy takimi błahostkami jak kierownica po niewłaściwej stronie. Na chodnikach warstewka piachu, zapewne pozostałość po długiej zimie, lato na Syberii przecież jest tak krótkie, że nie ma czasu sprzątnąć.... Matylda zwróciła uwagę, że mieszkańcy wyglądali na zadbanych i starali się ubierać elegancko, choć z lekceważeniem trendów mody. Dziewczyny przesadzały z obcisłością strojów, korzystając z krótkiego lata, by jak najwięcej odsłonić.

Wojskowa terenówka pokonała most przerzucony nad majestatycznie płynącym Obem i wjechała na Krasnyj Prospekt. Dziewczyna ze zdumieniem czytała nazwy ulic nawiązujące do czasów Związku Radzieckiego, a gdy mijali plac Lenina z wielkim pomnikiem wodza rewolucji, przetarła oczy ze zdumienia. Wyglądało, jakby na Syberii czas stanął w miejscu.

Alosza zatrzymał samochód między domem z szyldem Универмаг, a hotelem Marriott. Matylda z nadzieją popatrzyła na elegancką fasadę, wyobrażając już sobie pokój z wygodami i wanną, ale kierowca poprowadził ich nieco w bok, do bramy niezbyt zachęcająco prezentującej się szarej kamienicy. Weszli schodami na drugie piętro, Alosza zadzwonił do drzwi. Gdy się otworzyły, szerokim gestem zaprosił wszystkich do środka. Znaleźli się w dość zwyczajnym na pierwszy rzut oka mieszkaniu. Gospodarz przedstawił się jako Fiedia. Meble miały za sobą okres świetności, fornir odłaził w wielu miejscach. W regale za szkłem dzieła Lenina sąsiadowały z Dostojewskim i Bułhakowem. Na ścianie obok wisiała makatka z powpinanymi symbolami sierpa i młota, czerwoną gwiazdą oraz medalem z Leninem, natomiast nad wersalką przybito piękną ikonę wyobrażającą

Matkę Boską.

Wrażenie Matyldy, iż znalazła się w jakimś surrealistycznym śnie, trwało w najlepsze, pogłębiając się nawet z każdą chwilą.

Po krótkim powitaniu i przyciszonej pogawędce z Waską Fiedia wyciągnął aparat i pstryknął gościom kilka zdjęć, ustawiając ich na tle białej ściany w łazience. I już go nie było.... Wrócił może po kwadransie, bez aparatu, za to z tak wypchaną reklamówką, że musiał trzymać ją oburącz, inaczej by się rozleciała. Obłe, pękate kształty, które zdradzała naprężona folia uświadomiły Matyldzie, iż zapowiadał się długi wieczór... Ani myślała protestować, dobrze wiedząc, jaki ból zadałaby słowiańskim duszom swych nowych przyjaciół. Tym bardziej że Alosza z Fiedią zatroszczyli się o właściwą atmosferę.

– Szefowo, lubisz wspominać dawne czasy? – zapytał Waśka z przekornym uśmiechem.

– Nie wiem... rzadko to robię. Pewnie najważniejsze, z kim się wspomina.

– Masz rację. Na przyjaciół, którzy poszliby za tobą w ogień, trzeba sobie zasłużyć.

– Waśka, wiem. Przez ostatnie tygodnie zyskałam takiego. Nigdy go nie zapomnę.

– Nie zapomnisz też dzisiejszego wieczoru, mogę ci to obiecać.

Uwierzyła natychmiast, gdy ujrzała scenografię biesiady. Kumple komandosa zamiast obrusa rozłożyli na stole wielką płachtę gazety. Z niedowierzaniem ujrzała, że był to numer Komsomolskiej Prawdy sprzed trzydziestu lat.

– Jeszcze mi parę zostało. – Fiedia roześmiał się, widząc zdumienie Matyldy.

– Akurat dla tak znakomitych gości.

Chłopaki biegali do kuchni, przynosząc, a to talerzyk z pokrojoną w ćwiartki cebulą, a to solone śledzie pokrojone w dzwonka, do tego kiszone ogórki, razowy chleb, plastry słoniny, musztardówki oraz dzbanek gorącej herbaty. Biesiada rozpoczęła się od tradycyjnego toastu. Waśka otworzył szeroko okno i zapalił cygaro, jego rosyjscy przyjaciele, o dziwo, nie palili. Za to Alosza wspaniale grał na gitarze, dając sygnał Waśce i Fiedzi do śpiewu. Nie dali się prosić, intonując rosyjskie pieśni, nie tylko patriotyczne. Nie minęło nawet pół godziny, kiedy u drzwi rozległ się dzwonek. Nasze paszporty są gotowe – pomyślała Matylda. Jednak to był tylko sąsiad, bynajmniej nie z pretensjami o zbyt huczną imprezę. Miał ze sobą butelkę Stolicznej i pęto kaszanki. Po chwili ktoś nowy załomotał do drzwi, przyłączając się ochoczo do imprezy. Biesiada trwała, gości przybywało. Pod wieczór stół okazał się za mały, towarzystwo wypełniło wszystkie kąty mieszkania. Dziecko na czas biesiady umieszczono w foteliku na balkonie, było ciepło, a hałasy w ogóle jej nie przeszkadzały. Mała z wielkim zainteresowaniem obserwowała widoczne z balkonu podwórko, ileż tam się działo. W rogu stała

spora drewniana buda, otoczona czymś w rodzaju drewnianych sztachetek, co wyglądało jak niekształtny kojec. Z budy wystawał białoszary łebek, bacznie przyglądający się igraszkom trzech tłuściutkich, rozkosznych szczeniąt.

Matylda była pod wrażeniem naprędce zorganizowanego przyjęcia, choć nigdy nie gustowała w podobnych imprezach. Pilnowała się jednak, by nie wypić za dużo wódki. Ktoś powinien być przecież trzeźwy. Zapowiadała się ciężka i długa noc... Na szczęście Fiedia, gdy był jeszcze w stanie, zaprowadził ją, Janusza oraz Czerwony Śnieg do pustego mieszkania na tym samym piętrze. Zapewne należało do któregoś z biesiadników. Ale przynajmniej mogli skorzystać z łazienki i przespać się na kanapie.

Kiedy rano wrócili do Fiedi, większość gości zdążyła już się ulotnić. Inni pochrapywali po kątach. Waśka już nie spał, popijał gorącą herbatę i z uśmiechem oglądał francuskie paszporty ze zdjęciami swych przyjaciół.

– Macie nowe nazwiska. Musicie się ich dobrze nauczyć.

Matylda popatrzyła na leżącego w fotelu Aloszę. Nic nie wskazywało, aby w najbliższym czasie był zdolny usiąść za kierownicą.

– Boże, kto nas zawiezie na lotnisko?

– Nie martw się szefowo. – Waśka stuknął się po kieszeni kurtki. – Mam tu kluczyki. Czuwam nad wszystkim. W końcu przecież jestem u siebie.

Dzień dwudziesty

***W którym wyjaśnia się, dlaczego najpiękniejszym kolorem oczu jest kolor szary, Pierre de Riquet okazuje się nie być wicehrabią, natomiast Wasilij udowadnia, że nigdy nie zapomina o starych przyjaciółach.***

Wasilij jak zwykle stanął na wysokości zadania, w Moskwie niemal od razu przesiedli się do samolotu Air France. Z Nowosybirsk podążali ciągle na zachód, toteż zmiana stref czasowych sprawiła, iż mieli wrażenie, że zawiesili się w czasie. Podczas lądowania we Francji, tysiące kilometrów na *Zapad*, była ta sama godzina co w Moskwie... W Nantes znaleźli się wczesnym popołudniem, o dziwo, było tam chłodniej niż na Syberii. Pisarze wyszukali małą braserie, gdzie jedząc croissants i pijąc do woli espresso, czekali na swojego komandosa, który poszedł wynająć helikopter. Nie interesowały ich szczegóły, wiedzieli, że jeszcze w Rosji zarezerwował maszynę przez internet.

– Wiesz, nasz Wasilij to najlepsze, co mogło nam się w tej całej przygodzie trafić. – Matylda poprawiła kurtkę pod główką Hong Xuě, drzemającej po uciążliwej podróży na kawiarnianym foteliku, i w dalszym ciągu wychwalała Rosjanina. – Nie ma sprawy, której nie potrafi załatwić, zorganizować, zabezpieczyć. Zginęlibyśmy bez niego.

Janusz nawet nie musiał przytakiwać, jego dziewczyna doskonale wiedziała, że i on myśli tak samo. Nie minęło wiele czasu, a ten, o którym mówili, pojawił się w drzwiach. Wychylił prawie duszkiem kawę, którą kelner właśnie postawił przed Matyldą, spytał, czy mała coś zjadła, i zameldował gotowość do dalszej podróży.

– Szefowa może już dzwonić do hrabiny i potwierdzić nasze przybycie.

– *Och, la, la, merveilleusement!* – Mme la comtesse autentycznie się ucieszyła.

Loara błyszczała w słońcu, wijąc się wśród malowniczych wiosek i miast, obojętna na twory człowieka... pyszne zamki zapatrzone w swoje odbicia w wodzie. Widoki zapierały dech w piersiach, Matylda nie wiedziała, w którą stronę patrzeć. Helikopter leciał wzdłuż rzeki, z jej biegiem, widać było nawet kajaki, z tej wysokości podobne nartnikom. Drobne połyskliwe falki, wzbudzone ruchami wiosł, pojawiały się i zaraz leniwie znikwały. Nie było wiatru, co zapewne sprzyjało kajakarzom. Nikt się nimi nie interesował, ot, kolejny hałaśliwy śmigłowiec, który zaraz odleci...

– Nie wiedziałam, że tych zamków jest tyle – dziwiła się Matylda, szturchając co chwilę Janusza. – Spójrz, to chyba Chambord. O rety!

Hong Xuě przypominała kamienny posąg. Nie wierciła się, nie rozglądała. Zupełnie nie jak dziecko. – *Honsje, look.* – Pokazywała jej palcem Matylde. – *Here. And here. And...* – mała Chincezka nie spoglądała na palec pisarki. Nie spoglądała w dół. Patrzyła jedynie przed siebie, w niebo nad ramieniem pilotującego Waśki, prawie nie mrugając i nie poruszając głową. Wyglądało to niesamowicie i niepomierzenie irytowało Matylde. – Wiem, że ona nie rozumie – mruknęła do Janusza – ale nie może bez przerwy zachowywać się jak zombie. Na takie widoki nie można nie reagować.

Helikopter odbił trochę w prawo i po kwadransie zaczął zniżać lot.

– Za chwilę lądujemy – obwieścił ich pilot. – Sprawdźcie, czy mała ma zapięte pasy.

Pisarze zachłannie wpatrywali się w dół. Za sprawą cudownej różnicy czasu, choć podróżowali już wiele godzin, była wciąż pełnia dnia, słońce mocno świeciło, chmury – jak na zawołanie – gdzieś poznikały i wszystko było doskonale widoczne. Obiekt, jaki ujrzeli pod sobą, trochę różnił się od większości zamków, nad którymi przelatywali, nie miał murów obronnych. Z wysoka widać było wieże i krużganki oraz przepiękną zieleń dookoła. Front tego wspaniałego pałacu skierowany był ku rzece, z tyłu otaczały go lasy, widać było dwie wygodne drogi rozcinające kompleks leśny.

Na dziedzińcu stało kilka postaci unoszących ręce w geście powitania.

Waśka jeszcze nie wyłączył wernik, gdy do wysiadających podbiegł Pierre, mały wicehrabia de Riquet, z nieodłącznym Bijou u boku. Małego bichona wiatr wywołany śmigłami o mało nie zdmuchnął z drogi, dzielny piesek nie dał się jednak tak łatwo pokonać i dobiegł do Matylde jednocześnie ze swoim panem. Obydwaj rzucili się na pisarkę i z niezwykłą wylewnością zaczęli ją witać, za nimi nadciągnęła dostojna *comtesse* Charlotte-Ann i jeszcze kilka osób, które hrabina kolejno przedstawiała gościom. Hong Xuě stała za Januszem, trzymając go, swoim zwyczajem, za nogawkę spodni. Pisarz już tak przyzwyczał się do małej rączki ściskającej jego dżinsy, że gdyby dziecko po prostu tylko stało obok, martwiłby się, że coś jest nie w porządku. Ale za chwilę dziewczynka, której Waśka szepnął coś do ucha, puściła nogawkę Janusza, zrobiła krok do przodu i składając rączki przed sobą ukloniła się głęboko.

– *Och la, la, que c'est beau* – zachwyciła się hrabina i przytuliła małą do piersi, zadając tym samym kłam utartym przekonaniom o tym, że rodowa arystokracja raczej nie okazuje uczuć.

O dziwo, dziewczynka zamiast rozplakać się po niespodzianym wylewie uczuć osoby bądź co bądź obcej, uśmiechnęła się szeroko i przytuliła do całkiem niehrabiowskiego swetra z golfem, w który odziana była madame Charlotte-Ann.

– No, no – Waśka zabrał małą, postawił dziewczynkę obok Janusza, gdzie było jej zwykłe miejsce... i sam wziął rumieniącą się nieco hrabinę w objęcia.



- No, no – mruknęła Matyllda – a skąd te poufałości?
- Francuzi i Rosjanie zawsze byli braćmi. – Odwrócił się do niej komandos.
- My i oni to w gruncie rzeczy, gdyby nie komunizm, jedna kultura...

Wreszcie Jean-Baptiste, który był, jak zrozumieli z trajkotania hrabiny, małżonkiem *mme la comtesse*, po wylewnych powitaniach zaprosił całą kompanię do pałacu.

Podczas kolacji goście usłyszeli historię rodziny. Obecnie panem na okolicznych włościach, hrabią de Riquet, był ich gospodarz Jean-Baptiste, urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, z hrabiny Pauliny Roxane de Riquet (żony zaginionego na wojnie Theo Sigismunda) i niemieckiego porucznika, który stacjonował w pałacu ze swą kompanią prawie rok. Leutnant swój pobyt rozpoczął od zgwałcenia Pauliny Roxane, która niestety zaszła natychmiast w ciążę. W zamku, po uzgodnieniu tego z Niemcem, postanowiono twierdzić, że dziecko zostało poczęte przez zaginionego męża Pauliny, Theo Sigismunda, jeszcze nim ruszył na wojnę. Niemiecki oficer, Ludwig von Treskow, nie licząc wstępnego gwałtu... zachował się przyzwoicie, zapewnił hrabinie opiekę podczas porodu „pogrobowca” i oddał jej nawet na wyłączny użytek dworską oficynę.

Dziecko chowało się zdrowo, rodzina szczęśliwie przeżyła niemiecką okupację. Wojna się skończyła, Niemcy opuścili pałac, nie uszkadzając go zbyt, grabiąc jednak, co się dało. Najważniejsze jednak, że nic złego nikomu się nie stało, prócz oczywiście zaginionego podczas wojny Theo Sigismunda, który do domu już nigdy nie wrócił. Jean-Baptiste ożenił się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku z Emilie Bergeron. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym urodził się Mathieu, wicehrabia de Riquet.

– To nasz Pierre nie jest jednak wicehrabią – szepnęła Matyllda Januszowi do ucha. Pisarzowi jednak było to zupełnie obojętne, a rodzinne koligacje rodziny de Riquet wydawały mu się tak skomplikowane, że nawet nie usiłował ich zapamiętać.

– Syn mieszka w Paryżu – ciągnął opowieść ich gospodarz. – Emilie, moja pierwsza żona, od dawna nie żyje. Z Charlotte-Ann pobraliśmy się w dwutysięcznym roku. Nasz Pierre ma cztery lata.

– A Bijou trzy – pisał Pierre, który, jak się okazało, pilnie słuchał rodzinnej opowieści, choć zapewne znał ją już na pamięć.

Po południu do apartamentów pisarza zapukał -Wasilij.

– Dopiero zasnęła. – Matyllda przyłożyła palec do warg, prosząc o ciszę. – Bardzo jest dzielna, dosłownie ślaniała się ze zmęczenia, ale nie chciała zostać sama...

Waśka usiadł na sofie, wyciągnął z kieszeni kurtki cygaro, ale tylko je powąchał i schował z powrotem.

– Zapalę za chwilę. Teraz przyszedłem tylko się pożegnać. Za kilka minut

odlatuję. Chcę pozłatwiać wszystko jak najprędzej, bo wszyscy wiemy, że mamy już niewiele czasu, aby wypełnić warunki umowy z Joshem. Gdzie tylko mi się uda, będę brał rachunki na twoje konto -- zwrócił się do pisarki. – Gdybym się nie odzywał, nie martwcie się. Mam do załatwienia w Nowym Jorku jeszcze jedną sprawę, poza znalezieniem rodziców Hong Xuě. Uprzedzając twoje pytania, szefowo, powiem tylko, że sprawa jest na tyle osobista, że nie mogę teraz o niej mówić. A czy opowiem w ogóle... zależy od tego, jak uda mi się ją załatwić.

– Czy ta sprawa nie jest czasem związana z jedną taką tajemniczą osobą, której oczy są szare jak morze? I niezupełnie w Nowym Jorku...? – Matylda, w stu procentach była przekonana, że wie, o co chodzi.

– Prawie tak, ale niezupełnie – tajemniczo uśmiechnął się Waśka, choć tak naprawdę ten jego uśmiech był tylko grymasem. Niezbyt wesołym.

Owszem, miał zamiar wpaść do Rzymu, przecież z Francji to rzut beretem. Tyle że nie tylko w sprawie szarych oczu, w dodatku nie był pewny, czy nie jedzie na próżno. Ale musiał spróbować. Tymczasem rodziców małej Chinki już szukał w Nowym Jorku pewien przyjaciel Wasilija. Prawdziwy przyjaciel, taki, którego się ma na dobre i na złe, nieważne, ile czasu minęło od ostatniego spotkania. Taki sam jak Alosza i Fiedia z Nowosybirsk. Taki sam jak ten, którego ujrzał w finale filmiku, który pokazała mu Matylda. Przyjaciel pojawił się na tarasie rzymskiego apartamentu chwilę po Simonecie, a po kilku sekundach już nie żył... Waśka postanowił zrobić to, co tamten w podobnych okolicznościach uczyniłby dla niego.

Czyli odszukać zabójcę.

Lecąc helikopterem do Rzymu, wspominał stare -czasy...

\*

Pod koniec listopada dwa tysiące ósmego roku Wasilij z grupą żołnierzy Legii Cudzoziemskiej oczekiwali na przerzut do jednego z państw islamskich, gdzie organizowana była bardzo poważna akcja. Długofalowa, ze względów bezpieczeństwa wymagająca okresowej wymiany kadry. Czekali na sygnał, rozmieszczeni w różnych dzielnicach Bombaju. Wasilij uważał, że trafił mu się bonus, bowiem ulokowali go w pięknym hotelu Taj Mahal Palace. Obok kwaterował Bernard Freron, podobno Francuz, ale jaka była naprawdę jego tożsamość, nie wiedział nikt, a zresztą Waśce było wszystko jedno, jakiej narodowości jest jego kolega i jak naprawdę się nazywa. Po prostu przyjaciel, tak się bowiem złożyło, że połączyło ich kilka wspólnych misji. A każda z nich zacieśniała więzy, zbliżała i umacniała wzajemne zaufanie. Gdyby tak nie było, poprzednia akcja byłaby ostatnią...

– Wiesz, *kamarad*, lubię mieszkać wysoko – mówił Wasilij. – A tu mnie wsadzili raptem na drugie piętro. Z ulicy mogę wskakiwać przez okno.

Siedzieli właśnie razem w pokoju, czekali, zabijając godziny grą w makao,

pili imbirową indyjską wódkę, co dla kogoś przyzwyczajonego do mocniejszych trunków: tequili, whisky czy rumu, nie wspominając już o czystych wódkach rosyjskich lub polskich, było niemal profanacją. Innego alkoholu nie mieli jednak pod ręką, a z powodu upału nie chciało im się wychodzić z hotelu. Zresztą w każdej chwili mogli zostać wezwani do działania.

Raptem, zupełnie niespodzianie, wokół rozpętało się piekło. Rozgrzechotały się karabiny maszynowe, eksplodowały granaty, po chwili na całego trwała kanonada, buchały kłęby dymu, szalały jęzory ognia. Słysząc było wybuchy, rozpaczliwe krzyki ludzi i gniewne wrzaski zamachowców. Obydwaj komandosi doskonale rozpoznawali każdy dźwięk, jaki docierał do ich uszu. Po huku pierwszej eksplozji rzucili się ku drzwiom, ale nagle runęła część sufitu trzeciego piętra, odcinając drogę do wyjścia. Wasilij, oszalały z obawy o kogoś, kto mieszkał na tym samym piętrze, rzucił się w stronę drzwi, za wszelką cenę chcąc je otworzyć. Zdarł paznokcie i rozkrwawił sobie końce palców, nic jednak nie wskórał. Z góry sypało się coraz więcej gruzu i połamanych mebli, niektóre płonęły, ale Wasilij jakby nie dostrzegał płomieni i z jeszcze większą zaciętością usiłował przebić się na korytarz. Bernard tymczasem wybił okno w ich pokoju, przez co pożar rozgorzał jeszcze gwałtowniej. Sekundę zabrało mu wychylenie głowy na zewnątrz budynku i ogarnięcie wzrokiem sytuacji. Wyższe piętra stały już w ogniu, z okien wyskakiwali ludzie, niektórzy płonąć! Na dole czaiły się postacie z zamaskowanymi twarzami i jak na strzelnicy walili do tych, którzy lądowali na bruku. Nie było jednak innego wyjścia, droga na korytarz była kompletnie zablokowana, a zresztą, sądząc po odgłosach, w holu było chyba bardziej niebezpiecznie niż na ulicy przed hotelem.

– Waśka! – krzyknął Bernard. – Skaczemy!

Do Rosjanina nic jednak nie docierało. W dalszym ciągu, w tłącym się już kombinezonie, usiłował przedrzeć się przez płonący zawał.

Bernard nie tracił czasu, ekstremalne sytuacje wymagają ekstremalnych reakcji. Rąbnął przyjaciela w głowę nogą od jakiegoś stołu, która zleciała z góry; nie na tyle mocno, żeby zrobić kompanowi krzywdę, chciał go przecież tylko na chwilę zamroczyć. Nieprzytomnego przerzucił sobie przez lewe ramię i skoczył w kierunku okna. Przewinął się przez parapet i razem spleceni wylecieli na zewnątrz. Impet uderzenia o ziemię przyjął na siebie Bernard, lądując jak spadochroniarz i upadając na prawy bok. Uderzenie przywróciło przytomność Wasilijowi. Bernard znalazł się na górze, i to on dostał pierwszą serią z erkaemu. Waśka, nim znów stracił przytomność, poczuł dwa trafienia w udo i jedno w okolicę lewego ramienia.

Rosjanin ocknął się w szpitalu, opatrzony, z zapewnieniem, że przeżyje i że wszystkie pociski zostały z niego wyjęte. Żaden szczęśliwie nie uszkodził istotnego do życia organu.

– Miałeś szczęście, chłopie, że byłeś pod tym drugim. Na niego spadł najgorszy ogień – oświecił go zawinięty jak mumia w bandażu towarzysza niedoli, leżący na sąsiednim szpitalnym łóżku. – Żyje, żyje, nie ruszaj się – dodał szybko, widząc, że ciężko ranny Rosjanin chce zerwać się na równe nogi. – Przed chwilą był tu lekarz, on nam wszystko opowiedział. Twój kumpel przeszedł już operację, wyjęto mu kule i zszyto płuco. Też miał szczęście. Musi dłużej poleżeć, ale jeśli nie wda się jakieś zakażenie, wyjdzie z tego. Pewnie do służby już nie wróci...

– *Szto praisaszło?! – Głośno myślał Waśka w rodzimym języku.*

Zapytany zrozumiał.

Otóż Bombajem wstrząsnęła seria ataków terrorystycznych. Termin i miejsce zamachów wybrano nieprzypadkowo. Przypadał on bowiem w przeddzień Święta Dziękczynienia, co gwarantowało obecność znaczącej liczby turystów amerykańskich w najdroższych hotelach w mieście. W tym czasie w hotelu Taj Mahal Palace mieszkali przedstawiciele Parlamentu Europejskiego.

Wszyscy zamachowcy byli bardzo dobrze wyszkoleni i zdeterminowani, akcja musiała być planowana od dłuższego czasu i świetnie przygotowana. W sumie zginęło przeszło osiemdziesiąt osób, a ponad trzysta -zostało rannych.

Wasilij zrozumiał, że Bernard uratował mu życie, może niepotrzebnie... Musiał wiedzieć, co z tą, bez której nie miał po co żyć...

Nathalie Lemaire, francuska dziennikarka, od dwóch lat była kimś więcej, niż tylko bliską znajomą. Spotykali się tak często, jak mogli, a ona, jako wolny strzelec, starała się tak dobierać tematy reportaży, by znaleźć się w jego pobliżu. Teraz Nathalie miała jakąś robotkę podczas obchodów Dnia Dziękczynienia, ważną z uwagi na obecność posłów Parlamentu Europejskiego. Spędzili trzy wspaniałe dni. Oraz noce. Mężczyzna i kobieta. I Wasilij dowiedział się o czymś, czego absolutnie się nie spodziewał, co było zbyt piękne...

Nathalie była w ciąży.

Musiał się to stać w Chinach, podczas Olimpiady, ten czas spędzili tam służbowo, ale przecież mieli okazję się spotkać, zatracić się... Takie było ich życie, od przypadku do przypadku. Teraz stało się coś, co miało diametralnie je zmienić. Dla Nathalie nie był to problem, Waśka miał wątpliwości, czy zwolnią go ze służby, lub czy przynajmniej przeniosą za biurko, by koordynował innych... Ale na załatwienie tego miał czas. Teraz był po prostu szczęśliwy, najbardziej na świecie! Oto ten wieczny tułacz, właściwie życiowy rozbitek, miał znaleźć przystań. I raptem wszystko przysło jak bańka mydlana.

Dowiedział się, że Nathalie została zapędzona wraz z innymi gośćmi hotelu do sali bankietowej. Tam ustawili wszystkich pod ścianą i rozstrzelali serią z kałasza.

Po wyjściu ze szpitala Waśka jeszcze łudził się, szukał miejsca pochówku Nathalie, mając nadzieję, że może jednak ocalała z pogromu, że świadkowie się

pomylili... Nadaremnie. Jej ciało wróciło do Francji i spoczęło na małym cmentarzyku w rodzinnym miasteczku. Wciąż nie mógł pogodzić się z tym, że po świecie nie będzie chodziła mała dziewczynka o zielonych oczach i jasnych włoskach. Na krótko przed przyjazdem do Bombaju Nathalie zrobiła sobie USG. Wykazało, że będzie miała... będą mieli córeczkę. Chcieli jej dać na imię Olga.

Waśka zgłaszał się do wszystkich akcji skierowanych przeciw dżihadystom. Przełożeni znali jego motywację, ale to im nie przeszkadzało. Legia Cudzoziemska to nie sanatorium. Jedni szukają w niej ucieczki przed prawem, inni wrażeń, a niektórzy zapomnienia i śmierci... Latał z Anglikami i Holendrami, stabilizował Irak, brał udział w misjach prowadzonych przez Niemcy, USA, Francję, walczył w Katalonii i nawet w Arabii Saudyjskiej. Czas mijał, jego rany w sercu trochę się zasklepiły, a chęć zemsty przygasła. Wystąpił ze służby, ale nie umiał odnaleźć się w normalnym świecie. Wyglądało, jakby szukał śmierci, o której można by powiedzieć: przypadkowa. Zaczął zdobywać ośmiotysięczniki, rozpoczynając od Makalu, potem Nanga Parbat, a następnie wszedł zimną na Annapurnę. Gdy zdobył -Mount Everest, uznał że niższe góry już go nie interesują. -Został przewodnikiem, przeprowadzał zblazowanych milionerów przez dżungle, pustynie i tajgę syberyjską.

Nie zabierał nikogo na polowania inne niż fotograficzne. Zwierzęta nie zabijały dla zysku ani dla kaprysu... tak jak szanował prawa natury, kiepskie zdanie miał o ludziach. Czasami przyjmował nietypowe zlecenia, bywał prywatnym ochroniarzem, przewoził bardzo podejrzane pakunki, nie interesując się ich zawartością. Kiedyś przez dwa tygodnie był opiekunem syna maharadży, który chciał, aby chłopak poznał... inny świat. Waśka zawiózł go do Rosji i tej wyprawy mały książę długo nie zapomniął.

Tak, robił wiele rzeczy. Pieniądzy miał więcej, niż był w stanie wydać, zresztą rzeczy materialne go nie interesowały. Ot, kupował jedynie to, co było mu potrzebne. Samolotem, statkiem, samochodem, konno, maszerując po bezdrożach.... Byle w ruchu, byle coś się działo. Byle nie siedzieć i nie myśleć. Czas jednak leczy rany, stara to prawda i się sprawdza. A więc i Waśka przestał myśleć o dziewczynie, którą ustawiono pod ścianą... przestał myśleć jak kule rozdierają jej ciało... Rysy twarzy Nathalie powoli zacierały się w jego pamięci. Tylko czasami jeszcze śniły mu się jej szare oczy.

I nagle zrządem losu, oto poznał kogoś kto patrzył jak Nathalie...

Zdarzyło się to w Rzymie. Ta kobieta nie była Nathalie. Była inna... Tylko oczy miały takie same. Ale w jej twarzy, w sylwetce było coś, co przykuło uwagę komandosa. Może troszeczkę zadarty nos? A może kilka piegów wokół niego? Sposób, w jaki odgarnia włosy? Helena była pierwszą kobietą, która – od tamtej pamiętnej chwili dwa tysiące ósmego roku – przykuła na dłużej spojrzenie komandosa. Miewał kobiety, oczywiście. Ale były to znajomości przypadkowe,

przelotne, mało ważne. Z każdą spotykał się raz, najwyżej dwa razy. Sam nie był zadowolony z takiego stanu rzeczy. Czasami myślał o stabilizacji, choć nie był przekonany, czy ta go nie zabije. Na pewno nie związałyby się z tak zwaną normalną kobietą. Ale z taką, która była Anitą w Fontannie di Trevi...

Kto wie?

\*

Amerykański przyjaciel Waśki od pięciu lat mieszkał w Nowym Jorku, pracując tam jako prywatny detektyw. Bardzo dobry, z wieloletnią praktyką, masą znajomości i powiązań. Szukał dla Wasilija rodziców dziewczynki i właśnie powiadomił go, że chyba odniósł sukces.

Waśka miał jednak jeszcze jedną sprawę do załatwienia przed udaniem się do Nowego Jorku. Otóż na filmiku, pokazanym im przez Matyldę na pokładzie Bombardiera Global 5000, gdy wystartowali z Enfidha-Hammamet w stronę Pekinu, Wasilij ze zdumieniem ujrzał ostatnie chwile życia Bernarda Frerona. Starego przyjaciela, który uratował mu życie w Bombaju. Ich drogi rozeszły się niedługo po zamachu. Rosjanin uciekał wtedy od ludzi, szczególnie tych, którzy przywodzili na myśl wspomnienia najgorszego dnia w jego życiu. Myślał nawet niekiedy, że wolałby zginąć razem z Nathalie... I gdy ujrzał śmierć przyjaciela na ekranie, jego pierwszą myślą było: dlaczego ty, a nie ja? No i przyrzekł sobie, że tę śmierć wyjaśni i pomści. Jest mu to winny. Jeszcze wiele razy obejrzał nagranie. Dedukował, że kluczem do rozwiązania sprawy była Simonetta. Musiała wiedzieć, co się stało, przed kim uciekała... i powie mu to.

Czy tego chce, czy nie.

Teraz jednak, gdy był tak blisko Rzymu, postanowił, że musi raz jeszcze przyjrzeć się drugiej parze szarych oczu, jaka pojawiła się w jego życiu. Być może nic z tego więcej nie wyniknie, skończy się, zanim na dobre zacznie. Ale trudno liczyć na cokolwiek, jeśli nie wyśle się czytelnego sygnału. Najwyżej odejdzie, jak tyle razy wcześniej...

Helena wyszła z pracy, rozprostowując ramiona. Osiem godzin siedzenia przy pocztowym okienku dawało jej w kość. Właściwie jej kręgosłupowi. W budynku było dość chłodno, cały czas działała klimatyzacja. Teraz na dziewczynę buchnął gorący powiew dusznego powietrza przesyconego zapachem spalin. Tak, nad Rzymem coraz częściej wisiła wielka czapa smogu. Władze walczyły wszelkimi siłami z zanieczyszczeniem powietrza, nawet redukując o połowę ruch uliczny, wymiennie dopuszczając pojazdy z numerami parzystymi i nieparzystymi. Prasa krytykowała to rozporządzenie, podkreślając, że kierowcy i tak je lekceważą. Jednak stopień skażenia powietrza jest wyjątkowo wysoki

i groźny dla zdrowia. Sytuację pogarsza bezwietrzność i brak opadów deszczu.

Nie wiadomo dlaczego, dziewczynie przypomniła się niedawna kąpiel w di Trevi. Jednak gdy spojrzała przed siebie, rozumiała siłę oddziaływania podświadomości. Po drugiej stronie ulicy stał niedbale oparty o uliczną latarnię ten, który już kilka razy śnił jej się po nocach. Choć częściej widziała go oczyma wyobraźni, kiedy długo nie mogła zasnąć... Jak zwykle w znoszonej, powycieranej skórzanej kurtce, mimo panującego upału. Z wojskowym plecakiem zarzuconym na ramię. Ogorzały, uśmiechnięty, wpatrywał się w nią tymi swoimi świdrującymi oczami.

Skoczyła ku niemu przez ulicę, jakby nikogo więcej nie było na świecie, jakby Wasilij mógł rozplynać się wśród przechodniów. Jakoś nic jej nie przejechało, natomiast po chwili groziło jej uduszenie w mocnych ramionach mężczyzny, którego prawie wcale nie знаła... I sądziła, że nie pozna.

– *Skuczal za taboj...* – wyszeptał Waśka. – *Kak nikagda rańsze.*

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wskazała swego białego fiacika i po chwili byli już w jej mieszkaniu. Może i nie było to najmądrzejsze. Ale robiła już w życiu znacznie głupsze rzeczy.

Tyle że Helena nie zdążyła nacieszyć się jego słowami i niespodziewaną wizytą. Nie zdążyła porządnie przytulić się do szerokiej piersi Rosjanina, bowiem po kilku miłych, naprawdę miłych chwilach, Waśka wstał, podniósł dziewczynę z łóżka, oparł o ścianę i popatrzył jej głęboko w oczy.

– *Ty ždi mienia, miłoczka. Ja wiernus.* – Mówił po rosyjsku, jak to miał w zwyczaju, kiedy był czymś poruszony. – *Nie znaju, kagda, no wiernus.*

Pocałował ją i wyszedł z mieszkania. Wyglądało to prawie tak, jakby uciekał.

Helena znalazła w telefonie numer Matyldy i zawahała się... Wreszcie odłożyła aparat i popatrzyła w okno. Kazał czekać i obiecał, że wróci. Tylko po to przyjechał, więc musiało to być dla niego ważne.

Cóż, nie miała innego wyjścia. Będzie czekać!

Wasilij bez problemu zdobył adres Simonetty. Zagrał dosyć bezczelnie, przedstawiając się recepcjoniście hotelu jako reporter Times'a, który zamierza opisać niedawne dramatyczne wypadki, więc potrzebuje pewnych informacji, i oczywiście nie wyjawi ich źródła. Dwieście dolarów rozwiązało jego rozmówcy język, a za pięćset zobowiązał się ustalić miejsce zamieszkania Simonetty.

Waśka, czekając na koniec zmiany recepcjonisty, spędził czas w kawiarence internetowej na rozmowie telefonicznej ze znajomym hakerem mieszkającym w Rosji. Jego kumpel należał do najlepszych w branży, choć nie był powszechnie znany w środowisku sieciowych magików. Wydobył dla komandosa z serwerów

włoskiej policji dane o toczącym się śledztwie. Za pomocą wyjętego ze zwłok pocisku zidentyfikowano broń zabójcy. Stworzono dossier ze zdjęciami osób branych pod uwagę jako potencjalni sprawcy. Był wśród nich Janusz oraz on sam. Ale komandos prędko się zorientował, że policja w pierwszej kolejności zainteresowała się gościem z apartamentu, przez który uciekła Simonetta. Wyglądało na to, iż był to strzał w dziesiątkę. Carlo d'Alvini od lat znajdował się w kręgu zainteresowań policji narkotykowej. Tyle że śledczy dysponowali jedynie poszlakami, bez jednego choćby twardego dowodu. D'Alvini obsługiwał jedynie zamożnych klientów, którzy nigdy nie zdecydowaliby się zeznawać przeciwko niemu. W dniu morderstwa po prostu wymeldował się z hotelu i odtąd nie pojawił się w żadnym znanym policji miejscu. Zwłoki dawnego przyjaciela Waški odnaleziono parę godzin później.

Komandos spotkał się w umówionej pizzerii z recepcjonistą. Simonetta naprawdę miała na imię Alfreda, ale nie znał go nawet personel, niespecjalnie się z kimś z załogi hotelu przyjaźniła.

– Wiesz, to zabawne. – Młodzieniec zaśmiał się, przyjmując od Waški umówioną gratyfikację. – Już jeden reporter o nią pytał mojego kumpla.

– Jak wyglądał?

– Kumpel już go gdzieś widział, może hotelowy gość, ale kto by ich spamiętał... ciemne okulary i kapelusz. Wielki facet. Niemłody, ale chyba farbuje włosy.

Carlo d'Alvini.

Zbliżała się północ, kiedy komandos wysiadł z taksówki jedną przecnicę od domu Simonetty. Resztę drogi pokonał piechotą...



Kilka dni wcześniej

Simonetta

...

Simonetta doskonale wiedziała, że grunt pali się jej pod nogami. Nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, że jej życie wisi na włosku. Ale nie miała wyjścia, gdyby bez szemrania wykonała polecenia szefa hotelowej ochrony, jej sytuacja nie byłaby lepsza. On zwinąłby po prostu pieniądze współnika, a ją uczynił kozłem ofiarnym, pozwalając by dopadł ją handlarz śmiercią albo w najlepszym razie policja.

Tam w hotelu wydawało się jej, że wpadła na genialny pomysł, dzwoniąc do mafiosa z jego własnego apartamentu. Mój wróg jest twoim wrogiem. Liczyła, że gdy mężczyźni będą zajęci wyjaśnianiem sobie sytuacji, ona zejdzie im z oczu i ulotni się po cichu, jakby nigdy jej tam nie było. Nie zakładała, iż stanie się świadkiem morderstwa, myślała jedynie o ratowaniu własnej skóry. Wieczorem w swym wynajętym pokoiku na przedmieściach Rzymu z narastającą paniką oglądała dziennikarskie relacje z wydarzeń, których była czynnym uczestnikiem. A nawet po części je sprowokowała... Dziennikarze prześcigali się w wymyślaniu coraz to bardziej sensacyjnych wersji wydarzeń. Policja prędko dotarła do sławetnego filmiku z wyczynami Simonetty, zakończonego sceną zabójstwa na tarasie i ucieczką... Matyldy! W rezultacie Polaków szukał Interpol, a tożsamości zabójcy wciąż nie ustalono. Nikt go nie widział, nie znaleziono broni, z której padły strzały, snuto coraz bardziej fantastyczne scenariusze.

Prawdziwy przebieg wypadków znała jedynie Simonetta. Oraz mężczyzna, któremu ukradła jego brudną forszę... Powinna zgłosić się na policję, wyjaśnić wszystko i uczciwie oddać pieniądze, ale... czasem najlepszym wyjściem jest nierobienie niczego. Z pewnością Matylda zostanie prędko odnaleziona i łatwo udowodni, że wcale nie było jej wtedy w hotelu. Złapią mordercę, a ona sama, kiedy wreszcie do niej dotrą... nie piśnie słówka o zabranych z sejfu pieniądzach.

Simonetta czuła, że jej plan ma pewne luki, jednak postanowiła grać na zwłokę. Po tym, czego była świadkiem, miała prawo do pewnej... pomroczości jasnej, była w szoku, postępowała nieco nieracjonalnie, a nawet trochę wbrew prawu. Zawsze się wytłumaczy. Bardzo sprytnie postąpiła, wybierając drogę ucieczki przez apartament handlarza narkotykami. Policja musi zajrzeć tam w pierwszej kolejności i sprawdzić, kto go wynajmował. Na pewno mają faceta

w kartotekach, a jeśli dotąd nie mogli niczego mu udowodnić... Prędko dodadzą dwa do dwóch i przyskrzynią bandziora za zabójstwo. Nie była im do niczego potrzebna, gdyż przebieg całego zajścia mieli na filmie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powie, że widoczna na nim kobieta brała udział w morderstwie.

Simonetta wiedziała, że powinna się sama zgłosić i że prawdopodobnie policjanci w końcu ją znajdą, postanowiła jednak odwlekać konfrontację ze stróżami prawa, jak długo się tylko da. Pomroczność jasna po doznanym rzekomo szoku była doskonałą wymówką. A ukradzione bandycie pieniądze zapewniały przepustkę i zarazem bilet do życia, o jakim zawsze marzyła. Nie zamierzała pozwolić go sobie odebrać. Poczekaj więc, aż wszystko wyjaśni się bez jej udziału. Kiedy złapią drania i ustalą dokładny przebieg wypadków, jej osoba zejdzie na plan dalszy. Może nawet sama się zgłosi, złoży krótkie zeznania, potwierdzające to, co policja i tak już będzie wiedziała, po czym zrobi dobry użytek z pieniędzy. Zdobytych, bądź co bądź, z narażeniem życia...

Dzwonek telefonu sprawił, że aż podskoczyła, rozlewając trochę wina, którym raczyła się w zaciszu swego pokoiku. Zbliżała się dwudziesta druga. Złapała aparat, wyświetlający się numer nic jej nie mówił.

– Halo, słucham? – Simonetcie wydawało się, że po drugiej stronie słyszy przytłumiony oddech, ale nic ponadto. Nie wiedzieć czemu, zrobiło się jej zimno, a serce zaczęło trzepotać niczym ptak w klatce. – Kto dzwoni? – spytała ochryplym głosem, niemal pewna, że nie otrzyma odpowiedzi.

Panowała cisza, choć połączenie nie zostało przerwane. Nerwowym ruchem wyłączyła telefon, poderwała się z tapczanu i zaczęła wrzucać do płóciennego plecaka swoje rzeczy z szafy. Nie było tego wiele, więc prędko zapakowała prawie wszystko, zostawiając bez większego żalu kilka rzadziej używanych ciuchów oraz osobistych drobiazgów. Nie była szczególnie sentymentalna, a teraz miała za co kupić sobie lepsze. Zbiegła na dół i podążyła przed siebie słabo oświetloną wąską uliczką. Po paru minutach dotarła do skrzyżowania i machnęła ręką na przejeżdżającą taksówkę. Była wolna. Nim wsiadła, wrzuciła telefon do przepelnionego kosza na śmieci.

– *Aeroporto Leonardo da Vinci, prego* – rzuciła, sadowiac się na tylnej kanapie.

– *Sì, signora.*

Taksówkarz kluczył przez kilka minut sobie tylko znanymi skrótami, by wreszcie wyjechać na autostradę łączącą Rzym z lotniskiem. Zerknął raz i drugi we wsteczne lusterko na pasażerkę. Miała rozwiane włosy, luźna bluzka odsłaniała jedno ramię.

– Robię ostatni kurs. Właściwie jechałem już do domu, ale kto by się nie zatrzymał dla tak pięknej kobiety – zagadnął tonem konesera. – Signora wybiera się na wakacje?

– Nie, na pogrzeb – warknęła, gasząc błakający się na ustach kierowcy zaczepny uśmiezek.

Samochód przyspieszył, jakby taksówkarz chciał jak najprędzej pozbyć się tej dziwnej, nieskorej do niezobowiązującej przecież rozmowy, pasażerki. W każdym razie o żadnym flircie nie było mowy, toteż nie odezwał się już do końca trasy. Nie minęło pół godziny, gdy Simonetta wysiadła przed lotniskiem imienia Leonardo da Vinci. W hali odlotów znalazła okienko informacji. Urzędnik w białej koszuli i krawacie popatrzył na nią pytająco.

– Jakie jest najlepsze połączenie z... – zająknęła się. W taksówce rozmyślała mgliście o słońcu, palmach i błękicie oceanu, ale teraz nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. – Może jest jakieś miejsce na najbliższy lot gdzieś w tropiki?

– To mało precyzyjna destynacja... – mężczyzna popatrzył podejrzliwie, czy dziewczyna z płóciennym plecakiem nie stroi sobie żartów. – Ma pani coś konkretnego na myśli?

– Wystarczy jak będzie egzotycznie, daleko i będzie tam plaża – lekko się uśmiechnęła, po czym przybrała melancholijny wyraz twarzy. – Właśnie straciłam pracę, mieszkanie i narzeczonego. Nic mnie tu nie trzyma.

Urzędnik przesunął wzrokiem po jej niestarannie ułożonych włosach, dostrzegł na twarzy dziewczyny ślady napięcia i zmęczenia. Najwyraźniej nie stroiła sobie żartów. Wyglądała, jakby naprawdę potrzebowała zmiany otoczenia. Przez chwilę spoglądał w ekran komputera, szukał...

– Jest jedno miejsce do Madrytu, wylot za półtorej godziny... Potem mogłaby pani złapać lot na Dominikanę, zostały trzy bilety... Słyszałem, że w Santo Domingo można się łatwo dostać na statek wycieczkowy, który opływa okoliczne wyspy. Sam bym poleciał na Karaiby.

– To czemu pan tego nie zrobi?

– Bo... – wzruszył ramionami, uciekając wzrokiem – nie mam z kim.

– To tak jak ja, a przecież lecę.

– Nie stać mnie na taką podróż. Wystarczyłoby mi co najwyżej na bilet w jedną stronę.

– Gdybyś naprawdę chciał tam polecieć, zrobiłbyś to – powiedziała cicho, jakby do siebie. Potem już dodała normalnym głosem: – Zdecydowałam się na te Karaiby. Mogę prosić o dokładne połączenia i przesiadki?

Zaczął pisać w bloczku z odrywanymi kartkami. Simonetta zwróciła uwagę, że urzędnik wyglądał młodo, miał jasne włosy i cerę, jakby w jego żyłach krążyła domieszka skandynawskiej krwi. Przeczytała imię umieszczone na plakietce.

– Enzo, zafunduję ci bilet, chcesz?

– Bez żartów.

– Mówię poważnie.

– Ale nie dadzą mi wolnego. Zresztą, nie mogę tak nagle... – Rozejrzył się niewidzącym wzrokiem i raptem przybrał oficjalną minę. Wydarł kartkę z bloczka.  
– Tu ma pani połączenia, proszę pośpieszyć się, bo odprawa już się zaczęła.

Simonetta zarzuciła na ramię plecak i ruszyła w kierunku kas. Po kilkunastu krokach obejrzała się tak nagle, że Enzo nie zdążył odwrócić wzroku. Przez moment wydawało się jej, że urzędnik zerwie się, wybiegnie ze szklanego boksu i ją dogoni. A przynajmniej zawoła, żeby zaczekała. Jednak nie zrobił tego. Do okienka zbliżyła się jakaś zasapana kobieta, pytając o coś gorączkowo.

Lot hiszpańskimi liniami Air Europa nie zajął nawet trzech godzin. Tyle samo Simonetta czekała na madryckim lotnisku Barajas. W samolocie na Dominikanę spędziła osiem godzin. Różnica czasu sprawiła, że na lotnisku La Isabela w Santo Domingo znalazła się wczesnym rankiem. Zbliżając się w dużej grupie turystów, z którymi przyleciała, do bramek odprawy celnej, Simonetta zrozumiała nagle, że w pośpiechu popełniła kardynalny błąd, trzymając wszystkie pieniądze w plecaku. Suma wielokrotnie przekraczała kwotę, jaką bez deklaracji wolno wywozić z Włoch oraz przywozić na Dominikanę. Na szczęście jej obawy okazały się płonne, kontrola graniczna była pobeżna i żaden celnik nie zainteresował się dziewczyną z plecakiem.

Mimo wczesnej pory przed terminalem lotniska panowało spore zamieszanie. Grupki nawołujących się wzajemnie przybyszów zmierzały do oczekujących busów, kierowcy i przedstawiciele miejscowej branży turystycznej usiłowali namawiać na skorzystanie ze swych usług. Simonetta rozglądała się właśnie za jakąś taksówką, która zabrałaby ją do portu, kiedy poczuła lekkie szarpnięcie za plecak. Chłopak o śniadej cerze, wyglądający jej zdaniem najwyżej na siedemnaście lat, zachęcał słabą angielszczyzną do skorzystania z oferty podwiezienia, gdzie tylko pani sobie zażyczy. Jąkał się przy tym trochę, jakby był onieśmielony albo zdawał sobie sprawę, że w wypłowiałej koszuli i znoszonych sandałach wygląda zbyt nędznie, aby skusić do skorzystania ze swych usług. Zresztą natychmiast odepchnął go grubas w krzykliwej koszuli ze złotym łańcuchem na szyi, zalewając dziewczynę potokiem wymowy i wskazując wysłużonego, lecz za to wypucowanego do połysku Forda Capri.

Simonetta przytrzymała za ramię oddalającego się już chłopaka, ostentacyjnie ignorując natrętnego grubasa, mrugnęła zachęcająco i po włosku kazała prowadzić się do pojazdu. Chłopak zrozumiał i popędził do wozu, co rusz oglądając się, jakby w obawie, że ktoś odbierze mu tak niespodziewanie zdobytą klientkę. Zapewne również żywił obawę, iż jego środek transportu nie przypadnie jej do gustu. Widać to było po nim, gdy zatrzymał się wreszcie obok samochodu z licznymi wgnieceniami na karoserii, w dodatku bez dachu, wyglądającego na starszego od swego właściciela. Simonetta była zmęczona podróżą, nie opuszczało jej poczucie, że wszystko jest jakimś narkotycznym snem, z którego nie może się

obudzić, więc nie stroiła fochów. Przyjęła do wiadomości, że chłopak ma na imię Cecilio, następnie poprosiła, aby zawiózł ją do portu i wskazał statek płynący na jakąś pobliską wyspę. Kiedy skończyła, uświadomiła sobie, iż uparcie mówi po włosku, jednak jej towarzysz tylko energicznie kiwał głową, zachęcając ją do zajęcia miejsca w swym wehikule. Uczyniła tak, sama ciekawa, co z tego wszystkiego wyniknie.

Wóz Cecilia okazał się szybszy, niż na to wyglądał. Dziewczyna siedziała obok chłopaka, czując wiatr we włosach i ciesząc oczy nowymi widokami. Jednak minął kwadrans, a nic nie wskazywało, aby zbliżali się do portu. Pół godziny później zaczęła zadawać na przemian po włosku i po angielsku pytania o cel podróży, przekrzykując warkot silnika, lecz w odpowiedzi padały jakieś hiszpańskie słowa, z których najczęściej powtarzało się: „Isla Catalina”. Jechali drogą wzdłuż wybrzeża, toteż Simonetta uznała, że chłopak wie, co robi, wioząc ją na cumujący gdzieś dalej statek. Niemal zgadła.

Samochód zatrzymał się w końcu nieopodal zatoczki z pomostem i przycumowanymi do niego łódkami. Ta, wskazywana z entuzjazmem przez Cecilia, była chyba najmniej budząca zaufanie. Zwykła płaskodenna łajba z dwiema ławeczkami oraz doczepionym z tyłu silnikiem. Simonetta weszła do środka, tłumacząc sobie, że skoro zajechała tak daleko, to nie sprawi zawodu chłopakowi, który dla niej tak się stara, i wytrwa jeszcze trochę. Silnik zakaszał, ale jednak zapalił. Łódka skierowała się w stronę otwartego morza. Dziewczyna wytrzymała pięć minut, nim sytuacja zupełnie przestała się jej podobać. I wtedy na horyzoncie ujrzała zarys -pokrytego zielenią lądu, a Cecilio zwołał radośnie:

– Isla Catalina!

Po dziesięciu minutach wylądowali na plaży niewielkiej karaibskiej wysepki. Wśród palm stały tam parterowe domki kryte palmowymi liśćmi. We wskazanym przez jej przewodnika stało proste łóżko i stolik. Spytała chłopaka o cenę, ten, jaskając się trochę, wymienił kwotę. Nie próbowała się targować, czym wprawiła go w jeszcze większe zakłopotanie. Z mieszaniny hiszpańskich i angielskich zwrotów zrozumiała, że zobowiązał się co rano przynieść jej coś do jedzenia, gdyby nie zamierzała stołować się w barze, znajdującym się w centralnej części wyspy. Podziękowała, klepiąc go przyjacielsko w plecy, i wreszcie została sama. Usiadła na łóżku i odetchnęła głęboko.

W ciągu następnych dni zwiedziła wysepkę, która choć maleńka, miała wiele do odkrycia. Była tam rojąca się od turystów plaża, pełna śmieci i zdezelowanych leżaków, ale na nią Simonetta zadrżała tylko raz. Bo wystarczyło odejść kawałek od jej domku, aby trafić na kompletnie pusty brzeg, z prawie białym piaskiem i szumiącymi palmami. Błękitu wody nie dawało się wprost opisać. Za to od strony pełnego morza piętrzyły się skały, na których spędzała długie godziny, ciesząc się przestrzenią, słońcem i rozwiewającym włosy wiatrem.

Z wolna docierało do niej, że zrobiła coś, o czym zawsze marzyła. Nikomu nie pokazywała dokumentów, nie miała telefonu ani komputera. Była wolna i zupełnie bezpieczna.

Dzień dwudziesty pierwszy

***W którym Wasilij robi, co musi...***

Wasilij skradał się w ciemnościach po trzeszczących schodach domu, w którym mieszkała Simonetta. Właśnie minęła północ. Na drugim piętrze za pomocą latarki w telefonie odszukał właściwe drzwi, po czym zapukał kilkakrotnie. Nikt nie odpowiedział, żadnych śladów życia. Otwarcie pospolitego zamka wytrychem nie trwało nawet minuty. Zapalił światło i rozejrzał się po skromnie umeblowanym pokoju. Obok łóżka na parapecie stała butelka i kieliszek na smukłej nóżce. Komandos zajrzał do szafy. Była prawie pusta, nie licząc jesienno płaszcza i kilku rzuconych bezładnie drobiazgów. Stało tam też pudełko pełne pocztówek, jakichś folderów, reklamowych breloczków i zdjęć z wakacji. W łazience zobaczył trochę kosmetyków, jednak brakowało szczoteczki do zębów... Wrócił do pokoju i powąchał kieliszek z resztką wina. Było zwietrzałe, w środku pływała martwa mucha. Rozmyślał chwilę nad tym, co zobaczył, po czym zgasił światło i wyszedł na korytarz. Zszedł na dół i zapalił światło na kłace schodowej. Na tablicy informacyjnej znalazł numer mieszkania zarządcy kamienicy. Zza jego drzwi dobiegały dźwięki włączonego telewizora. Waśka przycisnęła dzwonek.

– Czego mi tu? – zapytał gderliwie mężczyzna w samym tylko podkoszulku, z wąsikami przypominającym przyklejoną pod nosem sznurówkę. – Ile razy mówiłem, że nie będę łaził po nocy do pijanych lokatorów? Jak awantura, to po *carabinieri* dzwonić!

– Nie mieszkam tu. Przyjechałem z daleka do...

– I co z tego?! – warknął zarządca i zaklął w niewyszukanym stylu. Czuć było od niego alkohol. – To nie hotel!

Wściekłe wrzaski Włocha mogły w każdej chwili ściągnąć uwagę innych lokatorów. Wasilij wyciągnął rękę, popchnął mężczyznę i wszedł do mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

– Mam ważną sprawę i nie odejdę, póki jej nie załatwię. *Capito?*

Komandos patrzył z góry na swego rozmówcę. Kiedy chciał, jego twarz potrafiła przybrać naprawdę nieprzyjemny wyraz. Zarządca w lot pojął, że bezpieczniej będzie nie zadzierać z przybyszem.

– Ale o co właściwie panu chodzi?

– Szukam Simonetty, mieszka pod szesnastką. Nie ma jej tam, nie odbiera telefonu, a nie wspominała nic, że wyjeżdża. Coś panu wiadomo, gdzie może się

podziewać?

- A, ta... – wyglądało, że zarządca chciał coś dodać, ale ugryzł się w język.
- Czysz opłacony, więcej mnie nie obchodzi. A pan, to kto właściwie?
  - Przyjechałem z Neapolu. Jestem jej kuzynem.
  - Następnym?
  - Jak to?
  - Pytał już o nią jeden... też kuzyn.
  - O co konkretnie pytał?

Włoch nie kwapił się z odpowiedzią. Cofnął się o krok z wyrazem przestachu na twarzy, kiedy Waśka sięgnął dłonią pod kurtkę, lecz odetchnął, widząc, że gość wyjął tylko portfel. Na widok tkwiącego w przegródce pliku banknotów obliznął usta.

– Przyszedł jakiś tydzień temu, też wieczorem. Chciał wiedzieć, czy nie zostawiła adresu albo jakiejś wiadomości. W ogóle dużo pytał. O znajomych, gdzie chodzi, kiedy ma wolne, czy ma w Rzymie krewnych. A co ja mu mogłem powiedzieć, jeśli ledwie ją widywałem?

Komandosowi szybciej zabiło serce. Ani dziennikarze, ani policja nie mogli pytać o Simonettę, ponieważ nie mieli powodu przypuszczać, że to nie Matylda przebywała na tarasie, kiedy dokonano zabójstwa. Dziewczyna miała przecież osłoniętą twarz rondem kapelusza...

– Na koniec zostawił numer telefonu, żebyś go powiadomił, gdyby dziewczyna się pojawiła?

- Skąd pan wie?
- Zgadłem.
- No prawda. Ale nie pokazała się do tej pory – oświadczył zarządca z wyraźnym rozczerwaniem w głosie. Widocznie informacja miała mu się nieźle opłacić.

- Więc zadzwonisz teraz i powiesz, że przyjechała.
- Ale przecież jej nie ma.
- Zawsze się mogłeś pomylić... – Wasilij wyjął z portfela dwa banknoty studolarowe i pomachał Włochowi przed nosem. – No, dzwoń.
- On mi obiecał pięćset!

Rosjanin wyczuwał kłamstwo, ale bez słowa uzupełnił kwotę. Wolał, żeby jego rozmówca przyjął gratyfikację i niczego nie kombinował, grając na dwa fronty. Włoch prędko schował pieniądze, po czym wybrał zapisany na jakimś świstku numer. Ktoś odebrał dopiero po dłuższej chwili, by dowiedzieć się, że pewna dziewczyna... wie chyba która... jest teraz u siebie. Po drugiej stronie padło jedynie polecenie, żeby zarządca uważał, czy dziewczyna nie wychodzi. Jeśli tak, ma ją zatrzymać pod byle pretekstem. Bardzo mu się to opłaci.

Waśka ruszył do wyjścia, ale zatrzymało go pytanie:



– Co tu się dzieje? Kim wy jesteście...?

Odwrócił się i spojrział na zarządcę lodowato.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie. – Tamten pospiesznie zamachał rękami. – W ogóle nie jestem ciekawy.

– I niech tak zostanie.

Komandos znów wszedł na górę. Zapalił światło w pokoiku Simonetty, otworzył szeroko okno i nie zdejmując butów ani kurtki położył się na łóżku. Wyjął cygaro i zapalił. To mogła być długa noc. Był jednak przekonany, że do rana będzie po wszystkim. Senną uliczką na przedmieściu Rzymu z rzadka przejechał jakiś samochód, czasem rozlegały się kroki i odgłos rozmowy albo śmiech bawiących się młodych ludzi. Waśka dawno już wykształcił w sobie cierpliwość. Umiał czekać, nie tracąc czujności. Tym razem, jak się tego spodziewał, nie musiał czekać długo.

Cygaro wypaliło się do połowy, kiedy z nocnych odgłosów miasta wyłowił dźwięki zbliżającego się samochodu. Wóz stanął, po chwili trzasnęły drzwiczki i kierowca znów ruszył. Taksówka. Po minucie od strony korytarza dobiegło skrzypienie schodów. Ostrożne, jak gdyby ktoś usiłował uniknąć nadmiernego hałasu. Być może spóźniony małżonek, który nie chce obudzić swej drugiej połowy. Albo...

Rozległo się pukanie do drzwi. Wasilij nie zareagował. Klamka opadła powoli i w drzwiach stanął postawny mężczyzna w dobrze skrojonej marynarce. Nie był pierwszej młodości, kruczoczarne włosy wskazywały, że są farbowane. Milczał przez chwilę, nie bardzo wiedząc, jak się zachować na widok człowieka, który najwyraźniej czuł się jak u siebie.

– Szukam dziewczyny, która tu mieszka – powiedział Carlo d’Alvini.

– Ja też.

– Powiedziano mi, że ją tu zastanę.

– Też tak myślałem. Ale widać, że obydwaj przyszedliśmy za późno.

– Kim jesteś?

– Starym przyjacielem Bernarda Frerona.

Przybysz drgnął, w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Błyskawicznie sięgnął pod marynarkę, w tym samym momencie Rosjanin strzelił z trzymanego pod kocem colta. Huk zatrzęsł ścianami. D’Alviniemu wypadł z dłoni pistolet z tłumikiem, złapał się za przestrzelone udo i runął na podłogę. Wasilij podszedł szybko, przeciągnął jęczącego mężczyznę pod okno i kajdankami przykuł mu dłonie do kaloryfera.

– Powiniennem cię zabić. I zrobiłbym to, gdybyś nie miał przy sobie broni, z której zastrzelełeś Bernarda – powiedział, wskazując leżącą na środku pokoju berettę. – Teraz policja nie będzie miała problemu z odtworzeniem zajścia

w hotelu. Nie pomogą ci ani pieniądze, ani znajomości, wszyscy zapomną, że cię spotykali. Będziesz miał szczęście, jeśli żaden z twoich wysoko postawionych klientów nie przekupi kogoś za więziennym murem i dożyjesz procesu. Ale nie postawiłbym na to jednego centa. Nie muszę brudzić rąk, bo zrobią to za mnie inni, w najlepszym wypadku do końca życia nie wyjdiesz z pudła.

Była to tylko częściowo prawda. Waśka usunąłby tego śmiecia bez litości, zachowując całkowicie czyste sumienie, gdyby tylko miał czas na zorganizowanie zasadzki w jakimś innym miejscu i ulotnienie się bez zostawiania śladów. Jednak widział go zarządca budynku, zwłoki zostałyby odnalezione w mieszkaniu Simonetty, więc groziłyby mu poważne zarzuty za samodzielne wymierzanie sprawiedliwości. Dla takiego śmiecia nie zamierzał niszczyć sobie życia. Zwłaszcza że obiecał jednej takiej... posiadaczce szarych oczu, że wróci.

Strzał z colta w tej klitce był niczym wybuch bomby, bez wątplenia mieszkańcy domu dzwonili już po policję. Rosjanin zajrzał do pudełka w szafie, skąd zabrał parę zdjęć dziewczyny, następnie wyszedł na klatkę schodową, gdzie na jego widok jakaś głowa w uchylonych drzwiach szybko się cofnęła. Opuścił kamienicę i powędrował spokojnym krokiem w dół słabo oświetlonej uliczki. Z oddali dobiegło wycie policyjnej syreny. Waśka na czas akcji wyłączył telefon, więc teraz wydobył go i sprawdził, czy nikt go nie poszukiwał. Na wyświetlaczu pojawiło się jedno nieodebrane połączenie od rosyjskiego hakera.

– Coś mi mówi, że masz dobre wieści – zagadnął, gdy jego znajomy odebrał.  
– Znalazłeś ją?

– To było zbyt łatwe, na przyszłość musisz się bardziej postarać.

– Możesz na mnie liczyć, ale teraz gadaj, bo mam niewiele czasu.

Komandosa minął radiowóz pędzący na sygnale.

– Jak zwykle – zauważył haker, usłyszawszy wycie policyjnej syreny. – Ludzie na ogół postępują schematycznie, więc zacząłem od najbardziej oczywistej możliwości, czyli zacząłem sprawdzać bazy danych portów lotniczych. Dziwi mnie tylko, że ten handlarz tego nie zrobił.

– Przeceniasz go. To nie takie proste, szpiegostwo to nie jego branża. Poza tym ukrywał się, musiał ograniczyć kontakty, więc przyjął strategię pająka czekającego aż mucha sama zabrzęczy w pajęczynie.

– Amatorszczyzna. – Rozmówca Waśki prychnął pogardliwie. – Najbliżej jej domu jest międzynarodowe lotnisko Rzym Fiumicino imienia Leonardo da Vinci, więc zacząłem od niego. I bingo! Dziewięć dni temu kupiła dwa bilety. Pierwszy do Madrytu.

– A drugi?

– Santo Domingo na Dominikanie – oznajmił haker z nutą podziwu w głosie.

– Ma dziewczyna fantazję. Tyle że jej telefon od tamtego dnia nie logował się do żadnej sieci, prawdopodobnie nie używa karty, tylko płaci gotówką, więc sam

diabeł nie zgadnie, co uczyniła dalej. Kamień w wodę.

– Dzięki, masz u mnie dobrą wódkę.

– Taaa... Tylko się pospiesz. Wolałbym ją wypić -zanim ktoś obstaluje ci drewnianą jesionkę.

– Jeden miał właśnie ochotę.

– Ale mu przeszło?

– Zgadłeś.

Wasilij dostrzegł zatrzymującą się nieopodal taksówkę, z której wysiadła jakaś wpatrzona w siebie para. Pomachał kierowcy ręką. Po chwili usadowił się w środku i trzasnął drzwiczkami.

– *Aeroporto Leonardo da Vinci, prego.*

Dzień dwudziesty drugi

*W którym Wasilij w dalszym ciągu robi, co musi, a -Simonetta dostaje szansę, choć jeszcze nie wie, jak ją wykorzystać...*

Simonetta wracała brzegiem rajskiej wyspy z przedpołudniowej przechadzki, zakończonej kąpielą i wylegiwaniem się na dzikiej plaży. Widziała już zarys swego krytego palmowymi liśćmi domku. Czuła głód i miała nadzieję, że Cecilio przyniósł trochę owoców, sera i pieczywa. Chyba że był jeszcze w Santo Domingo, gdzie starał się łapać na lotnisku turystów, zapraszając swą kiepską angielszczyzną do wynajęcia domku na Isla Catalina. Czasem mu się to nawet udawało.

Zwolniła, dostrzegłszy jakąś postać siedzącą w trzcinowym foteliku na tarasie. Trudno było z daleka stwierdzić, z kim miała do czynienia, ale z pewnością nie był to Cecilio. W pierwszej chwili poczuła niechęć do intruza naruszającego jej terytorium, potem niepokój, a wreszcie narastający strach. Przed oczyma stanęły jej wydarzenia z hotelu w Rzymie i obraz mężczyzny z bronią, którego sama skłoniła do działania... I któremu ukradła pieniądze, uciekając potem prawie na koniec świata. Była pewna, że już go złapali. Prawie pewna... Ale to przecież nie mógł być on, gdyż nie czekałby tak otwarcie. Gdyby ją tu wytropił, przyszedłby w nocy, odebrał pieniądze i... raz na zawsze pozbył się jedyne go świadka swej zbrodni. Wnioski wydawały się logiczne, mimo tego szła coraz wolniej, starając kryć się w cieniu palm, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Jednak intruz nie przypominał tego gangstera z rzymskiego hotelu. Podobnej postury, lecz nie tak nalany i chyba młodszy. Wydał się jej skądś znajomy, choć nie umiała przypomnieć sobie, gdzie go widziała. Dopiero gdy była dość blisko i nieoczekiwany gość obrócił w jej stronę głowę, zrozumiała, że zna jego twarz, widziała go na filmie... Był jednym z dwóch towarzyszy Matyldy, występującym zawsze w skórzanej kurtce! Teraz powiesił ją na barierce tarasu i palił cygaro, oczekując, aż dziewczyna zbliży się do niego. Wskazał jej bez słowa drugi fotelik. Simonetta postanowiła nie odzywać się pierwsza, bo nie miała pojęcia, czy ma się cieszyć, czy martwić jego wizytą.

– Poznajesz mnie, prawda? – zapytał Wasilij. Dziewczyna skinęła głową. – Niełatwo było cię znaleźć. Ale mam znajomego, który potrafi spenetrować każdą bazę danych, nie miał trudności z ustaleniem listy pasażerów odlatujących z Rzymu via Madryt do Santo Domingo. Potem, licząc na cud albo łut szczęścia, pokazywałem miejscowym twoje zdjęcie. I rozpoznał cię pewien chłopak...

– Co za zdjęcie pokazywałeś? – wyrwało się Simonetcie.

– To z pudełka stojącego na dnie szafy w twoim pokoju.  
– A... co robiłeś u mnie w pokoju?  
– Chciałem cię odnaleźć.  
– Dlaczego?  
– Aby dowiedzieć się, co zaszło w hotelu, którego nazwy nie muszę wymieniać.

– Nie widziałeś filmu? – spytała zaczepnie, uciekając równocześnie wzrokiem. – Wszystko na nim jest.

– Niezupełnie. Interesuje mnie pora dnia, zanim pojawiłaś się na tarasie.

Simonetta zacisnęła usta i spięła się wewnątrz. W głowie przewijały się jej sceny, o których pragnęła na zawsze zapomnieć. Prawie się jej udało, a teraz pojawia się ten facet i rozdrapuje rany. Czego naprawdę chce...? Pewnie pieniędzy. Usiłowała naprędce wymyślić jakąś wiarygodną bajeczkę, gdy komandos odezwał się dziwnie łagodnym tonem:

– Nie obawiaj się, nie zamierzam przysparzać ci kłopotów.

– Wystarczą mi te, których mi już przysporzyliście.

– Życie już takie jest, że nie wszystko da się przewidzieć. – Waśka zaciągnął się dymem z cygara i dmuchnął na komara latającego nad jego głową. – Ale powinnaś wiedzieć, że wczoraj uwolniłem cię od wszystkich kłopotów.

– W jaki sposób?

– W najprostszy. Zwabiłem do twojego mieszkania Carla d'Alviniego, postrzeliłem, następnie oddałem w ręce policji.

– A kim jest ten Carlo d'Alvini? – Simonetta uniosła wzrok. Z jej twarzy nie zniknęło napięcie. – Nie znam go.

– Tak ci się tylko zdaje. To on zastrzelił Bernarda, szefa ochrony hotelu. Już nic ci z jego strony nie grozi.

Dziewczyna wpatrywała się w Wasilija szeroko otwartymi oczyma.

– Siedzi pod kluczem? Nie wypuszczą go już?

– Nie ma takiej możliwości. Miał przy sobie broń, z której zastrzelił Bernarda. A twoje zeznanie z pewnością pograży go całkowicie.

– Wolałabym... – zaczęła i urwała. – Policja mnie szuka?

– Na razie szuka Matyldy, bo coś mi mówi, że adwokat d'Alviniego nakaze mu skorzystać z prawa do odmowy składania zeznań. Dlatego twoje wyjaśnienia są tak ważne, choć i bez nich ten drań jest praktycznie zatopiony.

– Rozumiem.

– To dobrze. Powiesz mi teraz, co się tam wydarzyło?

– Nie domyślasz się? – spytała dla zyskania na czasie. Wciąż nie wiedziała, czy przyjaciel Matyldy nie chce od niej pieniędzy. Ale skąd miałby wiedzieć, że je w ogóle zabrała...?

– W zasadzie nietrudno wydedukować, co z grubsza zaszło. – Rosjanin na

chwilę zamyślił się, by po chwili kontynuować. – Bernard, jako szef ochrony, obserwował uważnie gości, byleby tylko nie stało się coś, co zepsułoby renomę hotelu. Zorientował się jakoś, że d’Alvini załatwia narkotyki dla ważniejszych bywalców, czyniąc ze swego apartamentu rodzaj biura do prowadzenia interesów. Ale był niezwykle ostrożny, nie nosił przy sobie towaru i osobiście go nie wręczał. Potrzebował do tego kogoś zatrudnionego w hotelu. A któż nadawałby się lepiej od sprzątaczk, która nie dość, że wszędzie ma wstęp, to jeszcze nikt nie zwraca na nią uwagi? Więc... ty byłaś pośrednikiem i kurierem.

Simonetta poczuła się, jakby dostała w głowę drewnianym kołkiem. Ale to działało się naprawdę, komandos mówił dalej:

– Bernard obserwował was i czekał na odpowiedni moment, żeby przyskrzynieć d’Alviniego. Korzystając z tego, że urzędowałaś tego dnia w apartamencie Matyldy, d’Alvini tam właśnie wyznaczył komuś odbiór narkotyków. Wtedy zjawił się Bernard. Kiedy rewidował klienta albo wyciągał z niego zeznania, ty zadzwoniłaś do Carla, informując go o zasadzce. Sama zaś, wiedząc, iż taras apartamentu jest pod obserwacją, uciekając postanowiłaś najlepiej, jak się tylko da, zagrać Matyldę. Muszę przyznać, że ci się udało. Później z telewizji albo z internetu dowiedziałaś się, że Carlo zastrzelił Bernarda i zrozumiałaś, że będziesz następną. Twój szef nie mógł pozwolić sobie na pozostawienie świadka. Dlatego czym prędzej zwiłaś na Karaiby.

– A ty zamierzasz mnie teraz oddać w ręce policji?

Wasilij zdziwił się, że w tonie dziewczyny nie wyczuł cienia lęku, jedynie drwinę.

– Nie jestem od ułatwiania glinom roboty. Sami -dodadzą dwa do dwóch.

– Więc czego chcesz, pieniędzy? – Dalej nie okazywała strachu.

– Mam więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziałaś na oczy. – Napił się z piersiówki, następnie zaciągnął się dymem z cygara. – Chciałem po prostu dowiedzieć się, jak i dlaczego zginął Bernard. A potem go pomścić. Tylko tyle.

– Kim on był dla ciebie? – spytała.

– Uratował mi kiedyś życie. Potem zupełnie straciliśmy kontakt, każdy poszedł swoją drogą.

Simonetta milczała dość długą chwilę. Wreszcie westchnęła głęboko.

– Właściwie mogłabym nie mówić ci prawdy, ale i tak byś się w końcu dowiedział... Policja wyciągnie wszystko z d’Alviniego. A jeśli nie, to ja powiem im prawdę. Już mogę, skoro nic mi nie grozi.

– Powiedz mi najpierw.

– Dobrze, skoro chcesz... To nie ja byłem pośrednikiem i nie dostarczałam nikomu narkotyków.

– A kto?

– Bernard, szef ochrony hotelu.

– Mam w to uwierzyć?

– Nie musisz. Ale może chcesz posłuchać, co tam naprawdę zaszło?

Wasilij kiwnął głową. Simonetta opowiedziała mu wszystko, niczego nie pomijając. Prawie niczego. Kiedy skończyła, komandos podniósł się z fotela.

– Na mnie już pora. – Zatrzymał się jeszcze na moment. – Powinnaś złożyć zeznania, aby oczyścić siebie i Matyldę z wszelkich podejrzeń.

– Zrobię to – zgodziła się, myśląc już o czymś innym. – Ale jeszcze jedno...

– Tak?

– Co mam zrobić, jeśli d’Alvini powie, że z sejfu w apartamencie zginęły jakieś pieniądze? Pytam czysto teoretycznie...

Rosjanin spojrział jej w oczy i natychmiast zrozumiał resztę.

– Odpowiem ci... praktycznie. Gdybym to ja je wziął, nikomu bym się z tego nie spowiadał. Bo jaką wartość ma zeznanie drania, wszelkimi sposobami usiłującego oczerniać, kogo się tylko da?

Waśka ruszył w stronę plaży. Simonetta weszła do domku. Włączyła wiatrak pod sufitem, zdjęła sukienkę oraz kostium i rzuciła na krzesło. Chciała się po tej rozmowie odświeżyć... Weszła pod prysznic, przez szum wody usłyszała skrzypnięcie drzwi. Cecilio, nareszcie przyniósł coś do jedzenia!

– Mam prośbę. – Natychmiast poznała głos mężczyzny w skórzanej kurtce. – Możesz wstrzymać się z zeznaniami jeszcze osiem dni?

– Dlaczego?

– Powiedzmy... że Matyldzie na tym zależy.

– Jak chcesz.

Owinęła się ręcznikiem i wyszła z łazienki. Wasilija nie było, poszedł sobie. Miała przez moment nadzieję, że zostanie... Szkoda.

Pomyślała, że za osiem dni stanie się sławna, a filmy z jej udziałem pobiją nowe rekordy oglądalności.

Nie wiedziała tylko, czy ma się tym martwić, czy cieszyć...

Dzień dwudziesty trzeci

*W którym pisarze wyruszają do Nowego Jorku, załatwiając wcześniej pewne sprawy w Paryżu. A czekając na Waškę... mają różne pomysły...*

Matylda postanowiła, że spróbuje nauczyć Hong Xuě chociaż podstaw angielskiego. Każde dziecko uczy się prędko, więc miała nadzieję, że jakoś dadzą sobie radę.

Zaskoczona została już pierwszego dnia tej nauki.

– *My name is* Matylda – powiedziała, wskazując palcem na siebie. – Tynia – poprawiła się szybko, sądząc, że zdrobnienie będzie łatwiejsze do wymówienia dla małej Chinki.

– *My name is* Hong Xuě – usłyszała i wpatrzyła się w dziewczynkę jak przysłowiowa sroka w gnat. – Ja mało mówić angielski, uczyć przedszkole. Mało – tłumaczyło dziecko z rozpromienioną buzią. – *Tree, grass, dog* – wskazywała paluszkami poszczególne obiekty, nie kłopotząc się przedimkami. Matylda też się nie kłopotowała. Mogły dla niej nie istnieć.

Po krótkim przeglądzie znanych sobie słówek mała Chinka zamilkła. Trudno, jakoś nauczy się ją podstawowych zwrotów, resztę już zrobią rodzice.

Ale nawet bez pomocy Waški, który poleciał na swoją tajemniczą eskapadę do Rzymu, jakoś udawało się pisarzom porozumiewać z dziewczynką. Szczególnie dobrze szło Januszowi, który przecież od pierwszej chwili został idolem dziecka.

– Jutrzejszy dzień będzie trudny – mówił do Matyldy poprzedniego wieczoru, już w łóżku. – Nie wiem, jak ty, ale ja bardzo żałuję, że musimy stąd wyjechać. – Przytulił się mocno. Hrabiowskie łóżko było tak wygodne, materac odpowiednio wyprofilowany i sprężysty, pościel jedwabista i delikatnie pachnąca lawendą, słowem – było im tak idealnie, jak w żadnym innym miejscu. I choć zawsze wszystkie ich zbliżenia dawały im pełną satysfakcję, w tym francuskim pałacu doznania ocierały się o doskonałość. – Musimy bardzo wcześnie wstać, Jean-Baptiste odwozi nas do Nantes, gdzie musimy być najpóźniej o szóstej rano. O siódmej czterdzieści startujemy do Paryża, skąd kwadrans przed drugą mamy samolot do Nowego Jorku. Na szczęście Waška przed wyjazdem kupił nam przez internet wszystkie potrzebne bilety, musimy więc tylko sami się odprawić.

– Na co więc czekasz? – Matylda przysunęła się bliźutko, a mimo ostrzeżenia o konieczności wczesnej pobudki, wszystko było jak zawsze... I potem, wcale nie tak prędko, bo chcieli by ten cudowny stan trwał i trwał... wtulona w partnera zasnęła, zanim on zdążył ułożyć się po swojemu.



Następnego dnia pobudka była koszmarem, ale tylko dla nich. Hong Xuē wstała bez słowa skargi, gdy tylko Janusz musnął dziecięcą główkę. Szybko pobiegła do łazienki, skąd wyłoniła się po kilku minutach ubrana w spodenki, bluzkę i buciki, przygotowane poprzedniego dnia przez Matyldę.

– Gotowi! – Jean-Baptiste siedzący za stołem w jadalni ucieszył się na ich widok i zdjął pokrowiec z czajniczka z herbatą. Gorące tosty już czekały, dżem, placuszki z jabłkami i omlety wnosila właśnie służąca. Wszystko w wielkiej obfitości, świeżutkie i pachnące, choć Janusz uparcie twierdził, że aż do obiadu będzie głodny. Ale on zawsze był głodny, więc Matylda nie zwracała uwagi na te jego gorzkie żale.

Do Nantes zajechali na czas, hrabia Riquet pomógł im przy odprawie, pomachał na pożegnanie i już byli w powietrzu, przed najtrudniejszą chyba wyprawą – a może przeprawą – jaka ich czekała. Miały rozstrzygnąć się losy dziecka, za które wzięli odpowiedzialność...

Mimo obaw i zdenerwowania Matyldy w paryskim banku załatwili, co chcieli, szybko i sprawnie. Nikt się nie dziwił, że pisarka podejmuje dwadzieścia tysięcy dolarów gotówką, spytano tylko, w jakich chcą banknotach. Poprosili o setki, takie były bowiem najwyższe używane nominały. Banknoty o nominałach jeszcze wyższych były już numizmatami, nie występującymi w powszechnym obiegu, choć technicznie rzecz biorąc, są one prawnym środkiem płatniczym. Obieg banknotów o wysokich nominałach został wstrzymany w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, były zbyt słabo zabezpieczone przed podrabianiem przez fałszerzy.

Taki przewiązany banderolą plik dwustu setek swobodnie mieścił się w torebce Matyldy, a kwota ta mogła być przewieziona bez wpisu do deklaracji celnej.

Pozostałą sumę bank, na polecenie właścicielki konta, przelał na numeryczne konto w Szwajcarii. Konto było otwarte przez Wasilija, który miał je zlikwidować, jak tylko dotrze do Nowego Jorku. Według planu miało to nastąpić jutro. Najdalej pojutrze. Bowiem Waśka nie był pewien, czy coś nieprzewidzianego nie zatrzyma go trochę dłużej w Rzymie. Nie chciał o tym nic więcej powiedzieć, ale pisarze domyślili się, że zamierza zobaczyć się z Heleną. Musiało być jeszcze coś, spotkanie z Heleną mogłoby przecież spokojnie tych kilka dni poczekać.

– Powie nam, jak będzie chciał. To nie jest zwykły kaprys. – Matylda była pewna swojego komandosa. – Musimy po prostu spokojnie czekać.

– Spokojnie... – Janusz uśmiechnął się z przekąsem. Znał swoją partnerkę i wiedział, że cierpliwość i spokój nie należały do jej cech dominujących.

Lot do Nowego Jorku minął spokojnie. I choć czas trochę im się dłużył, według zegarków, których wskazówki cofały się... na miejsce przylecieli po niespełna trzech godzinach. Mimo poczęstunku w samolocie Janusz oczywiście był

głodny, Matylda jednak nalegała, by jak najszybciej dotrzeć do hotelu, potem szybka kąpiel i odpoczynek. Nie spała prawie całą noc, bo w czasie tych trzech-czterech godzin przed wyjazdem, mimo iż błyskawicznie zasnęła, budziła się, wierciła i miała, jak zwykle, rajzefiber. Odprawa na lotnisku minęła dość szybko, choć oczywiście w Matyldzie wszystko dygotało w momencie sprawdzania paszportów. Omiatała wzrokiem halę, szukając stanowiska do deportacji, jakie w swoim przerażonym umyśle już sobie stworzyła. Miało być czymś na kształt ożywionej platformy, która podzwaniała ciężkimi łańcuchami, usiłując w nie zakuć tych, których natychmiast trzeba ze Stanów Zjednoczonych usunąć. Niczego takiego oczywiście nie spostrzegła, natomiast uwagę jej przykuł jakiś obwieszony aparatami fotograficznymi osobnik. Nie korzystał jednak z tych aparatów, w rękę trzymał coś, co wyglądało jak mały dyktafon czy też jeden z tych elektronicznych gadżetów niewiadomego przeznaczenia, chyba tylko w zamyśle twórców ułatwiający życie. Wspomniany osobnik skierował to urządzenie w ich stronę, wydawało się nawet, że szczególnie upodobał sobie Matyldę. Trochę ją to zaniepokoiło, ale po chwili ciekawski miłośnik elektronicznych bajerów odwrócił się w bok i z wielkim natężeniem wpatrywał się w tablicę, na której wyświetlano jakieś komunikaty, zmieniające się tak prędko, że nie nadążała z ich tłumaczeniem.

Odprawa przebiegła sprawnie. Wprawdzie Wasilij zapewniał, że nikt nie zakwestionuje autentyczności paszportów, czuli się jednak jak przemytnicy, którym grozi wieloletnie więzienie. Zwłaszcza że po tylu perturbacjach znaleźli się tak blisko celu. Ale obawy okazały się płonne, nikt nawet nie przeglądał ich bagaży.

Na jedną dobę mieli zarezerwowany niedrogi hotelik, dopiero następnego ranka zamierzali przenieść się do czegoś elegantszego na Manhattanie. Najpierw musieli założyć konto, na fałszywy paszport Matyldy, gdzie Waśka miał przelać środki ze Szwajcarii. Na razie dysponowali gotówką, która powinna im wystarczyć na ten okres. Dwadzieścia tysięcy dolarów nie jest małą kwotą, oni jednak musieli wydać znacznie więcej, a czasu zostało już niewiele. Roztrwonić w tydzień ponad pół miliona dolarów?! Łatwo powiedzieć...

Pisarze rozglądali się i nie mogli znaleźć zamówionego przez Waškę szofera, który miał czekać za stanowiskami odprawy. Dookoła stało mnóstwo ludzi trzymających w rękach różne tablice, na żadnej z nich jednak nie było ich nazwisk, ani prawdziwych, ani tych z francuskich paszportów. Raptem uwagę Matyldy przykuł jeden transparent z wielkim napisem „Czerwony Śnieg”. Dotknęła ramienia Janusza, wskazując mu mężczyznę w uniformie i szoferskiej czapce z daszkiem.

– Waśka powinien nas uprzedzić – powiedziała. – Chociaż pomysł miał przedni. Josh może mógłby jakimś sposobem poznać nasze fałszywe francuskie nazwiska, lecz Czerwony Śnieg nie mógł mu się z niczym skojarzyć, za żadne

skarby. Ten komunikat jest jasny wyłącznie dla nas.

W hotelu Janusz tylko czekał, aż jego panie się rozpakują, umyją i przebiorą; oczywiście chciał jeszcze iść coś zjeść. A Matyldzie jak na złość się nie spieszyło. Włączyła komputer i mozolnie czegoś szukała.

– Podaj mi, proszę, długopis i notesik, leży przy telewizorze na biurku.

Nie było sensu dociekać czego szuka, pisarz wiedział, że dowie się wszystkiego we właściwym, zdaniem Matyldy, czasie. Pozwolił jej zapisać, co tam musiała, i wciąż czekał w blokach startowych, warując pod drzwiami. Hong Xuē oczywiście stała tuż obok niego.

– Co? – spytała Matylda, gdy usłyszała burczenie brzucha. – Ach, głodny jesteś. Jasne, po co w ogóle pytam...

Po obiedzie w hotelowej restauracji Matylda skierowała się w stronę recepcji.

– Słuchaj – powiedziała do Janusza – zanim Waśka do nas dołączy, zanim w ogóle zadzwoni, musimy czymś się zająć. Nie wytrzymam takiego biernego czekania, znasz mnie. – Odwróciła się w stronę recepcjonisty i poprosiła o sprowadzenie taksówki.

Dopiero w aucie Janusz dowiedział się, dokąd jadą.

– Belmont Park? Czy to nie tam jest jeden ze słynnych torów wyścigów konnych? Dlatego masz na szyi tę swoją tajną zawieszkę? Przecież wydatków na hazard nam nie uznają. Chyba nie... – pisarz się zamyślił.

– Czemu mieliby nie uznać, to przecież rozrywka. Zawsze chciałam chociaż zobaczyć na żywo takie wyścigi. Nigdy jakoś nie trafiłam nawet na Służewiec. A teraz jesteśmy o godzinę drogi od Elmont, musimy jakoś -zagospodarować czas, więc pomyślałam...

--- Tylko nie przegraj za dużo, bo nie będzie nas stać na porządny hotel.

– Co się przejmujesz, Waśka nam pożyczysz.

– Niech najpierw wróci...

Kłębiący się tłum, eleganckie kapelusze, cygara i smokingi. Kolejki przy kasach przyjmujących zakłady. Zapach końskiej sierści, soczysta zieleń. I gwar, gorączkowe wertowanie czegoś, co zapewne było programem wyścigów albo prezentacją koni lub opisem dokonań dżokejów. Tętent kopyt, gwizdy, krzyki, entuzjazm tłumów! Janusz chłonał tę niepowtarzalną atmosferę... miał nadzieję, że kiedyś uda mu się te doznania opisać.

– Niewiarygodne! Rany boskie, niewiarygodne! – Matylda stuknęła palcem w program gonitw. – Muszę obstawić ten wyścig!

I już jej nie było. Janusz po chwili ujrzał ją przy kasach, stojącą przy okienku, przy którym była najmniejsza kolejka.

Wróciła, ściskając w garści trzy bilety. Zrealizowała kolejne ze swoich pragnień. Znalazła się na wyścigach i obstawiła jakąś gonitwę. A sądząc po

malujących się na jej twarzy emocjach, obstawiała wysoko.

Konie ruszyły. Matylda, by lepiej widzieć, przepchnęła się aż do barierki otaczającej trybuny, nie zwracając w ogóle uwagi na to, czy Janusz idzie za nią. Był, oczywiście. Przecież wolał nie tracić jej z oczu. I wolałby, żeby hazardowa żyłka, która ujawniła się w jego partnerce, nie przerodziła się w nałóg, by jej wybryki były jednorazowe. Ciekawe, ile postawiła. I na jakiego konia, pomyślał. Nie mając w ręku programu, nie patrząc na tablicę, wyświetlającą wszystkie niezbędne komunikaty, nie miał pojęcia, że Matylda po prostu musiała obstawić ten bieg. I postawić na tego konkretnego konia. A właściwie klacz. Jej zdjęcie było w książeczce, którą przed chwilą Matylda oglądała. Piękna trzylatka, kasztanowa maść, sierść połyskująca mahoniem, o oryginalnym imieniu. Red Snow. Janusz nawet nie patrzył na tor wyścigowy. Dla niego wszystkie konie wyglądały tak samo. Wszystkie były piękne, różniły się tylko umaszczeniem. Patrzył na Matyldę. Ta skakała i piszczała, wykrzykując coś głośno. Wydawało mu się, że raptem wszyscy zaczęli krzyczeć to samo. Coś, co brzmiało jak imię ich małej podopiecznej. Tylko po angielsku.

– Red Snow! – Matylda zmaterializowała się obok Janusza i dziewczynki, ściskając mocno małą, aż ta się przestraszyła i przywarła ściślej do najbezpieczniejszego miejsca na świecie, czyli do nogawki Januszowych dżinsów. – Wiedziałam! Musiałam! Wygraliśmy! – Pisarka podskakiwała jak małe dziecko. A ile wygrała, to już jej wcale nie interesowało.

Okazało się, że zdarzyło się to, co na ogół zdarza się wyłącznie nowicjuszom, ponieważ obeznani stawiają na pewniaki. Matylda obstawiła największego fuksa, przez absolutny przypadek kupiła jakieś skumulowane zakłady, trzy kupony i wygrała zupełnie nieprawdopodobną sumę. Chyba nikt, poza nią, na Czerwony Śnieg nie postawił. Wypłata wynosiła sześćdziesiąt do jednego. Postawiła trzy tysiące dolarów.

– Ile postawiłaś? – Janusz z niedowierzaniem patrzył na ściskane przez Matyldę zakłady i na komunikaty wyświetlane na tablicy. Wyszło mu, że pisarka wygrała sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

– No, po tysiącu dolarów na każde z nas. Ach, poczułam się jak królowa życia, cały świat stał przede mną otworem. Najprawdopodobniej nigdy już nie będzie mi to dane – tłumaczyła się Matylda, cały czas sądząc, że partner ma do niej pretensję. – Przecież jutro Waśka przeleje nam pieniądze, więc na hotel i życie nam nie zabraknie. Postanowiłam zaszaleć i zrobiłam to! Będę wnukom opowiadać, jak to babcia wygrała na wyścigach konnych. W Belmont, a co!

– Tynia, czy ty wiesz, ile wygrałaś?

– ???

Powiedział jej.

Spojrzała na trzymane w ręku bilety i raptem nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Przez chwilę wyglądała, jakby parzyły ją w palce i jakby rozglądała się, szukając kosza na śmieci. Na razie docierało do niej, że jej wybryk wywołał niespodziewane komplikacje... Wyrzuci te papierki i już będzie miała spokój. Światowego życia jej się zachciało. A tyle mają przecież na głowie. I jeszcze ten Waśka. Zniknął i w ogóle się nie odzywa. Po chwili jednak słowa wygłoszone przez ukochanego dotarły do niej, tym bardziej że komunikat z ostatniej gonitwy wciąż wyświetlano.

– Ale, posłuchaj... – Matyldę ogarnęło znajome poczucie nierzeczywistości.  
– Przecież my mamy wydawać pieniądze. A tymczasem ciągle nam ich przybywa.

– To prawda, ale od przybytku głowa nie boli. Chodźmy odebrać tę wygraną.

– Dadzą nam gotówkę? Przecież nie założyliśmy jeszcze tego konta, o którym mówił nam Waśka. On pewnie lada moment zadzwoni, poprosi o numer czy hasło, cokolwiek tam potrzebne. A my sobie hulamy na wyścigach – biadoliła Matylda.

Jednak gotówkę im wypłacili, choć z dziwnymi minami.

– Co ty im takiego powiedziałaś, że tak na ciebie patrzyli?

– Powiedziałem, że chcę gotówkę, bo mam zamiar obstawiać wysoko wszystkie kolejne gonitwy, w różnych konfiguracjach. I nawet nie pisenli.

– No, myślę, tu napatrzyli się na mnóstwo przedziwnych wydarzeń. Komentowanie nie jest ich sprawą. Wracajmy wreszcie do hotelu. – Pisarka westchnęła, podejrzewając, iż Janusz jest już naprawdę bardzo głodny.

Raptem z boku, tam gdzie na nogawce jego dżinsów wisiała Hong Xuě, coś szurnęło i na pisarza, a właściwie na jego rękę, w której trzymał dość grubą szarą kopertę, rzucił się długowłosy chuderlawy wyrostek, wrywając mu ją z ręki. To było jak mgnienie. Janusz nawet nie zdążył się zorientować, kiedy od jego nogawki odkleiła się raptem mała kremowoskóra błyskawica, skacząc w górę i precyzyjnie trafiając prawą nóżką tam, gdzie ją tego nauczono. W przyrodzenie złodzieja. Ten z głośnym jękiem padł zgięty wpół na ziemię, wypuszczając z ręki kopertę. Zasłonił dłońmi przyszczatą twarz, bo mała wojowniczką wyglądała, jakby szykowała się, by wydrapać mu oczy. Ale Hong Xuě tylko złapała szybkim ruchem kopertę leżącą obok głowy wyrostka i z głębokim chińskim ukłonem podała ją Januszowi. Stojący obok wielbiciele wyścigów konnych, na oczach których rozegrała się akcja niczym z filmu karate, zaczęli bić brawo i głośno wiwatować. Młodociany złodziej uskoczył w panice gdzieś na bok i zniknął w tłumie, zanim ktokolwiek się zorientował.

– Chodźmy stąd szybko. – Matylda pociągnęła partnera za rękę i oni także błyskawicznie zniknęli za plecami podekscytowanych ludzi. – Nie chcemy przecież żadnych zeznań, żadnej policji, niczego.

– Czegoś tam chcemy – zaoponował pisarz. – Chcemy jeść. A Hong Xuě zasłużyła na najlepsze lody na świecie. Jak dobrze, że w Chinach dzieci już w przedszkolach są uczone sztuk walki. Gówniarz zapamięta sobie, że można się

oszukać...

Mała Hong Xuě z szerokim uśmiechem kiwała czarnowłosą główką, jakby rozumiała, że jest chwalona. Zaciśnęła mocniej piąstkę na ulubionej nogawce i dumnie kroczyła między pisarzami.

Waśka tego dnia nie dowiedział się o niespodziewanym zastrzyku gotówki zdobytym w Elmont. Nie mieli czasu na długą rozmowę, gdyż Rosjanin obawiał się podsłuchu, choć Matylda podejrzewała, że po prostu woli uniknąć wścibskich pytań o swoje poczynania. Powiedział tylko, że postara się przybyć następnego dnia. Rozłączył się, usłyszawszy zapewnienie, że dadzą sobie radę nawet dłużej niż do jutra.

Po powrocie do hotelu nie mieli już ochoty na zwiedzanie miasta. Poszli więc do restauracji, a po posiłku wrócili do pokoju. Chcieli spokojnie zaplanować następny dzień, musieli w końcu wydać mnóstwo pieniędzy.

Matylda odpaliła komputer i dla zabicia czasu sprawdziła, co się dzieje na stronach ich sławetnego reality show, będąc przekonana, że nie trafi na nic ze swoim udziałem. Ku swojemu przerażeniu ujrzała halę przylotów lotniska JFK w Nowym Jorku, ją, Matyldę, przy odprawie celnej i moment wsiadania do długiej limuzyny. Przez mgnienie oka widać było też profil Janusza i szofera wkładającego do bagażnika całą górę bagaży. Auto ruszyło, nagranie trwało jeszcze chwilę, ale nie było dalszego ciągu. Jednak komentarze internautów nie pozostawiały złudzeń, że psy gończe znów poczuły krew.

– Popatrz! – podała laptop partnerowi. – Znowu nas namierzili.

– To jakiś przypadkowy bubek, któremu trafiła się gratka. Rozpoznał nas, albo przynajmniej ciebie, i nagrał, co zdołał. Widać, że nie wie, gdzie pojechaliśmy, ale...

– ...ale Josh bez problemu ustali to, wyciągając wszystko od szofera naszej limuzyny. – Matylda mocno zagryzła usta. – Film umieszczono przed niecałą godziną, mamy jeszcze trochę czasu. Najgorsze, że dowie się, iż podróżujemy z małą Chinką, a przecież chcieliśmy, żeby to było tajemnicą aż do momentu odnalezienia jej rodziców. Boję się, że będziemy mieć kłopoty. Wiesz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Co byś powiedział...

– Najpierw zmienimy lokum. – Janusz przerwał jej stanowczym tonem. – Nie wiadomo, czy ludzie Josha nie rozmawiają już w tej chwili z szoferem limuzyny.

Matylda była zmuszona przyznać mu rację. I tak mieli się przenieść następnego dnia, więc wypakowali tylko najpotrzebniejsze rzeczy, na dobrą sprawę mogli ruszać dosłownie za chwilę. Przewędrowali parę przecznic z plecakami na ramionach, nim zdecydowali się złapać taksówkę. Przejechali kawałek, kupili w ulicznej budce po hot dogu i złapali kolejną taryfę. Kiedy wysiedli, łazili dobre pół godziny, zanim zdecydowali się wejść do wybranego uprzednio hotelu. Ale

takim sposobem dość dobrze zatarli za sobą tropy. Tyle że i tak nie czuli się bezpieczni. Myśliwi wiedzieli, że zwierzyna jest w Nowym Jorku...

W pokoju Janusz jakoś uspił małą, która uważała, że nie jest już wcale dzidziusiem chodzącym wcześniej spać. Dziewczynka była jednak bardziej zmęczona, niż myślała, i ukołysana monotonnym mrueniem Janusza, który usiłował śpiewać jej zapamiętaną z dzieciństwa kołysankę o dwóch kotkach, usnęła po kilku minutach.

Matylda zadzwoniła do Waśki, lecz nie odebrał. Wysłała mu więc wiadomość z ich aktualnym adresem. Następnie rzuciła w stronę Janusza:

– Mówiłam ci, że wpadłam na pewien pomysł?

– Coś wspomniałaś... – przyznał z pewną obawą, od pewnego czasu uczulony trochę na jej „znakomite” pomysły. Matylda odpała komputer i rozpoczęła nerwowe stukanie w klawiaturę.

– Co ci chodzi po głowie? – Janusz zaczynał już mieć dosyć tej całej przygody. Priorytetem dla niego było teraz odnalezienie rodziców Hong Xuě, sprawdzenie, jaka jest sytuacja dziewczynki, i powrót do własnych spraw. Gdy wróci Waśka i obliczą, ile wydali z tego obowiązkowego miliona, zastanowią się, co dalej. Te sto osiemdziesiąt tysięcy trafiło im się jak manna z nieba, ale mogło się okazać, że pokryją nimi wydatki, nie tylko niezgodne z umową, ale również z prawem... Nielegalne przekraczanie granic, fałszywe dokumenty, łapówki... Mają się do tego przyznać?! W dodatku martwił się, że nie zdążą przehulać reszty z miliona dolarów i wyjdą z całego interesu biedni jak myszy. Josh, nawet jeśli ich znajdzie, nic już im nie zrobi. Chyba nic... A inni? No przecież nie mogą ukrywać się przez całe życie. Gdy sprawa się zakończy, niezdrowe zainteresowanie zakładem i ich osobami też się skończy. Pieniądze..., dawno już wymyślili z Matyldą, co zrobią z pieniędzmi, które gwarantuje im testament pradziadka. Lecz do tego muszą wykonać pierwszy warunek umowy. A więc – wydawać, wydawać, wydawać...

Postanowił poszukać odpowiednio drogich rozrywek w internecie, ale Matylda nie chciała oddać mu laptopa, namiętnie tam czegoś szukała, wydając z siebie tajemnicze pomruki.

– Mam! – szepnęła cichutko, żeby nie obudzić ich chińskiego tygrysa (bowiem właśnie w roku Tygrysa urodziła się Hong Xuě, wiedzieli to od Waśki, któremu mała powiedziała to zaraz po wyjawieniu swojego imienia).

Złapała komórkę i nie bacząc na porę, wybrała numer.

Janusz nadstawił uszu, bo chociaż początek rozmowy mu umknął – to, co słyszał teraz, robiło się coraz bardziej fascynujące.

– *Chinese and Chinese woman, may be?* – Słuchała przez chwilę. – *Yes, costumes too. Oh, high and low. The most important appearance. Faces, you know? Tomorrow morning, at 9.00 am* – podała adres hotelu i numer pokoju. –

Zaraz wracam.

Nim Janusz zdołał się zorientować, co znowu wymyśliła jego nieco szalona partnerka, już jej nie było. Rozmowę zrozumiał o tyle o ile. Jutro rano, o dziewiątej... coś o twarzach... I strojach. O rany, czy ona chce iść na jakiś bal kostiumowy???

Ale za chwilę dotarło do niego, co wymyśliła Matylda. No jasne, rozpoznali ich, zlokalizowali, a oni się przecież ukrywają. Z chińską dziewczynką. Więc...

Więc po prostu muszą się przebrać za Chińczyków!

– Recepcjonista już wie, że po pierwsze, rano, o dziewiątej, będziemy mieć gościa – oznajmiła rozentuzjasmowana Matylda. – A po drugie, że później odwiedzą nas nasi chińscy przyjaciele. Będziemy wychodzić już jako oni, rozumiesz?

– Ale on nie zobaczy ich wchodzących.

– Co to za różnica, wchodzi, wychodzą, mógł być akurat w toalecie, ważne, że wie o ich odwiedzinach. Możemy teraz spokojnie czekać na Waškę, a Josh i jego hakerzy mogą nas szukać we wszystkich hotelach Nowego Jorku i okolic. – Przeciągnęła się rozkosznie. – Przyznaj, że jestem genialna – mruknęła mu do ucha, ale zanim zdołał okazać, jak bardzo uważa ją za genialną, zniknęła w łazience.

– Nie ma tam gdzieś kąpielowego biustonosza...? – Rozebrała się i na chwilkę ukazała w drzwiach, zamykając je prędko.

Po kwadransie z łazienki skorzystał Janusz. Był nieco rozkojarzony, a więc jego ablucje trwały dziwnie szybko.

Nigdy się nie wycierał po kąpeli, przychodził pod kołdrę mokrusieńki, taką mieli tradycję. Czasami zasypiali, zanim zdążyli się wysuszyć, dzisiaj jednak zasypianie trwało nieco dłużej.

– Bo wiesz... – powiedziała Matylda – jeszcze nie jesteśmy ucharakteryzowani. Warto może to wykorzystać...

Janusz zgodził się bez szemrania.



Dzień dwudziesty czwarty

***Waśka nie poznaje pisarzy, niczego nie chce opowiadać o tym, co robił, gdy go nie było, a Matylda jest ciekawa, czy spotkał się z Heleną. Hong Xuě dostaje niezwykle prezent.***

Charakteryzator zamówiony przez Matyldę spisał się znakomicie. Nie interesował go powód, dla którego jego klienci chcą się przebrać za Chińczyków, on miał się jedynie wywiązać z zadania. Najlepiej jak umiał. A swój zawód znał i żadne ludzkie wcielenie nie było wyzwaniem ponad jego siły. W teatrze dokonywał na co dzień nie takich rzeczy dla aktorów. Nawet opadnięte i trochę opuchnięte powieki z lateksu przyklejone nad skośnymi oczami to żadna sztuka. Długość włosów u Chińczyków na szczęście obecnie nie jest ogólnie regulowana, musiał je tylko usztywnić i ufarbować.

– Jak długo chcą państwo prezentować się w tym przebraniu?

Spojrzeni po sobie. Nie uzgodnili tego i teraz się zastanawiali. Sądzieli, że Waśka przybędzie dzisiaj. Rodzice małej, jak zrozumieli ze skąpej wypowiedzi Wasilija, zostali odnalezieni, więc najpóźniej jutro powinni się z nimi spotkać, zwrócić dziecko i kontynuować zabawę w ciuciubabkę z Joshem. Nie musieli długo udawać Chińczyków, jednak nie wiedzieli, kiedy dane im będzie powrócić do własnych tożsamości. Byli poszukiwani przez policję, najpierw musiało zostać wyjaśnione zajście z Simonettą. Potem mogliby używać własnych nazwisk... Pod warunkiem że Waśka spowoduje cudowne przemiany w ich paszportach. Wizy, kilka przekroczeń granicy, legalny wjazd (a właściwie wlot) do Nowego Jorku. Tego wszystkiego nie mieli, a chcieliby jednak wrócić do kraju bez kłopotów.

– Jeśli chodzi o przebranie, to przynajmniej do jutra – powiedziała niepewnie Matylda.

– W takim razie proszę wieczorem normalnie się wykąpać, a ja jutro rano przyjdę poprawić oczy i koloryt skóry. Włosy wytrzymają.

Zainkasował rachunek i wyszedł. Janusz patrzył na Matyldę, a ona na niego. W istocie, byli nie do poznania. Co się zresztą zaraz potwierdziło. Z pokoju obok, trąc piąstkami zaspane oczka, wyczłapała Hong Xuě. Przetarła wreszcie te oczy i spojrzała przed siebie. Otworzyła szeroko usta do krzyku, ale nie... nie będzie krzyczała, nikt jej nie zauważy i koszmar minie... błyskawicznie wskoczyła na powrót do łóżka, nakrywając się po czubek głowy kołdrą. Janusz poszedł za nią, leżała na łóżku z przykrytą kołdrą głową i cała dygotała.

– Tyniu, chodź tu – poprosił pisarz. – Ona nas nie poznała. Chyba myśli, że

to jacyś pobratymcy przybyli, żeby zabrać ją do Chin.

Mała poznała głos Janusza i spod kołdry wychynęło jedno ciemne skośne oko, ale natychmiast schowało się ponownie pod bezpieczne okrycie.

– Usłyszała twój głos – powiedziała Matyllda, wchodząc do pokoju. – Rozpoznała go. Ale widzi kogoś innego. Gdzie ten cholerny Waśka? Jak jej to wszystko wytłumaczyć?

– Honsjuu – *it we*, Tynia i Jaa. – Dziecko na Janusza mówiło „Jaa”, całe imię pisarza było jeszcze dla niej nie do wymówienia.

– Mówisz do niej po angielsku? – Janusz zdumiał się ogromnie.

– Niestety, ona zna tylko kilka podstawowych słów, przecież wiesz, czegoś tam nauczyła się w przedszkolu.

Raptem pisarz wpadł na pomysł. Otóż pewnego dnia, bardzo gorącego, gdy szli na spacer wzdłuż Loary, on, Matyllda, Waśka i ich chińska podopieczna, Janusz elegancko poprosił partnerkę o zgodę na zdjęcie koszuli.

– Zaraz się roztopię, chociaż przez chwilę się przewietrzę, dobrze?

– Jasne, ściągaj. Szkoda, że ja nie mogę nic zdjąć.

– Och, nieprawda – mruknął. – Myślę, że coś jeszcze by się znalazło.

– Jasne, a potem do końca życia wypominałbyś mi, jak to bezwstydnie rozbierałam się przy mężczyźnie obcej narodowości.

Przekomarzali się tak jeszcze chwilę, aż usłyszeli perlisty śmiech dziewczynki, która paluszkami wskazywała plecy Janusza, mówiąc coś, co brzmiało jak „shinjhon”.

– Nasza mała to poetka. – Rosjanin się zaśmiał. – Uważa, że twoje plecy to niebo usiane gwiazdami.

Janusz istotnie miał na plecach wiele mniejszych oraz większych znamion. Ale chyba tylko bardzo kochające oko mogło dopatrzeć się w piegowatych brązowych plecach gwiazdzistego nieba. Pisarz przypomniał sobie teraz ten incydent.

– *Honsjuu, look* – zdjął koszulę i odwrócił się do małej plecami. – *It's me, Jaa. Look, shinjhon.*

Spod kołdry wysunął się mały guziczek noska i obydwie świecące ciekawością oczka. Głos brzmiał znajomo. No i te plecy. Cała buzia wychynęła na wierzch.

– Jaa? – Tyle zrozumieli, pozostałych słów wypowiedzianych z ogromną prędkością oczywiście nie. Ale gdy przebrany Janusz wyciągnął rękę w stronę dziewczynki, ona nieśmiało podała mu swoją, zerkając jednak z niepewnością w stronę Matylldy. Dopiero kilkakrotnie wymówione imię „Tynia” przez obydwie opiekunów małej jakoś ją przekonało.

Przez to wszystko zmitrężyli mnóstwo czasu i minęła pora hotelowego śniadania.

– Trudno – orzekła pisarka. – Wychodzimy na dwór, tu obok jest jakiś lokalik, coś tam zjemy.

Ledwo skończyła zdanie, do pokoju ktoś zapukał. Usłyszeli: „To ja, otwórzcie”.

– Waśka. – Uradowana Matylda skoczyła ku drzwiom.

Gdy komandos ujrzał, iż za drzwiami stoi jakaś Chinka, a w głębi pokoju szczupły wysoki Chińczyk trzyma na rękach Hong Xuě, błyskawicznie wpadł do środka, przewracając Matyldę mocno pchniętymi drzwiami. W jego dłoni, nie wiadomo skąd, pojawił się pistolet, Januszowi zdawało się, że taki sam jak miał James Bond... Walther PPK.

– Waśka, stój! – krzyknął Janusz. – To my.

Hong Xuě rozpląkała się ze strachu, wczepiając się mocno w pisarza. Matylda wstała z podłogi i, widząc minę Rosjanina, zaczęła zwijać się ze śmiechu.

– Uspokój małą, od rana narażamy ją na straszny stres. Musieliśmy się przebrać, dobrze się stało, że nic nie wiedziałeś. Bo jeśli ty nas nie poznałeś, najprawdopodobniej nikt nas nie rozpozna.

Komandos rzucił w kąt swój plecak, a jego zgrabny pistolet rozpląnął się w powietrzu.

– Nie wiem, o co najpierw cię pytać. – Janusz posadził dziewczynkę na hotelowej sofie, podając jej kredki i książeczkę do kolorowania. Gdy rozpoznała ich przyjaciela, siedziała już spokojnie, swoim zwyczajem na piętach, rysując zawzięcie. A oni tłumaczyli Waśce, że namierzono ich na lotnisku, że właśnie stąd pomysł przeistoczenia się w Chińczyków.

– A ty gdzie byłeś, co załatwiłeś, skąd wzięłeś tę broń i w ogóle opowiadaj po kolei. Od momentu, w którym zostawiłeś nas u hrabiny. – Matylda, jak zwykle, chciała wiedzieć wszystko.

Waśka nie zamierzał opowiadać wszystkiego. Jego prywatne sprawy były i zostaną jego sprawami.

– Załatwiłem, co musiałem. Dotyczy to mnie i mojego dawnego druha, który po odejściu ze służby miał widać inny pomysł na życie... Może opowiem wam o tym kiedyś, dziś to dla mnie jeszcze zbyt bolesne. A szefowa nie musi się już martwić o Simonette. Cała i zdrowa wyjechała na koniec świata i na razie tam zostanie. Policja włoska ma sprawcę zabójstwa w hotelu, chociaż pewne szczegóły może wyjaśnić im tylko Simonetta. Czy już wiedzą o jej udziale w sprawie, śmiem wątpić. Morderca jest w więziennym szpitalu i wątpię, aby był zbyt wylewny, toteż wszyscy są jeszcze przekonani, że to szefowa opuściła hotelowy taras w stroju, hmm...

– Złapali mordercę?! – Dla Matyldy słowa Waśki miały pierwszorzędne znaczenie. – To już właściwie mogłabym powiedzieć im prawdę.

– To byłoby niemądre. W areszcie trudno wydawać pieniądze, a policja nie

wierzy nikomu na piękne oczy. Zanim by wszystko wyjaśnili, upłynęłyby tygodnie. -Joshowi tylko w to graj.

– Rozumiem... – Matylda przypomniała sobie filmik. – Ale wciąż nie wiem, co tam właściwie zaszło? A ty, jakimś cudem, wydajesz się znakomicie poinformowany. Lepiej niż policja.

– Miałem nad nimi przewagę, ponieważ wiedziałem, kogo naprawdę szukać – zauważył skromnie Rosjanin. Następnie opowiedział im, jak odkrył miejsce zamieszkania dziewczyny i sprowadził tam Carla d’Alviniego. Zakończył swoją opowieść na Isla Catalina, streszczając im rozmowę z dziewczyną, której złożył wizytę... Pominął jedynie to, kim był dla niego Bernard, oraz że w istocie uczestniczył w procederze handlu narkotykami. – Nie zważając na ciekawskie błyski w oczach Matyldy, Waśka wrócił do spraw bieżących: – Teraz musimy się spotkać z rodzicami Hong Xuē i zadecydujemy, co zrobimy. Małej na to spotkanie nie zabierzemy, ktoś z was musi z nią zostać – spojrzał na Janusza, wiedząc, że w zasadzie ta sprawa jest przesądzona.

– Czekaj... czemu poprosiłeś Simonettę, żeby zgłosiła się na policję dopiero za tydzień?

– Ponieważ choćby i zgłosiła się w tej chwili, nie zmieni to naszej sytuacji. Będą potrzebowali potwierdzenia, czyli naszych zeznań i musieliby je sprawdzić. A to oznacza wzięcie pod lupę naszej trasy ucieczki, pytania o pewien zatopiony kuter, o to, co robiliśmy w Chinach, jak pojawiliśmy się dosłownie znikąd we Francji... Mam kontynuować?

– Nieźle narozrabialiśmy...

– Istotnie. Sam bym tego lepiej nie ujął. Teraz wiecie dokładnie, co robiłem. Szykowałem grunt pod nasze pojawienie się w realnym świecie.

– Ale nie uwierzę, że nie widziałeś się z Helenką. – Matylda, przed wypowiedzeniem tych słów, spojrzała na Janusza, a on tylko pokiwał głową.

– Tak, macie pozdrowienia. Nasze spotkanie było tak krótkie, że nawet nie ma o czym opowiadać.

– Założyłabym się, że Helena jest innego zdania – mruknęła Matylda, a Waśka tylko skrzywieniem ust dał znać, że słyszał.

– Pewnie chcesz wziąć szybki prysznic, a my tymczasem zerknijmy sobie do YouTube, zobaczymy, czy ktoś rozpoznał nas w przebraniu i czy w ogóle dzieje się coś ciekawego. Wiesz, że słupki oglądalności dalej są wysokie...? Ktoś wyznaczył nawet nagrodę za odnalezienie „sprytnej polskiej pary”, jak o nas napisano. Ale to było jeszcze przed nakręceniem filmiku z lotniska JFK. Chcę sprawdzić, czy ten anonimowy sponsor uznał nagranie za godne nagrody.

Matylda otworzyła komputer i zaczęła przegląd stron reality show z ich udziałem, na których roilo się od spekulacji, gdzie są, co robią i za ile... Każda strona miała odsyłacz do międzynarodowego listu gończego z ich wizerunkami.

Poza sceną z nowojorskiego lotniska było mnóstwo plotek, dywagacji i przypuszczeń, w których jawili się jako awanturnicy, szykujący się do jakiegoś „grubszego numeru”. Po rewelacjach Waśki Matylda w ogóle przestała się przejmować, co o niej mówią. Przez chwilę sama chciała umieścić wpis wykpiwający wszystkich „poszukiwaczy” prawdy, ale oczywiście nie zrobiła tego, gdyż hakerzy z pewnością czyhali na jakąkolwiek próbę kontaktu z jej strony. Raptem drgnęła, w sieci pojawił się filmik z Belmont Park. Konie galopowały, tłumy szalały, a obraz drgał i podskakiwał; widać było, że filmowano z telefonu. Ale po chwili obraz się ustabilizował i przy barierce wyraźnie widać było podekscytowaną Matyldę. Machała czymś trzymanym w rękę i głośno krzyczała. Nie można było odróżnić słów, bo krzyczeli wszyscy dookoła. Scena trwała bardzo krótko, raptem Matylda gdzieś zniknęła, i mimo iż widać było, że kamera jej szuka, nie pojawiła się więcej. Za to pod filmikiem z Nowego Jorku jako jeden z pierwszych pojawił się wpis Helenki: „Czekam. Na was wszystkich”.

– Spójrz. – Waśka właśnie wyszedł z łazienki i jeszcze wycierał rękami włosy, gdy Matylda podsunęła mu laptop pod nos. – Tęskni do ciebie.

– Ja do niej też. Ale o tym porozmawiamy innym razem. Teraz zadzwoń po waszego charakteryzatora i poproś, żeby przyszedł jutro rano, jak tam się umówiliście... ma z was zrobić rasowych Chińczyków. Tylko make up niech zrobi wam już na Manhattanie. Wczoraj zmieniamy hotel, tylko na moment przeprowadzki musicie wrócić do swoich wizerunków, bo przy meldunku musicie pokazać francuskie paszporty. Włosy ujdą, mieliście prawo je farbować. I chodźmy wreszcie coś zjeść, spieszyłem się do was i jestem głodny jak wilk.

Januszowi pomysł komandosa nadzwyczaj się spodobał, zeszli więc na dół i zaczęli przeglądać menu. Waśka na chwilę podszedł do bufetu i pytał o coś barmana. Raptem obok stolika, przy którym siedzieli pisarze i Hong Xuě, pojawił się jakiś szczupłutki, dość wiekowy Chińczyk i kłaniając się uprzejmie, zaczął coś szybko mówić do Janusza. Oczywiście po chińsku. Pisarz mruknął coś niezrozumiałe i bezradnie spojrzał na dziewczynkę. A ona, mała mądrała, zaczęła o czymś z ożywieniem opowiadać starszemu panu. W tym momencie przy stoliku pojawił się Wasilij i przejął prowadzenie rozmowy.

– Ten pan chciał was poprosić o polecenie jakiegoś dania. Przyjechał do wnuków, nie zna żadnego języka poza chińskim, a jego towarzysz, z którym tu przyszedł, gdzieś sobie poszedł. No i ten chiński staruszek poczuł się bardzo samotnie, a gdy tylko zobaczył ziomków... Mała spisała się wspaniale, zaczęła opowiadać o koniach, jakie widziała, o gonitwach, nawet bąknęła coś, uwierzcie, o Central Parku, kiedy ona się tyle dowiedziała... W każdym razie powiedziałem dziadkowi, co może tu zjeść. Teraz się nie odzywajcie, bo wytłumaczyłem mu, że jesteście głuchoniemi, stad niemożność porozumienia.

Janusz odwrócił głowę w stronę stolika, przy którym usiadł staruszek,

i przeszedł na język... migowy. Przykładając dłonie do oczu, nosa i ust, wyraził swoje ubolewanie, że nie potrafił pomóc w wyborze dania i inne grzeczności (przynajmniej tak później tłumaczył swoją wypowiedź Matyldzie...). Pisarz pomigał przez chwilę, po czym skłonił się uprzejmie zdumionemu Chińczykowi. Staruszek niczego oczywiście nie pojął, ale przynajmniej uwierzył bez zastrzeżeń, iż ma do czynienia z głuchoniemym. Matylda była bardziej zdumiona i zapominając o tym, że może się zdekonspirować, spytała Janusza, cóż on, u licha, robi i skąd umie tak migać?

Waśka usiadł tak, żeby Chińczyk nie widział Matyldy, i przypomniał jej, że przecież nie tylko on, Wasilij, był w Nowosybirsku. Był tam także Janusz. Wszystkie służby wywiadowcze świata uczą porozumiewania się wojskowym językiem migowym. Na szczeblu taktycznym... bywał nieoceniony, gdy należało zachowywać absolutną ciszę albo gdy dawało się nawiązać kontakt jedynie wzrokowy.

– Nie wiedziałam, partnerze, że masz takie przydatne, a głęboko tajone, umiejętności. – Matylda spojrzała na Janusza ze szczerym podziwem.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – szepnął Janusz. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przypomniał sobie polecenie Waśki. – Chodźmy stąd – poprosił – bo przecież nawet zamówić niczego nie będziemy mogli. Tu raczej nie znają języka migowego.

Wyszli więc z hotelu, a po kilku krokach pisarz porwał Hong Xuě na rękę i mocno uściśnął.

– Jesteś bardzo mądra i bardzo nam pomogłaś – powiedział, a Waśka przetłumaczył. Choć w zasadzie chyba niepotrzebnie, bo dziewczynka sama rozumiała, że jest chwalona.

\*

Ziao Yu Tian i Wang Jin He przeżyli straszne chwile podczas rozstania z córeczką. Zostawiali Hong Xuě w dobrych rękach, tak ich zapewniono. Rodzina, która zgodziła się zaopiekować dziewczynką, podobno „przechowała” już wiele takich dzieci. Niektórym znaleziono nowe domy, inne wróciły do prawdziwych rodziców, gdy tylko tata i mama jakoś stanęli na nogi w nowej rzeczywistości. Z wielkim trudem udało im się przetrwać gehennę emigracyjną, Yu Tian była już w piątym miesiącu, ciężę jeszcze jakoś dało się ukrywać, ale lekko nie było. Przyjaciele Jin He jednak nie zawiedli i wszystko zorganizowali wręcz wzorowo. Na szczęście mieli odpowiednią ilość środków, zbieranych w tym celu nie tylko przez Matki Tian’anmen, ale i przez przebywających już w Nowym Jorku kolegów informatyków, zrzeszonych w amerykańskiej sekcji chińskich studentów walczących na rzecz demokracji w ich ojczyźnie.

W Chinatown czekało na nich małe mieszkanko, na ich potrzeby zupełnie

wystarczające. Jin He marzył, że kiedyś przeniosą się do innej dzielnicy, ale Yu Tian była bardzo zadowolona.

– Przecież to Manhattan, wszędzie blisko i dookoła nasi rodacy. Lepszego miejsca do zamieszkania nie mogłabym sobie wyobrazić. Wszystko obok, na wyciągnięcie ręki. Za dwa dni jestem umówiona do ginekologa i musimy tylko przetrwać te kilka miesięcy. Potem sprowadzimy córeczkę i nareszcie będziemy żyć bez strachu, całą rodziną. – Yu Tian położyła obronnym ruchem rękę na brzuchu. – Poczekaj, Yuqi Érzy, niedługo poznasz Hong Xuě, swoją czcigodną siostrę. Pokochasz ją, zobaczysz.

Jin He nie lubił, gdy tak mówiła. Był przesądny, choć głęboko to ukrywał. Martwił się o ciężarną żonę, o nie narodzone dziecko, o pracę, wątpił też, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczą córkę. I trzeba przyznać, że miał się o co zamartwiać, może jedynie troska o pracę była niespecjalnie poważna... Był znakomitym informatykiem, firma, która go zatrudniła, pokładała duże nadzieje w jego umiejętnościach. W Pekinie pracował przy nowatorskim programie w dziedzinie, którą się zajmowali, i byliby bardzo zadowoleni, gdyby udało mu się skopiować chiński software... Nie bez kozery tak skwapliwie zgodzili się pomóc przy sprowadzeniu nielegalnego emigranta, przedtem sprawdzili, czy im się to opłaci.

Yuqi Érzy, Oczekiwany Syn, urodził się piętnastego maja, krzepki i zdrowy, Yu Tian zniosła poród bardzo dobrze, po czterech dniach rodzina była już razem. Matka cieszyła się z chłopca, to oczywiste, syn był wymarzony, wytęskniony, to dla niego przecież zdecydowali się na desperacki krok ważący na całym ich życiu. A jednak Yu Tian płakała po nocach. Chudła i marniała w oczach. Jin He widział to wszystko, ale obydwójce nie poruszali tematu, pamięć o starszej córce, tej, która w imię ich wyboru musiała znosić rozłąkę z rodziną... kładła się cieniem na sumieniach rodziców.

Przy okazji dokonywanych wpłat na utrzymanie małej ślali pytania o jej samopoczucie. Odpowiedzi zawsze brzmiały uspokajająco. Zdrowa, mało tęskni, dobrze się sprawuje. Jest rodzina zainteresowana adopcją, ale zgodnie z umową zatrzymują Hong Xuě jeszcze przez pół roku, o ile wpłaty będą nadchodzić terminowo, i w tym czasie prawdziwi rodzice mogą po nią przysłać. Tyle że koszty wzrosły niespodziewanie. Urzędnicy coraz chciwiej wyciągają ręce... Jin He musiał łożyć na córkę, opiekę zdrowotną żony i utrzymanie, toteż pieniędzy na sprowadzenie Czerwonego Śniegu wciąż brakowało. Amerykański pracodawca kooperował z Chinami i wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowany żadnymi bezprawnymi działaniami, sprawę uważa za zamkniętą. Jin He wiedział sporo więcej niż jego żona, już po fakcie dotarły do niego pewne niepokojące pogłoski o fałszywych sierocińcach i handlu dziećmi... ale nic nie mówił.

Mężczyzna w duchu pożegnał się już ze swoją córką, nie umiał jednak powiedzieć tego żonie.

I raptem, któregoś dnia nieznamy mężczyzna zaczepił Jin He, gdy ten wracał z pracy. Najpierw upewnił się, że ma do czynienia z chińskim dysydem o nazwisku Wang Jin He, a następnie opowiedział mu pewną historię. Historię, która tak poruszyła Chińczyka, że upił się po raz pierwszy w życiu. Nieprzytomnego Jin He ów świeżo poznany człowiek zaniósł na plecach do swojej kancelarii, wysyłając do domu ucieszoną takim obrotem sprawy sekretarkę. Ułożył emigranta na sofie, otulił kocem i po prostu poszedł do domu. Obok zostawił swoją wizytówkę.

Gdy następnego dnia po powrocie do domu, skrzyuczany przez odchodzącą od zmysłów żonę, Jin He zadzwonił do Oskara Longa – taki napis widniał na leżącej obok sofy wizytówce – *Private detective* – prawie znowu zemdlął z wrażenia.

– Odnalazła się nasza córeczka. Jest... jest gdzieś tu... blisko. – Podał telefon Yu Tian, bo głos odmawiał mu posłuszeństwa.

I właśnie za chwilę miało nastąpić spotkanie. Rodzice Hong Xuē stali przed pięknym hotelem na Manhattanie i po prostu bali się wejść przekonani, że albo wszystko im się śni, albo to jakiś okrutny żart. Weszli jednak do środka, portier zawiózł ich windą na osiemnaste piętro, a tam, w otwartych drzwiach stał dobrze nam znany mężczyzna, ubrany w znoszoną skórzaną kurtkę. Szerokie bary wskazywały, iż jego zawodem nie była praca siedząca.

– Bądźcie pozdrowieni, a w waszym domu niech zawsze gości szczęście – powiedział po mandaryńsku. – Wszyscy oczywiście znamy angielski, ale przypuszczam, że córeczka jeszcze nie na tyle, żeby prowadzić rozmowę w tym języku. – Waśka stał w drzwiach i jeszcze nie wpuszczał ich do środka, choć Yu Tian ze wszystkich sił starała się zobaczyć, kto jest w środku... – Chcę tylko uprzedzić, żebyście niczemu się nie dziwili i nie zadawali pytań. Wszystko wam wyjaśnimy za kilka chwil. Na razie przywitajcie się z Hong Xuē.

Weszli do apartamentu hotelowego. W środku stała jakaś chińska para, a zza nich wybiegła... ich dziewczynka. Ich córeczka. Ich ukochana Śnieżynka, którą już pożegnali w swych najgorszych snach.

Dziecko rzuciło się biegiem w stronę rodziców, ale jeden rzut oka na Waśkę spowodował, że nagle się zatrzymało.

– Nazywam się Hong Xuē i jestem dumnym obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej – wyskandowała, podnosząc prawą rękę do czoła i zaciskając małą pięść.

– Honsjuu, naprawdę nie musisz witać się z rodzicami w ten sposób. Niedługo już będziesz dumną obywatelką Stanów Zjednoczonych. Tak jak i oni.

Matka nie dała nawet skończyć Waśce tych kilku zdań. Rzuciła się na kolana



przed swoją córeczką, zaczęła ją tulić w ramionach i zarzuciła milionem szybko wypowiedzianych chińskich słów. Po sekundzie dołączył do nich Jin He.

Matylda i Janusz, ciągle przebrani za Chińczyków, wycofali się do pokoju obok, czekając aż Waśka wyjaśni rodzicom dziewczynki całą sytuację.

Ziao Yu Tian i Wang Jin He poznali przygody Hong Xuě, począwszy od jej ucieczki z „pensjonatu” po dalsze losy dziewczynki, którą zaopiekowali się pisarze z Polski, przywożąc ją w rezultacie do Nowego Jorku. Następnie Wasilij opowiedział chińskiej parze skróconą i ocenzurowaną historię Matyldy i Janusza, tłumacząc także ich nieco dziwne przebranie.

Rodzice małej Chincezki nie wiedzieli, jak mają im dziękować... dosłownie nie mogli się od nich opędnąć. Natomiast Hong Xuě, uczepliwszy się nogawki Janusza, zaczęła się zanosić płaczem.

– Wiedziałem, że tak będzie – mruknął Rosjanin i stwierdził, że wróci za kwadrans.

Rodzice dziewczynki, nieco zakłopotani, tłumaczyli coś córeczce w ich języku, a Janusz stał bezradnie, nie wiedząc, co począć. Próby przytulenia dziecka tylko wzmagaly płacz.

Na szczęście rzeczywiście po niespełna piętnastu minutach otworzyły się drzwi i wkroczył Wasilij, niosąc na rękach pociesznego szczeniaka... Małe uszka dumnie sterczały w górę, a puszysty ogonek wyrażał się radość.

– Honsjuu – powiedział komandos. – Pamiętasz naszą wizytę w dalekim kraju i wujka Fiedię? Siedziałaś tam u niego na balkonie i oglądałaś sobie figle szceniąt... ten będzie twój. To sunia. Łajka zachodniosyberyjska. Nawiązuje głęboką więź ze swoim właścicielem i zawsze jest przyjazna w stosunku do ludzi. Pokocha cię gorąco, jeśli będziesz ją dobrze traktować. I zawsze będzie ci przypominać nas wszystkich. Dbaj o nią dobrze. Na imię ma Śnieżka.

Waśka oddał szcenię Hong Xuě, a suczka, jakby wiedziała, co ma robić, polizała dziewczynkę po twarzy.

Dziecko roześmiało się srebrzyście i przytuliło Śnieżkę.

– Dziękuję – powiedziała po polsku, a trzeba pamiętać, że to nie jest łatwy język dla mieszkańców Państwa Środka.

Komandos zamienił jeszcze kilka słów z rodzicami Hong Xuě, mała raz jeszcze przyłgnęła do nogawki Janusza, a potem do Matyldy. Następnie wskoczyła w ramiona Rosjanina i wyszeptowała mu coś w ucho. Zaśmiał się, przytulił ją mocno i chińska rodzina wyszła.

– Co ty masz w sobie, że szaleją za tobą wszystkie dziewczyny – zażartowała Matylda. – Ech, gdybym ja nie miała swojego Janusza...

Patrzyła na Waśkę z podziwem.

– Naprawdę sprowadziłeś pieska z Nowosybirsk? Łajkę?

– Tak naprawdę to rzeczywiście jest łajka zachodniosyberyjska. Ale kupiłem

ją w Nowym Jorku, wczoraj. Wiedziałem, że podbije serce naszej małej i chociaż trochę osłodzi jej rozłąkę z wami. Ta bajka o piesku od wujka Fiedii z pewnością pomoże.

– Cóż, naprawdę wiesz, jak postępować z kobietami.

Pisarze mieli wreszcie czas dla siebie. Wychodząc, z upodobaniem przebierali się nie tylko za Chińczyków, lecz i za inne nacje, jakich pełno spotykało się w Nowym Jorku, a nawet za dostawców pizzy albo hippisów. Pragnęli ostatni tydzień spędzić incognito, rozkoszując się wolnością, i nie dać się namierzyć. Internet oczywiście nie spał, to smok, który nigdy nie śpi, ale Matylda z dziką satysfakcją obserwowała na stronach reality show, że widziano ich ponoć w Norwegii, to znów ktoś ich sfilmował w oknie hotelowym w Reykiaviku, inny upierał się, że są w pewnym indyjskim szpitalu, specjalizującym się w nielegalnych zabiegach upiększających... nawet miał na poparcie swej teorii zdjęcie: dwie dokładnie zabandażowane twarze.

Horrendalnie drogi apartament na Manhattanie oferował wszelkie luksusy, na jakie tylko mogliby wpaść nasi milionerzy. Bycie bogatym zaczęło im się coraz bardziej podobać. Do tego stopnia, że Matylda znów zaczęła myśleć o reszcie należnego jej spadku po Osmanie Talko. A były to całkiem przyjemne myśli...

Dzień trzydziesty

*Pewne sprawy zaczynają się wyjaśniać...*

– Halo, Josh?

– Tak, przy telefonie... – potwierdził męski głos w słuchawce. Nagle rozpoznał głos Matyldy i zawołał z nieskrywaną radością: – No nareszcie, gdzież cię nosiło?!

– A tu i tam...

– Boże, co wyście wszyscy nawyprawiali! Szukają was setki ludzi, jakbyście byli jakimś Yeti. W internecie aż roi się od spekulacji, a to, że zostaliście porwani przez islamistów albo siedzicie w tajskim więzieniu, to znów, że widziano was w Indiach, ukryliście się w slumsach Rio de Janeiro, zginęliście w dżungli, złapała was mafia i usiłuje wydobyć od was informację, gdzie ukryliście ten milion, a nawet, że pokłóciliście się i ścigacie wzajemnie. Idą zakłady o to, czy odnajdziecie się żywi, a stawki wciąż rosną.

– Znając cię, sędzę, że sam też coś obstawiłeś?

– Mnie nie wolno, bo sam uczestniczę w przedsięwzięciu jako organizator. Byłoby to zachowanie wysoce nieetyczne.

– Ale pewne podstawione osoby, które nie mają z tobą bezpośrednich powiązań, mogłyby. Mówię oczywiście czysto hipotetycznie...

– Hipotetycznie to właśnie ty mogłabyś wykorzystać ten milion do obstawienia, powiedzmy... nieszczęśliwego wypadku, w którym zginiesz – zauważył Josh dziwnie rozmarzonym głosem. Ciągnął dalej, upajając się własnymi wizjami: – Potem na miejsce wypadku wystarczy podrzucić ciało jakiejś niezwykle podobnej do ciebie dziewczyny. Najlepiej, gdyby spłonęła we wraku rozbitego samochodu... namówić Janusza i Wasilija do potwierdzenia tożsamości zwłok, po czym zgarnąć piękną sumkę. Wystarczyłoby na operację plastyczną i nową tożsamość...

– Przestań, bo mi się robi niedobrze. Nie powiesz mi chyba, że ktoś obstawia podobne absurdy?

– Od chwili twojego tajemniczego zniknięcia z rzymskiego hotelu to jedna z częściej rozważanych wersji – oświadczył Josh z satysfakcją. – Albo że jedno udusiło drugie i ukrywa się teraz na jakiejś tropikalnej wyspie. Zgadniesz, kogo najbardziej o to podejrzewają, o eliminację współników...?

– Ja bym podejrzewała ciebie – wycodziła Matylda, nie kryjąc złośliwości.

– Ja nie muszę się chwytać takich desperackich kroków, w każdej sytuacji jestem do przodu – odciął się Josh. – Wiele mogłem się spodziewać, ale nie tego, że pofruną za wami międzynarodowe listy gończe. Moje gratulacje!

– Słyszę, że jesteś w znakomitym humorze?

– Ty również powinnaś... – zawiesił tajemniczo głos.

– A to czemuż?

– Film z twoją spektakularną ucieczką z tarasu hotelu wciąż bije rekordy oglądalności. Miałem już parę telefonów od producentów filmowych z nadzwyczaj interesującymi propozycjami ról... Gdybyś zechciała uczynić mnie swym agentem, gwarantuję, że nie pożałujesz. Muszę tylko zaznaczyć, że gdybyś miała inne plany odnośnie do rozpowszechniania swojego filmiku z tego obiektu, to jako producent programu mam na niego wyłączność.

– Uważaj, żebyś sam nie pożałował! A tam w hotelu działo się coś zupełnie innego, niż wszystkim się zdaje... Miałam dość szpiegowania, więc wystawiłam wszystkich do wiatru.

– Uciekając nago z hotelu? Przyznaję, sam nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wyglądałaś, jakbyś zupełnie nie miała pojęcia, że jesteś filmowana. Co za odwaga i polot! Nawet policja jest w kropce i...

– Policja otrzymuje właśnie nasze zeznania – wtrąciła Matylda. Simonetta wróciła już do Rzymu, udała się na posterunek i zdążyła zadzwonić do Wasilija, wykorzystując przysługujące jej prawo do rozmowy telefonicznej. – Słuchaj,

dzwonię, żeby umówić się na spotkanie i rozliczyć warunki umowy. Minął miesiąc, milion został wydany. Mogę wszystko udokumentować.

No, może nie wszystko, ale on nie musi tego wiedzieć... Zebrane rachunki opiewały głównie na horrendalne kwoty wydane na apartament na Manhattanie oraz hotele w Pradze, Paryżu i Rzymie. Dochodziły bilety i rachunki z restauracji, ale do miliona brakowało blisko dwustu tysięcy dolarów. No, trochę ponad sto, po odliczeniu pięciu procent, które nie musiały być dokumentowane. Wydatki w Chinach, zakup fałszywych paszportów, łapówki oraz podobne koszty mogły stanowić kwestię sporną, zwłaszcza że musieliby przyznać się do wielokrotnego łamania prawa. Wprawdzie umowa nie precyzowała, że mieli oddawać się wyłącznie legalnym rozrywkom, do tego Waśka obiecał „wpłynąć” na Josha po swojemu, by ten nie robił trudności, jednak Matylda wołała załatwić wszystko polubownie. O ile będzie to możliwe. Bo tak naprawdę, od momentu gdy pojawiła się Czerwony Śnieg, cała reszta stała się dla niej sprawą błahą. Liczyło się tylko szczęście i przyszłość dziewczynki. Cóż po spadłej z nieba fortunie, gdyby nie udało się zapewnić szczęścia temu dziecku, którego serduszko było jak strwożony ptak? Matylda wiedziała, że miliony innych maleńkich serduszek – ofiar szalonej polityki chińskiego rządu – wołało o pomoc. Lecz świat był głuchy i ślepy. Wielka polityka i wielkie pieniądze nie znają pojęcia miłosierdzia.

Ale przynajmniej Czerwony Śnieg zazna trochę szczęścia. Może jej historia, której Matylda nie zamierzała trzymać w tajemnicy, będzie choć małym kamyczkiem wyjętym z muru obojętności świata wobec cierpiących w milczeniu dzieci...

Do zamyślanej przez chwilę Matyldy zaczęły docierać dziwne miny oraz gesty siedzącego naprzeciw Janusza, mające zapewne przywołać ją do rzeczywistości, toteż przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

– ...się cieszę, bo już się bałem, że więcej cię nie zobaczę. – Josh kończył jakąś wypowiedź. – To jak, zgadzasz się?

– Zaraz... możesz powtórzyć? Były jakieś zakłócenia i niezbyt dobrze słyszałam.

– Pytałem, kiedy się umówimy? Proponuję za dwa dni. Przyślę po was samochód z kierowcą.

– Dwa dni mówisz... – powtórzyła, patrząc pytająco na Janusza i Waškę. Mężczyźni wymienili spojrzenia i zgodnie kiwnęli głowami. – Okej. Gdzie się spotkamy?

– Pozwól, że od razu nie zdradzę wszystkiego. To ma być niespodzianka, a ty, zdaje się, lubisz niespodzianki?

– Zależy, jakiego rodzaju...

– Więc ustalone, jesteśmy umówieni – zakończył Josh i przerwał połączenie.

Matylda streściła swym towarzyszom przebieg rozmowy, choć większości

mogli się domyślić z kontekstu.

– Josh wyglądał na zadowolonego, że się odnalazłam.

– To zrozumiałe – powiedział Janusz. – Pamiętaj, że on ma dostać resztę spadku po pradziadku, pod warunkiem że najpierw wypełni zobowiązania wobec ciebie. Więc zależało mu, abyś się znalazła.

– A przynajmniej moje zwłoki – zauważyła sarkastycznie Matylda.

– Nie dramatyzuj. Trzydzieści dni minęło, forszę roztrwonilaś zgodnie z umową, należy ci się więc twoja część spadku.

– Jestem tego samego zdania – oświadczył Wasilij. – Wystawię wam nieco zawyżony rachunek za swoje usługi, to powinno załatwić sprawę, bez potrzeby wskazywania kosztów fałszywych paszportów, łapówek i rejsu po Jangcy.

– To powinno się udać. – Matylda odetchnęła. – Wynajęcie przewodnika w zasadzie mieści się w kategorii rozrywek. Dziś masa ludzi wynajmuje osobistych doradców, trenerów, dietetyków, masażystów i diabli wiedzą kogo. To zupełnie normalne. Josh nie powinien tego podważyć. A jak coś będzie kombinować...

– Mógłbym zobaczyć tę umowę? – zapytał komandos.

– Co? – Matylda przez chwilę wyglądała, jakby nie rozumiała. Popatrzyła bezradnie na swojego partnera. – Ja jej nie mam... Janusz, chowałeś ją?

– Myślałem, że ty ją schowałaś.

Pisarka przeszukiwała boczne kieszenie plecaka z coraz bardziej niepewną miną. Znalazła jedynie odręcznie napisaną kartkę ze swoim podpisem.

– Mam tylko oświadczenie, że otworzył mi konto na kwotę miliona dolarów.

– A testament pradziadka Josha, Osmana Talko? – dociekał komandos.

– Testamentu nie widziałam na oczy – wyjaśniła. Widząc marszczące się brwi Waśki, poprawiła się szybko: – To znaczy, w Pradze Josh pokazał mi pisany po angielsku dokument, ale nie wczytywałam się... Rozumiesz, właśnie dostałam milion dolarów, więc byłam w niezłym szoku, potem jeszcze rąbnęła mnie wiadomość, że mam to wydać w miesiąc i tak jakoś...

– Boże, z kim ja się zadaję – Wasilij pokręcił głową, jakby nie mieściła mu się w niej taka bez troska. Wydobył z kieszeni kurtki piersiówkę, pociągnął dwa łyki i podał ją Januszowi. – W każdym razie Czerwony Śnieg jest z rodzicami, Simonetta wyjaśniła już, co trzeba włoskiej policji, a my jesteśmy umówieni z Joshem. Listy gończe zostały wycofane, chociaż nie obejdziesz się bez wyjaśnień na komisariacie. Ale to może poczekać. Jestem w kontakcie z *commissario* Barbieri, który jest gotów iść nam na rękę, w zamian za przypisanie sobie całej zasługi w zatrzymaniu Carla d'Alviniego. Zapewne liczy na awans. Myślę, że możesz spokojnie planować, na co wydasz fortunę zapisaną przez Osmana Talko spadkobierczyni swej babci.

– Chciałabym. Ale jest mały problem, o którym zdajesz się nie pamiętać...

– Ja pamiętam o wszystkim – zachnął się Waśka.

– Tak ci się zdaje... – Matylda utkwiała w komandosie pełne wyrzutu spojrzenie. – A czy również o tym, że przylecieliśmy do Stanów na fałszywych paszportach, więc niedługo zostaniemy deportowani bez prawa powrotu? I to w najlepszym wypadku, bo mogą nam -postawić o wiele poważniejsze zarzuty.

Zamiast odpowiedzieć, Rosjanin wyjął z bocznej kieszeni kurtki ich polskie paszporty i podał Matyldzie. Przyjęła je ze wzruszeniem ramion, bo co z tego, skoro i tak nielegalnie przekroczyli granicę? Zaczęła bezmyślnie kartkować dokument i raptem aż krzyknęła.

– Tu są amerykańskie wize! Waśka, jakim cudem?

– Cuda zostawmy siłom nadprzyrodzonym. – Odebrał piersiówkę od Janusza i uraczył się jej zawartością. Wszystko jest kwestią właściwych znajomości oraz przysług, za które można żądać rewanzu...

– Ale w paszportach brakuje stempla kontroli granicznej.

– Cóż za problem? Trzeba się tylko wyrobić w dwa dni. – Zerknął na zegarek. – Za trzy godziny macie samolot do Paryża. Na Orly spuścicie francuskie paszporty w toalecie i najzupełniej legalnie złapiecie lot do Nowego Jorku już na własnych paszportach. Będę tu na was czekał.

Matylda miała ochotę rzucić mu się na szyję, lecz powstrzymała ją obecność Janusza.

– A co ty tu będziesz sam robił... – Miała nadzieję, że ich anioł stróż z nimi poleci.

– Jakoś przeżyję. – Znów zerknął na zegarek – No, pora na was. Taksówka będzie za kwadrans czekać na dole, zbierajcie się.

– Czemu nie lecisz z nami? – Matylda rozejrzała się po skromnym pokoiku w motelu na przedmieściach Nowego Jorku. Pora szalonego wydawania forsy minęła, musieli korzystać z własnych zasobów. – Będziesz się nudził.

Waśka wyjął cygaro i obrócił w palcach, nasłuchując szelestu dobrze wysuszonego tytoniu.

– Czasami człowiek tęskni, aby się trochę ponudzić.

Matylda intuicyjnie podejrzewała, że ich przyjaciel bynajmniej nie zamierzał się nudzić. To nie leżało w jego charakterze. Zawczasu załatwił im wize i wysyłał do Paryża, co dawało mu ze dwa dni na rozmyślanie o pewnych stęsknionych szarych oczach, które ktoś za nim wypłakuje... Matylda była przekonana, że nie skończy się na samym rozmyślaniu. Komandosi, nawet byli, to przecież ludzie czynu. I kochać też potrafią.

Kiedy za pisarzami zamknęły się drzwi, Waśka otworzył szeroko motelowe okno, zapalił wreszcie cygaro i przez dłuższą chwilę delektował się aromatycznym dymem. Następnie sięgnął po telefon, układając sobie w myślach słowa, jakie chciał przekazać czekającej w ciasnym rzymskim pokoiku dziewczynie o szarych oczach. A potem poprosił ją, żeby rzuciła wszystko i wsiadła w pierwszy samolot

do Nowego Jorku...

Odebrała po trzech sygnałach.

– To ty? Nareszcie dzwonisz... Chociaż liczyłam, że zadzwonisz do drzwi.

– Lubisz niespodzianki, prawda?

– Wszystkie kobiety je lubią.

Waśka usłyszał w jej głosie radość, tęsknotę i... niepewność. Miał zamiar wszelkimi sposobami nakłaniać ją, by przyleciała do niego, lecz raptem wpadło mu coś innego do głowy.

– Dzwonię, bo bardzo chciałem usłyszeć twój głos.

– Tylko usłyszeć?

– I przyrzec, że nasze spotkanie będzie czymś wyjątkowym.

– Wiem, że takie będzie. Nawet gdyby miało być tylko czymś przelotnym...

– Daj mi jeszcze parę dni, a postaram się udowodnić, że nie ma takiego słowa w moim słowniku. Są pewne sprawy do zakończenia, a chcę przyjechać zupełnie wolny od jakichkolwiek zobowiązań. Zaczekasz jeszcze na mnie?

– Czekałabym nawet, gdybyś nie dzwonił. Albo powiedział, że wyjeżdżasz na rok na Antarktydę. Chociaż wolałabym, żebyś mnie ze sobą zabrał.

– Zabiorę cię gdzieś, gdzie jest znacznie cieplej.

– Obiecujesz?

– Nie musisz pytać.

– Wiem. Ale lubię słuchać twojego głosu...

\*

Josh zadzwonił po dwóch dniach, zgodnie z obietnicą pytając, gdzie ma przysłać po nich samochód. Mog-ło to oznaczać, że przestali już być śledzeni albo że przedsiębiorczy chłopak chciał, aby tak myśleli. Ustalenie adresu motelu nie byłoby dla niego trudne, zwłaszcza że od początku zameldowali się pod własnymi nazwiskami. Recepcjonisty nie interesowały dokumenty, skoro płacili z góry gotówką. Tak czy inaczej, o ustalonej porze na podjeździe zaparkowała długa limuzyna z przyciemnianymi szybami. Matylda włożyła sukienkę bez pleców, którą w tajemnicy przed Waśką wozila ze sobą w plecaku. Komandos wciąż sarkał na zbędne bagaże, jakby nie pojmował, że kobieta musi mieć choć jedną kreację absolutnie wystrzałową! Januszowi, mimo jego słabych protestów, kupiła podczas wypadu do Paryża szykowną marynarkę, czarną koszulę i jasnoszare spodnie do kompletu. W efekcie wyglądali tak, że mogli pokazać się na gali wręczenia Oscarów. Wasilij pozostał w surowej skórzanej kurtce. Odwiedził jedynie fryzjera i teraz, zdaniem dziewczyny, przypominał komandosa na wakacjach. Czyli samego siebie.

Usiedli na skórzanych kanapach umieszczonych przeciwstawnie do siebie. W limuzynie działała klimatyzacja, był dobrze zaopatrzony barek, z którego Waśka

nie omieszkał skorzystać, nalewając sobie do grubej szklanki na dwa palce whisky. Od szofera w czapce z daszkiem oddzielała ich szyba, mająca zapewne gwarantować pasażerom minimum intymności. Matylda i Janusz nie znali na tyle Nowego Jorku, by zorientować się, dokąd jadą. Obserwowali zatłoczone ulice, przepych sklepowych witryn i przechodniów o różnych kolorach skóry. Matylda nie mogła oprzeć się refleksji, że nowojorczycki od mieszkańców europejskich metropolii odróżniali się znacznie swobodniejszym stosunkiem do panującej mody, a wręcz jej lekceważeniem. Więcej też niż gdzie indziej widziało się ludzi, na których figurach odcisnęło swe piętno zamyślenie do fast food i ulicznych stoisk z hot dogami. Limuzyna zatrzymała się przed lśniącem od szkła i metalu biurowcem. Za rozsuwanymi drzwiami czekała hostessa z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Była o pół głowy wyższa od Wasilija, jej granatowy uniform przypominał skrzyżowanie biurowej garsonki ze strojem kelnerki w nocnym klubie. Hostessa, czy może sekretarka, musiała widzieć wcześniej ich zdjęcia, ponieważ zwróciła się do nich bez chwili wahania, oznajmiając, że pan Josh Talko oczekuje w swoim gabinecie.

Winda większa od niejednego pokoju hotelowego zawiozła ich na dwudzieste piętro, gdzie hostessa -zaprowadziła gości pod drzwi opatrzone mosiężną -tabliczką: JTC World Netss.

Z okna widać było dachy sąsiednich biurowców. Pokój był mniejszy niż się Matylda spodziewała, mieścił jedynie szerokie biurko z komputerem, obrócony do okna fotel z wysokim oparciem, parę zamkniętych regałów oraz okrągły stolik obstawiony kilkoma fotelami. Z jednego z nich podnosił się właśnie nobliwie wyglądający starszy pan w czarnym garniturze. Prawnik albo przedsiębiorca pogrzebowy – oceniła Matylda, ale gdzie jest Josh...

– Cieszę się, że cię widzę całą i zdrową po tym niesamowitym miesiącu – powiedział z szerokim uśmiechem Josh, który zmaterializował się w fotelu, obracając go w stronę gości... Wyszedł zza biurka i rozłożył ramiona, jakby chciał objąć Matyldę, jednak na widok jej chłodnej miny poprzestał jedynie na uściśnięciu ręki. – Wasze wyczyny były czymś wprost rewelacyjnym! Cały świat śledził je z zapartym tchem.

– Nie przesadzajmy z tym całym światem. – Wydęła usta. – Chwilowe zainteresowanie prędko przeminie. Wykorzystałeś sytuację, a ja nie do końca wiedziałam, na co się piszę. Słówkiem nie pisałeś na przykład o przekupywaniu personelu i ukrytych kamerach w hotelu! Dobrze, że w porę się zorientowałam.

– Nie mam z tym nic wspólnego. – Josh zamachał dłońmi. – Nie odpowiadam za pomysły, jakich internauci się czepiali, aby cię śledzić. Sam byłem zaskoczony.

– Litości, sądzisz że uwierzę?

– To właściwie nie ma znaczenia, prawda? – Uśmiechnął się drwiąco. –



Mam zresztą wrażenie, że nadzwyczaj sprytnie podkręcałaś zainteresowanie. A numer ze zniknięciem był istnym majstersztykiem! Ludzie stawali na głowie, żeby was znaleźć, widziano was niby w dziesiątkach miejsc, ale nikt nie miał pewności. Nawet kiedy trafiło do sieci nagranie z lotniska w Nowym Jorku. Czas chyba obwieścić światu, że się odnalazłaś?

– Wiesz, gdzie mam świat z jego ciekawością?! – warknęła Matylda.

– Wyobrażam sobie... – Drwiący uśmiezek nie zniknął z ust Josha. – Ale zwracam ci uwagę, że jeśli nie ogłosimy szczęśliwego finału, to jeszcze długo nie zaznasz spokoju. Będą dalej cię tropić dniami i nocami. Chyba że na tym właśnie ci zależy...?

Matyldzie zrobiło się słabo na myśl, że ten chłopak, zepsuty czasami, w jakich żyje, może mieć rację. Pragnęła spokoju i powrotu do dawnego życia, bez nieustannego poczucia, że jest tropiona, śledzona, nagrywana. Niech to się raz na zawsze skończy!

– Zamówiłem studio telewizyjne i zaprosiłem dziennikarzy na galę finałową – ciągnął z zadowoleniem Josh. – Liczę, że pojawisz się z przyjaciółmi?

– Zastanowię się.

Nobliwie wyglądający pan w garniturze chrząknął, jak gdyby pragnął zwrócić na siebie uwagę obecnych.

– Pan Izaak Goldenmayer prowadzi kancelarię prawną zajmującą się realizacją testamentu pradziadka – wyjaśnił Josh. – Jest tutaj, aby czuwać nad wypełnieniem ostatniej woli Osmana Talko. Bo, jak rozumiem, wydałaś co do centa ten milion dolarów?

Matylda skinęła na Janusza, który położył na biurku plastikową teczkę.

– Tu są wszystkie rachunki. Przejrzyjcie je, podliczcie przy nas. Jeśli będą potrzebne jakieś wyjaśnienia, to jestem do dyspozycji – oznajmiła, usiłując ukryć niepewność w głosie. – I miejmy to już za sobą.

Wasilij z demonstracyjną swobodą usiadł w fotelu pod ścianą. Posłał w kierunku Matyldy pełne otuchy spojrzenie i wyjął cygaro. Zapalił je, nie przejmując się żadnymi przepisami przeciwpożarowymi, jakby spodziewał się, że nieprędko przyjdzie im opuścić pomieszczenie.

– Tak, co my tu mamy... – Josh zajrzał do teczki, przełożył kilka papierków, ale nie wydawał się nimi szczególnie zainteresowany. – Widzę tu trochę fanaberii, ale wierzę ci na słowo, że wszystko jest w porządku. Akceptuję.

Matylda otworzyła szeroko oczy, nie mogąc pojąć, iż wszystko poszło tak gładko. Obeszło się nawet bez interwencji ich osobistego komandosa, który zarzekał się, że w razie komplikacji przemówi Joshowi do rozsądku. Ale najwyraźniej nie będzie to konieczne, a i obecny w pokoju prawnik również nie zgłaszał zastrzeżeń. Wyjął z teczki owinięty w pergamin pakunek przewiązany czerwoną wstążką i podał go z szacunkiem pisarce...

– Oto przedmiot, który zgodnie z ostatnią wolą nieodżałowanej pamięci Osmana Talko zobowiązany byłem przekazać żyjącym potomkom jego narzeczonej. Tym samym wola testatora została wypełniona, a pan Josh może wejść w posiadanie reszty majątku. Moja -rola dobiegła tym samym końca.

Starszy pan skłonił się obecnym w pomieszczeniu, zabrał swoją teczkę i wyszedł. Oszołomiona dziewczyna przez chwilę taksowała wzrokiem tajemniczy pakunek, mimowolnie wyobrażając sobie spoczywające w nim klejnoty... Oprawione w stare złoto rubiny, szmaragdy, a może nawet diamenty, które miała dostać po ślubie jej babcia... Wreszcie rozwiązała wstążkę i odwinęła pergamin.

Trzymała w dłoniach starą fotografię oprawioną w misternie zdobione ramki. Pod fotografią był jeszcze jeden pakiecik, starannie owinięty folią, dużo grubszy od fotografii w sporej ramce. Matylda spojrzała najpierw na konterfekt. Natychmiast rozpoznała babcię Marię i Osmana. To było ich ostatnie wspólne zdjęcie z czasów narzeczeńskich.

– Piękne, prawda? – zapytał Josh.

– Tak, ale... Nie rozumiem. To wszystko?

– Do tego są jeszcze te listy. – Prawnuk Osmana wskazał na zafoliowany pakiecik. – No i nie zapominaj o milionie dolarów, który tak ochoczo roztrwoniałś. Przeżywając przy okazji masę przygód. Nie wątpię, że było warto.

– Josh... Twierdziłeś, że jeśli wydam ten milion w miesiąc, otrzymam dalszą część spadku o wartości wielokrotnie większej.

– Tak? Nie przypominam sobie. – Chłopak zrobił zdumioną minę. Następnie powiedział z nieskrywanym szyderstwem: – Tak trudno oszacować wartość przedmiotów. Sądziłem, że taka fotografia będzie dla wnuczki Marii wprost bezcenna. Oraz oczywiście listy babci.

– Oszukałeś mnie!

– O czym ty mówisz? Dostałaś milion dolarów zgodnie z wolą pradziadka?

– Ale...

– Jestem pewien, że pieniądze zapewniły wam niezapomniane wrażenia. – Josh powędrował za swoje biurko i usiadł w fotelu. Wydobył z szuflady kilka kartek i rzucił na blat. – Oto kopia testamentu, który znajduje się w kancelarii Izaaka Goldenmayera. Przeczytaj sobie, jeśli masz ochotę, ale mogę ci go streścić w skrócie. Osman istotnie obarczył mnie obowiązkiem odszukania potomków Marii i wypłacenia im miliona dolarów. Pod takim warunkiem miałem otrzymać resztę spadku, który w całości opiewa raptem na niecałe trzy miliony. Rozumiesz więc, że fanaberia stetryczalego starucha, targanego jakimś wydumanymi wyrzutami sumienia, wydała mi się... zbyt kosztowna. Jednak prawo jest prawem, nie było sposobu na zakwestionowanie tej części testamentu. Goldenmayer jest starym przyjacielem Osmana, nie dopuściłby do tego. Jednak wpadłem na genialny pomysł, jak uczynić zadość temu warunkowi i dobrze na tym zarobić. – Josh

wyglądał jak kot, który opił się śmietanki. – No, rusz głową. Nie domyśliłaś się jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie było żadnego warunku o wydaniu miliona w miesiąc? – odezwał się Janusz.

– Dziwię się, że w ogóle uwierzyliście w coś takiego. – Josh pokręcił z politowaniem głową.

– Ale co ci z tego przyszło? – Matylda miała dość tej rozmowy, jednak chciała wyjaśnić wszystko do końca. – I tak pozbyłeś się tego miliona.

– Dziewczyno, nie rozumiesz, jak działa internet. Całą akcją zapracowałem na rozgłos i uznanie branży, w której działam. Moje reality show, w miarę wzrastania słupków oglądalności, zdobywało coraz moźniejszych sponsorów. Do tego dochodzą niebagatelne wpływy z reklam, ukrytych promocji oraz wyświetleń setek stron, gdzie kopiowano filmiki z twoimi wyczynami. Bukmacherzy zacierali ręce, przyjmując zakłady, czy ci się powiedzie, a nawet, czy jeszcze żyjesz... Ten głupi milion zwrócił mi się z nawiązką.

– Mogę cię pozwać do sądu, gdzie... – szepnęła Matylda i urwała, zdając sobie sprawę, że to jedynie czcza groźba. Podpisała dobrowolnie umowę i nie stać jej było na prawników, którzy stoczyliby dla niej batalię w amerykańskim sądzie. Chciała jeszcze tylko wyjść z twarzą, ale najwyraźniej Josh miał wszystkie atuty w ręku. Żeby nie dać po sobie poznać poczucia porażki, wzięła do ręki kopię testamentu pradziadka, udając, że studiuje go uważnie.

– Zrób to, pozwij mnie! Nigdy za wiele rozgłosu – ucieszył się „złoty chłopiec”. – Tylko nie zapominaj, że podpisałaś umowę oraz własnoręcznie napisałaś mi oświadczenie o przyjęciu miliona dolarów.

– O niczym nie zapominam... – mruknęła, odwracając się do niego plecami. Coś, co przed chwilą padło z ust Josha, sprawiło, że Matyldzie mocniej zabiło serce. Zwłaszcza w zestawieniu z przeczytanym przed chwilą paragrafem testamentu... Przeczytała go jeszcze raz, potem następny.

Zauważyła naraz, że Waśka przygląda się jej pytająco, niby od niechcienia muskając dłonią poję kurtki, gdzie zwykle trzymał broń. Komandos miał wyraźną ochotę włączyć się do rozgrywki, czekał jedynie na jej sygnał.

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą. – Odwróciła się do Josha. – Mamy u nas takie przysłowie, które brzmi po polsku: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

– Nie rozumiem. Możesz przetłumaczyć?

– Trzeba się było uczyć języków – zauważyła wielce uprzejmym tonem. – To gdzie i kiedy ta gala finałowa?

– Więc zdecydowałaś się w niej uczestniczyć?

– Jasne. Jak się bawić, to do końca.

– Za trzy dni w siedzibie TV Trust & Stars.

\*

Helenka chodziła po swoim małym mieszkanku jak rozjuszona pantera. „Czekaj na mnie. Już niedługo po ciebie przylecę...”. Łatwo powiedzieć. Niedługo? Przylecę? Zabiorę cię gdzieś... Cóż to ma znaczyć, u licha? Czy chce ją zabrać na urlop? Czy znowu na jakieś szaleństwo, jak wtedy w Szczepankowie?! Burzyła się, bo sama przed sobą wołała się nie przyznawać, że najbardziej chciałaby, żeby zabrał ją ze sobą na zawsze. Nawet na Antarktydę albo do tego swojego Nowosybirsk, choć obiecał miejsce znacznie cieplejsze. Właściwie nie wiedziała niczego konkretnego, najważniejsze jednak, że przynajmniej zadzwonił. Bo tak szalenie tęskniła... Jak to on niedawno powiedział? „Skuczal za taboj... Kak nikagda rańsze”. O tak, schowała te słowa w głębi serca. Codziennie rano budziła się z tym jego wyznaniem, które było jak balsam.

Zadzwonił. Kilka słów, a ona nie mogła się nadziwić, że jest taka szczęśliwa. Jakoś dziwnie wierzyła w jego obietnice, choć życie już skopało ją kilka razy i zawsze powtarzała sobie: nigdy więcej! A tu raptem ON, taki... dzikus... znikąd – lub zewsząd – i wszystkie jej przyrzeczenia poszły w ką. Liczyły się tylko te jego zielono błyskające ślepie i nierówna blizna na policzku.

Chodziła do pracy i wracała jak na skrzydłach. Minęły dwa dni, lecz ani wczoraj, ani dzisiaj nikt nie stał oparty niedbale o uliczną latarnię... Jak wtedy – wydawało jej się, że to tak dawno, jakby minęły od tego spotkania całe wieki... gdy przyszedł do niej w tej powycieranej skórzanej kurtce... To nie mógł być tylko realistyczny sen, Waśka był, jak znów będzie. Dziś nie, ale może jutro... Cóż, obiecała czekać, więc czeka i już.

– Uff, dziewczyno! Skąd w tobie tyle siły? – Wisiała na nim, skoczywszy mu w ramiona zaraz po otwarciu drzwi. – Pozwól mi chociaż zdjąć plecak. – Waśka śmiał się od ucha do ucha, a Helenka całowała go, dosłownie nie mogła się oderwać. – No dobrze, na razie wystarczy, bo nigdy stąd nie wyjdziemy, trzeba cię jeszcze spakować...

– Jakie mam brać ciuchy, letnie? Na jak długo?! – Helenka najchętniej usłyszałaby: „wszystkie i na zawsze”, ale usłyszała tylko, że lekkie na kilka dni.

– Zaraz ruszamy, nie pytaj, to ma być niespodzianka.

Dobrze, o nic więc nie pytała. Złapała plecak, który i tak miała już na wpół spakowany po jego ostatnim telefonie. Wcisnęła tam jeszcze kostium kąpielowy (skoro „lekkie rzeczy...”), okulary przeciwsłoneczne i krem do opalania. W ostatniej chwili dołożyła jeszcze ciepłą bluzę, bo zawsze wołała, gdy było jej za ciepło, niż za zimno – i ogłosiła gotowość.

– Zuch dziewczyna – usłyszała i dosłownie została wyciągnięta za drzwi, choć przecież właściwie wcale się nawet nie przywitani. Nie tak sobie wymarzyła te ich pierwsze chwile. Ale poddała się woli tego wojownika, który znał pola bitew

całego świata, myśląc, że przecież właściwe powitanie i tak nastąpi. „Na kilka dni” powiedział. To mało, ale jakby tak policzyć godziny, już robi się trochę więcej.

Przed domem stał niewielki fiacik z emblematem wypożyczalni samochodów, co Helenkę, kojarzącą Wasilija z dobrymi drogimi samochodami, nieco przystopowało.

– Gdzie jedziemy? – Nie wytrzymała, choć miała o nic nie pytać.

– Mogę ci powiedzieć, ale czy to nie ty zapewniałaś mnie niedawno, że wszystkie kobiety lubią niespodzianki?

– Więc może zawiążesz mi oczy?

– A wiesz, to całkiem dobry pomysł. Że też sam na to nie wpadłem... Nie mam tylko żadnego szalika pod ręką.

– Mogę pożyczyć ci koszulkę.

– O nie, tylko nam zbiegowiska brakowało!

Droczyli się tak przez parę minut i raptem fiacik zahamował, a Helena dostrzegła, że znaleźli się na terenie jakiegoś lotniska. Chyba prywatnego. Ujrzała kilka helikopterów oraz małych samolotów. Zaświeciły się jej oczy i zakręciło w głowie...

Po kilku godzinach byli u kresu podróży. Helenka spodziewała się lotu do Francji, słyszała opowieści o pałacu nad Loarą hrabiny de Riquet, myślała też o sentymentalnej wyprawie do Paryża albo nawet do Pragi, do której Waśka kiedyś obiecał ją zabrać, usłyszawszy, że nigdy tam nie była. A wylądowali... na trawniku przed ośrodkiem w Szczepankowie! Jego właściciele, Halina i Piotr, machali radośnie rękami, a Lady zamiast szczekać, jak na psa przystało, majtała szaleńczo ogonem.

– Matylda dzwoniła, mamy was umieścić w ich domku. – Piotr już chwycił plecak Helenki, gdy powstrzymała go małżonka, bowiem Wasilij szepnął jej coś na ucho...

– Czekaj, oni wolą dwadzieścia osiem – przekazała prośbę Waśki.

Piotr tylko skinął głową i skierował się w stronę głównego wejścia do ośrodka. Pokój dwadzieścia osiem był jedynym pokojem wyposażonym w szerokie małżeńskie łóżko z najwygodniejszym na świecie materacem. Domek, w którym zazwyczaj zatrzymywali się Matylda z Januszem, też miał szeroką i wygodną kanapę, ale dwadzieścia osiem... przebijał wszystko. I wcale nie było minusem, że poza tym wygodnym łóżkiem w pokoju w zasadzie nie mieściło się nic więcej. Łazienka była. Balkon był. A więc – było wszystko. Waśka wiedział o zaletach wybranego pokoju, bowiem podczas poprzedniego pobytu zwiedził dokładnie cały ośrodek i ze swoją fotograficzną pamięcią mógłby ze szczegółami opowiedzieć o każdym miejscu, które widział.

Miał do załatwienia konkretną sprawę. A raczej misję. Ale czas, który będzie miał dla siebie, chciał spędzić w sposób, o którym marzył. W dalekich Chinach,

w Nowym Jorku, we Francji. Chciał trzymać w ramionach tę, o której śnił prawie co noc. Do spełnienia tego marzenia potrzebny był mu właśnie pokój dwadzieścia osiem. I przynajmniej kilka godzin. Poza wszystkim chciał też sprawdzić, czy potrafią ze sobą pobyć bez innych atrakcji dookoła. Bez telewizora. Bez towarzystwa innych ludzi. Bez rozrywek typu tańce, gry i zabawy. Być ze sobą. Rozmawiać. Poznawać się na różne sposoby...

Okazało się, że potrafili.

Najbardziej jednak podobało im się powolne poznawanie swoich ciał, bo choć przecież byli już ze sobą, to te poprzednie spotkania były za szybkie, za krótkie, jakieś takie mniej wygodne. Teraz mogli się cieszyć sobą do woli i to właśnie robili. Odkrywali, co lubią najbardziej, i wielką przyjemność sprawiało im wzajemne okazywanie sobie czułości.

– *A ty mienia liubisz?* – śpiewał swojej szarookiej Waśka.

– Aha!

Sprawę z właścicielami Szczepankowa, zleconą mu przez Matyldę, załatwił pozytywnie. Pomysł szaleńczo się im spodobał, lecz z drżeniem serc oczekiwali na finał rozgrywki Matyldy z Joshem, którego rozstrzygnięcie nie było wcale pewną sprawą.

Długo czekać nie musieli...

## FINAŁ

W nowojorskiej siedzibie spółki medialnej TV Trust & Stars panowały zgiełk i zamieszanie, jakby na gali miał być obecny prezydent USA z połową Białego Domu. Albo jakby wylądowali tam kosmici, ponieważ tłumek, kotłujący się przed gmachem z mnóstwem anten satelitarnych na dachu, przypominał bardziej zlot fanów Woodstock czy wielbicieli Star Treka niż normalnych gości programu telewizyjnego. Prowadzona przez Ważkę czarna limuzyna usiłowała przecisnąć się między ustylizowanymi na kosmitów postaciami. Kawalek dalej drogę zastąpiły im jakieś antywolucyjne czirliderki, trzymające transparent z napisem: **PRECZ Z TEORIAŁ EWOLUCJI! NASI RODZICE NIE BYLI MAŁPAMI!** Więc tak wyglądają te tysiące fanów, których sobie zdobyliśmy... – pomyślała Matylda.

Na szczęście Josh obiecał im status VIP-ów, oddając do ich dyspozycji limuzynę, i uprzedził ochronę, toteż zostali skierowani do zamkniętego parkingu dla wozów transmisyjnych i specjalnych gości. Długonoga hostessa zaczęła wręczać im złote plakietki z logo stacji, mające zapewne potwierdzać status gości honorowych, ale zorientowała się, że ma ich za mało.

– Mam informację o pani Matyldzie i dwóch osobach towarzyszących...

– Josh zapewniał, że możemy przybyć z przyjaciółmi – oznajmiła sucho Matylda. – Czy to jakiś problem?

– Ależ skąd, zaraz wszystko załatwię.

Pobiegła do oszklonej budki wartowników i po minucie wróciła z dodatkowymi plakietkami. Następnie zaprowadziła ich do windy. Janusz wsiadł ostatni, ciągnąc za sobą walizeczkę na kółkach.

– Czy udostępni nam pani jakieś pomieszczenie, gdzie moglibyśmy się przygotować? Muszę poprawić makijaż, włożyć dodatki...

– W studiu czekają najlepsze stylistki oraz wizażystki, które z przyjemnością zajmą się państwem.

– Och, mój personel doskonale sobie poradzi.

Towarzystwo Matyldy, słysząc o sobie „mój personel”, zaczęło patrzeć po sobie z dziwnymi minami i podejrzenie pokasływać, ale praca w stacji telewizyjnej przygotowała widać hostessę na każdy kaprys gości. Skinęła uprzejmie głową, zatrzymała windę o poziom niżej od widniejącego na wciśniętym najpierw przycis-ku, następnie zaprowadziła ich do pomieszczenia przypominającego

skrzyżowanie garderoby z bufetem. Było tam wielkie lustro, rząd pustych wieszaków na ścianie, łazienka oraz lodówka i barek.

– Program zaczyna się za godzinę. Proszę po mnie zadzwonić, kiedy będą państwo gotowi – hostessa wskazała aparat telefoniczny bez klawiszy i zostawiła ich samych.

– Uff, wszystko idzie zgodnie z planem. – Matylda odetchnęła.

– To my mamy jakiś plan? – zdziwił się komandos, zaglądając do lodówki. Skrzywił się na widok puszek coli i innych kolorowych napojów. Wzruszył ramionami i wyjął cygaro. – Może tak szefowa by mnie oświeciła?

– Waśka, pogódź się z tym, że dziś to nie ty będziesz gwiazdą.

Wasilij zerknął na Janusza, który odpowiedział mu lekkim wzruszeniem ramion. Następnie popatrzył uważnie w pewne rozkochane szare oczy, potem w inne, odpowiadające mu dość szelmowskim spojrzeniem.

– Coś mi mówi, że dziś kobiety postanowiły wziąć sprawy w swoje ręce – zauważył komandos.

– To może być nadzwyczaj interesujące... – dodał Janusz.

Studio telewizyjne przypominało wielką salę teatralną. Do rozpoczęcia gali pozostało parę minut, panował zgiełk, wciąż zajmowano miejsca. Scena nie była w żaden sposób oddzielona od widowni, po obydwu jej stronach ustawili się kamerzyści ze statywami, inni krążyli już po sali, filmując z ręki i nagrywając krótkie rozmowy z gośćmi. Reflektory u sufitu zalewały studio różnokolorowym światłem, eksponując miejsce przeznaczone dla prowadzącego imprezę. Hostessa wskazała Matyldzie wraz z jej przyjaciółmi miejsca w pierwszym rzędzie. Na szczęście akurat przygasły światła, tak że nie wzbudzili specjalnej sensacji wśród widowni, niewielu ich rozpoznało... Przycichły rozmowy, wreszcie ustały zupełnie, gdy przy akompaniamencie fanfar i werbli pojawił się Josh. Był zupełnie odmieniony, we fraku prezentował się niczym mistrz ceremonii rozdania Oscarów. W krótkich słowach powitał przybyłych gości specjalnych, wymieniając po nazwisku kilka znamienitości z branży medialnej, następnie przypomniał wszystkim założenia reality show, którego zwieńczeniem miała być właśnie trwająca gala. Obiecał wszystkim kilka niespodzianek, wspominając tajemniczo, że wśród gości są też bohaterowie całego wydarzenia... Światła pogasły, a na wielkim ekranie ukazała się kompilacja scen i wydarzeń ostatniego miesiąca, podkreślana nastrojową muzyką.

Matylda musiała przyznać, że całość robiła niezwykle wrażenie, muzyka to dodawała obrazom dramatyzmu, to znów tajemniczości i polotu. Scena za sceną... Zmieniały się miejsca, kraje, środki transportu i wnętrza. Matyldzie wydawało się momentami, że obserwuje rzeczy, które wcale nie miały miejsca, albo i miały, ale... przebiegały zupełnie inaczej. Po pewnym dopiero czasie zrozumiała, iż to tylko filmowa iluzja, efekt oglądania historii o sobie samej z innej



perspektywy, nie tak, jak zapamiętało się je widziane własnymi oczyma.

Widownia reagowała dość żywo, wydając okrzyki albo bijąc brawo. Matylda sama uśmieła się przy scenach paryskich, gdy wystąpiła jako pieniący się potwór, a potem z Januszem narobili sławetnego zamieszania na hotelowym basenie...

Potem akcja w Szczepankowie, z niefrasobliwą -Helenką w roli głównej i komandosem wyciągającym nagle colta i mierzącym w jej kierunku...

Rzymskie uliczki, kąpiel w fontannie, ucieczka przed karabinierami... Czy to się działo naprawdę?!

Taras rzymskiego hotelu, gdzie mocno podchmielona dziewczyna w czerwonym kapeluszu najpierw wpadła do basenu, a potem omal nie wypadła przez barierkę...

Czerwony kapelusz znów na tarasie... Widownia doskonale wiedziała, co będzie dalej, wszak filmik miał w sieci miliony wyświetleń, ale i tak wstrzymała oddech, słycać było jedynie z głośników coraz szybsze dźwięki smyczków, potęgujących napięcie...

Na scenie znów zabłyśły światła, od strony widowni rozległy się rzęsiste brawa, gwizdy i okrzyki aplauzu. Josh stał w świetle jupiterów, podając rękę jakiemuś -lysemu mężczyźnie w garniturze.

- Proszę państwa, mam zaszczyt przedstawić pana Aksera Szebera, producenta filmowego i właściciela znanej szeroko agencji aktorskiej. To on przygotował pierwszą niespodziankę tego wieczoru. Ale najpierw poprosimy do nas bohaterkę najbardziej wstrząsającej sceny naszego reality show! - Na znak Josha krąg reflektora począł błędzić po pierwszych rzędach widowni, by zatrzymać się na dziewczynie w czerwonym kapeluszu. - Pani Matylda Ulęcka!

Fanfary i burza oklasków nie pozostawiły pisarce wyboru. Musiała wstać i wyjść na scenę, nawet gdyby była to ostatnia rzecz, na jaką miała akurat ochotę. W sukience bez pleców przyciągała wszystkie spojrzenia. Podeszła swobodnym krokiem do Aksera Szebera, podała mu dłoń i stanęła obok, nie obdarzając Josha choćby jednym spojrzeniem. Z lekko pochyloną głową, tak że rondo kapelusza zakrywało jej oczy, wyglądała intrygująco.

- Mam przyjemność oznajmić, że rzadko miałem okazję oglądać tak dobrze wymyśloną, a przede wszystkim zagrana scenę. Dlatego zdecydowałem się odkupić od Josha prawa do jej rozpowszechniania, oferując dodatkowo sto tysięcy dolarów bohaterce, która w niej wystąpiła. Jest tylko jeden warunek... - Widownia wstrzymała oddech. Josh nie zdołał ukryć błakającego mu się na ustach złośliwego uśmiechu. - Scenę włączyłem do scenariusza mającego powstać filmu. Zostanie oczywiście nakręcona od nowa, a pani chciałbym zaproponować tę rolę. Jeśli się pani zgodzi, czek na sto tysięcy natychmiast stanie się jej własnością, natomiast gaża wyniesie pięciokrotność tej sumy.

- No, Matyldo, taka okazja się nie powtórzy! - zawołał Josh, unosząc ręce

i prowokując widownię do kolejnych braw. Na ekranie za ich plecami pojawił się kadr z nagą dziewczyną w kapeluszu na hotelowym tarasie. – Cała Ameryka, cały świat czeka na twoją decyzję.

Szreber rozwinął jakieś papiery. Gwiazda reality show wzięła od niego pióro, wyglądało, że zamazuje coś na pierwszej stronie, potem dopisuje słowo czy dwa, następnie złożyła na ostatniej stronie zamaszysty podpis. Rozległy się kolejne brawa. Wtedy zerwała z głowy czerwony kapelusz i zamaszystym ruchem posłała go w stronę widowni. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się w stronę kamer.

– Ale to przecież... – zaskoczonemu Joshowi słowa ugrzęzły w gardle.

– Nazywam się Simonetta Camineli – oznajmiła z lekkim włoskim akcentem dublerka prawdziwej Matyldy. – To ja zagrałam w tej scenie. – Zwróciła się w stronę Aksera Szrebera. – Powiedział pan, że sto tysięcy jest dla bohaterki tej sceny, umowa na rolę również.

Szreber umiał błyskawicznie analizować fakty i podejmować trafne decyzje. A świadomość, iż bierze udział w transmisji na żywo sprawiła, że nie wahał się długo.

– Zgadzam się. Jeśli tylko udowodni nam pani, że istotnie zagrała w tej scenie.

– Najlepsze dowody posiada włoska policja, z pewnością potwierdzą moje słowa.

– Jednak wszyscy byli i są przekonani, że to pani Matylda została sfilmowana... – Ton producenta filmowego był uprzejmy, lecz słysząc w nim było wyraźny sceptycyzm. – Czyżbyśmy się wszyscy mylili?

Na widowni rozległy się pomruki oraz gwizdy. Matylda poderwała się z pierwszego rzędu, śmiało podeszła do zgromadzonych na scenie i z miejsca skupiła na sobie całą uwagę. Mikrofon na wysięgniku zatrzymał się nad jej głową.

– Państwo pozwolą, że opowiem wam prawdę o przebiegu całego programu. Dowiedcie się dokładnie, jak zostałam skłoniona do wzięcia w nim udziału, co zaszło w rzymskim hotelu, gdzie na waszych oczach dokonano morderstwa. Oraz o prawdziwej roli Josha Talko w całej imprezie...

– Zaraz! – Josh otrząsnął się ze zdumienia i postanowił wkroczyć do akcji. Wysunął się do przodu. – Scenariusz gali jest uzgodniony z producentem programu, nikomu nie wolno go zmieniać. Opowieści pani Matyldy są z pewnością ciekawe, ale mamy dla państwa dalsze atrakcje...

Jego głos ginął wśród okrzyków widowni, domagającej się występu Matyldy. Wasilij podniósł się ze swego miejsca, wszedł na scenę i po prostu odsunął szamoczącego się Josha na bok. Tymczasem Simonetta stanęła obok ekranu ze swym zdjęciem i pozowała błyskającym z widowni fleszom aparatów. Jeśli nawet widownia podejrzewała, iż wszystko zostało wyreżyserowane, z entuzjazmem brała udział w widowisku. Matylda uniosła dłonie, prosząc o ciszę.

– Proszę państwa, z obecnym tu Joshem Talko spotkałam się ponad miesiąc temu w Pradze, gdzie opowiedział mi pewną historię dotyczącą mojej rodziny. Oraz swego pradziadka, który miał być ekscentrykiem i przed śmiercią wpadł na pomysł, iż powinien dać zadośćuczynienie potomkom dawnej narzeczonej, której ostatecznie nie udało mu się zdobyć. Aby uwiarygodnić opowieść, Josh zaoferował mi milion dolarów. A jednym warunkiem było...

W miarę opowieści Matyldy na widowni robiło się coraz ciszej. Nikt nie miał wątpliwości, że mówi prawdę, gdyż wszystko zgadzało się z umieszczanymi w internecie filmikami. Było spójne i wypełniało luki oraz domysły po ich tajemniczym zniknięciu z Rzymu. Nie pominęła wyprawy przez Morze Tyrreńskie i faktu zatopienia kutra służącego mafii do przemytu ludzi. Zawahała się, gdy doszła do momentu, gdy mała rączka dziecka sięgnęła po ciasto grochowe... Przez głowę przebiegło jej, czy rodzice Czerwonego Śniegu nie będą mieli kłopotów... Lecz jednocześnie nie chciała przemilczać sprawy chińskich sierot skazywanych na udrękę, cierpienia i brak perspektyw. Niewidzialne dzieci śniłyby się jej po nocach. Opowiadała więc dalej: o małej dzielnej dziewczynce, o wykradzeniu jej oszustom, o ucieczce przez Rosję. Nie podała jedynie personaliów dziecka i jego rodziców. Skłamała też, że przybyli po nią do Francji, chroniąc w ten sposób rodziców dziecka, siebie i przyjaciół przed zarzutami łamania prawa. Zakończyła swoją opowieść, przytaczając niedawną rozmowę z Joshem, kiedy to przyznał się, w jaki sposób postanowił zarobić na owym tak niechętnie oddanym jej milionie dolarów.

– I wygrałem! – zawołał chłopak. Waśka chciał go przytrzymać, ale Matylda dała znak, żeby tego nie robił. – Dostałaś milion, a ja dostanę od Goldenmayera resztę spadku. Podpisałem już umowę ze stacją należącą do TV Trust & Stars na jej kupno – oznajmił triumfalnie w stronę kamer i powiodł dookoła ręką. – Wszystko to będzie moje, jak tylko zapłacę resztę należności. Akurat brakuje tyle, ile dostanę w spadku po Osmanie Talko. I nikt nie będzie się krzywił, bo tu mamy Amerykę, u nas liczy się kreatywność i sukces!

– Myślę, że trochę pieniędzy ci jednak zabraknie... – powiedziała głośno Matylda.

– Naprawdę? – Josh zaśmiał się drwiąco.

– Tak. Bo stosowny paragraf testamentu mówi, że gdybym odmówiła przyjęcia spadku, mogę wskazać cel lub instytucję charytatywną, która otrzyma ów milion dolarów.

– Ale nie odmówiłaś! Mam to na piśmie, że przyjęłaś milion dolarów. A na widowni siedzi Izaak Goldenmayer, który potwierdzi, że co do joty spełniłem postanowienia testamentu pradziadka.

– Naprawdę? – Tym razem Matylda zdobyła się na drwinę. Następnie, przysłaniając dłonią oczy przed światłem reflektorów, popatrzyła w stronę pierwszych rzędów widowni. – Widzę, że mój prawnik, mecenas Barlicki siedzi

obok pana Goldenmayera, zdaje się, że wszystko jest w należyтым porządku. Może poprosimy tu obu panów i zaraz wszyscy, którzy nas oglądają, będą się mogli przekonać, kto ma rację.

Reflektory wyluskały na widowni dwójkę podnoszących się z foteli mężczyzn. Panowie ruszyli ku scenie, tymczasem Matylda pomachała przed nosem Josha -jakimś papierem.

– To oświadczenie napisane przeze mnie w Pradze. Zgadza się? Poznajesz?

– Nie wiem, nie widzę go dobrze...

– Najważniejsze, że widział je już pan Goldenmayer. – Ukłoniła się starszemu panu, który właśnie stanął obok. – Czy mógłby pan nam oraz telewizjom wyjaśnić, jak przedstawia się sprawa tego ofiarowanego mi miliona dolarów?

– Ofiarowanego... to jest właśnie najważniejsze określenie. – Starszy pan wziął od Matyldy oryginał oświadczenia i jeszcze raz przebiegł go szybko wzrokiem. – Tutaj jest wyraźnie napisane, że pani Matylda Ulęcka potwierdza fakt otwarcia jej konta w banku, opiewającego na kwotę miliona dolarów. Nie ma tu ani słowa o przyjęciu spadku. To, iż pan Josh Talko, z własnej woli, bez przymusu i żadnych warunków towarzyszących, ofiarował jej pieniądze, to już wyłącznie jego sprawa.

– Ty stary oszuście, pozwę cię do sądu! – wydarł się Josh.

– Jak pan sobie życzy – odparł z niezmaconym spokojem prawnik. – Tymczasem, jako depozytariusz testamentu i osoba zobowiązana przez testatora do jego wypełnienia, pragnę zapytać panią Ulęcką, co zadysponuje w sprawie należnego jej miliona dolarów?

W zapadłej nagle ciszy, jakby widownia wstrzymywała oddech, głośno i wyraźnie zabrzmiały słowa Matyldy:

– Biorę na świadków wszystkich tu obecnych i oświadczam, iż odmawiam przyjęcia spadku. – Starszy pan kiwnął ze zrozumieniem głową. – I życzę sobie, żeby milion dolarów zasilił konto powstającego właśnie ośrodka integracyjnego dla sierot w Szczepankowie. Wszyscy państwo oglądali filmiki z tamtych okolic, widzieli to piękne miejsce... Prowadzi je dwójka wspaniałych ludzi, Halina i Piotr, którzy chcieliby utworzyć tam dom dla chińskich sierot. Na początek przyjmą pięć dziewczynek, gdyż ich los jest najgorszy. Dołączy do nich pięć polskich sierot, które utraciły rodziców, aby małe Chinki łatwiej mogły się zintegrować w obcym sobie kraju i środowisku. Wiadomo, że nikt nie dogada się prędzej, niż dzieci między sobą...

Huraganowe oklaski zagłuszyły ostatnie słowa Matyldy. Pan Goldenmayer uśmiechał się i dalej kiwał głową. Pan Akser Szreber ścisnął dłoń Simonetty, gratulując jej podpisanego kontraktu. Wasilij obejmował Helenę, która nie wytrzymała i przybiegła z widowni. Ludzie podnosili się z miejsc, wbiegali na

scenę, to gratulując bohaterom tego niezwykłego reality show, to prosząc o wspólne zdjęcia i autografy.

Jedynie Josh stał z boku i nerwowym ruchem zerwał z szyi muszkę, jakby nagle zaczęło brakować mu powietrza. Rozglądał się dookoła, nie mogąc pojąć, jak do tego wszystkiego doszło. Miał przecież tak dobry plan...

## EPILOG

Od pamiętnego finału minęło dziewięć miesięcy.

Ośrodek zaczął działać od pierwszego października ubiegłego roku, natychmiast, gdy tylko prawnicy pozałatwiali sprawy związane z uruchomieniem Fundacji i oficjalnym rozruchem.

A na dziś, czyli na piętnastego kwietnia dwa tysiące siedemnastego roku Matylda z Januszem wyznaczyli termin formalnej inauguracji ośrodka, który działał już od pół roku.

Nie chcieli żadnej oficjalnej gali, a jednak prasa – jak to prasa – wszystko wywęchała. Już od rana przed szczepankowski ośrodek zajeżdżały najrozmaitsze samochody tutejszych notabli i wozy transmisyjne. Halina z Piotrem nie byli z tego zadowoleni, ale nic nie mogli zrobić. Przewidująco poustawiali kilka rzędów krzeseł w ośrodkowej jadalni, lecz na stolikach stały tylko butelki wody mineralnej.

Ośrodek prezentował się imponująco. Na trawnikach stały huštawki, drabinki, trampoliny... Był też kort tenisowy i miniboisko do koszykówki... Jeszcze było dość chłodno, więc dzieci nie bawiły się tak swobodnie, jak będzie to możliwe może już w maju. Ale w kąciку przy srebrnych świerkach grupa dziesięciu dziewczynek pilnie wykonywała poranne ćwiczenia tai-chi, pod okiem instruktora zaangażowanego specjalnie przez mecenasa Barlickiego, prezesa Fundacji „Czerwony Śnieg”. Mecenas nie szczędził wysiłków dla rozwoju fundacji, sprowadził z Warszawy parę Chińczyków, którzy w ciągu dwóch lat zdobyli jakimś cudem polskie obywatelstwo. Ale to nie było ważne, prezesa fundacji obchodziły tylko kwalifikacje instruktorów tai-chi, a te były wystarczające. Polskie dziewczynki uczyły się mandaryńskiego, chińskie sieroty już zaczynały mówić po polsku. Na naukę innych przedmiotów jeszcze przyjdzie czas, na razie najważniejsze było, żeby dzieci się polubiły, zintegrowały i niczego już, nigdy więcej! nie musiały się bać...

Budynek dawnego ośrodka wypoczynkowego z zewnątrz prawie się nie zmienił, świecił tylko nowymi tynkami, wymieniono też okna na nowe i jakby bujniejsza była rosnąca wokół zieleń. Zmieniła się tablica nad wejściem do budynku. Teraz szyld oznajmiał wszem wobec, że tu oto mieści się ośrodek integracyjny dla sierot. Napis był po polsku i po chińsku, ale w sumie dla wszystkich! Dla porzuconych, osieroconych dzieci całego świata, każdej narodowości, każdy potrzebujący pomocy maluch znalazłby tu schronienie. Szyld

informował też, że ośrodek powstał z inicjatywy Fundacji „Czerwony Śnieg”, założonej przez Matyldę Ulęcą i Janusza Skalickiego. Na dopisanie Janusza uparła się jego partnerka, on sam długo się opierał, przecież pieniądze pozyskała Matylda. Ale pisarka uparcie twierdziła, że bez Janusza ośrodek by nie powstał, że nie wyobraża sobie, żeby mógł odmówić. Pisarze chcieli jeszcze w jakiś sposób upamiętnić swojego przyjaciela Wasilija, ale ten za nic nie chciał się zgodzić.

Teraz jednak, w dniu uroczystej inauguracji, Waśka był obecny. Nie sam, oczywiście nie sam. Była z nim ta, z którą pojutrze miał zawrzeć związek małżeński w tutejszym urzędzie stanu cywilnego w Biskupcu. O tym jednak wiedzieli tylko, poza młodą parą, Matylda i Janusz. To miało być bardzo kameralne wydarzenie. A prawda, wiedzieli jeszcze Halina i Piotr występujący w roli świadków. Waśka zwierzył się Januszowi, prosząc go, by nie zdradził tego nawet Matyldzie, że nigdy w życiu nie był tak przejęty.

– Kiedyś opowiem ci kilka epizodów z mojego życia, teraz jednak wybac, druhu, ale jeszcze o pewnych sprawach mówić nie mogę. A to, że w ogóle się żenię, samego mnie wprawia w zdumienie tak wielkie, że prawie w to nie wierzę. – Waśka miał podejrzenie błyszczące oczy, a Janusz z przejęcia też.

Domek, w którym zawsze przebywali Matylda z Januszem, pozostał ich wyłączną własnością i nie zmienili niczego wewnątrz. Tak, jak tam było, było dla nich idealnie. Domek został tylko odświeżony, dokładnie wyremontowany.

Parter ośrodka został całkowicie zmodernizowany i dostosowany do potrzeb mieszkających tam dzieci. Wychowawcy i nauczyciele mieszkali na piętrze. Z jednym wyjątkiem. Nietknięty został pokój numer dwadzieścia osiem i otwierano go, tylko gdy do Szczepankowa przyjeżdżali Wasilij z Helenką. Tak miało zostać i po ich ślubie.

Gdy poustawiano już wszystkie kamery i mikrofony, prezes Barlicki odczytał ciągnące się jak flaki z olejem sprawozdanie z rozruchu ośrodka, pisarze odpowiedzieli na kilka pytań, wyjaśniając przedstawicielom prasy, że przecież zapowiadano, iż żadnej gali ani konferencji nie będzie. Dziennikarze nie dowiedzieli się więc niczego nowego, czego nie podawałyby polskie i światowe agencje prasowe po pamiętnej gali nowojorskiej. Zainteresowanie ośrodkiem wygasło więc prawie natychmiast, a właśnie o to chodziło jego twórcom. Chcieli, żeby te biedne dzieciaki miały zapewniony święty spokój. Tak długo, jak to będzie możliwe.

Wieczorem, przy kolacji, w której uczestniczyli już tylko sami przyjaciele, Helenie coś się przypomniało.

– Nigdy nie opowiedziałaś, co działo się z twoim dziadkiem i babcią po ich wyjeździe z Kostromy. Jak przeżyli rewolucję i dwie wojny światowe? Jak to się stało, że ty urodziłaś się w Warszawie, a nie na przykład gdzieś pod Moskwą czy Kijowem?

Matylda pokręciła głową. Nikomu nie mówiła, że „częścią spadku” po Osmanie Talko, tą częścią, którą przyjęła, była wspólna fotografia Osmana i babci Mani oraz pokaźny plik listów pisanych przez Marię do Tatara. Listów z czasów, w których już była mężatką. Listów, które przychodziły do Ameryki.

Dziewczyna spojrzała na Janusza. On oczywiście o wszystkim wiedział, a jakże.

– Opowiemy im? – spytała ukochanego.

Pisarz pokręcił przecząco głową.

– Nie.

– Dlaczego? – Halina włączyła się do rozmowy. – My, z Piotrem, sami często też się nad tym zastanawialiśmy. Naprawdę chcielibyśmy to wiedzieć. Opowiedzcie, prosimy.

– No cóż, w takim razie będziemy musieli napisać drugą część dziejów dziadka i babci naszej Matyldy. – Janusz się uśmiechnął.



## **Spis treści**

PRELUDIUM Dzień pierwszy Dzień drugi Dzień trzeci Dzień czwarty Dzień piąty Dzień szósty Dzień siódmy Dzień ósmy Dzień dziewiąty Dzień dziesiąty Dzień jedenasty Dzień dwunasty Dzień trzynasty Wracamy do dnia dwunastego Chiny 1995 Dzień czternasty Chiny 2015–2016 Dzień piętnasty Dzień szesnasty Dzień siedemnasty Dzień osiemnasty Dzień dziewiętnasty Dzień dwudziesty Simonetta Dzień dwudziesty pierwszy Dzień dwudziesty drugi Dzień dwudziesty trzeci Dzień dwudziesty czwarty Dzień trzydziesty F I N A Ł E P I L O G

